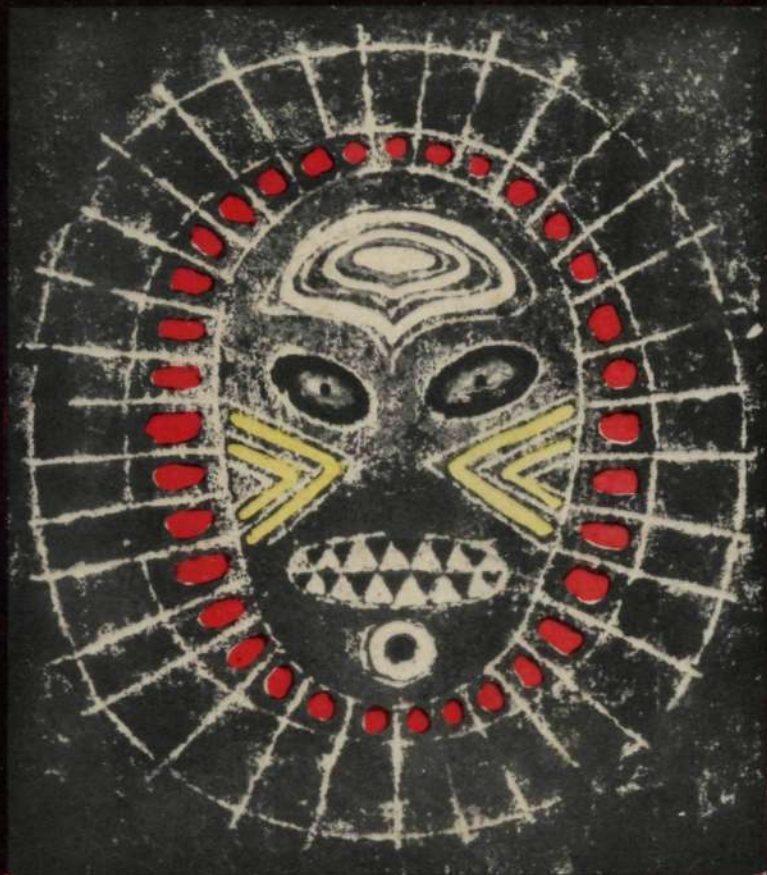


W. KONRAD OSTERLOFF

# DZIECI SŁONCA



**DZIECI  
SŁOŃCA**



W. KONRAD OSTERLOFF

# DZIECI SŁOŃCA



Ilustrował  
ANTONI BORATYŃSKI



NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 1960

© Copyright by Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1969

Redaktor: Maria Liskowacka

Redaktor techniczny: Maria Bochacz

Korektorzy: Halina Fertak, Grażyna Majewska

ISBN 83-10-09015-3

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1986 r.

Wydanie drugie. Nakład 20 000+150 egzemplarzy.

Ark. wyd. 15,2. Ark. druk. A1 — 17.

Oddano do składania w październiku 1985 r.

Podpisano do druku we wrześniu 1986 r.

Zakłady Graficzne w Katowicach Zakład nr 5 w Bytomiu.

Zam. 9110/1121/5 — P-44



## O CZYM NIE WIEDZIELI INKOWIE

Na południe od jeziora Titicaca, w boliwijskich Andach, wysoko, prawie 4000 metrów n.p.m., na przestrzeni niemal pół miliona m<sup>2</sup> leżą ruiny tajemniczego miasta Tiahuanaco. W surowym wysokogórskim klimacie, chłostane porywistymi wichrami, wznoszą się ku chłodnemu niebu kikucie mury olbrzymich budowli — resztki świątyń, pałaców, może warowni, skonstruowane z gigantycznych bloków bazaltu i piaskowca, nierzadko wagi sięgającej stu ton. Kiedy przybyli pierwsi Europejczycy, umarłe przed wiekami miasto miało wygląd bardziej imponujący, ale w XVII i XVIII stuleciu z ruïn jego zachłanną ręką czerpano materiał na budowę publicznych gmachów w stolicy Boliwii — La Paz. Także dzisiejsza niewielka osada Tiahuanaco jest pogrobowcem starszej swej imienniczki. W ten sposób zniszczono wiele posągów i murów pokrytych bezcennymi płaskorzeźbami. Ale i to, co pozostało, wystarczy, by wprawić w głęboką zadumę współczesnych uczonych.

Światową sławę zyskała zwłaszcza tzw. Brama Słońca, przypominająca nieco łuki tryumfalne Rzymian. Konstrukcja ta, wykonana

z potężnego andezytowego monolitu, w środkowej górnej części zawiera płaskorzeźbę postaci ludzkiej, która w obu rękach trzyma coś w rodzaju beret zakończonych głowami kondora. Twarz jej o prostokątnym nosie, gąłkach ocznych prawie kwadratowych i otwartych ustach otacza aureola słonecznych promieni. Wijące się licznie wokół motywy ptasie, kocie i rybnie tworzą osobliwą całość, interpretowaną już to jako kalendarz, już to alegoria kosmogonicznych wierzeń. Inni znów dopatrują się w tej postaci wizerunku boga stwórcy czy też boga słońca.

Zważywszy, że najbliższe kamieniołomy znajdują się o kilka kilometrów i znacznie poniżej Tiahuanaco, dziw bierze, jak przy prymitywnej technice owych czasów i środkach transportowych sprwadzających się do siły mięśni ludzkich możliwe było przeniesienie tak gigantycznych bloków. Niektóre budowle zresztą sprawiają wrażenie nie dokończonych, przerwanych w połowie roboty, jakby nagły kataklizm czy też niespodziewana inwazja wrogich ludów zmusiła bezimiennych architektów do śpiesznej ucieczki.

Arturo Poznansky, autor monumentalnych prac o kulturze Tiahuanaco, przypisywał jej wiek osiemnastu tysięcy lat. Wybitny archeolog boliwijski, wiedeńczyk z pochodzenia (1874—1946), uważał, że Tiahuanaco było starożytną metropolią człowieka amerykańskiego, stolicą olbrzymiego cesarstwa megalitycznego, i że kto wie, czy tu właśnie nie stała kolebka ludzkości.

Sklonny do ekstrawaganckich pomysłów, Anello Oliva\* w napisanej w 1631 roku „Historii Peru” tak tłumaczył powstanie antycznej cywilizacji w tym kraju: Oto w ucieczce przed potopem niewielkiej grupie Europejczyków udało się wylądować na wybrzeżach Wenezueli. Pod przewodem niejakiego Tumbę po jakimś czasie uchodźcy w poszukiwaniu lepszych warunków przenieśli się do Ekwadoru. Energiczny i przedsiębiorczy syn wodza Quitumbę wyruszył stąd rekonesansowym szlakiem na południe. W obozie ojca pozostawił młodzieńką żonę Llira, która po kilku miesiącach urodziła syna imieniem Huallanay, co znaczy „Jaskółka”. Mijały lata, a po Quitumbę zaginął ślad. Ulegając w końcu błaganiom zrozpaczonej dziewczyny, sędziwy już teść zwinął obóz

\* Jezuita włoski, kronikarz Peru, gdzie przebywał od 1599 r.

i także skierował się na południe. Trzymając się wybrzeża założył miasto, na jego cześć nazwane Tumbes (odegrało ono później znaczną rolę podczas wyprawy Pizarra do Peru), a potem osiedlił się nad rzeką Rimac w okolicach dzisiejszej Limy.

Oddziały zwiadowcze wysyłane we wszystkie strony w poszukiwaniu Quitumbe wracały ciągle z pustymi rękoma. Rozpytywana ludność tubylcza nic nie wiedziała o młodym awanturniku. Mieszkańcy wybrzeża, Indianie zwani ogólnie Yunga, zajmowali się głównie rybołówstwem i bardzo jeszcze prymitywnym rolnictwem. Wierzyli oni, że stwórca świata Con za karę jakichś straszliwych zbrodni przodków zamienił ich w dzikie zwierzęta, a ziemię uczynił bezpłodną pustynią. Ulitował się nad nimi dopiero syn Cona Pachacamac i przywrócił im postać ludzką, za wdzięczni Yungowie wzniesli mu wielką świątynię. Sanktuarium to znajdowało się nie opodal rzeki Lurin, na południe od dzisiejszej stolicy Peru. Tam na szczycie wyniosłego pagórka, o zboczach ujętych w regularne tarasy, Yungowie zbudowali z bloków kamiennych potężny chrám o wymiarach mniej więcej 180 na 130 metrów. Wewnątrz znajdował się ogromnych rozmiarów posąg bożka, a u podnóża ciągnęły się rozległe cmentarzyska. Świątynia słynęła szeroko w okolicy z cudów, a jej kapłani posiadać mieli dar jasnowidztwa.

Uchodźcy z Europy, chociaż przywieźli z sobą wyższą kulturę, to przecież żyjąc wśród miejscowych Indian przejęli wiele z ich obyczajów i zabobonów. Llira wciąż oplakiwała zaginionego męża i wreszcie za czymś podszeptem zdecydowała się złożyć w ofierze syna, w nadziei, że przebłaga nielitosny los i odzyska ukochanego. Ale kiedy chłopiec leżał już na ołtarzu, a pochylony nad nim kapłan gotował się do śmiertelnośnego ciosu, nagle zafurkotały głośno w powietrzu ciężkie skrzydła. Olbrzymi czarny kondor porwał Huallanaya i zaniósł na którąś z wysp oceanu.

Po latach, kiedy chłopiec dorósł, na modłę wyspiarzy sporządził z wiązki trzciny totora tratwę, której wygięte w górę oba końce tworzyły coś w rodzaju siodła. Dosiadł je okrakiem i przy pomocy bambusowych kijów, zamiast wiosel, dostał się na ląd. Nie miał jednak szczęścia i wpadł w ręce ludożerców. W noc poprzedzającą przygotowywaną ucztę kanibalską uwolniła go córka



kacyka, piękna Ciguar, która zakochała się w cudzoziemcu i wraz z nim zbiegła. Młoda para w obawie przed pościgiem schroniła się wysoko w górach w nie zidentyfikowanym Kraju Kwiatów, gdzie przyszedł na świat Tome, ojciec „Szczęsnego Wojownika” — Atau — i dziad pierwszego Inki. Ich zaś dziełem miały być wysokogórskie cywilizacje Andów.

Olbrzymie masywy tajemniczych murów, kolosalne posągi, dziwaczne płaskorzeźby — wszystko to musiało niepokojąco działać na imaginację tubylców. Nie wydawało się możliwe, by były one dziełem zwykłych jak oni ludzi. Stworzyć tak gigantyczne pomniki mogło tylko jakieś nieborodne plemię. I w staroperuwiańskich legendach pojawiać się zaczęły wzmianki o inwazji szczepu wielkoludów. Ongi w zamierzchłych czasach przyplłynęli oni na potężnych tratwach, dzierżąc nieznaną broń, wyposażeni w narzędzia z metalu przedziwnej twardości. Przy ich pomocy po całym Peru wznosili olbrzymie budowle. Tiahuanaco na przykład zbudowali w ciągu jednej nocy, ale plemię to nie miało wytrzymałości i rychło porzuciło zaczęłą robotę, dlatego też tyle pozostało nie dokończonych budowli. O niezemskich rozmiarach tych olbrzymów daje niejaki pojęcie tubylcza opowieść, że pod ich krokami obsuwały się skały, tworząc kotliny z krystaliczną wodą, pokazywane po dziś dzień przez mieszkańców. Znakomitych architektów cechowały poza tym same wady. Byli bezbożni, okrutni, krwiożerczy, rozpustni. Dopuszczali się tyłu swawoli na nieszczęsnej ludności, że w końcu wzruszony niedolą swych wyznawców bóg Słońce wygubił piorunami bezecny szczep.

Później Inkowie upatrywali w tajemniczym mieście coś w rodzaju rzeźbiarskiego atelier Huiracochy. Stwórca świata, zanim zrodził ludzi, tu modelował ich prototypy, ciosał w skale najlepsze jego zdaniem wzory.

Oczywiście są to czcze bajki, które ilustrują tylko nieporadne próby tłumaczenia nie wyjaśnionej zagadki. Więcej pozorów prawdy mają hipotezy, uznające pra-Ajmarów za twórców kultury Tiahuanaco, ale i tu powstają rozliczne wątpliwości, a m. in. pytanie, dlaczego późniejsi Ajmarowie do tego stopnia zagubili technikę budowania, że ich umiejętności architektoniczne kończyły się na nędznych szałasach.

Dzisiejsza archeologia zadaje kłam przekonaniu dawnych znawców andyjskich starożytności, jakoby Tiahuanaco stanowiło centrum potężnego imperium megalitycznego. Fakt, że na odbrzymlych terenach odnajduje się elementy charakterystyczne dla kultury Tiahuanaco, można bowiem tłumaczyć także i w inny sposób. Oto zdaniem niektórych uczonych miasto to było Rzymem i Mekką indiańską, dokąd ściągali pielgrzymi z tak odległych rejonów, jak dzisiejszy Ekwador, Chile czy Argentyna. Ale dlaczego nabrało ono takiego znaczenia i kult jakich to bóstw miał tak wielką moc atrakcyjną, że ulegali mu zarówno Indianie równinowych dżungli, paramosów andyjskich, pampasów argentyńskich i pustyń Atacamy — odpowiedzi nie ma.

Kwestionuje się także starożytność Tiahuanaco. Według nowych badań ten krąg kulturalny powstał względnie późno, a szczyt swój osiągnął dopiero w X wieku. Poprzedzały go zaś inne, znacznie starsze kultury. Zespół ruin Tiahuanaco jest wprawdzie najrozleglejším stanowiskiem archeologicznym w Andach, ale bynajmniej nie jedynym. Nie tylko w północnej Boliwii, lecz także na płaskowyżach Peru spotyka się tu i tam ruiny gigantycznych budowli nieznanego autorstwa. Są to megalityczne szczątki fortec i warowni, świątyń i innych obiektów sakralnych, świeckich pałaców i różnych, o trudnym do ustalenia przeznaczeniu, budynków. Spotyka się także ślady odwiecznych mostów, traktów, akweduktów i rozmaitych konstrukcji podziemnych. Czasem występują one pojedynczo, w dumnym osamotnieniu, kiedy indziej znów tworzą rozrzucone na znacznej nieraz przestrzeni zespoły urbanistyczne, a łopaty archeologów odkrywają wyraźne ślady planowej organizacji miejskiej. Datowanie znalezisk nastęrcza wiele kłopotów, a specjaliści od tych zagadnień rozmijają się o wieki całe w próbach usystematyzowania chronologii.

Jedno jest pewne, że pomniki, o których mowa, istniały na tych ziemiach na długo przedtem, zanim pojawili się pierwsi Inkowie. Należy tu wymienić słynną fortecę Sacsahuaman pod Cuzco, świątynię Pachacamac, niektóre przynajmniej fragmenty owianej romantycznymi legendami warowni Ollantaytampu i wiele

innych rozsianych na olbrzymiej przestrzeni od Tucumanu po Chachapoyas, ze słynną nekropolą w Quelop.

Na wybrzeżach Peru brak jest tak imponujących ruin, jak w wyższych rejonach, ale i tu odkryto niezliczone piramidy, kurhany i setki grobowców składających się na olbrzymie cmentarzyska z przedhistorycznych czasów. Suchy klimat i niepokalanie czysty piasek pustynny zachowały w doskonałym stanie tysiące mumi pramieszkańców. Przed dwudziestu laty np. w jednej z antycznych piramid pod Limą znaleziono świetnie zakonserwowane i owinięte w zwój tkanin zwłoki młodej kobiety wagi blisko stu kilogramów, o włosach długich ponad dwa metry, co zapewne jej właścicielce pozwoliłoby zdobyć pierwsze miejsce na konkursie wszechczasów w tej dziedzinie.

Peru, nazwane przez kogoś Egiptem Ameryki, stanowi raj dla archeologa i to raj, w którym jak dotąd niewiele tylko oberwano jabłek. Olbrzymie regiony tego kraju pozostają wciąż jeszcze nie tknięte szpadlem badacza. A chociaż samorzutna działalność domorosłych poszukiwaczy skarbów wyrządziła niepowetowane szkody, zorganizowaną akcję archeologów czeka na pewno jeszcze niejedna radosna niespodzianka. Dość przypomnieć, że dopiero w 1911 roku odkryto w odległości ledwie stu kilometrów od Cuzco ruiny wspaniałego miasta, o świątyniach, pałacach i domach prawie nie tkniętych zębem czasu. Ale i dziś Machu Picchu pozostaje nieodgadnioną zagadką. Miasto jest zbyt wysoko położone, by mogło być fortecą broniącą górskiej przełęczy, za duże na ośrodek sakralny i za bardzo oddalone od szlaków komunikacyjnych, aby spełniać miało rolę emporium\* handlowego.

Archeologia peruwiańska wyodrębniła, skatalogowała i w przybliżeniu określiła chronologię około tuzina oryginalnych ośrodków kulturalnych, które powstały na długo przed Inkami. W górzystym rejonie północnego Peru w Chavín de Huantar odkryto ruiny znacznego miasta z trójpiętrowym „zamkiem” i podziemnym labiryntem galerii na metr szerokich i blisko dwa

\* Emporium (z gr.) — plac handlowy; tu ośrodek handlowy.

metry wysokich. Znaleziisku przypisuje się sędziwy wiek, sięgający pierwszego tysiąclecia przed naszą erą. Prastarzy mieszkańcy Chavín posiadli już technikę obróbki kamienia i złota, znali ceramikę i tkactwo, mieli rozwinięty system wyobrażeń religijnych. Znajdowane na południe od Limy liczne groby pozwoliły na wyodrębnienie cywilizowanych społeczności wybrzeży — Nazca, Paracas i innych. Gdzie indziej znów wykopaliska dowiodły istnienia odrębnych, wcale wysoko rozwiniętych państw względnie kultur na peruwiańskiej ziemi.

Bogate materiały archeologiczne, realistyczne płaskorzeźby, prymitywny naturalizm malowideł na ceramice, oryginalne wzornictwo tkanin i cała masa przedmiotów kultowych bądź też codziennego użytku znajdowanych w grobowcach pozwoliły nam wyrobić sobie niezłe wyobrażenie o sposobie życia tych prastarych ludów.

Wiemy więc, jak się starożytni Peruwiańczycy odziewali, czym żywili, z jakich korzystali rozrywek. Wiemy sporo o umiejętnościach technicznych, o panujących wtedy chorobach i sztuce medycznej. Poznaliśmy broń i metody prowadzenia wojen, sztuczki łowieckie i rybackie. Nieobce są nam obyczaje, wierzenia, poglądy estetyczne tej odległej epoki, mamy jakieś takie pojęcie o organizacji społecznej, ale zagadką pozostaje, dlaczego i w jakim momencie historii umierały owe kultury i nie znamy nawet ich imienia.

Wymienione bowiem wyżej nazwy nie oznaczają bynajmniej nosicieli tych cywilizacji, lecz wzięte są od miejscowości, w których znaleziono materiał najbardziej typowy dla danego kręgu kulturalnego. Ba, nawet Tiahuanaco jest nazwą stosunkowo nowoczesną. Anegdota historyczna opowiada, że pewien Inka przebywał właśnie wśród ruin świętego miasta, gdy doszło go tam jakieś szczególnie ważne poselstwo. W uznaniu dla rączności szybkobiegacza przyrównał go do chyżonogiego guanaka, rzucając łaskawie: Tia, huanaco, co w języku quechua znaczy: „Siadaj (tj. spocznij), guanaku”.

Z tym wszystkim sądzimy, że mimo wielu, bardzo wielu luk wiedza nasza o prehistorii Peru jest znacznie większa od wiadomości, jakie na ten temat posiadli sami Inkowie. Ale czy tak

twierdząc nie dopuszczamy się przypadkiem grzechu megalomanii?

Dzieje Inków, te w jakimś stopniu historycznie sprawdzalne, obejmują okres nie dłuższy niż dwa, trzy wieki. W przeciwieństwie do Meksyku czy Ameryki Środkowej nie istniało w Peru pismo, brakowało zapisków kalendarzowych tak charakterystycznych dla tamtych kultur. Wszystkie więc daty przed hiszpańską inwazją muszą być traktowane z dużą nieufnością i rezerwą. Oficjalna historia Inków, spisana przez wczesnych kronikarzy na podstawie ustnych relacji tubylców, wymienia dwunastu lub trzynastu władców, z których co najmniej pierwsi czterej noszą jeszcze na pół bajeczny charakter. Jeden jedyny Fernando Montesinos \*, piszący w połowie XVII wieku, wylicza z imienia ponad dziewięćdziesięciu królów peruwiańskich, poprzedników właściwych Inków. Nie znamy informatorów Montesinososa. Przez długi czas nikt go wszakże poważnie nie traktował, a jego wywody uważano za wymysł samego autora. Rzeczywiście mnich ten z całą powagą twierdził, że Peru zaludnili Aramejczycy pod wodzą Ophira, praprawnuka Noego. Sądził dalej, że jest ono biblijnym złotodajnym Ophirem, dokąd ongi Salomon wysyłał swe statki, i że dzisiejsza nazwa powstała w drodze anagramowej kombinacji: Ophir — Phiru — Piru — Peru. To wszystko prawda, ale również prawdą jest, że Montesinos bynajmniej nie cierpiał na nadmiar historycznej fantazji. W liście jego „królów” powtarzają się ciągle te same imiona, podobne wydarzenia i anegdotyczne wypadki przypisywane późniejszemu, już półhistorycznym Inkom.

W ostatnich dziesięcioleciach, kiedy odkrycia archeologów kazały znacznie głębiej spojrzeć w dzieje Peru, inne pada światło na informacje Montesinososa. Znany peruwianista Sir Clements Markham \*\* przyjmuje istnienie przed Inkami trzech dynastii. Pierwsza z nich — Pirua — liczyła 18 królów — władców rzekomego państwa megalitycznego, po nich panowało 46 Amautów, czyli „mędrców”,

\* Autor „Historii Peru”, 1679 r.

\*\* Clements Robert Markham (1830—1916) — geograf angielski, w latach 1852—53 badał Peru.

a ostatnia Tampu-Tocco obejmowała jeszcze 27 naczelników. Zobaczymy później, że właśnie z jaskiń Tampu-Tocco wywodzili swój ród Inkowie.

Ta prehistoria nie była wolna od gwałtownych burz. Raz po raz powtarzały się najazdy barbarzyńskich ludów z południa i ludożerczych plemion z puszczy Amazonii. W prastarej stolicy, Cuzco, wielokrotnie nie pozostawał kamień na kamieniu. Ludność kryła się po grotach skalnych i pędząc życie zaszczutego zwierza zapomniała zdobyć kulturalnych swoich przodków. Dwa lub trzy kataklizmy wojenne, połączone z żywiołowymi klęskami w różnych odstępach czasu rujnowały doszczętnie dorobek cywilizacyjny całych pokoleń. W jednej z takich nocy upadku zagubiono starą sztukę pisania na liściach platanowych. Później wprowadził pewien kapłan wynalazł pismo obrazkowe, ale osiągnięcie to zbiegło się niefortunnie z nową falą nieszczęść. Straszliwe trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, gwałtowne powodzie i śmiertelne zarazy spadły na kraj, a wyrocznia za ten stan rzeczy obarczyła winą światłego wynalazcę, który został spalony żywcem; odtąd obowiązywał surowy zakaz sporządzania papieru.

Zresztą historia starożytnych królów obfitowała w karty nie przynoszące chwały dynastii, lepiej więc było wydrzeć je z pamięci. Inkowie, dumni i ambitni bez miary, także radzi byli zatrzeć wszelkie ślady przeszłości. Oni — bogorodni — mieli być twórcami cywilizacji, alfą i omegą wszelkiego porządku. Nie chcieli nic zawdzięczać poprzednikom i dlatego utrzymali zakaz pisma. Tak rzecze Montesinos... Choć jego historia starożytnych władców jest zbyt naiwna, by mogła być prawdziwa, to przecież pewne jest, że dzieje kultury peruwiańskiej nie zaczynają się od Manco Capaka, pierwszego Inki. Pewne jest także, iż mimo całego swego geniuszu Inkowie nie zjawili się jak deus ex machina \*, lecz szczerze czerpać musieli z cywilizacyjnego dorobku swoich prekursorów. Tworząc zaś ezoteryczny klan, z niedosiężnych wyzyn spoglądający na masę zwykłych śmiertelników, na wzór egipskich

\* (Łac.) Dosłownie „Bóg z maszyny” — w teatrze rozwiązanie dramatycznego węzła wskutek niespodziewanego wydarzenia lub nieoczekiwanej interwencji jakiejś osoby.

czy chaldejskich kapłanów prawdę o historii i wiedzę o świecie zazdrośnie rezerwowali dla wąskiego kręgu wtajemniczonych. Być może więc, że Inkowie — ta peruwiańska masoneria — więcej w rzeczywistości wiedzieli o przeszłości kraju i nie zawsze sławnych kolejach własnych przodków, niż nam się to dziś wydaje. Niniejsza praca oczywiście nie rozwiąże ani tego zagadnienia, ani też nie wyjaśni setki innych wątpliwości, jakie rodzą się przy studiowaniu prehistorii Peru. Nie o to tu zresztą chodzi. „Dzieci Słońca” nie są książką o archeologii, lecz popularnie ujętą historią Inków, którzy stworzyli jedną z najbardziej zdumiewających organizacji państwowych, jakie kiedykolwiek istniały. Autor stara się w niej, w oparciu o przekazy hiszpańskich kronikarzy i przyczynki współczesnych uczonych, przedstawić proces tworzenia się tej osobliwej społeczności indiańskiej. Unikając zaś w miarę możliwości balastu naukowego, tym chętniej sięga do anegdoty historycznej, ba, nawet plotki i ludowej legendy w przekonaniu, że może to „uczytelnić” książkę, co już osądzi sam Czytelnik.



## DZIECI SŁOŃCA

Dawno już opadły wody potopu, ale odwieczna czarna noc wciąż wisiała nad światem. W upiornym mroku ledwie rysowały się dziko poszarpane szczyty wyniosłych gór. W martwej ciszy pustkowie głucho belkotały rwące potoki, z jednostajnym, nużącym szumem wodospad rozbijał się o potężne, oślizłe głazy. W nieprzeniknionym powietrzu z rzadka tylko dudnił ryk dzikiej bestii, czasem złowróźnie puchały sowy. Pomniejszy zwierz leśny przyczajony w kryjówkach zagubił swój głos, niekiedy tylko, któryś ptak nieudolnie próbował śpiewu. Ale miast melodyjnych treli z gardła dobywał mu się szloch, płacz i łkanie. Sponiewierany ród ludzki kupił się w pieczarach skalnych i na modłę czworonogów, pozbawiony światła, po omacku poszukiwał korzeni, jedyne go dostępnego pożywienia. Ze wszech stron człowieka otaczał strach



i przerażenie, powszędy czyhały nań niebezpieczeństwa. W wiecznej nocy ludzie nie znali swoich twarzy, zapomnieli nawet dźwięku głosu, bo z lęku przed groźnym zwierzem i demonami ciemności nie wazyli się odzywać do siebie inaczej, jak tylko szeptem.

Długo trwała noc upadku i niedoli. Przez wieki całe niebianie za karę zbrodni rodzaju ludzkiego odejmowali mu życiodajny blask dziennej gwiazdy. W końcu dopełniły się wyroki przeznaczenia. Litościwy bóg Słońce uznał, że minął czas pokuty i pora wyrwać ród ziemian z okowów barbarzyństwa. I wreszcie pewnego dnia złota jasność, tak jak dawniej, bananowym światłem oblała ziemię...

Potrójne jezioro Titicaca, wielkie niczym morze, leżało nieruchome, a atramentowa tafla jego wód w kontraście ze śniegiem okolicznych gór, zwanych „Dziadkami”, wydawała się jeszcze czarniejsza. Nad niegościnnym brzegiem stała para dzieci boskiego In t i, czyli Słońca — „Cnotliwy Książę” — Manco Capac, i „Czcigodna Matka” — Mama Ocllo. U stóp ich legł złoty pręt, długi na pół łokcia i gruby na dwa palce, a z tumanu klebiących się nad wodą chmur, gdzieś spod wysokiego niebokręgu, rozległ się majestatyczny, ale pełen słodczy głos: „Dzieci moje, idźcie, dokąd was skierują kroki. A wszędzie tam, gdzie się zatrzymacie, czy to, by się jadłem czy snem pokrzepić w męczącej wędrówce, próbujecie zanurzyć ten pręt w ziemię. Tam zaś, gdzie bez nacisku waszych ramion zniknie, niech będzie moje królestwo, nad którym weźmiecie władzę. Pamiętajcie jednak, by lud wam poddany traktować łagodnie i pobłażliwie, tak jak dobry ojciec traktuje swe drobne dziatki. We wszystkim naśladowcie mnie, który nie szczędzi dobrodziejstw światu, który używa ludziom światła, ogrzewa ich, gdy marzną, i zsyła plony uprawnym polom. Ja to sprawiam, że drzewa rodzą owoce, ja pomnażam stada, ja to każe, by we właściwej porze deszcz padał lub słońce świeciło, i codziennie przemierzam świat, usuwając jego braki jako żywiciel i dobroczyńca ludzkości. Chcę, byście ze mnie brali przykład, jesteście bowiem moimi dziećmi, które oddają ziemi dla dobra ludzi żyjących teraz jako zwierzęta. Dlatego czynię was królami i panami nad śmiertelnikami, których macie wychowywać dobrym słowem i zbożnym czynem”.

Tu głos zamilkł, chmura poszybowała w górę i znikła pod gwiazdami. Słońce chyliło się za Andy. Strome granie górskich grzebieni powlokły się złocistą emalią, poniżej nich białe lodowce przyjęły purpurowofioletowy odcień. I nagle zapadła znów głucha czerń nocy, wnet rozjaśnionej zimną bielą skrzących się śnieżnych pól...

Rodzeństwo poważnie się przejęło zleconą mu misją stworzenia ośrodka wyższej kultury. Jednakże rejon Titicaca, o surowym klimacie, nie bardzo się na to nadawał. Wprawdzie jezioro dostarczało mnogości ryb, a na trawiastych połoninach wypasały się stada czarnobrunatnych bądź czysto białych lam i alpaki, a wyżej jeszcze nie brakowało drobniejszych, lecz dostarczających bardzo cennej wełny wigoni, ale bagniste, zarosłe pomierzwiową gęstwą sitowia pobrzeża, a dalej kamienista gleba nie sprzyjały rolnictwu. Zwyczajnie proso quinoa, mędzne kartofle, żółtawe bulwy o o c a o smaku przypominającym kasztany i mdłe korzenie t o t o r a, jakie niechętnie rodziła jałowa ziemia, nie mogły wystarczyć na utrzymanie liczniejszego osiedla. W dodatku okolica była nie-drzewna, rosnące zaś wysoko w górach gatunki, głównie leśna oliwka — q u i s u a r, odznaczały się tak twardym pniem, że dla prymitywnych narzędzi owych czasów nie wchodziły w rachubę jako materiał budowlany. Z opalem także miano sporo kłopotu, bo dla zdobycia łatwopalnego karłowatego cyprysu — t o l a, trzeba było urządzać męczące wysokogórskie wspinaczki.

Zresztą miejscowa ludność, prymitywne plemię Urów, przybyłe zapewne ongi z nieprzebranych puszczy Amazonii, dzikie i hołdujące barbarzyństwu, ponure i wrogie wobec wszelkich „nowinek”, nie miało uszu dla nauk Dzieci Słońca. Przy tym trudno przychodziło się z nimi porozumieć, Urowie bowiem mówili słabo artykułowanym językiem, pełnym gardłowych, niełatwych do naśladowania dźwięków, a skąpe słownictwo, ograniczone do czysto materialnej sfery życia, nie pozwalało im pojąć wzniosłych idei kulturalnego posłannictwa Manka i jego siostry. Rodzeństwo zatem niedługo zabawiło w niegościnniej krainie i postanowiło szukać szczęścia gdzieś indziej, w kierunku północnym.

Nikt nie zna szlaku ich wędrówki. Powiadają, że dla uniknięcia starć z wrogimi ludami maszerowali tylko nocą, w dzień ukry-

wajac się w górskich kolebach. Inni twierdzą, że Dzieci Słońca znały tajne przejścia jaskiniami i podróżowały pod ziemią. Do dziś żywe są legendy o istnieniu tajemniczych tuneli łączących Cuzco z pobrzeżami jeziora Titicaca. Po zdobyciu Peru przez hiszpańskich konkwistadorów wiele skarbów Inków zniknęło bez śladu — ponoć ukryte zostały w tym właśnie podziemnym świecie.

Po latach rodzeństwo znalazło się w położonej około 30 km na południowy wschód od przyszłej stolicy miejscowości Paccari Tampu, co oznacza „Gospoda Jutrzenki”, a także „Dom Narodzin”, w dzisiejszej prowincji Paruro.

Dzika i prawie bezludna okolica obfitowała w skalne groty i w jednej z nich na wzgórzu Tampu-Tocco („Dom Okien”) zamieszkali Manco Capac i Mama Ocello. Taka lokalizacja siedziby praocjów Inków wiąże się niewątpliwie z astronomicznymi poglądami Peruwiańczyków, według których słońce spędzało noc w jaskini, skąd rankiem rozpoczynało codzienną wędrówkę.

W Tampu-Tocco rodzeństwo nie było już osamotnione. W przemilczanych przez legendy okolicznościach rodzina zwiększyła się do czterech braci i trzech sióstr. Bracia nosili tytuł Ayar, co w języku quechua oznacza proso quinoa, a z imienia zwali się: Auca („Wojownik”), Cachi („Sól”) i Uchu („Pieprz”). W imionach tych być może dzwięczy echo jakiejś prastarej religii, w której główną rolę grały bóstwa rolnictwa i wojny. Siostry zaś miały ogólny przydomek Mama, co jest jedynym słowem w tym języku o tym samym co w polskim znaczeniu, oraz imiona: Huaco („Wojownicza Księżniczka”), Ipa Cura („Starsza Ciotka”) i Raua (sens nieznan).

Ayarowie czas dłuższy pędzili życie jaskiniowe, ale nie wykonane polecenie boskiego ojca nie dawało Mankowi spokoju. Nocami dręczyły go dziwne sny, jawił się przed nim bóg Słońce z obliczem chmurnym, bez zwyczajnego blasku, czyjaś dłoń szarpała go za ramię, jakiś głos wołał: „Wstań i idź!” Ale z dnia na dzień Manco zwlekał. W pobliskich kotlinach górskich kupiły się tylko nieliczne ayllu — gminy tubylcze, oparte o rodową wspólnotę ziemi, zamieszkane przez prymitywną, bojaźliwą i żyjącą w ciężkich warunkach ludność. Cnotliwy Książę obawiał się jednak nie-

bezpieczeństw drogi przez ludniejsze okolice, gdzie żyły wojownicze plemiona górali. Kiedy wszakże sąsiedzkie szczepy Marasów oraz Tampu wyraziły gotowość towarzyszenia Ayarom w poszukiwaniu żyzniejszej ziemi, porzucił wahania. Dał sygnał wymarszu.

Pochód posuwał się ostrożnie i nieskoro. Marsz utrudniało spore stadko pędzonych lam.

Zwierzę to, karłowaty wielbłąd Andów, od niepamiętnych czasów stanowiło główne bogactwo pasterskich mieszkańców peruwiańskiej p u n y. W życiu Indian tutejszych odgrywało rolę podobną do roli renifera w środowiskach Eskimosów. Dostarczało mięsa na pożywienie, wełny i skóry na odzież i obuwie. Z jego ścięgien sporządzano sznury, liny i proce, a wysuszony nawóz stanowił w bezdrzewnych okolicach omal jedyny materiał opałowy. Ciekawe natomiast, że mimo wybornego mleka lamy starzy Peruwiańczycy zdawali się nim brzydzić i nie czynili zeń użytku. Nie na tym kończyły się korzyści czerpane z tego zwierzęcia. Na karkołomnych górskich szlakach nie cierpiąca nigdy na zawrót głowy lama była nieocenioną siłą pociągową. Wprawdzie udźwignąć mogła stosunkowo niewielki tylko ciężar (średnio 25—30 kg), z którym przebywała dziennie nie więcej niż 15 km, ale i to stanowiło w wysokogórskich warunkach błogosławione odciążenie dla ludzkiego wysiłku. Chętnie także pozwalała dosiadać się dzieciom i bez obawy szła w wodę, przepływając z ładunkiem na grzbiecie rwące rzeki.

Także od niepamiętnych czasów udomowiony był nieco mniejszy krewniak lamy, alpaka, która dostarczała wybornego mięsa oraz wspaniałej czarnej i białej wełny. Oba te gatunki u późniejszych Inków były własnością państwa, a szczegółowe przepisy regulowały ich strzyżę i odstrzał, przy czym zabicie samicy w pełni wieku rozrodczego karane było nieuchronnie śmiercią.

Lama jest zwierzęciem łagodnym i powolnym, ale łatwo ulega napadom złego humoru, wtedy staje się złośliwa, pluje pasterzowi lub poganiaczowi w twarz śliną i resztkami przeżuwanego pokarmu i z niezwykłą zaciętością odmawia zrobienia bodaj jednego kroku. Wszelkie zaś rekordy przysłowiowego oślego uporu bije alpaka, która gdy ją najdą fanaberie, a to się bardzo często

zdarza, raczej da się zatłuc niż ruszyć z miejsca. Z tych względów nie nadaje się zupełnie na zwierzę pociągowe.

Te ujemne cechy charakteru lam niemal opóźniały wędrówkę rodzeństwa.

Tymczasem pochód przemienił się w marsz tryumfalny. Ayarowie nosili gęsto złotem przetykane tuniki z delikatnej wełny wikuni, spodnie i długie płaszcze z tejże tkaniny, a na nogach mieli sandały spięte u kostek zdobnym rzemykiem. W rękach dzierżyli złote, długie halabardy, a z ramion zwisały im torby, w których trzymały proce ze zwierzęcych ścięgien. Imponująco także wyglądały ich siostry w skrzących się od klejnotów błękitnych lub różowych oponczach, spiętych na piersiach złotą sponą t o p o. Nie znany dla tych okolic strój, gdzie odzież szyto z szorstkiej skóry i przemacerowanego lyka drzewnego, mnogość i różnorodność ozdób, ogromne złote nausznicze spadające po ramiona, nawet deformacja łydek uzyskiwana przez silne bandażowanie nóg poniżej kolan i powyżej kostek oraz królewska powaga malująca się na publicznych rodzeństwa czyniły wielkie wrażenie na tubylcach. Z religijną bojaźnią obserwowała miejscowa ludność niesiony w koszu-klatce posążek świętego sokola, zwanego przez Manco Huauqui, co znaczy „Brat”, z którym jako opiekuńczym duchem prowadził długie rozmowy. Toteż sława Ayarów znacznie wyprzedzała ich marsz, przesadne opowieści o bogactwie i magicznych władzach groźnych cudzoziemców szybko rozchodziły się po kraju, mimo że zagubione w górskich rozpadlinach ayllu zazwyczaj rzadko się tylko z sobą komunikowały.

Z różnych więc stron przybywały delegacje od lokalnych klanów z propozycją oddania się pod opiekę i dołączenia do pochodu. Wkrótce wokół Ayarów zebrała się pokaźna armia. A więc przede wszystkim bitny szczep Chavín, nad którym komendę przejął Cachi, a dalej Arayraca, Cuycusa, Masca, Sañoc, Tarpunta i Huacay Taqui. Z dwóch ostatnich rodów prawdopodobnie powstała później kasta kapłańska.

Wszędzie na popasach Manco próbował wbić magiczny pręt w ziemię, ale niezycliwa gleba stawiała zdecydowany opór. Znow więc zwijano obóz i zygzakowatym marszem szukano szczęścia gdzie indziej.

Przez cały czas wędrówki Manco unikał konfliktów z lokalną ludnością, na obozowiska wybierał odludzia, omijał pastwiska i łowieckie rewiry obcych szczepów. Na dłużej zatrzymano się w Pallata, ale i tu nie zabrakło kłopotów. Sprawcą ich był Ayar Cachi. Potężnie zbudowany, o głowę przerastał braci. Zuchwały, okrutny i niepohamowany w popędach, kłótlivy i skłonny do samowoli, rad prowokował burdy. Na czele wiernej drużyny wojowniczych Chavinów, wbrew wyraźnym rozkazom Manka, opuszczał biwak, penetrował okolice, rabował żywność w spokojnych osadach, porywał dziewczęta i dopuszczał się rozmaitych gwałtów. W końcu zrozpaczona ludność zawarła sojusz i zbrojną ręką napadła na cudzoziemski tabor. Z obu stron legło sporo trupą, a chociaż ostatecznie zwycięstwo odzyskał Manco, to przecież kazał śpiesznie zwinąć obóz i chyłkiem nocną porą wymknął się z Pallata.

Wódz, strapiiony, że wbrew przestrogom boskiego rodzica, choć bez swej winy wdał się w krwawą awanturę z niewinną ludnością, nie szczędził ostrych przygan bratu. Ten jednak śmiał się bezczelnie w oczy seniorowi rodu i buńczucznie głosił, że sam ze swymi Chavinami gotów jest ogniem i mieczem przejść i zdobyć cały świat. Dał przy tym niedwuznacznie do zrozumienia, że ze względu na siłę i waleczność właściwie jemu należy się dowództwo. Po dłuższej wymianie cierpkich zdań ugiął się wprowadzić przed autorytetem Manka, jako mandatariusza woli Słońca, lecz odtąd bracia spoglądali na siebie koso.

Otwarty konflikt wisiał w powietrzu, a chociaż nieporozumienia starannie skrywano przed obcymi, wśród Ayarów zapanowały namiętne stosunki. Młodszy bracia, których Cachi traktował z góry, czuli przed nim widoczny respekt i Manco nie był pewien, czy w wypadku dojścia do jawnej walki o władzę odważą się wziąć jego stronę.

Na razie wszakże Cachi jakby się zmiętył i jakiś czas wydawało się, że wróci dawna zgoda. Nie na długo jednak. Już na jednym z najbliższych postojów dopuścił się nowego wybryku. Oto pewnego razu wspiął się na wysoką górę i z jej szczytu począł we wszystkie strony świata miotać kamienie z procy z taką mocą, że obalili one cztery wierchy — na wschodzie Antisuyu, na zachodzie Chontisuyu, na południu Collasuyu i na pół-

nocy Chinchasuyu. Za każdym zaś celnym strzałem wołał głośno, że bierze w posiadanie wschód i zachód, południe i północ.

Na pamiątkę tego niezwykłego wyczynu cztery dzielnice państwa Inków przyjęły te imiona, a całość nazwano Tahuantinsuyu — „Kraj Czterech Dzielnic”. Biorąc w ten symboliczny sposób w posiadanie cały świat, Cachi rzucił publiczne wyzwanie starszemu bratu. Manco nie podjął rękawicy, zgryzł w milczeniu zniechęcenie, ale myślom, które w nim już od dawna kiełkowały, postanowił jak najspieszniej nadać kształt. I on był dumny bez miary, nie zamierzał z nikim dzielić sławy twórcy obiecane go przez Słońce imperium, ale przy całym swym mistycyzmie ostrożny, przebiegły i wyrachowany umiał realnie wyważać możliwości. Otwarta walka z Cachim osłabiłaby własne siły, narażając na szwank losy ekspedycji. Postanowił tedy czekać znaku boskiego patrona. Zresztą trapiło go nie tylko zuchwalstwo brata. Uchodząc śpiesznie z Pallata wędrowcy nie zdążyli zebrać plonów i teraz brakowało im ziarna na siew, a górzysta ziemia, na której przebywali, nie mogła ich wyżywić. Głód więc niebawem mógł zajrzeć w oczy strudzonej gromadzie.

W ponurym więc usposobieniu, kiedy tabor usnął, Manco swoim codziennym zwyczajem wyniknął się z obozu, by na ustroju szukać pociechy i rady u opiekuńczego ducha. Zawieszona wysoko pod niebem białe gwiazdy rzucały zimne światło, niewyraźnie rysując kontury dzikich skał i rzadkich drzew. W dziwnych mozaice cieni rosły fantastyczne kształty bajecznych stworów, przedpotopowych zwierząt i plugawych olbrzymów. Mankowi wydało się, że rozpoznaje gigantyczną postać Cachiego z wykrzywną szyderczym grymasem twarzy, jak z odchylnym głęboko w tył ramieniem ogromną włócznią gotuje cios prosto w jego piersi. Wnet jednak Mama Quilla — „Księżyc”, boska małżonka i siostra Słońca, zakryła blade i smutne dziś lica czarczafem z obłoków, zrobiło się ciemniej i widziadło znikło. Manco wzdrygnął się i począł zwierzać się ze swych trosk opiekuńczemu duchowi. Złoty sokół milczał uparcie, nieczuły ani na prośby, ani na zaklęcia, ni też lzy. Cisza wisiała nad światem, z niewidocznych niecieczy czasem tylko dochodziło posępne nu-

kanie zab. Było coraz chłodniej, w końcu zniechęcony wódz westchnął ciężko i gotował się już do powrotu, gdy w pobliżu rozległ się szelest wśród marnych krzewin, a za chwilę dał się słyszeć szurgot lekkich stóp. Manco powstał, ale zaraz znów usiadł, rozpoznając Mamę Huaco.

Najładniejsza z kobiet Ayarów, zuchwała kokietka, chciwa życia i zabawy, Huaco była żoną Cachiego, ale małżeństwo nie należało do udanych. W stadle tym dochodziło ciągle do awantur i skandali, o czym dobrze wiedziała rodzina. Nie mniej od męża gwałtowna i wybuchowa, Huaco nosiła w sercu dalekosiężne ambicje. Pochłonięty swą historyczną misją Manco nie zauważał spojrzeń, jakie mu ukradkiem rzucała, nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna czyni wszystko, byle tylko zwrócić na siebie jego uwagę.

Teraz stała przed wodzem w pomarańczowej tunice, spiętej w pasie podwójną krajką fantazyjnie wystrojonej różowej i niebiesko-żółtej materii. Na silnych, muskularnych nogach miała zgrabne sandały z białej wełny wigonia. Mimo wieczornego chłodu nie nosiła płaszcza, a ciężkie bransolety pokrywające jej nagie ramiona dźwięczały srebrzyście przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

Księżyc rozsunął zasłonę chmur i w jego blasku Manco widział wyraźnie jaśniejszą od zwykłych Indianek twarz Huaco, wyzywająco ukarminowaną czerwonymi jagodami *achipte*. Jej śmiałe, kasztanowoczarne oczy spięte łukiem brwi, starannie, jak ideały piękna owych czasów kazały, pozbawionych włosów i granatowe, długie warkocze, luźno puszczone na plecach z obu stron szerokiego przedziałka na głowie, nadawały Huaco wygląd leśnej boginki, chętnie biorącej udział w bardzo nawet ziemskich sprawach. Poważny, zamknięty w sobie Manco niewiele interesował się siostrami, teraz dopiero zauważył niezwykłą urodę dziewczyny. Mimo woli stanęła mu w myślach Mama Ocllo, zawsze zimna, dostojna, oschła i, co tu skrywać, już nieźle podwieęła. Porównanie wypadło zdecydowanie na niekorzyść żony. I Manco lekko westchnął.

— Panie i bracie mój — dziewczyna skłoniła głowę — cisza spadła na ziemię, obóz już dawno śpi, a ty czas trawisz na smętnej zadumie. Czemu to? — usiłowała głosowi nadać ton pokory, ale kłamał on wyraźnie swawolnym błyskiem jej oczu.

Manco nie przywykł dzielić swych myśli z niewiastami rodu Aya-



rów; nawet braciom rzadko tylko powierzał troski. Nikt nie ważył się w tak bezpośredni sposób zadawać mu pytań. Teraz nieoczekiwanie dla samego siebie odpowiedział z prostotą:

— Drećzą mnie kłopoty.

— Kłopoty? — powtórzyła dziewczyna i postąpiła pół kroku na przód.

— Tak, poważne kłopoty. — Manco odsunął się nieco, robiąc jej przy sobie miejsce na małym wzdórku, gdzie siedział.

Dziewczynie zamigotały oczy, usiadła omal dotykając wodza chłodnym ramieniem. Zapanowała krótka chwila milczenia. Pierwszy odezwał się Manco:

— Widzisz, siostrzyzko — szef Ayarów mówił niezwykle ciepło i serdecznie — nikt nie zna kresu naszej wędrówki. A tu brak nam ziarna na zasiewy...

Huaco splotła ręce na kolanach. Milczenie tym razem przerwała ona:

— Czy to są wszystkie twe zmartwienia, panie mój? — spytała cicho i miękko.

— Nie, mam większe i poważniejsze, ale... — Syn Słońca zawałał się.

— Cachi — Huaco syknęła przez zęby, prostując się gwałtownie.

— Tak, Cachi — przyznał Manco. — Nie chciałbym jednak...

Dziewczynie przypomniały się liczne zdrady i upokorzenia, jakich nie szczędził jej mąż.

— On zgubi nas wszystkich — powiedziała z nienawiścią w głosie.

— Albo on, albo my — dodała.

— Ale jak to zrobić? — bezradność brzmiała w słowach Manka.

Huaco zastanawiała się. Dobierała rozważnie wyrazów.

— Brak nam ziarna, mówileś. Pamiętam, że w jaskiniach zostawiliśmy całe ich wory. Poślij po nie Cachiego, poślij Cachiego i niech już stamtąd nie wraca.

— Nie zgodzi się — półstwierdzeniem zamknął odpowiedź wódz. Wojownicza Księżniczka, energiczna i bezwzględna w przeprowadzaniu własnych celów, niepostrzeżenie przejmowała inicjatywę we własne ręce. Rzekła:

— Zwołaj, panie, radę rodzinną. O młodszych Ayarów bądź spo-

kojny, już ja ich załatwię — i na wpół filuterny, na wpół szyderyczy uśmiech zadrgał na uróżowanych wargach dziewczyny.

Łuk był bronią dzikich plemion z dżungli amazońskiej. W pradawnych już czasach, czy to w wyniku wojennych, czy też handlowych kontaktów, poznali go górale andyjskich płaskowizy, nie wszedł jednak zrazu do ich arsenału. Cachi z zainteresowaniem oglądał pierwszy egzemplarz tej broni. Zawsze chciwy poklasku, mistrz we władaniu każdym rodzajem oręża, postanowił dowieść, że i w tej sztuce będzie niedościgły. Rozglądał się, wypatrując celu. Wnet go znalazł. Wysoko pod niebem niemal w jednym miejscu ważył się na skrzydłach orzeł. Cachi mierzył starannie, wreszcie z napiętej cięciwy z jęklwym świstem furknęła w górę strzała. W chwilę potem ptak raptownie rzucił się w bok i kamieniem począł spadać w dół. W drużynie Chawinów rozległy się głośne okrzyki zachwytu. Radosną dumą pojaśniała twarz Cachiego. Ale wtem już w połowie drogi do ziemi orzeł rozwinął skrzydła, uderzył silnie w powietrze i wzbił się znowu w górę, zaraz ginąc z oczu. Pocisk obcierką wybił mu tylko kilka piór. Cachi zaklął szpetnie i miotał się jeszcze z wściekłości, gdy nadszedł rozkaz Manka wzywającego go na familijną radę.

Rozsierdzony strzeleckim pechem Cachi z rozdrażnieniem słuchał wywodów przywódcy wyprawy. Występować jako tragarz ziarna to dobre dla zwykłych śmiertelników, lecz nie dla członka niebiańskiego rodu. Z oburzeniem tedy odrzuca zmierzające w tym kierunku sugestie. Wówczas Manco sięgnął po argumenty grubszego kalibru. Od niepamiętnych czasów wśród szczepów peruwiańskich panował kult lamy. Była ona głównym zwierzęciem ofiarnym, a śnieżnobiała, bez skaz samica symbolizowała państwo Inków, miała specjalnie przydzielonych kapłanów i w państwowo-religijnym ceremoniale inkaskim spełniała rolę zbliżoną znaczeniem do staroegipskiego Apisa.

Od samego początku swej wędrówki Ayarowie wiedli z sobą pyszny okaz takiej, rzadkiej zresztą, lamy, ale zaginęła ona w czasie rozgardiaszu ucieczki, zawinionej przez Cachiego. Bez niej niemożliwy jest dalszy marsz, trzeba więc z Paccari Tampu

zabrać pozostawioną tam zastępczą figurkę świętego zwierza — n a p a. Sprawy tak wielkiej wagi niepodobna poruczać pospólstwu. Nikt inny jak właśnie Cachi, pośredni sprawca zaginięcia świętości, jest powołany do naprawienia tej krzywdy.

Tak poważnym racjom Cachi nie mógł przeciwstawić żadnych kontrargumentów. Wyraził zgodę, zapowiadając, że weźmie z sobą swoich Chavinów. Daremnie Manco tłumaczył, że duża wataha opóźni marsz, łatwiej ściągnie uwagę nieprzyjrzanych plemion i znów narazić może na zbrojne konflikty. Wywodził, iż w towarzystwie jednego tylko sługi Cachi bezpieczniej, łatwiej i szybciej przemierzy drogę, niż gdyby miał wieść całą kohortę niesfornych wojowników. Cachi upierał się przy swoim. Jałowa dyskusja ciągnęła się długo, aż wreszcie zerwała się z miejsca zniecierpliwiona Mama Huaco. Jej oczy ciskały błyskawice, kiedy z szyderczym uśmieszkiem zawołała:

— I ty bohaterem się mienisz, który sławę męstwa zdobywać chcesz w walce z bęzbronny, słabym, kobietą! Wstyd słuchać wymówek tchórza i wstyd mi być żoną podobnego tobie junaka. Ale ja wstyd ten zmażę i skoro strach cię oblatuje, sama za ciebie ruszam w drogę.

— Milcz — ryknął Cachi — milcz, niewiasto jaszczurczego języka! O świcie idę i pokażę wszystkim, do jakich czynów zdolny jest Cachi. A z tobą — dodał groźnie — porachuję się po powrocie.

Tego wieczoru długo w noc Manco potajemnie rozmawiał z Tampu-Chacay, starym sługą rodu, mężem niezwyklej siły i odwagi, oddanym całym sercem Dzieciom Słońca.

Wieloletnie postoje i serpentynowy marsz pochodu Ayarów sprawiły, że w rzeczywistości znajdowali się oni niezbyt daleko punktu startowego swej wędrówki. Cachi był świetnym biegaczem, a Tampu-Chacay potrafił dotrzymać mu kroku, więc po kilku ledwie dniach stanęli u sławnych jaskiń. Włot do pieczary Tampu-Tocco zionął czarną pustką, lecz Cachi bez wahania wszedł do środka. Wierny sługa Manka pozostał w tyle. Ledwie zaś w mroku jaskini ucichły kroki Ayara, Tampu-Chacay stoczył z pobliskiego pagórka olbrzymi głaz i zamknął nim szczelnie wniście do pieczary. W niewiele chwil rozległy się ponownie ciężkie kroki,

tym razem powolne i chwiejne. Ani jeden bowiem promień słońca nie przenikał do wnętrza i Cachi po omacku szukał drogi.

— Hej, co tam się dzieje? Gdzieżeś, Tampu-Chacay? — zawołał gromko.

Sluga milczał, wparł się stopami w ziemię, wygiął nogi w oblak i całym ciałem przywarł do kamienia. Pod uderzeniami pięści dygotał głaz, od krzyku rozjuszonego Ayara trzęsły się okoliczne wzgórza, ale zapora nie ustąpiła ani o cal. Wreszcie Cachi zrozumiał.

— Przeklęty parobku starszego brata! On to, oglupiały żądzą władzy, wraz z Huaco uknuł zdradę. Tyś tylko jego powolnym narzędziem, które odrzuci, gdy spełnisz zadanie. Puszczaj więc, a ja ci daruję!

Daremnie jednak Cachi próbował prośb i zakłęb. Za całą odpowiedź Tampu-Chacay odbił się obunóż od ziemi i okrakiem siadł na głazie, by nadać mu jeszcze większy ciężar.

Więc Cachi wzmagał wysiłki, ale kamień ani drgnął. Olbrzym wydawał tak potężne ryki, że aż z osypiak sypały się skały, a przecież nie mogli sforsować przeszkody. W końcu zaprzestał próżnego trudu i rzekł prawie spokojnie:

— Bądźcie przeklęci. Więc dobrze, ja tu już zostanę na wieki, lecz nie sam, ty do końca świata strzec mnie będziesz.

Lodowaty dreszcz przebiegł po plecach Tampu-Chacaya, na próżno próbował udźwignąć rękę, już mu ołowiem ciążyły członki, stalowe kleszcze gniotły piersi, tłumiąc głos i mroząc oddech. Jeszcze moment i wtopiony w kamień tak już pozostał na zawsze.

Dziś jeszcze w tej okolicy miejscowa ludność pokazuje dziwną skałę z wyraźnie zarysowaną postacią starego człowieka.

Cachi miał rację. Manco, zawistny o braci, nie zamierzał z nikim dzielić zaszczytów twórcy imperium Słońca, a nocna rozmowa z siostrą rozkołysała w nim grzeszne namiętności. Na najbliższym więc nowym miejscu postoju w Quiririanta poślubił Huaco, której energia i przedsiębiorczość niebawem w cień usunąć miała Mamę Ocllo.

Prosty Indianin Peru mieszkał w świecie grozy i tajemnic, w którym obok i mimo niego przebywały całe legiony duchów. Ziemia

z fantastyczną panoramą majestatycznych gór w czapach śniegu i z kołnierzem lodowych pól, targana była często paroksyzmem gwałtownych trzęsień, zalewana ognistą rzeką wulkanicznej lawy, smagana huraganem i burzą. Te fenomeny przyrody, z reguły niezyczliwe człowiekowi, stanowiły w oczach mieszkańców przejaw potęgi złych sił z kręgu boskich istot. Bronić się przed ich działaniem można było tylko czolobitnością, pokorną czią i ofiarą. Ostrożność, strach, przebiegłość i zwykle wyrachowanie kazały tedy Indianinowi we wszystkim tym, co odbiegało od normy, co klóciło się ze znanym z doświadczenia wyobrażeniem o otaczających go rzeczach, podejrzewać istnienia mocy ziemskich, nie wiadomo, czy przychylnych, czy też szkodliwych, ale w każdym razie wymagających widomego objawu kultu. Stąd osobliwego kształtu kamień, drzewo o dziwacznie powykręcanych konarach czy też o gigantycznym odziomku, kwiat o większej niż zazwyczaj liczbie płatków, ptak czy zwierz niezwyklej postaci, tajemnicza grotta, źródło, porohy i odmiały rzeczne, leśne uroczyska, słowem, prawie wszystko mogło w indiańskim zabobonie zyskać znamię świętości — huaca. Termin ten prowadzi czasem do nieporozumień, określa się nim bowiem zarówno sam obiekt sakralny, jak i ducha czy geniusza zeń emanującego, zarówno miejsce kultu, jak i samą ofiarnię. Ale huaca huace nierówny. Niektóre z nich cieszyły się sławą w całym kraju, inne miały tylko lokalny zasięg, inne wreszcie liczbę swoich czcicieli zamykały w granicach jednej rodziny. Do największych w skali państwowej świętości tego typu należała „Sucha Góra” — Huana-cauri.

Z Quirirmenta widać ją było dobrze, a w przejrzystym powietrzu na jej szczycie widniała jakaś kamienna figura. Manco często ją obserwował, aż pewnego dnia po rześnym deszczu siedmiobarwna tęcza szeroką taśmą połączyła niebo z pagórem.

— Nasz Pan — uroczyście zabrał głos Cnotliwy Książę — zsyła nam dobry znak. Chodźmy!

Kiedy stanęli u stóp Suchej Góry, Manco zwrócił się do Uchu:

— Bracie mój, tobie jedynemu z nas dany jest dar lotu. Skocz i przyjrzyj się bliżej figurze. Wielki to musi być huaca.

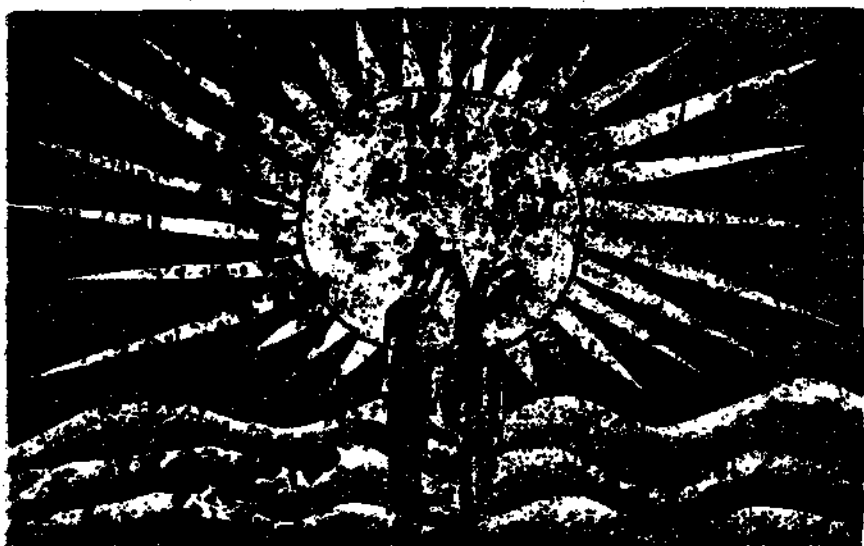
Uchu uderzył mocno skrzydłami, wzbił się w górę i wylądował

na plecach kamiennej statuy. Wnet teźeć mu poczęły członki, a zebrana u podnóża pagórka drużyna usłyszała jego słabnący głos:

— Biada mi, bracia. Idźcie dalej sami, ja tu zostanę. Ale dla pamięci mojej śmierci niech tu właśnie młodzi święcą swe święto, któremu będę patronował.

I skamieniały na wieki Uchu umilkł. Z dołu rozniósł się głośny płacz, jękliwy lament i zawodzenie, co odtąd należało do stałego rytuału peruwiańskich pogrzebów. Manco zaś pozbył się przedostatniego rywala i zyskał trzecią żonę.

O dwóch braci zmniejszony ród Ayarów stanął u progu doliny Cuzco.



#### KIM BYLI?

Wciąż jeszcze nie ma na to pytanie pewnej odpowiedzi. Sprawę komplikuje używanie terminu „Inka” dla oznaczania różnych pojęć. Pierwotnie wyraz ten oznaczał ogólnikowo „pana”, „naczelnika”, następnie tytuł królewski władcy Peru (zresztą dopiero od szóstego pana Cuzco), a dalej członka panującej dynastii, członka kasty rządzącej i wreszcie w najszerszym już ujęciu jednostkę etniczną, plemię czy szczep.

Tradycje miejscowych Indian i oparte na nich relacje pierwszych kronikarzy hiszpańskich zgodnie twierdzą, że Inkowie byli obcymi przybyszami. Przewyższali znacznie tubylców pod względem wiedzy i umiejętności technicznych. Zwracali na siebie uwagę strojem i bogactwem ozdób. Budzili podziw różnorodnością obrzędów religijnych i mistrzostwem w oneiromancji\*. Mówili odmiennym językiem i mieli od zwykłych Indian znacznie jaśniejszą karnację skóry. Wielu więc badaczy wysuwało hipotezy, jakoby Inkowie byli imigrantami z cywilizowanych krain Dalekiego

\* Oneiromancja (z gr.) — wykładnia snów.

Wschodu, nie wahano się także sięgać do mitycznej Atlantydy, szukając tam prastarej ich kolebki. Inni stawiali tezę, że są oni epigonami twórców wygasłych przedinkaskich kultur, których autorzy znikli bez śladu w pomroce dziejów.

Realniejsze są chyba sądy, że Inkowie pochodzą z Boliwii, stanowią bowiem jeden z klanów Indian językowej grupy a y m a r a. Z nieznanymi bądź przez siebie samych zatajonych powodów zmuszeni do emigracji znaleźli się w środowisku plemion mówiących językiem quechua. Geniusz polityczny czy też talenty wodzowskie, spryt i przebiegłość ich szefów doprowadziły Inków do hegemonii nad tymi ludami, a rozsądek kazał im z quechua, a nie matczynego aymara uczynić język państwowym. Zresztą oba te języki są bardzo do siebie zbliżone i zawierają ponad dwanaście tysięcy wspólnych słów.

Mity o boskim początku Inków, włączone do oficjalnej historii Tahuantinsuyu, były dziełem ich samych. Dodawało to im niemu istot wyższego rodzaju, ułatwiając rządy. Temu samemu celowi — jak najściślejszej izolacji od zwykłego ludu — służył także zwyczaj zaślubiania własnych sióstr, jak również cała praktyka religijna. Słońce, którego symbol w postaci złotego sokoła — Inti — Manco Capac wiódł zawsze z sobą, było właściwie tylko rodowym huaca Inków, wcale nie najwyższym bóstwem w panteonie peruwiańskim. A przecież kult Słońca stał się obowiązującą religią państwową, był narzucany z całą bezwzględnością podbitym plemionom, a wszelką obrazę tego bóstwa z najwyższym rygorem karano nieodmiennie śmiercią. Nic w tym zresztą dziwnego. Stanowiło to przecież logiczną konsekwencję mitologicznej genealogii Inków, wywodzących swój ród właśnie od Słońca.

Prastary Huiracocha, zwany także „Panem Świata” — Pachacamac, którego kult istniał być może już u mieszkańców Tiahuanaco, stwórca nieba, ziemi i rodzaju ludzkiego, był bóstwem nadrzędnym, ojcem Słońca, Księżyca i innych pomniejszych bogów. O tym dobrze wiedzieli Inkowie, ale, z nielicznymi wyjątkami, wiedzę tę raczej skłonni byli zachowywać dla siebie, a nie propagować jej wśród ludu. Znow kierując się egoistycznym interesem rodowym — w obawie, że oddanie pierwszeństwa Huiracochy pomniejszy znaczenie ich jako Dzieci Słońca.





## W ŚWIĘTEJ DOLINIE

Manco u podnóża Suchej Góry w Matahua pozostał przez dwa lata. Drużyna Ayarów znajdowała się u samego wniścia do doliny Acamama. Syn Słońca czuł, że jest już niedaleko miejsca swego przeznaczenia, zdwoił przeto jeszcze środki ostrożności, starannie badał topografię okolicy, wysyłał drobne oddziały szperaczy, sam w pojedynkę lub tylko w towarzystwie brata odbywał długie eksploracyjne i ukradkiem prowadzone wycieczki. W czasie jednej z nich, kiedy obaj Ayarowie stanęli na wzgórzu Huanaypata, złoty pręt, z którym Manco nigdy się nie rozstawał, ledwie dotknął ziemi, umknął dłoni wodza i zniknął w mialkim gruncie.

Bracia rzucili się sobie w objęcia. Przed nimi ciągnęła się rozległa dolina, zwężająca się z wolna w kierunku północnym. W jej sercu leżało Cuzco, nędzna osada kilkudziesięciu lepianek i wiatrem sztych szalasów, pokrytych słomianym dachem. Z da-

la otaczał je wieniec niewielkich malowniczych lagun. Kilka strumieni toczyło leniwie brudne wody, rozlewając się w cuchnące mokradła i lepkie oparzelinami poplamione bagna. Wszędzie widać było dziką gęstwą zieleni, posklebianych krzewów i niedorośtków. Na wodach bujne tętniło życie. Wielka gęś huallata wiosłowała statecznie, opodal zerne kaczki nuñuma pływały uroczyście i nieskoro. Wśród klekotu flamingów, żurawi, ibisów i niskolotnych pstrych czapli z rzadka wybijał się ostry krzyk mewy quellua, spieszącej na noclegowisko w andyjskie kryjówki. Na niższych partiach wzgórz widniały rachityczne półka słodkich patatów oca. Na wyższych stokach bytowały stadka pysznych kuropatw yutu i smakowitych derkaczy. Drobnym zajęciem indyjski wiskacza, rzadko w dzień opuszczający podziemne nory, kipiał teraz w śmiertelnym przestraszu, słysząc bliski szum skrzydeł królewskiego kondora. Gdzieś z górskich komyszy i skalnych występów dobiegał przenikliwy szczek orła anca i kwilenie śmigłych sokołów. Z wysokich pieleszy drapieżny orlik aicamaar bił w drobne ptactwo, a melodyjny głos drozdów wpadał w kakofonię chrapliwego krakania wron i błękitnych kruków.

Dolinę zalewała zielen bujnej flory. Wspaniały krzew peruwiańskiego pieprzowca pysznił się białą kwieciami i czerwonymi kiściami jagód. Odurzający zapach waleriany, szałwii i łubinu unosił się nad gęstymi zaroślami i łączył z przenikliwym aromatem wiecznie zielonego karłowatego cyprysu tola. W kłębowisku dziwokształnych paproci, pantofelków, wilców i ziół wybuchał silny amarant pysznego floksa cantut, z którym konkurencję utrzymywała złota lilia. Nad kolorową, wonną łąką i górskim parowem bujał rój motyli i mniejszych od nich kolibrów. Z obu stron Cuzco nad malowniczą panoramą życiodajnych dolin często hulał lodowaty wicher wysokim płaskowyżem, uczęszczanym tylko przez pasterzy lam. Dalej na północ ciągnęła się rozległa równina górská Suriti, zwana od porastającej ją kostrzewy prostolistnej ichu także Ichupampa. Tu teren spadał w amfiteatr pięknych dolin Mollepata i Rimactampu. Potem lekko przechodził w falisty step, porośnięty trawą i sitowiem, tu i ówdzie przerywany bagnem i mokradliną, matecznikiem włochatego tapira. Na sto-

kach okolicznych gór tulily się niewielkie osady — Surita i Anta. Zimą groźne burze szalały nad stepem. Nisko płynące kłębowiska ciemnych chmur oświetlone z góry czystym słońcem na tle ośnieżonych szczytów w górze i wstępującego z bagien oparu tworzą bajeczną grę światłocieni. Ustokrotniony echem przewala się wtedy posępny pomruk grzmotu, a różgi krwawych błyskawic smagają mroczną przestrzeń między ziemią a niebem.

Ale teraz było piękne, choć późne już popołudnie. Po twarzach braci płynęły grube łzy wzruszenia, kiedy tak w milczeniu spoglądali na ziemię swego losu. Pierwszy przemówił Auca:

— A więc jesteśmy wreszcie u siebie — szepnął. — Stąd my dwaj zapanujemy nad światem.

Uścisk Manka zelżał, po jego licach przebiegł chmurny cień. Wyciągnął ramię w dół.

— Patrz — powiedział krótko.

Wzrok Auki pobiegł w kierunku wskazywanym przez brata. Zobaczył ni to kupę dziwacznych głazów, ni to ruiny jakiejś starej budowli, pochylonej nad obrywem niewielkiego pagórka.

— Co to może być? — zastanawiał się Manco. — Zanim dolinę weźmiemy w posiadanie, trzeba zbadać, czy jakiś potężny huaca nie strzeże jej nietykalności, i zdobyć jego poparcie. Dziś już za późno. Nic nikomu nie mów, a jutro świtem idź tam ukradkiem i złóż pokłon duchowi.

Z samotnej wyprawy Auca więcej już nie wrócił, uwięziony w kamiennym pancerzu. Na prośby jego żony Manco daremnie odczynne sprawował misteria, nie wydał brata kamiennej śmierci. W ten sposób, wyzbyty konkurentów, Syn Słońca w towarzystwie czterech sióstr-żon gotował się do zajęcia doliny.

W miejscu, w którym później powstało jedno z najwspanialszych miast indiańskich epoki przedhiszpańskiej, Cuzco, czyli „Pepek Świata”, znajdowała się mała wioska. Kilkadziesiąt nędznych szałasów zamieszkiwało ubogie plemię Hualla, a stare kroniki wymieniają także drobne szczepy Alcahuiza, Lar i Poque. Ci prymitywni Indianie przybyli zapewne z dżungli znajdującej się na wschodnich stokach Andów. Nie znali jeszcze rolnictwa. Łowiectwo i zbieractwo płodów leśnych — grzybów i jadalnych korzeni — dostarczało im skąpego utrzymania. Nosili odzież szytą

z liści i kory, słowem, znajdowali się na bardzo niskim stopniu rozwoju cywilizacyjnego. Ale ludek to był niekorny i z bronią w rękę oparł się pochodowi Manka. Kilka pierwszych potyczek nie przyniosło pomyślnego rezultatu, po stracie bowiem trzech młodszych Ayarów brakowało wędrowcom zręcznego i mężnego wodza. Wówczas inicjatywę przejęła Wojownicza Księżniczka. W jednej z drobnych utarczek udało się jej celnym rzutem sznura, do którego obu końców były przywiązane kamienie, obalić wodza Huallów. Zanim wojownik zdążył się podnieść, Mama Huaco była już przy nim, kilku ciosami noża wyrwała serce i płuca zabitego. I z tym krwawym trofeum runęła na zaskoczonego przeciwnika. Zabobonne przerażenie ogarnęło Huallów, którzy w beładnej ucieczce nie oparli się aż na wybrzeżach Pacyfiku, gdzie ślady ich pobytu w okolicach Limy odnajdują dziś archeologowie.

Inne plemiona doliny, przerażone okrutnym wyczynem Wojowniczej Księżniczki, straciły serce do dalszej walki. Reszty dopełnił sprytny chwyt samego Manka. Oto w słoneczne popołudnie od stóp do głów okryty złotą blachą stanął na szczycie wyniosłego wzgórza. Świetlista luna biła od jego postaci i barbarzyńscy tubylcy uwierzyli, że nie ze zwykłym człowiekiem, lecz niebiańskiego pochodzenia Synem Słońca mają do czynienia.

Manco Capac mógł teraz już bez przeszkód przystąpić do organizowania swojej stolicy. Podzielił miasto na część górną — Hanan, i dolną — Huirn, rozsiedlając odpowiednio przybyłe z nim klany. Sam zamieszkał w Dolnym Cuzco, gdzie dla siebie i swoich żon wznosił niewysoki kamienny budynek w miejscu, w którym Auca pozostał na zawsze. Budowla ta, zwana „Dziedzińcem Słońca” — Inticancha — była warowną siedzibą władcy, a jednocześnie prymitywnym sanktuarium, w którym znalazł pomieszczenie symbolizujący Słońce złoty sokół — Inti.

Z kolei Manco przystąpił do rozpowszechniania wiedzy rolniczej wśród tubylców. Całą ziemię podzielił na pewną ilość wspólnot, które kolektywnie uprawiały rolę bądź zajmowały się sadownictwem, Manco bowiem wprowadził nie znaną dawniej hodowlę drzew owocowych. Czcigodny Książę uczył także nowych poddanych sztuki nawadniania i wznoszenia domów kamiennych.

Jak już mówiliśmy, tubylcy ci znajdowali się na bardzo niskim stopniu rozwoju, niewiele więc od nich nowego skorzystać mogli przybysze. Im jednak Inkowie zawdzięczali poznanie cudownych właściwości koki. O trzy, cztery dni drogi od Cuzco, w gorącej, dżdżystej i niezdrowej dżungli zaandyjskiej rosły niewysokie krzewy z niewielkimi, jajowatymi, szkarłatnego koloru pestkowcami\*. Ich owalne liście o delikatnie eterycznym smaku, zwłaszcza zmieszane z alkalicznym popiołem — *llipta*, dawały uczucie odrętwiającej język i wargi gorączy. Wnet zaś fala gorąca zalewa gardło i żołądek, żując tę papkę w osobliwy sposób odczuwa sytość i nawet po wielodniowym poście zdolny jest do niezwykłych wysiłków fizycznych. W legendach peruwiańskich koka była inkarnacją życzliwej bogini, która zstąpiła na ziemię, by głodnym i cierpiącym zsyłać ukojenie. Inkowie wiedzieli jednak, że nadużywanie tego narkotyku prowadzi do chorobliwego drżenia warg, odrętwienia myślowego i w stanach skrajnych zabija władze umysłowe, dlatego w państwie ich używanie koki było ściśle reglamentowane i dozwolone w określonych tylko okolicznościach. Nawiasem mówiąc, cudowne właściwości koki jako środka zastępującego w pewnych warunkach brak żywności stały się w XVII wieku powodem dość krótkotrwałego sporu między teologami, którzy nie mogli się zdecydować, czy przed przystąpieniem do komunii dopuszczalne jest żucie peruwiańskich liści.

Prymitywna ludność doliny nie wytworzyła jeszcze cywilizowanych norm współżycia społecznego. Żyła w bezprawiu i luźnej obyczajowości, w której samowola władczych jednostek i przyziemne namiętności święciły tryumfy nad zasadami sprawiedliwości i elementarnej etyki. Manco więc pierwszy wprowadził ład prawny, niełitośnie karał wszelkie wykroczenia przeciwko naturze. Morderca, rabuś i złodziej głową płacił za swą niecnotę, taka sama kara spotykała winnych złamania małżeńskiej wiary. W surowym kodeksie wodza przybyszów śmierć jako czynnik odstrasżający i grożący za każdy niemal występek nie była wszakże traktowana wyłącznie jako odwet czy też zemsta, lecz

\* *Pestkowiec* — owoc mięsisty o zewnętrznej soczystej owocni i zdrewniałej części wewnętrznej (pestka).

przede wszystkim stanowić miała element wychowawczy, łagodzący nieokrzesane obyczaje barbarzyńskiej społeczności.

Niewiele wiemy o pierwotnych wierzeniach tej ludności. Prawdopodobnie, jak większość prymitywnych ludów, czciła różne tajemnicze przejawy sił przyrody, oddawała cześć dziwolągom natury, kłaniała się demonom i duchom. Manco w sprawach religii zachowywał zdumiewającą tolerancję. Nie odbierał swoim poddanym starych wierzeń, ale żądał, by ponad dawne bogi stawiali jego niebiańskiego rodzica — Słońce Inti, któremu w swojej siedzibie wznosił skromne sanktuarium. Czcigodny Książę prawdopodobnie sam pełnił równocześnie funkcje kapłańskie. Szeroko rozbudowana kasta kapłańska należała jeszcze do przeszłości.

Mama Oello prowadziła również cywilizatorską pracę wśród miejscowych kobiet. Uczyla je sporządzania gotowanej stawy pod różnymi postaciami, szycia odzieży i sztuki tkackiej. Ona też prawdopodobnie była inicjatorką osobliwej instytucji, która pod hiszpańską nazwą „Dziewic Słońca” szczególną zrobiła karierę w literaturze poświęconej Inkom.

Oto niedaleko Inticanchy, pierwszego ostrogu\* władców Cuzco, w miejscu gdzie dziś wznosi się kościół św. Katarzyny, powstał rodzaj monasteru, zwany „Domem Wybranek” — *a c l l a h u a s i*. Przebywały w nim specjalnie dobrane młode dziewczęta w wieku lat około dwunastu. Uchodziły one za narzeczone Słońca — *a c l l a* — i w ciągu trzy- lub czteroletniego nowicjatu uczyły się przedzenia, tkania, wypieku pewnego gatunku chleba, przeznaczonego wyłącznie dla władcy, a także warzenia znacznych ilości *a z u a*, to jest mocnego trunku ze sfermentowanej mąki kukurydzianej z dodatkiem palmowego soku, kokosowego mleczka i innych domieszek. Napój ten odgrywał ważną rolę w kulcie religijnym i podczas licznych świąt konsumpcja jego przyjmowała ogromne rozmiary. „Dziewice Słońca” przygotowywały wytworne szaty *c u m b i* z delikatnego runa wigonia, ich dziełem były przypominające nieco arrasy tkaniny z wyszywanymi kunsztownie rodzajowymi obrazkami i legendami, w których główną rolę odgrywały demony i jaguary. One także szyły obrzędową odzież na różnego

\* Ostróg — miejsce warowne.

rodzaju uroczystości. Po dojściu do pełnoletności część z nich szła do haremu władcy, niektóre były wydawane za mąż za wysokich urzędników i zasłużonych wodzów, większość zaś pozostawała na zawsze w acllahuasi.

Instytucja ta z biegiem czasu przeistoczyła się w coś w rodzaju zaplecza gospodarczego dla potrzeb dworu władcy oraz kultu. Rozrastała się stopniowo i w okresie pełnego rozkwitu państwa Inków w Cuzco obejmowała rozległy kompleks budynków rozrzuconych na powierzchni 10 tys. metrów kwadratowych, a liczbe aclla w tym mieście szacowano na półtora do trzech tysięcy. Przynależność do „Dziewic Słońca” uważana była za zaszczyt i nawet prosta dziewczyna z najniższych warstw ludu przez sam fakt wstąpienia do „Domu Wybranek” zyskiwała rangę szlachectwa. Sądzić wszakże można, że ów honor większy miał walor w opinii społeczeństwa niż w oczach samych „wybranek”.

W acllahuasi bowiem panowała ostra dyscyplina i surowe rygory, a każde przekroczenie reguły karano bezlitośnie. Do obowiązków „Dziewic Słońca” należało m.in. podtrzymywanie wiecznego ognia, w czym przypominały nieco starorzymskie westalki. Jeżeli znic zgasł, winne tego zaniedbania grzebano żywcem. Dziewczęta pracowały pod czujnym okiem matron — m a m a c o n a, a te zwiędłe stare panny baczyły pilnie, by ich podopieczne nie miały zbyt wiele wolnego czasu na odpoczynek i rozrywkę. Poza żoną władcy i jej córkami dostęp na teren acllahuasi miał tylko Inka i arcykapłan, przy czym korzystali oni nader rzadko z tego przywileju. Każdy inny mężczyzna, który przekroczył próg pomieszczeń wybranek, płacił życiem za swe zuchwalstwo. A biada dziewczynie złowionej w sidła miłości! Wraz ze swym współwinowajcą powieszona za włosy ginęła powolną śmiercią; cała rodzina kochanka szła na stos, a jego dom równano z ziemią. Te drakońskie kary, przypisywane Manco Capakowi, tępały nieco w różnych okresach historii i w różnych rejonach państwa Inków, ale codzienne życie „Dziewic Słońca”, poddanych nieubłaganej klauzurze i prawie całkowicie izolowanych od świata, bowiem tylko w nielicznych wypadkach wolno im było opuszczać acllahuasi, na pewno nie biegło po różach.

Powoli płynął czas. Sinchi Roca, pierworodny syn Manka, miał

czternaście lat i zbliżał się już do okresu osiągnięcia dojrzałości. Czcigodny Książę, pamiętny napomnień Ayara Uchu, postanowił wyprawić uroczyste święto inicjacji. Był właśnie grudzień i nadchodził czas letniego przesilenia dnia z nocą — *C a p a c R a y m i*. Trudno powiedzieć, ile w ceremoniale tego święta było zapożyczzone ze zwyczajów Ayamarca, potężnego szczepu z okolic Cuzco, a ile pochodziło z własnej inwencji Manka. W późniejszym czasie obchody „święta młodzieńców”, *h u a r a c h i c o y*, odbywały się z niezwykłą pompą, trwały prawie cały miesiąc, a brała w nich udział młodzież tylko panującej kasty. Za czasów Manka miały one znacznie skromniejszy charakter, a do inicjacji dopuszczani byli także synowie wodzów zaprzyjaźnionych plemion, jak również zasłużonych mężów.

Opisy tego święta u kronikarzy różnią się w szczegółach, w głównych zarysach miało ono następujący przebieg:

Na wielkim placu przed świątynią Słońca w Cuzco zbierała się młodzież w tunikach z delikatnej żółtej wełny, lamowanych czarną jedwabistą obwódką. Na spodnią odzież narzucone były długie do kolan, ciasne, białe płaszcze, spięte na karku sznurem, z którego spadały czerwone chwosty. Każdy z młodzieńców prowadził przeznaczoną na ofiarę lamę. Towarzyszący chłopcom krewni nosili żółte płaszcze, a we włosy mieli wpięte czarne pióra ptaka *q u i t o*. Na placu nie brakowało także dziewcząt ze szlachejnych rodów — *ñ u s t a*, tworzących orszak żony Inki. Ubrane w długie po kostki ciemne szaty, przepasane barwną krajką, trzymały w dłoniach kunsztowne dzbany z pianistym trunkiem azua.

Po niedługiej chwili pobożnego oczekiwania pojawiał się Inka w tunice i płaszczu z najdelikatniejszej wełny wigonia. Złota owalna mitra — *m a s c a p a i c h a* — koronowała mu wierzchołek głowy, opasanej na wysokości czoła pięciokroć taśmą szkarłatnego sznura — *l l a u t u*, z którego wystawał z tyłu rurkowaty pręt, zakończony pomponem z rzadkich piór. Z uszu władcy zwisały ciężkie talerzykowate kolczyki ze złota, a na piersiach szeroka płytka z tegoż metalu symbolizowała dzienną gwiazdę. Obuły w sandały z białej wełny, Inka wszedł do świątyni. Nie bawił tam długo i wnet na jego skinienie sprawnie począł się formować pochód.



Na jego czele sunął *suntur-paucar*, strojny sztandar państwowy, godło monarszej władzy. Za nim kroczył Inka w otoczeniu świty pierwszych dostojników. Dalej kapłani Słońca — *tar-puntay* — prowadzili świętą lamę — napa, pokrytą szkarłatną materią i ze złotymi kółkami w uszach. Za nią bohaterowie uroczystości — dorastający chłopcy — wiedli każdy swe zwierzę ofiarne, a koniec pochodu zamykali krewni i dziewczęta niosące dzbany z trunkiem.

Przy zgielku piszczalek, fletów i konch orszak kierował się do świętego wzgórza Huanacauri, u którego stóp w Matahua spędzano noc. O świcie wstępowano na szczyt, gdzie pod obeliskiem, w który przemienił się Ayar Uchu, składano ofiary i zanoszono modły do patrona młodzieży.

„O Huanacauri — zawodzili *tar-puntayowie* — panie nasz, ojciec wieczny i niedościgły, o stwórcu, Słońce i Gromie, pozostaniecie zawsze młodzi, nie znając, co to starość. Dajcie wieczną młodość władcy i sprawcie, by wszystko, cokolwiek poweźmie, pomyślnie przynosiło owoce. O Huanacauri, nam, twoim synom, którzy teraz święcimy twe święto, użyjcie opieki swych dłońmi”.

Teraz młodzież otrzymywała sandały — *usuta*, uszyte ze złocistej słomy, oraz nagolennice tkane z włókna aloesu i ścięgien lamy — *huara* (stąd nazwa święta *huarachicoy*). Wręczano im także torby myśliwskie — *chuspa*, i proce — *huaraca*, na pamiątkę ekwipunku Ayarów, z którym wyruszyli oni z jaskiń na podbój ziemi obiecanej. Po czym neofitom na czołach czyniono znak krwią ofiarnej lamy, a następnie prowadzono ich do wąwozu Quiririmanta, gdzie chłopców poddawano biczowaniu. Operację tę powtarzano już wieczorem w Cuzco, a pełen wrażeń dzień kończyła uczta, na której spijano znaczne ilości *chichy*\*.

Blisko tydzień trwały uroczystości, składano obficie ofiary z lam, godzinami ciągnęły się korowody taneczne, w pantomimach odtwarzano historię wędrowni Ayarów, a wieczorami przy nie dogasłych ogniskach długo w noc ciągnęły się orgiastyczne zabawy.

Któregoś ranka młodzież udawała się do odległego ponad 3 km

\* *Chicha* — ogólna nazwa trunków alkoholowych z kukurydzy.

od Cuzco wzgórza Anahuaraca, skąd rozpoczynała wyścig do Huanaucauri, na którego szczycie czekały zwycięzców hoże dziewczęta z dzbanami kukurydzianego wina. Mordercza, górzysta trasa, najeżona naturalnymi przeszkodami dziesiątkowała uczestników, z których wielu wychodziło z próby z poważnymi obrażeniami. Zwycięzców zaś czekały honorowe nagrody i... bezlitosna chłosta, którą znosili z uśmiechem na ustach w obecności dziewcząt, dodających im męstwa pochwalnymi hymnami.

Po wielu innych próbach wytrzymałości na ból i zmęczenie, po całonocnych tańcach i pozorowanych walkach w przebraniu za pumy i jaguary młodzież, która dotrwała do końca tej męczącej procedury, otrzymywała szkarłatne płaszcze z błękitnymi frędzlami, czerwone tuniki, diademy z piór, naszyjniki z płytek złotych i srebrnych, lance i krótkie drewniane miecze. Po kąpeli oczyszczającej w Calixpuquio — „Świątyni Źródeł”, młodź zbierała się na „Placu Skargi” — Huacaypata — w Cuzco w pełnym uniformie wojownika. Tutaj Inka osobiście przekłubał młodym bohaterom uszy cienkimi prętami ze złota, które pozostawiał w ranie. Stopniowo zwiększając rozmiar przetykanych kołeczków deformowano potwornie małżowinę, co umożliwiało noszenie w uszach dużych krążków złota i arystokracji peruwiańskiej przysporzyło później przydomka „długouchych”. I na tym kończył się obrzęd, wczorajszy chłopiec stawał się mężem, a w wypadku następcy tronu nawet prawowitym członkiem przybocznej rady monarchy.

Ponurym wynalazkiem Manco Capaka z okazji święta inicjacji miała być ofiara dwojga dzieci różnej płci. Niezrozumiała nazwa tego obrzędu *capacocha* zdaje się świadczyć, że zwyczaj sięgał istotnie prastarych czasów. Dzieci te, dobrze nakarmione, ubrane odświętnie i przystrojone kwiatami, na krótko przed śmiercią pojono odurzającym trunkiem. Matki, dumne z zaszczytu, jaki je spotkał, pieszcząc i bawiąc się z nimi zaprowadzały małeństwa do kamienia ofiarnego. Tu kapłani kładli je twarzą zwróconą ku słońcu i wśród rozlicznych ceremonii dusili lub przecinali gardła ostrym nożem. Zwłoki malców grzebano u stóp ołtarza.

Dodać trzeba, że sprawa ofiar ludzkich należy do najbardziej

kontrowersyjnych w historii Inków. Na przykład Garcilaso de la Vega \*, sam zresztą pochodzący z książęcego rodu indiańskiego, wręcz zaprzecza istnieniu tego zwyczaju w jego państwie. Faktem jest także, iż częstym pretekstem wojen prowadzonych przez Inków było pragnienie wytępienia zwyczaju krwawych ofiar ludzkich, jakiemu hołdowały różne plemiona. Z drugiej strony większość kronikarzy podaje wiadomości o tych praktykach, a informacje te potwierdzają badania archeologów. W każdym razie w Peru nigdy nie mieliśmy do czynienia z hekatombami na miarę starego Meksyku, a ofiary ludzkie występowały tylko w sporadycznych i rzadkich przypadkach. Na ołtarzach traciły życie przeważnie dzieci i „Dziewice Słońca”, a także jeńcy wojenni, ale mimo okrutnych form egzekucji z sądowego wyroku, śmierci rytualnej starano się nadać możliwie humanitarny, jeśli godzi się tu tak powiedzieć, charakter.

Pod mądrymi, choć twardymi rządami Manka ludność doliny szybko wzrastała. Nierodną ziemię uczył wielki cywilizator używać popiołem oraz nawozem ludzkim i zwierzęcym. Wkrótce jednak wokół Cuzco poczęło się robić duszno i ciasno. Czcigodny Książę, pamiętny nauk boskiego rodzica, przykładem, nie przemocą pragnął pozyskiwać sobie sąsiadów. I rzeczywiście wkrótce znacznie rozszerzył swoje dzierżawy. Na wschodzie po rzekę Paucartampu słuchoło go 13 wsi zamieszkałych przez stary szczep Poque, który dostarczał koki i owoców gorącej dżungli. Na zachodzie na przestrzeni 50 kilometrów — kontrolował 30 drobnych osad. Na północy w dolinie Sacsahuana uległo jego woli 20 ayllu, a na południu prawie 40 osiedli.

Manco nie niszczył ustroju społecznego pokojową drogą opanowanych plemion. Szanował ich prawa, obyczaje i wierzenia, o ile tylko zgodne były ze stworzonym przezeń moralno-politycznym porządkiem. Nie odbierał władzy miejscowym naczelnikom — curaca, przeciwnie, starał się jeszcze ją umocnić w oparciu o własny osobisty autorytet. Wiedział, jak wielką wagę przywiązują prymitywne ludy do zewnętrznych oznak godności i uznania.

\* Syn oficera hiszpańskiego i księżniczki indiańskiej, poeta i kronikarz (1539—1616).

Dla pozyskania więc sobie szczególnie wojowniczych lub hardych szczepów nie szczędził im różnych przywilejów, zezwalając na przykład na golenie głowy i noszenie zamiast włosów splecionego z czarnej wełny warkocza. Na znak zaś najwyższej łaski nieraz obdarowywał wodzów pysznymi szatami z wigoniowej wełny i złotymi pucharkami.

Wszystkie te plemiona miały bardzo słabe pojęcie o rolnictwie i chociaż Manco poznał je z dobrodziejstwami indiańskiego zboża — kukurydzy — zupełnie nie orientowały się, kiedy jest właściwa pora zasiewów, a kiedy nadchodzi czas innych prac rolnych. W rezultacie często zbiory wypadły katastrofalnie niskie, a czasem zasiewy w ogóle nie wschodziły. Manco postanowił z tym fatalnym stanem rzeczy raz na zawsze skończyć. Kiedy więc zbliżał się okres nowych zasiewów, wezwał do Cuzco szefów wszystkich wiosek i ayllu. Przez parę dni trwały ceremonialne uroczystości, połączone z ucztami. Wreszcie ostatnie zostały złożone ofiary. Manco pozostał noc całą z zaproszonymi naczelnikami w pobliżu świątyni na modłach. O świcie radosnym okrzykiem witał rodzące się słońce. W tym samym momencie jeden z dworzan wręczał mu złoty pług.

Opodal świątyni i siedziby Manka znajdowało się niewielkie pole, zwane Colcampata, co znaczy „Rola Słońca”. Przed laty Mama Ocllo rzuciła tu pierwszą garść kukurydzy. Jej mąż i brat stanął teraz u skraju Colcampaty i złotym pługiem przeciągał bruzdę. Kiedy ją skończył, gońcy roznosili wieść—rozkaz: do zasiewów! Odtąd stało się zwyczajem, że z chwilą gdy władca stanął z pługiem na „Roli Słońca”, cały kraj szedł za jego przykładem, a w podobny sposób w Cuzco podawane były hasła także do podejmowania innych prac rolnych.

Przed chwilą użyłem tu słowa pług. Trochę w tym przesady. W istocie rzeczy ów indiański pług był grubą na cztery palce żerdzią mniej więcej półtorametrowej długości. Kończyła się ona ostrzem drewnianym lub brązowym. Jakieś trzydzieści centymetrów powyżej jego szpicu znajdowała się poprzecznie umocowana podpórka na nogi. Rolnik wbijał ową żerdź w ziemię, wskakiwał na podpórkę obunóż i w ten sposób niezbyt głęboko spulchniał glebę.

Innym ważnym narzędziem była motyka z zagiętym drzewcem o szerokim dłutowatym ostrzu. Jeszcze prymitywniejsze narzędzie stanowił kij z przywiązaniem doń kamieniem, którym rozbijano grudy.

Legenda przedstawia Manco Capaka jako władcę, którego urokowi cywilizatora i twórcy kultury ulegały okoliczne szczepy, spiesząc ze wszech stron, by oddać hołd Synowi Słońca i pokojowo poddać się jego woli. Klóca się z tym inne informacje, z których wynika, że po zachodzie słońca nikomu nie wolno było wchodzić do Cuzco ani też opuszczać miasta i że swobodny ruch w stolicy dozwolony był tylko za białego dnia. Bliższe więc chyba prawdy jest przypuszczenie, że w owych czasach Pepek Świata nosił charakter raczej warownego obozu niż miasta, w potocznym znaczeniu tego słowa.

Manco Capac liczył już lat 144, ale wciąż jeszcze zachowywał pełnię władz umysłowych i fizycznych, w końcu ogarniać go zaczęło bezmierne znużenie. Zwołał więc całą rodzinę i oświadczył jej, że spełnił swą ziemską rolę i idzie obecnie odpocząć u boku boskiego rodzica — Inti. Na czoło pierworodnego syna założył szkarłatne llautu — symbol władzy — i przekazał następcy inne insygnia królewskie, następnie rozkazał, by po śmierci zabalsamowano jego zwłoki i mumię ustawiono w świątyni Słońca, po czym na zawsze zamknął powieki.

Starzy Peruwiańczycy wierzyli w życie pozagrobowe, ale nieśmiertelność duszy wiązali ściśle z trwałością cielesnej powłoki człowieka. Stąd powstał u nich zwyczaj balsamowania zwłok, doprowadzony do wyżyn maestrii. Po usunięciu wnętrzości ciało zmarłego nasycano wonnymi substancjami o silnych właściwościach konserwujących. Dla zachowania rysów twarzy wsuwano w policzki kawałki tykwy, a oczy zastępowano odpowiednio dopasowanymi kamieniami szlachetnymi. Po wysuszeniu na słońcu tak spreparowaną mumię Manco Capaka, owiniętą w delikatne tkaniny i strojnie przybraną w godła władzy, ze złotą maską na twarzy, usadowiono na niskim szczerozłotym taborecie w świątyni Słońca. Po jakimś czasie w tajemniczy sposób zniknęła, kapłani powiadali, że przemieniła się w kamienny słup, w którym potomkowie czcili przeniesionego w poczet bogów protoplastę rodu.

W chronologii dziejów Inków panowanie Manka przypada na lata 945—1006. Jest jednak rzeczą prawie więcej niż pewną, że ten wielki cywilizator andyjskiego płaskowyżu w ogóle nie istniał. Późniejsze tradycje wyłącznie jemu przypisywały organizację państwa, wszystkie społeczno-prawne instytucje i całą kulturę. W istocie rzeczy jest on bajecznym herosem plemiennym, w którego osobie zbiegają się nitki pradawnych mitów, jest upostaciowaniem długiego procesu rozwojowego, który sięgał nieodgadnionych czasów. Podobny charakter noszą zapewne także jego bezpośredni następcy.



## DYNASTIA DOLNEGO CUZCO

W peruwiańskim maratonie podczas pierwszego święta inicjacji palmę zwycięstwa wziął Sinchi Roca. Nowy władca uchodził za energicznego i pełnego inicjatywy młodzieńca, mimo jednak swęgo przydomka (Sinchi jest tytułem wojennego szefa plemienia) nie ożywiał go duch wojowniczy. Być może szczepy, które uwierzyły w boskość Manco Capaka i uległy słuchaniu rozkazów Syna Słońca, teraz po jego śmierci zwątpiły w nadprzyrodzone pochodzenie cudzoziemców i usiłowały zrzucić ich jarzmo. W każdym razie Sinchi Roca unikał agresywnych kroków i z radością przyjął poselstwo potężnego kacyka Zañu, który oferował następcy tronu rękę swej pięknej córki Coca. Wprawdzie trwały już przygotowania do uroczystości zaślubin następcy z jego najstarszą siostrą, zgodnie z wprowadzonym przez Manco zwyczajem, ale racja stanu zwyciężyła, a zawiedziona Chahua zakończyła życie w klasztorze „Dzień Słońca”.

Zawarłszy sojusz z Zañu, Sinchi Roca pozostawił jemu obronę granic przed ewentualnym atakiem z zewnątrz, a sam zajął się

wewnętrznymi sprawami. Położył duże zasługi dla rolnictwa, sprowadzał żyzną ziemię z dolin andyjskich, zamieniając nieużytki koło stolicy w uprawne pola, na wyżej położonych terenach hodował ziemniaki. Cuzco było wciąż jeszcze nędzną wioszczyną położoną wśród smrodliwych bagien. Sinchi rozkazał ścinać sito-  
wia, osuszać mokradła, kamiennymi płytami wykładać błota. W ten sposób rozszerzył znacznie pierwotnie niewielki Plac Skar-  
gi, który odtąd stać się miał główną areną wszystkich wielkich wydarzeń państwowych.

W sumie panowanie Sinchi Roca było bezbarwne, jego żona natomiast zapisała się tylko w dziedzinie kalotechniki\*, lansując wśród arystokratek indiańskich znaną już zresztą przedtem modę sztucznego deformowania ud i łydek, które przyjmowały niekiedy wręcz monstrualne rozmiary.

W astrolatrycznej\*\* religii mieszkańców starego Peru poważną rolę odgrywali gwiazdździarze, którzy badając położenie ciał niebieskich określali przyszłość zrodzonego w danym momencie dziecka. Kiedy przyszedł na świat następca tronu Lloque Yupanqui, dziesięciodniowa siąpiawica zatarła niebiosą, a kiedy wreszcie rozchyliła się kotara chmur, astrologowie ujrzeli przedziwny układ planet. Łącząc to zjawisko z faktem, że trzeci władca Cuzco urodził się z pełnym uzębieniem i był mańkutem, zapowiadali, że dokona on niezwykłych rzeczy:

„Czcigodny Mańkut” (lloque—mańkut, yupanqui—czcigodny, znaczny, szlachetny) wybudował dla swego teścia w Górnym Cuzco wspaniałą „pałac” (określenie to przyjmijmy z przymrużeniem oka), a otrzymane w posagu znaczne ilości złota zużył na upiększenie świątyni. Dzięki sojuszowi militarnemu z Zańu, Yupanqui mógł wystawić do dziesięciu tysięcy bitnego wojownika, postanowił tedy wypróbować ich siły w kampanii wojennej.

Na południe od Cuzco wysoko w górach ciągnęły się rewiry dziel-  
nego ludu Cana. Opowiadano o nich, że rodzili się z bronią w rękę i byli gotowi stawić nawet demonom czoła. Ba, legenda głosiła iż kiedyś w zamierzonych czasach stwórca świata —

\* Kalotechnika — sztuka upiększania ciała.

\*\* Astrolatria — kult gwiazd.



Huiracocha — w wędrówkach po świecie przybył do tego kraju w postaci starca z grubym sękaczem w dłoni. Cana zazdrośnie strzegli swoich tajemnic, i obcych, którzy wtargnęli na ich terytorium, z reguły mordowali. W ostatniej chwili ratując się przed ukamienowaniem, bóg potrząsnął kijem. Na ten znak spłynął z nieba ogień i zaczął pożerać skały. Przerażeni tubylcy padli do nóg Huiracochy, rozpoznając w nim potężne bóstwo. Ulitował się nad ciemnotą dobrotliwy bóg, znowu skinął palicą i cofnął niszczycielskie ognie. Na pamiątkę tego wydarzenia w okolicach miasteczka Sicuani pokazują spalone wzgórze, w istocie rzeczy powstałe z zakrzepłej lawy, wyrzuconej przez pobliski wulkan Tinta. W miejscu tym Cana wybudowali świątynię, w którym umieszczony posąg Huiracochy miał tak uderzające podobieństwo do konwencjonalnych rzeźb apostołów, że go hiszpańscy zdobywcy św. Bartłojem okrzyknęli, a naiwni uczeni tamtych czasów ukuli teorię o amerykańskim apostołacie tego ucznia Jezusa.

Do tego kraju podążał teraz Lloque Yupanqui z kilkutyśieczną armią. Wysłani przedtem legaci nad jeziorem Urcos w cieniu wygasłego wulkanu Raychi spotkali się z delegacją tubylców. I, o dziwo, wszystkie warunki ultimatum Yupanquiego zostały przyjęte bez sprzeciwu, Cana zgodzili się nawet opuścić niedostępne warownie na szczytach górskich i wzniesli na równinach nowe osady. Ekspedycja zakończyła się więc bez rozlewu krwi, a wlełodniowe bankiety przypieczętowały poddanie się woli pana Cuzco.

Dalej na południe marsz był coraz uciążliwszy. Z każdą mijaną stają blakła zieleni wesołych dotąd dolin. Droga pięła się wciąż w górę. Z obu stron widać było zrudziałe, sapowate łąki, na których pasły się stada lam, alpaka i wigoni. Nocami ryczały pumy. U rozrogu dwóch pasm Kordylierów drużyna przeszła trudną przełęcz, a po zejściu z niej znalazła się nad jeziorem Vilcañota, o lodowatej wodzie, zasilanej topniejącymi śniegami z sąsiednich gór. Poniżej widać było gęsty tuman kłębiącej się pary. To było wulkaniczne źródło. Ktoś nieopatrznie zanurzył rękę i z wrzaskiem bólu cofnął ją zaraz. Poparzoną dłoń pokryły bąble. Zziębnięte wojsko rozłożyło się biwakiem nad górską laguną, gdzie gorąca para łagodziła nieco mroźną atmosferę. W czasie kilkudniowego

odpoczynku w tym miejscu dokonano niezwykłego odkrycia. Oto wielu wojowników cierpiało na nerki, zwykły objaw górskiej choroby, wielu we wspinaczce doznało różnych obrażeń i okaleczeń. Ci, pijąc gorącą wodę z cudownego źródła, stwierdzili radośnie, że bóle ustępują, a rany zablizniają się rychłozrostem.

Wywczasowane i pokrzepione na siłach wojsko ruszyło w dalszą drogę. Na wysokości blisko czterech tysięcy metrów słońce przypiekało mocno, ale w cieniu mroz sztyletował lodowatymi igłami zmęczone piersi. Serce tłukło się w klatce, a z popękanych warg spływały ciemne strużki krwi. Zwiększono przydziały koki. Różne oznaki wskazywały na bliskość jakiejś ludniejszej osady. Oddział posuwał się więc ze wzmożoną ostrożnością, ale kiedy forsował szeroki płat wysokogórskiego stepu, pokryty śliską oblaszczką, wróg zaatakował zniemacka. W blasku śniegowych pól Cunurani rozgorzała dramatyczna potyczka. Wojownicy z Cuzco nie byli przyzwyczajeni do toczenia walki w warunkach puny targanej lodowatym wichrem. Ale po krótkim starciu już gnali na karkach ustępującego w popłochu nieprzyjaciela. Zwycięzcy sprawili straszną rzeź wśród mężczyzn w dużej wsi Ayahuiiri, nie szczędząc nawet małoletnich. Z rozkazu Yupanqueiego zrównano z ziemią domy i obladowana łupem armia wróciła tryumfalnie do Cuzco.

Ayahuiiri byli tylko forpoczta konfederacji różnych plemion zamieszkałych na północ od jeziora Titicaca. Główną rolę w tym dość luźnym związku grali Colla, starożytne plemię tajemniczego pochodzenia, zdaniem niektórych badaczy być może przybyłe z Chile.

Colla stworzyli oryginalną architekturę. Dziełem ich były tzw. *chullpa* — okrągłe lub prostokątne wieże z ciosanego kamienia, służące celom sepulkralnym\*. W okolicach ich głównego miasta Hatuncolla odkryto na skałach fantastyczne figury, ryturowiakiem pierwotnego artysty. Wiedli góralski tryb życia, utrzymując się z uprawy ziemniaków i pasterstwa. Silnej budowy ciała i wytrzymali na trudy fizyczne w surowym klimacie, ze swych górskich bastionów nagłymi wypadami łupili sąsiadów i zapuszcza-

\* Sepulkralny (z łac.) — cmentarny, grzebalny.

li się niekiedy nawet na wybrzeża oceanu. Zbrojni w proce, lance i pokryte skórą jaguarów okrągłe tarcze, byli mistrzami walki w górskich warunkach, ale okrutny los mieszkańców Ayahuari zmiłygował wielce ich zapal bojowy. Kiedy więc po paru latach Yupanqui urządził wyprawę do Collao, naczelnicy plemienia przyjęli go bez oporu.

Pan Cuzco parę miesięcy zabawił w żyznej i ludnej prowincji. Wprowadzał kult Słońca, ale tolerował lokalne bogi. Łagodził barbarzyńskie obyczaje, ferował surowe wyroki — złodziejom kazał obcinać uszy i nosy, morderców batożył i ćwiartował. Wreszcie rozchłapaną jesienią wrócił do domu.

Mimo odniesionych sukcesów Yupanqui nie czuł radości w sercu. Od lat trapiła go myśl, że jest bezdzietny. Pytani wróże i kapłani mniemali, że wódz jakimś uczynkiem naraził się na gniew Słońca. Długi jednak czas daremne były ofiary, na próżno setki lam i niemowląt szły na całopalenie, kraj wciąż nie miał następcy tronu. W końcu pewien znachor—czarodziej, wprawivszy się w stan narkotycznej ekstazy, oznajmił, że nie w Cuzco doczeka się syna Yupanqui. Niedaleko stolicy w pięknej dolinie Yucay, w zieleni gajów, kazał wódz wybudować sobie rezydencję. Sprawy państwowe powierzył braciom, a sam przeniósł się do wiejskiego osiedla, gdzie mocny aromat kwiatów bił do głowy, a peruwiańskie słowiki — *checollo*, śpiewały piękniej niż w innych zakątkach Peru.

I tu właśnie przyszedł na świat Maita Capac.

Lloque Yupanqui, surowy i poważny do granic ponuractwa, gardził pospółstwem i w rozmaity sposób usiłował osobie swojej dodać splendoru boskości. Każdy rozmówca, bez względu na pochodzenie i piastowane godności, stawał przed nim boso, z brzemieniem na grzbiecie i nie wolno mu było spojrzeć w twarz władcy. Kiedy spluwał, specjalny urzędnik zbierał plwocinę do złotego pucharu — *chua*, po czym uroczyście ją spalał. W tym ciągłym podkreślaniu wyższości i niezwykłości dzielnie sekundowała mu żona. Mama Coca, jako cudzoziemka z obcego plemienia, cierpiała zapewne na swoisty kompleks niższości. Pragnąc go przezwyciężyć, wprowadziła niezwykle sztywną etykietę na swym dworze. Damy jej orszaku — *ñusta* — mogły się do niej odzywać tylko

szepem, na klęczkach, z głową prawie do ziemi pochyloną. Zresztą przebywała w tak ścisłym odosobnieniu, że poza najbliższym otoczeniem prawie nikt jej nie widywał.

Tymczasem syn królewskiej pary Maita Capac — „Mocarny Chłopiec” — rozwijał się w nadzwyczajny sposób i w wieku dwóch lat brał się za bary z dorosłymi mężczyznami. Od najmłodszego dzieciństwa wykazywał zainteresowanie wojennym rzemiosłem, całe dnie spędzał w towarzystwie znacznie odeń starszych młodzieńców na różnych rycerskich ćwiczeniach, a kiedy doszedł wieku lat siedmiu, nikt w całym kraju nie mógł mu sprostać pod względem siły i zręczności we władaniu wszelkim rodzajem broni. Nie brakowało mu zresztą okazji do treningu serio, często bowiem dochodziło do starć z okolicznymi Indianami.

Do możniejszych plemion w pobliżu Cuzco należał Alcahuiza. Szczycili się oni boskim pochodzeniem swego władcy i wyparci przez Manco Capaka ze stolicy, marzyli o powrocie do starej ojczyzny.

Cuzco cierpiało na brak dobrej wody pitnej. Czerpać ją musiano z dość daleka ze źródeł i ruczajów. I oto pewnego dnia wczesnym rankiem kilka dziewcząt wybrało się po wodę w okolice miasta. Słońce jeszcze nie doskwierało silnie, gromadka więc spieszyła wartkim krokiem w ciszy przerywanej tylko rzadkim poskrzypywaniem świerszczy. Polna droga łagodnie wznosiła się w górę i wreszcie wśród śmiechów i przekomarzań Indianki stanęły nad brzegiem znanej sobie roztoki. Kilkanaście metrów wyżej nad potokiem rosły gęste krzewy dzikich malin. Trzy dziewczęta schyliły się nad ruczajem z dużymi dzbanami w rękę, dwie usiadły na dużym głazie i przymknąwszy oczy z lubością poddawały twarz pieścoci słońca i lekkiego wiatru. Ta, która zdawała się grać rolę przywódczyni grupy, wspięła się spacerkiem w górę, by dla swych towarzyszek urwać trochę leśnego owocu. Stojąc na czubkach palców, sięgała właśnie po bujną kiść jagód, gdy nagle rozległ się przenikliwy gwizd i z zarośli wyskoczyło kilku chłopców. Dziewczyna struchlała na moment i zaraz z przeraźliwym krzykiem trwogi rzuciła się do ucieczki. Za późno. Zuchwała ręka chwyciła ją brutalnie za rozsypane włosy, z rozerwaną przewiązką niefortunna amatorka malin padła na ziemię...

W parę chwil później z dzbanów pozostały tylko skorupy, a pogiębione dziewczęta z głośnym szlochem zaniosły wieść o doznanej zniewadze do Cuzco. Mocarny Chłopiec skrzyknął natychmiast gromadkę rówieśników, ale karna ekspedycja nie dała rezultatu. Napastnicy zniknęli bez śladu. Lloque Yupanqui nie pozwolił synowi na formalną wojenną wyprawę, zbagatelizował cały incydent, traktując go jako głupi wybryk młodzieży. Starzejący się wódz stracił wiele z dawnego wojennego wigoru i chciał utrzymać dobre stosunki z sąsiadami.

Rozrastające się miasto, pozbawione pitnej wody, miało także duże trudności z wyżywieniem. Nie bez znaczenia więc był handel wymienny z okolicznymi plemionami. Nikt się też nie zdziwił, kiedy w parę dni po opisanym wydarzeniu na placu w Cuzco pojawiło się dziesięciu nieznanych, rosłych Indian. Na grzbietach dźwigali duże wiązki wszelakiego towaru i tak bez przeszkód dostali się w poblizę Inticanchy. Siedziba władcy, a równocześnie świątynia, otoczona była podówczas niewysokim murem, zbudowanym częściowo z pomieszanej z ziemią gliny, a częściowo z kamieni. W niezdarnej konstrukcji nie brakowało otworów, pozwalających zajrzeć do środka. Falszywi handlarze chciwym okiem przywarli więc do rozwalin...

Na dziedzińcu, grząskim i błotnistym po rozdeszczonej nocy, Maita Capac wraz z dwoma młodzieńcami ćwiczył się w ciskaniu bolą\* do celu. Władał tą bronią po mistrzowsku i raz po raz okrzyki zachwyty kwitowały wyborny rzut, gdy wielotaśmowy sznur z suchym trzaskiem kamieni owijał się wokół słupka służącego za cel. W miejscu najbardziej wystawionym na promienie bladego słońca leżały trzy znudzone psy w rozziwanej półdrzemce.

Na chwilę chłopcy przerwali wojskowy trening i nieco zmęczeni rozprawiali o czymś gorąco, gdy wtem rozległo się ostrzegawcze warknięcie i zaraz głośny szczek. Dziesięciu pomalowanych na ciemno Indian z pałkami w rękach runęło z dzikim rykiem na ma-

\* Bola, bolas (hiszp.) — boleadora, sznur lub rzemień zaopatrzony na końcach kulami; broń myśliwsko-wojenna rzucająca tak, by się owinęła dookoła nóg zwierzyny albo przeciwnika.

ią gromadkę. Maita Capac porwał oparty o mur rozszczep, długą tykę do zdejmowania wysoko rosnących owoców, na krótki moment wstrzymał nią napór najbliższego napastnika, nagłym susem dopadł leżącej na ziemi boli i już dwóch wrogów legło na ziemi.

Lloque Yupanqui odprawiał poranne modły w świątyni, gdy usłyszał zgiełk bójk i wołanie o pomoc. Rozpoznał głos syna. Ubyło mu nagle lat. Z krótką maczugą w dłoni — nie miał innej broni przy sobie — biegł na ratunek, za nim pędzili zaalarmowani dworacy i służba. W chwilę później stary wódz siekał jak za najlepszych lat. W niewiele pacierzy było już po wszystkim. Trzem tylko wrogom udało się wynieść życie, ale z przyjaciół Maity jeden został śmiertelnie ranny, a drugi odniósł ciężkie obrażenia, które na zawsze już uczyniły zeń kalekę.

Tym razem władca nie wstrzymywał ręki odwetu. Po trupach rozpoznano, że spisek był dziełem Alcahuiza i Cullumchima. W trzech krwawych wyprawach Maita rozbił ich tak dosłownie w puch, że odtąd zniknęli z historii Peru.

U Alcahuiza dużą rolę odgrywały czarownice-trucicielki, praktykujące czarną magię. W późniejszych czasach ich nazwa plemienna przetrwała jako imię pospolite wróżbiarki, pełniące pomocnicze funkcje kapłańskie w tajemnych i grozą owianych obrzędach, mających na celu w porze suszy sprowadzanie deszczu na ziemię.

Indianie Peru byli niezwykle uzdolnionymi botanikami. Przypisuje się im hodowlę kilkuset roślin, których poznano odżywcze lub przemysłowe właściwości. Zнали także setki ziół skutecznych w leczeniu, ale o działaniu zarówno dobroczynnym, jak i szkodliwym. Wiele plemion uchodziło za mistrzów w sztuce trucicielskiej, przy czym znano truciki sprowadzające natychmiastową śmierć, jak również takie, które niepostrzeżenie a nieubłaganie wyniszczały organizm w procesie trwającym całe lata.

Wkrótce po pamiętnej walce na Dziedzińcu Słońca Lloque Yupanqui zaniemógł ciężko, tracił na wadze, nie zaznawał spoczynku w śnie i cierpiał na ciężkie zawroty głowy. Lekarze byli bezradni. Poszeptywano, że wrogowie rzucili na niego czary bądź też zadali mu straszliwą truciznę, na którą nie ma odtrutki. W końcu za-

burzenia chorobowe osiągnęły taki stopień, że nie był w stanie rządzić krajem. Kazał tedy, do czasu osiągnięcia pełnoletności przez Maite, szkarłatne llautu — oznakę władzy królewskiej — zawiesić w świątyni, a administrację powierzył swym braciom. Podejrzanej wartości legendy opowiadają, że wskutek sporów o władzę między braćmi doszło do wojny domowej. Maita Capac miał pono zbiec w góry, gdzie znalazł schronienie u kacyka spod Cuzco o imieniu Oma. Odwdzięczając się za udzielony mu azyl poślubił jego córkę, zresztą jako jedynak, w braku siostry, i tak nie mógł iść za przykładem boskiego protoplasty rodu. Manco Capac jeszcze obok funkcji najwyższej cywilnej władzy pełnił równocześnie obowiązki kapłańskie. W miarę wszakże rozrostu państwa poczęła wyodrębniać się i różnicować kasta ludzi zajmujących się wyłącznie sprawami kultu.

Na czele tej rozbudowanej hierarchii stał huillac-umu, „głowa, która radzi”, arcykapłan, pod którego bezpośrednią pieczęą znajdowała się Coricancha. Stanowisko to powierzano zazwyczaj bliskiemu krewnemu władcy, najczęściej bywał nim brat Inki. Na co dzień nosił on prostą szatę sięgającą do kostek i szary płaszcz z wełny wigonia. Podczas uroczystości państwowych ukazywał się w ceremonialnym stroju, na który składała się powłóczysta tunika bez rękawów i krótka narzutka z biało-czerwonej wełny, z wszytymi gęsto szmaragdami, rubinami i płytkami złota. Głowę otaczała mu duża tiara z klejnotów, której środek zajmował krążek grubego złota, symbolizujący słońce; podobnej wielkości, tylko ze srebra, dysk na piersiach wyobrażał księżyc. Wetknięte we włosy różnobarwne pióra dużego gatunku papug guacamaaya dopełniały ozdoby jego głowy. Arcykapłana obowiązywał celibat i całkowita abstynencja, nie wolno było mu spożywać mięsa. Publicznie występował bardzo rzadko i uchodził za drugiego po Ince dostojnika w państwie. Zakres jego władzy obejmował nie tylko wszystkich niższych kapłanów, ale również uczonych — amauta, oraz quipucamayoc, tj. znawców pisma sznurkowego, o których szerzej jeszcze pomówimy.

W późniejszym czasie w dobie rozkwitu i organizacyjnego okrzepnięcia państwa Inków huillac-umu miał kilkunastu namiestników w prowincjach z najwyższą duchowną władzą na określonym

terytorium. Zwykli kapłani tarpuntayowie, oddani głównie kultowi Słońca, szli w setki i tysiące. Niezliczona zaś była liczba strażników niezmiernej ilości huaca oraz wieszczków zajmujących się tłumaczeniem wyroczni. Kronikarze przekazali nam takie powikłanie ich nazw, że w tym galimatiasie trudno jest ściślej określić zakres ich kompetencji, faktycznie wykonywane funkcje, przywileje i obowiązki.

Kiedy Maita Capac osiągnął pełnoletność, trzy dni i trzy bezsenne noce spędził na postach w całkowicie izolowanym i specjalnie na ten cel wzniesionym budynku. W tym czasie areykapłan wtajemniczał go w historię rodu i arkana kultu, niedostępne dla zwykłych śmiertelników. A gdy się czas spełnił, w przytomności umierającego ojca i wybitnych wodzów wręczył mu insygnia władzy w świątyni Słońca.

Odtąd za prawowitego władcę uznawano tego tylko, któremu huillac-umu osobiście opasał czoło szkarłatnym sznurem.

Zaledwie skończyły się uczty, jakimi święcono intronizację młodego władcy, już wojowniczy Maita Capac wyruszył z dwunastu tysiącami wojska na południe. Jego ojciec, aby trzymać w szachu bitne ludy Colla, na jednej z przełęczy wznosił silną fortecę pucara i osadził tam niewielką załogę. Okazało się, że z drużyny nawet połowa nie pozostała po ciągłych walkach z groźnymi sąsiadami. Maita wziął srogą zemstę na półdzikich plemionach. Przez kilka dni dumiał nad nieodgadnioną przeszłością świata wśród potężnych ruin tajemniczego Tiahuanaco. Na jednej z wysp jeziora Titicaca kazał wznieść świątynię na cześć boskiego praojca swego rodu. Następnie polecił przygotować wielką flotyllę tratw z balsowego drzewa i ze skarbówki, umieszczonej na największej z nich, osobiście kierując tą armadą przepłynął wielkie morze wewnętrzne, a potem wodami rzeki Desaguadero dostał się aż do jeziora Poopó. Rzadko natrafiał na zbrojny opór. Dopiero gdzieś w okolicach dzisiejszej stolicy Boliwii La Paz miejscowy kacyk z pogardą odrzucił wezwania do złożenia hołdu i oszańcowany na stromej górze drwił sobie z cudzoziemców. Ale srodze miał się przeliczyć. Maita Capac nie myślał nawet rzucać wojownika na skalne bastiony wroga. Otoczył czujnym pierścieniem nieprzyjaciela, zamknął go jak małża w skojce i czekał. Nieliczne



zaś wycieczki z górskiej warowni znosił bezlitośnie. Tak minął tydzień, w połowie drugiego kacyk zrozumiał, że w tych warunkach nic go od głodowej śmierci nie uchroni. Wysłał gromadę starców i urodziwych kobiet z rękoma związanymi na grzbiecie i z postronkami u szyi na znak uległości i pokory. Maita łaski nie odmówił. Wiedzeni przez swego królika, który już wchodził w dni siwowłose, górale długim szeregiem przypadali do nóg władcy i kornie całując go w prawe kolano powtarzali prostą rotę wiernopoddańczej przysięgi.

Tymczasem wodzowie Maity Capaka z inną armią przeszli pustynny płaskowyż Hatunpuna i dotarli do oceanu, prawie bez rozlewu krwi zmuszając do uległości dziesiątki drobnych szczepów. Maita po wyprawie na południe niedługo odpoczywał. Tym razem poprowadził wojsko na zachód, w Andy. Krwawo stłumił rewoltę ludów Colla, ale Maita Capac na ogół łatwo przebaczał, nie szukał chwały w bezmyślnym okrucieństwie i tylko wobec trucieli był bez litości, mając w pamięci długie męczarnie własnego ojca, który w końcu dokonał zycia. Na zachód od Cuzco, za „Rozgadaną Wodą” — Apurimac, szeroko roznosiła się sława rządów młodego wodza Huacari. Ludowe podania i szeptem przekazywane plotki wielbiły męstwo, dobroć i bogactwo tego kacyka. W końcu doszły one uszu Maity Capaka, który, zazdrosny o pierwszeństwo w znanym sobie świecie, postanowił zawładnąć ziemią konkurencyjnego bohatera.

Przysposobił tedy nie znaną dotąd w historii Peru siłę i z trzydziestu tysiącami przednio uzbrojonego wojownika ruszył na nowy podbój. Huacari nie dysponował nawet czwartą częścią potęgi pana Cuzco, ale przez zwiadowców uprzedzony o ruchach wojsk przeciwnika, całą swą armię zebrał nad wysokim brzegiem płynącej głębokim kanionem \* rzeki Apurimac. Był pewien, że jego wyborni procarze nie pozwolą przepawić się wrogowi przez burzliwe nurty. Jakoż rzeczywiście przez wiele dni oba oddziały stały bezczynnie naprzeciwko siebie, oddzielone czarną pręgą przepaści. W tych warunkach miotane nawzajem pociski niewiele czyniły szkód. Huacari ufnie spoglądał w przyszłość, przekonany, że czas

\* Kanion (z hiszp.) — głęboki wąwóz o bardzo stromych zboczach.

pracuje dla niego. Prędzej czy później bowiem musiały wystąpić trudności z aprowidowaniem w obcym kraju takiej masy wojska, podczas gdy on sam, korzystając z bogatego zaplecza, miał pod tym względem znaczną przewagę. Z sytuacji tej dobrze zdawał sobie sprawę Maita Capac, aby więc zmylić uwagę przeciwnika i trzymać go w ciągłym stanie bojowego napięcia, raz po raz pozorował niemrawe próby przeprawy, a tymczasem powyżej zaciągniętych stanowisk wrzała gorączkowa praca...

W Nowym Świecie nie było ludu o tak wybitnych zdolnościach inżynieryjnych jak starzy Peruwiańczycy. W trudnej górskiej konfiguracji terenowej swej ojczyzny dokonywali oni prawdziwych cudów techniki w pokonywaniu naturalnych przeszkód, jakich nie poskapiała im przyroda. Należała do nich między innymi mnogość rzek, często o przepaścistych brzegach i bystrym prądzie, złościącym sobie drogę w głęboko wciętych w skaliste podłoża wąwozie. Nawet płytki i zazwyczaj leniwy nurt nie zawsze gwarantował bezpieczną przeprawę znanym brodem. Nierzadko bowiem zdarzało się, że nagle spadłe w górze rzeki ulewne deszcze raptownie zmieniały lustro wody. Tam gdzie niedawno jeszcze niegłębokie dno ukazywało złocisty piasek, w godzinę później kłębiły się brudne, porywiste i zaborcze fale. Wtedy oczywiście na nic się zdawały zwykłe kładki, które w normalnych warunkach pozwalały przejść przez rzekę z wodą sięgającą nie wyżej kostek.

Trzy momenty utrudniały dodatkowo Indianinowi budownictwo mostów względnie przebywanie w bród wodnych przeszkód: po pierwsze — ubóstwo drzew w wysokich górach, po drugie — niezajomość zasady łuku, co uniemożliwiało wznoszenie kamiennych przeseł, i wreszcie prawie powszechna nieumiejętność sztuki pływackiej.

Ostatnie wydaje się trochę dziwne. W wyobraźni bowiem naszej prymitywne „dzikie” ludy zwykliśmy traktować jako żyjące „na łonie natury”, a więc i z żywiołem wodnym doskonale obeznane. Prawda jest jednak inna, podobnie jak to bywa u marynarzy i rybaków jeszcze i w dzisiejszych czasach. Wielu z nich oczywiście pływa mniej lub więcej sprawnie, nie brak jednak i takich „wilków morskich”, co w razie przymusowej kąpieli i pół minuty nie utrzymają się na powierzchni wody. Zresztą oddajmy głos

staremu kronikarzowi, Pedro Sancho de la Hoz\*, który jako bezpośredni uczestnik podboju Peru w XVI stuleciu może uchodzić za autorytet w znajomości tego tematu:

„W miejscach gdzie rzeki niosą dużo wody, wznoszone są mosty, okolica bowiem od samego morza daleko w głąb kraju gęsto jest zaludniona, a prawie nikt z Indian nie umie pływać. Dlatego budują mosty, nawet gdy rzeki są małe i można by je przejść brodem. Postępują przy tym w następujący sposób: jeżeli oba brzegi są kamieniste, wznoszą po obu stronach duży kamienny mur i przymocowują doń cztery pasma lian, grubych na pięć, które przerzucają przez rzekę. Liny te splatają lub związują grubymi na palec zielonymi wiklinami. Robią to bardzo zręcznie, uważając, by niektóre wikliny były luźniejsze od innych, a całość dobrze umocowana. Na to kładą znowu poprzepłatywane gałązki, tak że nie widać przez nie wody. Tworzy to podłogę mostu. Na brzegach umocowują również z wikliny skreconą poręcz, aby nikt nie wpadł do wody. W rzeczywistości nie ma takiego niebezpieczeństwa, chociaż dla kogoś niedoświadczonego przeprawa przez ten most może wydawać się niebezpieczna, ponieważ gdy odległość jest duża, most się wygina, jak tylko wejdzie nań człowiek, i aż do połowy kroczy on jakby w dół, a potem znów w górę, póki nie osiągnie drugiego brzegu. Most także chwieje się dość mocno i nie przyzwyczajonemu może się łatwo zakręcić w głowie. Zwykle Indianie wznoszą obok siebie dwa mosty, aby, jak powiadają, dostojni panowie mogli korzystać z jednego, a prosty lud z drugiego. Przy mostach stoją strażę, a kacyk, pan danego terytorium, utrzymuje tu stały posterunek, aby, gdy jemu lub innemu panu skradną złoto, srebro lub coś innego, złodziej nie mógł przejść mostu. Strażnicy mają w pobliżu swoje domy, a w nich trzymają zapas wikliny, lian i sznurów do naprawy mostu lub w razie potrzeby budowy nowego”.

Owe wiszące mosty, które w podziw wprawiły Hiszpanów, były tak mocne, że przeprawiano nimi nie tylko konie, ale nawet artylerię. O ich trwałości zaś najlepiej świadczy fakt, że stary most

\* Sekretarz zdobywcy Peru, Pizarra, autor opisu podboju tego kraju i panujących w nim stosunków.

właśnie na Apurimac był używany aż do dziewięćdziesiątych lat ubiegłego wieku. Do transportu towarów przez górskie przepaście i rzeki Indianie używali prostszych urządzeń. Po obu stronach wznosili słupy kamienne, między którymi rozpinano silną linę. Towar przrzucono na drugi brzeg w dużych koszach, zawieszanych na linie przy pomocy kabłąków, operując przy tym kombinacją dodatkowych sznurów. Wynalazek wiszących mostów tradycja przypisuje Maita Capakowi, a przejście w ten sposób jego armii przez Apurimac poraziło do tego stopnia wojowników Huacarięgo, że wojsko jego rozpięchło się bez walki w panicznej ucieczce. Zrozpaczony wódz odrzucił jednak propozycję złożenia hołdu i z najbliższą rodziną i garstką wiernych skrył się w górskiej jaskini. Wkrótce zdrajcy wskazali kryjówkę. Maita nie mógł sforsować łatwego do obrony dostępu do pieczary, postanowił więc głodem wziąć przeciwnika. Ale Huacari odebrał od bliskich przysięgę, że będą z nim do śmierci. Po paru tygodniach oblężenia z groty nie dochodził już żaden znak życia. Nie znaleziono też ani żywych, ani martwych obrońców. Jaskinia była pusta, tylko ze stropów zwisały dziwacznokształtne sople górskiego kryształu. Tubylcy opowiadali, że duchy opiekuńcze rodu młodego kacyka — a u q u i, ratując oblężonych przed głodową śmiercią, zamieniły ich w stalaktyty i stalagmity, skrzące się krwistym odbłaskiem. W jednej zaś z grot, do której dostęp zamykają kłęby śmiercionośnych wyziewów siarczanych, do dziś ma się znajdować bojowy sztandar Huacarięgo, a burzliwą nocą wśród jęku wiatru słychać pono dobywający się stamtąd głos: „Lepsza śmierć od hańby niewoli”.

Opisane tu wypadki rozegrały się w prowincjach Chuncavilcas i Parinacochas, a wojska z Cuzco otarły się o brzegi Oceanu Spokojnego. W powrotnej drodze zwycięski Maita zatrzymał się na dłuższy popas w pięknej dolinie u stóp Misti. Idealnie stożkowaty wierzchołek tego wulkanu lśnił w słońcu nieskalaną bielą wiecznego śniegu. W suchym i przejrzystym powietrzu w pełni dnia oko rozróżniało wyraźnie blade gwiazdy na wysokim zawieszonym niebie. Obfitość owoców, łownej zwierzyny i żyzna ziemia zapewniały dobrobyt mieszkańcom. Górale tutejsi nosili długie skórznie, a wełnianą odzież wyszywali pasemkami wiskaczowego smużu.

Budowali trwale, choć niewielkie domki z lśniącego wulkanicznego tufu, mimo że nie brakowało budulcowego drewna. Dolina to-nęła w zieleni, w woni kwiatów i aromacie cieknącej po pniach wielokolorowej smółki. Na bujną trawą porosłych smugach żerowały chmury laskonogiego ptactwa. Cudowny klimat o zawsze jasnych, ciepłych dniach i przyjemnym chłdzie nocą urzekł przybyszów. Kiedy więc w końcu Maita dał rozkaz odmarszu, duża grupa wojowników rzuciła mu się do stóp, błagając o pozwolenie pozostania w tym uroczym zakątku. Według legendy Maita miał odpowiedzieć: „Are, quepay”, co w języku quechua znaczy „dobrze, zostańcie”. Stąd wzięła się nazwa Arequipa, dziś trzeciego pod względem wielkości i chyba najpiękniejszego z miast peruwiańskich.

Eksploacyjne, dalekie wyprawy Mocarnego Chłopca, które zawiodły hufce wojowników z Cuzco w pustacie paramosów i puny, w gorącą dżunglę i jałowe pustynie, w krainę wysokogórskich jezior i nad brzegi oceanu, rozszerzyły znacznie wiedzę Inków o świecie. Poznano wiele ludów o odmiennych obyczajach, dziwacznych nieraz wierzeniach i różnym trybie życia. Ekspedycje Maity, choć prowadzone manu militari\*, nie służyły aneksji terenów, po których zwycięsko kroczył. Powodowała nim, zdaje się, raczej ciekawość świata, tak charakterystyczna dla wielkich odkrywców i podróżników, niż chęć trwałych podbojów. Dlatego też nie burzył zastanych porządków społecznych, nie łamał lokalnych praw, nie znosił istniejących zwyczajów i nie wprowadzał w ich miejsce nowych. Szanował wierzenia obcych ludów i nie kusił się nawet, z jednym wyjątkiem, o czym już mówiliśmy, o szerzenie kultu Słońca. Miał przy tym pasję kolekcjonowania posążków bóstw różnych plemion. To jego, jak byśmy dziś powiedzieli, hobby szokowało trochę poddanych, a zwłaszcza kapłanów, kazał bowiem zdobyczne statuetki barbarzyńskich idoli ustawiać w swoim pałacu.

Ową ciekawość świata podzielała z nim jego żona, Chimpo Urma, wielka miłośniczka przyrody.

Jej dziełem był ogród botaniczny, o jakim nie śniło się w owym

\* (Lac.) Siłą wojskową, zbrojnie.

czasie nikomu w Europie, w którym starała się zebrać możliwie wszystkie gatunki flory i w sposób sztuczny stworzyć im naturalne warunki rozwoju. Świat roślinny tej części Ameryki jest tak bogaty, że możliwy tu tylko wyimkowy opis ciekawszych form nawet w przybliżeniu nie potrafi oddać jego piękna i różnorodności. A więc z nadmorskiego, najbardziej w roślinność uboższego obszaru pochodził piękny jadalny o użytkowym drewnie i pniu żywiczną spadzią ciekącym oraz osobliwa oplatwa, czyli włoskowaty ananas, pozbawiony korzeni, dla której jako ruderalnej rośliny urządzono specjalne rumowisko. Florę górską reprezentowały niezliczone gatunki kaktusów i suchorostów, karłowaty cyprys tola i llareta, dostarczające świetnego opalu. Wanilia, chinowiec i kakaowiec, dziesiątki palm owitych węzami lian przeniesione tu były z nizinnej dżungli. W kłębowisku drzew setki kwiatów wybuchwały soczystą purpurą, intensywną żółcią, dostojnym fioletem i zimnym błękitem. Szczególną troską Chimpo Urma otaczała sady owocowe. Można było tu znaleźć quajawy o smacznych gruszkach, szerokokoronne rosłe platany, świetne jabłka flaszkowego drzewa — chirimoyi, krzewy i drzewa rodzące orzechy, jagody, szupinki, nielupki, strąki i pestkowce.

Opodal pułk ogrodniczek pracował w olbrzymim ogrodzie, otoczonym płotem splecionym z giętkiej splawiny, podlewał, okopywał i plewił długie zagony jarzyn i warzyw smakowych, dziś już w znacznej części zapomnianych, zdziczałych lub wymarłych.

Z inicjatywy Chimpo Urma powstały ogród zoologiczny imponował obszarem i umiejętnością stworzenia jego mieszkańcom złudzeń, że przebywają na wolności. Z drapieżników można było tam obejrzeć kilka odmian największego kota Ameryki, jaguara, w tym bardzo rzadko spotykanego o zupełnie czarnej sierści srebrnego lwa, czyli pumę, a także eleganckiego akrobatę ocelota i nieco odeń mniejszą oncillę oraz czerwonopłowego jaguarundi. Wszystkie te koty, z wyjątkiem jaguara, łatwo dawały się obłaskawić i często były trzymane w chatach peruwiańskich.

Mniej liczną rodzinę psów prezentowały głównie lisoszakale, z mniejszych drapieżników nie brakowało wikławców i ruchliwych ostronossów, a na sztucznym skalenisku spacerował ociężały mały czarny miś kordylijski.

Do najdziwniejszych zwierząt Ameryki należą szczerbaki — żywe reliktory dawno zaginionego świata starych epok geologicznych: rekordzista gnuśności — leniwiec, którego sam widok przyprawia o śpiączkę, niby w kamienną zbroję okuty pancernik i mrówkojad sprawiający wrażenie, że ciało jego jest zgoła zbytecznym dodatkiem do błazeńsko długiego ryja.

Osobliwością fauny Nowego Świata jest jakby miniaturyzowanie form zwierzęcych wschodniej półkuli. A więc mini-wielbłądami Ameryki są, jak już wiemy, lamy, alpaki, wigonie i guanaka. Podobnie ma się rzecz z setką gatunków małp, a także sarnami i jeleniami. Również rozmiłowany w błocie tapir włochaty uchodzić może tylko za marną imitację słonia. Zdecydowaną przewagę natomiast nad Starym Światem osiągnęła zachodnia półkula w klasie gryzoni, chlubiąc się największym reprezentantem tego rzędu w postaci świni wodnej, zwanej kapibarą. Znaczna ilość gryzoni została przez Indian Peru oswojona, a wśród nich świnki morskie, wykwentne *aguti*, ociążałe ptaki, hodowane dla wspnianego futra szynszyle, uległe kołczaki i znane nam dobrze nutrie. Zoo Inków w Cuzco posiadało wszystkie te zwierzęta i wiele innych tu pominiętych.

Jeszcze bogaciej urządzona była ptaszarnia, gdzie pod fachową opieką rutynowanych ptaszników hodowano niemal całą awifaunę Peru. Z błotnego czy wodnego ptactwa wyliczmy tu tylko: ostrygody, wbrew nazwie nie znające smaku ostryg, ruchliwe kulony, czarne kormorany, nury, rybitwy i mewy, pasowe flamingi, białe czaple i Nielotne pingwiny. Z ptaków drapieżnych trudno pominąć króla Andów kondora, różne odmiany orłów, rybołówów, ścierwników i sów. Do dziś zresztą atlas ornitologiczny Peru jest daleki zapewne od pretensji do kompletu. Nawiasem mówiąc, jeden z najwybitniejszych znawców peruwiańskiego ptactwa, nasz rodak Władysław Taczanowski\* w swym dziele pt. „Ornitologia Peru”, wydanym jeszcze w ubiegłym wieku, opisał około 1350 gatunków.

Do najciekawszych okazów ptaszarni królowej Chimpo Urma nale-

\* Znakomity polski ornitolog, 1819—1890, autor licznych prac z zakresu systematyki i biologii ptaków.

żał: *quetzal*, bardzo rzadki w tych stronach, bo pochodzący z Ameryki Środkowej, wspaniale ubarwiony à la rajskie ptaki, królewski ptak, którego zabicie karano śmiercią; największy drapieżnik dżungli — harpia, i różne rzadkie gatunki mikroskopijnych kolibrów oraz jaskrawo upierzonych papug.

Dla uzupełnienia obrazu niezwykłych rozmiarów peruwiańskiego zoo wspomniemy pokrótce o terrariach, w których trzymano to kajmany, to różne odmiany jaszczurek, to znów potężne anakondy i dusiciele, a także dziesiątki jadowitych węży, do których Indianin żywi instynktowną odrazę. Nie brakowało także sadzawek, w których hodowano ryby, ropuchy i żaby, przedziwnej nieraz postaci.

W tym królestwie zwierząt i roślin Chimpo Urma spędzała pracowite dni. Wieczorami zaś chętnie słuchała muzyki.

Niewiele pewnego da się powiedzieć o starej muzyce peruwiańskiej, zwłaszcza tej charakteru świeckiego. Indianie nie znali nut, nie mogli więc przekazać zapisu melodii. Wiadomości nasze w tym zakresie są bardzo szczątkowe i opierają się głównie na analogiach wysnuwanych z badań nad muzyką ludową dzisiejszych tubylców. Z instrumentów wymienia się głównie *quena* — flety z kości jeleniej o rozmaitej liczbie otworów, drewnianą pikulinę o przenikliwym dźwięku, rodzaj prymitywnej szalamai, rogi z muszli, trąbki z tegoż materiału oraz małe drewniane bębenki. Przy dźwiękach tej chyba zgiełkowej orkiestry tańczyły dziewczęta mając przywiązane do nóg coś w rodzaju kastanietów z drobnych muszelek i kości, co znakomicie wzmagało hałas, w którym tonęły słowa prostej piosenki o urokach i klęskach miłości. W tych wieczorach muzycznych często uczestniczył Maita Capac, który gotował się do nowej wyprawy. Nie miało jednak dojść do niej, gdyż zwała ją zagadkowa zaraza, prawdopodobnie zawleczona przez zbieraczy koki z nadamazońskiej puszczy. Jego syn i następca Capac Yupanqui odziedziczył po ojcu męstwo, a znacznie przewyższał swych poprzedników sprytem, przebiegłością oraz dumą. Maita Capac nie zdążył przed śmiercią nałożyć mu oznak władzy, Yupanqui wszakże powołując się na prawo pierworództwa zmusił braci, by złożyli mu w świątyni Słońca poddańczy hołd. Nie wszyscy uczynili to bez szemrania, najwięcej



niezadowolonia wykazywał Putano-Uman. Aby więc upokorzyć krnąbrnego młodzika, władca rozkazał, by osobiście założył mu na nogi złote sandały, jeden z elementów monarszego stroju. Putano-Uman uległ, ale pochylony nisko na klęczkach u stóp brata zaprzysiął śmiertelną zemstę.

Po koronacji Capac Yupanqui składał właśnie przepisane obrzędem ofiary na świętym wzgórzu Huanacauri, gdy wtem wszczął się zgiełk niezwyčajny i uroczysty akt przerwały gorączkowe krzyki:

— Napad, napad!

W chwilę potem gońcy przynieśli wieść o nagłym ataku barbarzyńskich plemion z zachodniej puszczy. Yupanqui sformował wojowników i zbiegł z góry, śpiesząc na spotkanie wroga. Równocześnie posłańcy zanieśli do miasta rozkazy, by kto żyw ruszył na pomoc. Po całodziennej morderczej bitwie na przedmurzach stolicy Indianie z dżungli zostawili na pobojuwisku sześć tysięcy trupa i poszli w rozsypkę.

Capac Yupanqui nazajutrz wczesnym rankiem dopełnił przerwanych obrzędów, nie szczędząc ofiar z pojmanyh jeńców, a w południe wkroczył w tryumfie do Cuzco, witany entuzjastycznie przez tłumy ocalałych mieszkańców.

Wieczór tego dnia był jasny, cichy i łagodny. W przepalacowym parku, w pergoli z jaśminów, narcyzów i lili, zwycięski władca zażywał zasłużonego odpoczynku. U jego stóp na niskim taborecie przysiadła drobna i szczupła, ciemnowłosa i smagłolica Mama Cahua. Capac Yupanqui z przyjemnością przyglądał się jej delikatnej twarzyczce, łabędziej szyi, z której zwisała skromna nizanaka z kolorowych muszelek. Dłużej zatrzymał wzrok na złotej sponie spinającej szafirową tunikę na jej piersiach. Uśmiechnął się i milczał.

Cisza panowała wokół. Od czasu do czasu przejrzały owoc głuchym plaśnięciem pomnażał spad ogrodowy. Nagle gdzieś z bliska rozległ się przenikliwy skwir. Przez ciało młodej kobiety przebiegło drżenie. Yupanqui położył dłoń na jej ramieniu. Powiedział łagodnie:

— Spokojnie, dziecko. To nie nocnice, to tylko jęczą jerzyki. Dziewczynie drgały wargi. Szeptnęła:

— Bracie, mężu i panie mój, nie o tym myślałam. Ja się boję...

— O cóż takiego? — jeszcze łagodniej spytał Yupanqui.

Mama Cahua zaczerpnęła głęboko oddechu. Wyrzuciła z siebie gwałtownie:

— Putano-Uman...

— Co znów on?

— Czy witał cię dziś, kiedy w świetnym tryumfie wracałeś do miasta? Czy wsparł wczoraj twe ramię w walce z ludożercami z zielonych dżungli?

Yupanqui zmarszczył brew. W rozgwarze dramatycznych wypadków zapomniał o bracie. Wczorajsze i dzisiejsze wspomnienia nie wywołały jego twarzy. Powiedział ostrzejszym tonem, niż zamierzał:

— Mów, co wiesz, mów!

Mama Cahua patrzyła prosto w oczy męża, powiedziała powoli, poważnie:

— Nie przystoi mi może mieszać się w sprawy męskie, ale... ale źle się dzieje w naszym rodzie. Kazałeś wczoraj, by wszyscy wojownicy spieszyli ci na pomoc. Putano-Uman wyśmiał te rozkazy, twierdząc, że — wybaczenie, panie, słowo — głupotą jest ogałać miasto, gdy nie wiadomo, czy wróg z drugiej strony nie uderzy. I wielu jemu oddało rację.

Indianka umilkła.

— Mów dalej — padły krótkie słowa z zaciśniętych warg pana.

— Dzisiaj o świcie Putano-Uman z gromadą wiernych druhów opuścił Cuzco. Poszedł daleko w góry na łowy, bo nie chciał witać ciebie, ciebie — zwycięzcy... — znów urwała.

— Skąd wiesz to wszystko? — Yupanqui szarpnął ją za ramię.

— Kobięcy język obraca się szybko, a ja przecież żyję cały dzień wśród dworek. Więc wiem więcej jeszcze — zrobiła dramatyczną pauzę. — Putano-Uman gotuje spisek na twe życie i dlatego boje się — dokończyła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Capac Yupanqui zerwał się z miejsca, ale zaraz opanował się, usiadł z powrotem i zapytał chłodno, rzeczowo:

— Co radzisz?

Mama Cahua cedziła słowa ostrożnie, z rozważą:

— Toczyć krew własnego rodu, ważka to sprawa. Potrzebne dowody, mamy tylko poszlaki, domysły, plotki wreszcie. Putano-Uman nie działa sam, konieczne są imiona współników. Niech dowodów dostarczy jego żona. Siclla\* lubi zabawę i trunek, a jej mąż dwa, trzy dni strawi na łowieckiej wyprawie. Z braci, panie mój, liczyć możesz najpewniej na Auqui Titu. To piękny mężczyzna i sławny wojownik, a Siclla nie jest mu niechętna. — Tu Mama Cahua lekko się splonęła i dodała: — Wybaczcie, panie, te babskie plotki.

Po krótkiej przerwie ciągnęła:

— Niech więc Auqui wyprawi bankiet w niewielkim gronie i niech nie załuje Siclli mocnego napitku...

Capac Yupanqui spojrział przeciągle w oczy żony i klasnął w dłonie. W chwilę potem schylony do ziemi sługa odbierał kornie rozkazy.

Rada Mamy Cahua okazała się trafna. Auqui nie musiał nawet uciekać się zbyt do dyplomatycznych wybiegów i podchwytliwych pytań. Po kilku kubkach płomienistej azua Siclla zaczęła rzucać kąśliwe uwagi pod adresem Yupanquego, po paru dalszych trunkach odebrał jej wszelką powściągliwość. Jęła namawiać Auquego, by przystał do partii jej męża, a gdy gospodarz wzdragał się i trochę z niej dworował, powątpiewając we wpływy Putano-Umana, sypnęła imionami kilku możnych wodzów.

Capac Yupanqui działał energicznie, nie bawił się w drobiazgowe dochodzenie. Wzięci na tortury zdrajcy ujawnili szczegóły spisku i nazwiska współników. W parę godzin po powrocie z łowów Putano-Uman został żywcem zakopany, a główni spiskowcy wrzuceni do głębokich dołów, pełnych jadowitych węży.

Piąty władca Cuzco wyruszał często na wyprawy wojenne, kierując się przeważnie szlakiem już utorowanym przez ojca. Po jednej z takich ekspedycji, kiedy odbywał zwyczajowy uroczysty wjazd do stolicy, zdumienie ogarnęło mieszkańców. Capac Yupanqui nie wracał, jak dawniej bywało, pieszo, w pełnym rynsztunku wodza, lecz zdawał się płynąć wysoko nad głowami wo-

\* Siclla — roślina o pięknych niebieskich kwiatach; Indianki Peru często brały imiona od nazw kwiatów.

jowników. Szept podziwu przeleciał tłum. Okazało się, że pan siedział na wysokim tronie pod baldachimem utkanym z pysznych piór papuzich, w lektyce szczerze inkrustowanej drogimi kamieniami, którą niosło osiem par muskularnych ramion.

Zachwytu pospólstwa nie podzielała część szlachty, krewni i przyjaciele straconych niedawno wodzów. Wśród niezadowolonych nie brakowało także członków bliskiej rodziny Yupanquiego. Widocznie w społeczności tej podówczas silne były jeszcze tendencje demokratyczne, które — częste zjawisko u licznych plemion indiańskich — osobie tak zwanego króla, naczelnika czy kacyka przyznawały funkcje szefa wojennego, ale jego arbitralność i samowolę starały się paraliżować poprzez radę plemienną.

Postępowanie Mamy Cahua także nie sprzyjało rozładowaniu tych nastrojów. Yupanquiemu miano za złe, że w czasie swej nieobecności rządy w Cuzco jej właśnie powierzał. A teraz ona, we wszystkim pragnąc naśladować męża, również zaczęła nosić się wysoko. W mieście zawsze strojnie ubrana, w szatach kapiących od cennych ozdób, kroczyła dostojnie prowadzona pod ramiona przez dwie nusta pod baldachimem z kosztownych piór, podczas gdy tuzin służek rozwijało przed nią maty, by jej obute w złote sandały stopy nie skaląły się dotknięciem ziemi.

Zresztą wkrótce umarła, jeszcze bardzo młoda i w zagadkowych okolicznościach — znaleziono ją w ogrodowym pałacu w głębokim omdleniu, z którego już się nie ocknęła.

Capac Yupanqui różnił się od swych poprzedników znacznym sceptycyzmem w sprawach dotyczących religii. Nie wierzył w boskość ciał niebieskich, cóż bowiem za moc mają, skoro blask ich zgasić może byle chmurka. Był zbyt mądry, by swe wątpliwości obnosić wobec ludu, wiedział bowiem dobrze, jakie przywileje daje mu wiara, że jest potomkiem boga Słońce, ale w rozmowach z arcykapłanem nie taił poglądów. Z wypraw na zachód poznał sławę kapłanów Pachacamaka ze świątyni na nadmorskim stepowisku. W porozumieniu więc z huillac-umu, który wprowadził nie podważał boskości Słońca, ale przyznawał możliwość istnienia nadrzędnego bóstwa, wysłał posłów do słynnej wyrocznicy z pytaniem, jaką ma postać prawdziwy bóg stwórcy.

Odpowiedź brzmiała: „Jedyny bóg stwórcy, Pachacamac, jest niewidzialny”.

Capac Yupanqui tryumfował, ale niezręcznie było oddawać prymat obcemu bóstwu, przypomniano więc sobie o prastarym bogu stwórcy z dalekiej ojczyzny znad Titicaca, który później ze względów polityczno-dynastycznych ustąpił miejsca Słońcu, i zidentyfikowano go z Pachacamakiem.

Bogiem tym był Huiracocha, o nieodgadnionym znaczeniu imienia, być może czczony już przez zaginionych mieszkańców Tiahuanaco. Okolice tego miasta oraz jezioro Titicaca szczególnie sobie upodobał. Tu stworzył niebo i ziemię. Tu modelował w kamieniu wzory zwierząt, roślin i ludzi. Tehnął w nich życie, nauczył mowy, sporządził im odzież, wpoił zasady obyczajności i współżycia. I odszedł, przykazując, by zachowywali pokój i cnotę. Nieokrzesane plemię wnet zapomniało nauk boskiego mistrza, więc kiedy Huiracocha zobaczył, że ludzie żyją w bezprawiu, występku i bluźnierstwie, rozgniewał się srodze i sprowadził potop, który wytracił życie.

Po jakimś czasie bóg pomyślał sobie, że może winę za grzeszny styl bytowania ponoszą nie tyle sami ludzie, ile ciemności, w jakie podówczas spowity był świat. Wywołał więc drzemiące na dnie Titicaca słońce, księżyc i gwiazdy i kazał im rozświecić mroki, po czym ponownie przystąpił do dzieła stworzenia.

Do pomocy miał teraz dwóch półbożków, jedynych ludzi ocalałych z potopu, którym przydał boskie atrybuty. Jeden z nich, imieniem Taguapacac, odznaczał się nadzwyczajną przewrotnością i złośliwością. Ludzi dobrych i pięknych zamieniał w złych i odrażającego wyglądu. Kiedy Huiracocha wznosił góry, on je obalał, wysuszał rzeki wytyczone przez stwórcę, to znów z równin dźwigał wysokie szczyty, a stepy przeobrażał w jeziora i bagniste mokradła. Słowem, wszystko robił na przekór, psując pracę stwórcy. Pewnego dnia szczególnie niecnego spletał psikusą, wyjątkowo udaną dolinę pełną zieleni i cudownych kwiatów przekształcając w posepną i wrogą życiu pustynię. Wtedy przebrała się miarka. Rozgniewany bóg skrepował hultajowi ręce i nogi i wrzucił go w wodę. Odtąd na wieki zaginął ślad po Taguapacaku.

Nowo stworzonemu pokoleniu ludzi rozkazał Huiracocha zejść pod ziemię i tajemnymi korytarzami rozejść się na wszystkie strony, by ponownie zaludnić świat. Po latach odpoczynku bóg



postanowił odwiedzić ziemię i sprawdzić, jak się też prowadzi ród śmiertelników. Drugiemu swemu pomocnikowi imieniem Tonapa polecił spenetrować południe, sam zaś powędrował na północ.

Tonapa skierował swe kroki najpierw w góry. W Andach źle się działo. Miejscową ludność gnębił okrutny tyran Mururata, zewsząd płynęły nań skargi, ale na perswazje Tonapy despota odpowiadał tylko drwinami. W końcu zniecierpliwiony wysłannik boga jednym celnym strzałem z procy urwał głowę niegodziwcowi. Na pamiątkę tego wydarzenia pewien szczyt w Kordylierach nazywa się „Bezgłowym”. Głowa Mururaty potoczyła się pod nogi Tonapy. Ze wzgardą kopnął ją potężnie, wołając: Sajama! („precz”), i tak ochrzczono inną górę w sąsiedztwie.

Z kraju biednych górali Tonapa udał się nad wody Titicaca. Tu mieszkańcy zupełnie zapomnieli nauk bożych i wyśmiewali nowego apostoła. Pewnego razu, kiedy spał, napadli na niego i przywiązali go do trzech ogromnych głazów. Jakież było ich przerażenie, gdy nagle w przestworzach rozległ się szum potężnych skrzydeł, a w chwilę potem trzy niezwyklej wielkości kondory rozerwały sznury i uwolniły jeńca. Tonapa rzucił swój płaszcz na wodę i przeprawił się na nim na wschodni brzeg jeziora do niedużego osiedla Sicasica.

Tu znów spotkała go niebezpieczna przygoda. Rozzłoszczeni tubylcy, że nie szczeni im nagan, podpalili stóg suszącej się w słońcu łatwopalnej trawy ichu, na której spoczywał w upalne południe. Ale płomienie odpełzy od świątobliwego meża i otoczyły kopę ochronnym wieńcem ognia. W bezmiernej trwodze Indianie padli na twarz, ślubując pokutę i powrót do dobrych obyczajów.

W dalszej wędrówce Tonapa dotarł do Coati — największej wyspy jeziora. Tu zdziczenie osiągnęło szczyty. Dawno już zburzono ołtarze prawdziwego boga, a kapłani-zaprzańcy oddawali cześć boską górskiemu kotu — titi, któremu w ofierze składano dzieci i młodziutkie dziewczęta. Szyderstwami i bluźnierczą kłatwą przyjęli mieszkańcy nauki Tonapy. Nie szczeno przy tym kula-ków i razów, w końcu przywiązano starca do tratwy i wrzucono do jeziora. I wtedy nowy wydarzył się cud. Wody Titicaca leżały czarne i spokojne. Najdrobniejsza fala nie psuła cichej gładzi

powierzchni. A przecież lekka balsa sunęła chyba na południe. Już była u przeciwległego brzegu, już dotknęła lądu i jakby cięta nożem rozstąpiła się ziemia tworząc stromościenny jar, którym popłynęła dzisiejsza rzeka Desaguadero. Tratwa nabierała szybkości, prawie unosiła się w powietrzu, pożerała przestrzeń, już minęła rozlewną pampę Aullaga i zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy zmrok wieczorny przykrył ziemię. Zmęczony Tonapa wyciągnął się w wonnej trawie. Nazajutrz jego noclegowisko zamieniło się w lagunę Poopó, a on sam znikł bez śladu. Tylko w każdą rocznicę tego wydarzenia nad brzegiem jeziora rosnąca samotna palma okrywa się na noc jedną białym kwieciami, a obdarzeni drugim wzrokiem ludzie mogą wtedy niekiedy zobaczyć także samego Tonapę.

Tymczasem Huiracocha pielgrzymował na północ. Najczęściej przyjmował postać starca o białej cerze i z długą, gęstą brodą. Oczywiście przede wszystkim odwiedził Tiahuanaco. Z zadowoleniem stwierdził, że miasto rozrosło się w potężną i piękną metropolię, omal w rozczulenie wprawił go widok własnego wizerunku, umieszczonego przez wdzięcznych mieszkańców na okapie Bramy Słońca. W powolnej wędrówce kroczył tak bóg przez stepy i góry, wspinał się aż po subniwalne\* rejony, to znów schodził w doliny. Wszędzie po drodze nauczał ludzi praw boskich i zasad etyki, tępił zło, nagradzał cnotę, tworzył nowe dzieła i rozliczne czynił cuda. Wreszcie założył Cuzco, przyszedł Pepek Świata, i stąd skierował się ku brzegom oceanu.

W okolicach Pachacamac pewnego popołudnia ujrzał śliczną dziewczeczkę, haftującą coś pilnie w cieniu czarnopiennego drzewa l u c u m a. Pomyślał sobie, że dobrze byłoby pozostawić na ziemi syna, który kontynuowałby jego dzieło. Przemienił się więc w strojnego ptaka i usiadł nad głową dziewczyny. Po chwili strącony dziobem owoc potoczył się do stóp Indianki. Cahuillaca, takie było jej imię, podniosła jabłko i zjadła je. Niedługo potem wydała na świat dorodnego chłopca. Odtąd życie jej stało się jednym pasmem udręki. Mieszkańcy bowiem, zwłaszcza kobiety,

\* Subniwalny — położony w pobliżu obszarów pokrytych wiecznym śniegiem.



zadręczali ją drwinami, że nie mając męża powiła dziecko. W końcu w półobłąkanej rozpaczyci porwała chłopca w ramiona i pobięła po samobójczą śmierć nad morze. Ale mimowolny sprawca jej nieszczęścia, Huiracocha, wstrzymał ją w ostatnim skoku i zamienił oboje w skałę, do dziś pokazywaną, która rzeczywiście wyraźnie przypomina postać niewieścią z dzieciątkiem u piersi.

Wydarzenie to zasmuciło wielce boga, który postanowił przyspieszyć swoje odejście z tego świata. Zebrał tedy nad oceanem rzeszę wiernych i inne twory boskiej swej mocy i wygłosił pożegnalną mowę, w której zapowiedział, że po wiekach przyśle tu białych, brodatych mężów, aby kraj ten odplewili z nalotu barbarzyństwa, jakie by się nagromadzić mogło czasu jego długiej nieobecności. (Stąd Indianie pierwszych przybyłych do Peru Hiszpanów nazywali Huiracocha).

Koncepcja boga niewidzialnego, nie dającego się pojąć zmysłami, przyczyny i prapoczątku wszechrzeczy wymagała znacznej sublimacji pojęć filozoficznych i nie była dostępna dla prymitywnie materialistycznej mentalności barbarzyńców. Dla pospółstwa zatem najwyższym bóstwem pozostawało uchwytnie wizualnie Słońce, kult zaś Huiracochy zastrzeżony był dla wtajemniczonych, tj. rządzącej państwem elity. Do niego zwracano się w modłach o pomyślność i szczęście dla państwa, o zdrowie dla władcy, o zwycięstwo nad wrogami i bogate zbiory. Codziennie, jeszcze przed świtem, kapłani w śpiewnym hymnie takie oto zanosili błaganie:

O Huiracocha! Panie wszechświata,  
czy jesteś mężczyzną,  
czy też kobietą,  
Panie rozrodzości,  
kimkolwiek być możesz.  
O Panie wróżb,  
gdzieżeś ty?  
Ty możesz być w górze  
i możesz być w dole,  
albo też może wokół  
twego wspaniałego tronu i berła.  
O, usłysz mnie.  
Sponad nieba,

gdzie możesz być,  
spod morza,  
gdzie możesz być,  
stwórcu świata,  
twórcu ludzkości;  
Panie nad Panami,  
oczu mi brakuje  
z tęsknoty za twym widokiem,  
z jedynej chęci poznania ciebie.  
Niechże cię ujrzę,  
niechże cię poznam,  
niechże cię rozważę,  
niechże cię zrozumiem.  
Och, spójrzże na mnie,  
wszakże mnie znasz.  
Słońce — księżyc —  
dzień — noc —  
wiosnę — zimę  
nie na darmo uporządkowałeś,  
o, Huiracocha!  
Wszystko podróżuje  
do wyznaczonego miejsca;  
wszystko przybywa  
do wyznaczonej mety,  
dokądkolwiek ci się podoba.  
Królewskie twe berło  
sam jeden dzierżysz.  
Och, usłysz mnie.  
Och, wybierz mnie.  
Nie pozwól, nie,  
bym miał się zmęczyć,  
bym miał umrzeć.

Capac Yupanqui od czasu straty żony stał się niezmiernie podejrzliwy, mniemał ciągle, że ktoś nastaje na jego życie, każdy posilek kazał uprzednio kosztować najbliższym, byle uchybienie karał surowo. Na dworze jego oduczono się śmiechu, rozmowy prowadzono szeptem, a i ten milkł na odgłos kroków znieawidzonego satrapy. Cały kraj więc odetchnął z ulgą, gdy pewnego ranka Capac Yupanqui nie wyszedł ze swej świątyni. Znalaziono go martwego z grymasem przerażenia wyrytym na twarzy, co dało asumpt do plotek, że mimo całej swej ostrożności zginął właśnie od trucizny.



## REWOLUCJA

Panowanie pierwszych pięciu władców Cuzco tonie w mroku legend i sprzecznych nieraz z sobą mitów. Istnieją poważne przesłanki, że oficjalna historiografia Inków, mimo nadania im cech indywidualnych, w osobach ich prezentuje postacie syntetyczne, jakby nazwiskowe ideogramy\* znacznie dłuższe od możliwości życiowych jednego człowieka okresów prehistorycznych. Ze więc, innymi słowy, osoby te, jako takie, w ogóle nie istniały, a ich imionia są tylko symbolami, oznacznikami bardzo rozległych w czasie etapów dziejowych. Teorii tej zdaje się zadawać kłama fakt, że po zajęciu Cuzco przez Hiszpanów znaleziono mumie wszystkich, z wyjątkiem jednego (siódmy Inka — Yahuar Huacac) władców Peru. Ale dowód ten traci wiele z mocy przekonau-

\* Ideogram (z gr.) — znak graficzny wyrażający określone pojęcie.

jącej, skoro wiemy, że Inkowie znali pojęcie mumii symbolicznej. Znajdowano mianowicie często okutane w dziesiątki kilogramów materii mumie, a po rozwinięciu bandażu okazywało się, że miejsce szkieletu zajmuje woreczek z czarną fasolą. Takie sztuczne mumie sporządzano dla symbolicznego pogrzebu tych, którzy zaginęli bez śladu.

Jest także dzisiaj pewnikiem, że w okresie rozkwitu państwa Inków, dla podniesienia splendoru dynastii, świadomie sfalszowano wczesną historię, przypisując przodkom podboje i czyny niemożliwe w świetle badań archeologicznych. Prawdopodobne jest więc zupełnie, że w podobny sposób „dorobiono” nie istniejące mumie bardziej bajecznych niż realnych ojców dynastii. Już samo to, że nawet tradycje tubylcze wspominają o ślubach Inków tego okresu z córkami okolicznych kacyków, świadczy, iż pierwsi władcy Cuzco bynajmniej nie zajmowali uprzywilejowanej pozycji, lecz właśnie poprzez małżeństwa polityczne szukali wsparcia u możnych sąsiadów.

Krytyczna nauka historii, korzystając z osiągnięć archeologów, stwierdza, że w początkach XIV wieku, kiedy miał umrzeć Capac Yupanqui, Cuzco było niewiele jeszcze znaczącą osadą, która znajdowała się dopiero w początkowym stadium przekształcania się ze wsi w miasto.

Śmierć Capac Yupanquego wywołała dużo zamętu, nie zdążył on bowiem wyznaczyć następcy. Wprawdzie za następcę zwyczajowo uważano najstarszego syna zrodzonego z głównej małżonki, zwanej *c o y a*, ale władca miał prawo do nieograniczonej liczby żon pobocznych — *p a l l a*, a ich potomstwo uchodziło także za legalne i należące do krwi królewskiej. Między więc synami zmarłego doszło do zaciętych sporów o władzę. Intrzygi ich matek oraz braci Capac Yupanquego pomnażały jeszcze zamieszanie. W mieście od dłuższego czasu narastało niezadowolenie. Poddani zarzucali swym władcom, że zamknięci w Inticancha gnuśnieją, że brak im energii i nie dbają o sławę wojenną, że zleniwiali w dobrobycie zapomnieli misji przekazanej im przez Manco Capaka.

W stolicy żyło wiele ludzi pochodzących w prostej linii od założyciela dynastii i którejs z jego młodszych siostr, ci uważali się za pokrzywdzonych przy rozdawaniu godności i teraz głośno

obnosili swe nieukontentowanie. Rwąca się do czynów młodzież wołała o władcę-wojownika, nie chciała dworaka trwoniącego czas na pałacowych intrygach.

I wtedy ulica zaczęła coraz częściej powtarzać imię Roca.

Był to dwudziestoletni młodzieniec wysokiego rodu, wojowniczego ducha i ujmujących rysów twarzy. Przodował we wszystkich ćwiczeniach wojskowych, uchodził za przywódcę dorastających chłopców i ulubieńca tłumu, który go nazywał po prostu Inką, czyli „panem”.

Jego matka Siuyacu — „Rosnący Pierścień”, kobieta jeszcze młoda, silnego charakteru i chorobliwej ambicji, wiązała z osobą Roki dalekosieżne plany. Pewnego razu rankiem zawezwała go do siebie. Po wymianie kilku zdawkowych zdań, zagadnęła go nie-  
dbale:

— A ty, Roca, nie chciałbyś zostać królem?

Chłopak sądząc, że matka sobie żartuje, wybuchnął głośnym śmiechem.

Pani zmarszczyła brwi i surowo rzekła:

— Nie śmieję się. Ja nie tylko pytam, ale chcę, byś został panem Cuzco.

Roca z trudem ukrył rozbawienie, powiedział lekko:

— Ależ, matko, co za myśli? Przecież my nie z krwi Manco Capaka...

— Zostaw Manka — bez cienia szacunku dla Syna Słońca prze-  
rwała pani i dodała łagodnym już głosem:

— Usiądź i posłuchaj. Winna ci jestem pewną tajemnicę.

Chłopiec z uszanowaniem zajął miejsce na niskiej ławeczce i pochylił głowę. Matka po chwili namysłu zaczęła:

— Manco Capac pierwszy przybył do Cuzco, ale nie on był pierwszym królem tej ziemi. Na wiele, wiele lat przed nim trzydziestu, czy ja wiem, może pięćdziesięciu władców stworzyło potężne państwo. Mieli czasy pełne chwały i dni upadku. Niejeden raz hordy barbarzyńców z północy, to znów z południa, kiedy indziej zaś znad morza zalewały nasz kraj. Ale zawsze ostatecznie zwycięstwo należało do dzielnych królów z Tampu-Tocco. A jednym z najslawniejszych z nich był właśnie Roca. — Chłopiec poruszył się niespokojnie. — Tak, Roca — powtórzyła matka —

a imię to jest tak stare, w tak dawnych wymyślone czasach, że nikt już nie zna jego znaczenia. Z rodu tego króla nasza właśnie pochodzi rodzina. Masz tedy większe prawa do tronu Cuzco od kogokolwiek w tym mieście. Masz i musisz z nich skorzystać.

Roca siedział w oszołomieniu, szeroko otwarte oczy utkwił we wzburzonej twarzy matki, która ciągnęła orację:

— Była sława, o, była, aleć przeminęła. Cóż dziś się dzieje? Dziewki z orszakiem żołnierzy do źródła po wodę wysyłać trzeba, bo inaczej dzbanów do miasta nie doniosą. Dzikusy bezczelnie grasują pod murami. Z pól naszych obcy plony zbierają. A panowie z Inticancha podają sobie truciznę, zazdrośni o władzę, bez pożytku dla narodu. Hańba! Ty ją zmażesz, zostaniesz królem! — Siuyacu podniosła głos do krzyku.

Roca zerwał się na nogi, z głową nisko zwieszoną szepnął pełen wzruszenia:

— O matko...

— Ale musisz we wszystkim być mnie posłusznym.

— Przysięgam! — z żarem odpowiedział Roca.

— Zdam się na mnie. Milcz, ale idź w miasto, mieszaj się z tłumem, z młodzieżą. Przyjdzie czas, i niedługo, a posiądziesz tron. Idź, ale dochowaj tajemnicy, a zwyciężymy...

Wiara Siuyacu, że z syna uczyni króla, była z punktu widzenia psychologii indiańskiej uzasadniona. Zapewnienia takie bowiem otrzymała od swej siostry, słynnej czarnoksiężniczki.

Świat prymitywnego człowieka otaczają siły tajemne, przerażające i często ludziom nieprzychylne. Na etapie rozwoju cywilizacyjnego, kiedy jeszcze nie zrodziła się nauka, a zmysły stanowiły broń potężniejszą od mózgu, obserwacja pewnych rytmicznie powtarzających się zjawisk przyrody nie prowadziła do logicznego wiązania skutku z przyczyną. Wiedziano na przykład, że po nocy na pewno nastąpi dzień, ale z tej obiektywnej prawdy wysuwano fałszywe wnioski, że wiedząc o tym można także wiedzieć, co ten dzień przyniesie, jeżeli tylko potrafi się odczytać właściwie znaki sił rządzących jutrem. Ofiary składane bogom nie wpływały bynajmniej z pobudek bezinteresownych, początkowo nie były one tyle wyrazem czci, ile obawy, że ich zaniechanie ściągnie gniew potężnego bóstwa. Służyły zatem zjednaniu sobie ży-

czliwości bogów, a w programie minimum miały na celu ich neutralizację. Z tak prymitywnie pojmowanych ofiar z biegiem czasu wytworzył się kult o często niesłychanie rozwiniętym i skomplikowanym ceremoniale. Do prawidłowego sprawowania rozbudowanych praktyk religijnych potrzebna była mniej lub więcej liczna kategoria osób, zawodowo zajmujących się tą dziedziną. Doprowadziło to w końcu do powstania wyspecjalizowanej kasty kapłanów.

Ale kapłani pełnili swe funkcje oficjalnie, publicznie, od wielkiego dzwonu. Tymczasem w prywatnym życiu każdy człowiek miał kłopoty, zmartwienia, pożądaną, ktoś na przykład pragnął pozyskać miłość obojętnej dlań osoby, kto inny znów przygotowując jakieś ryzykowne przedsięwzięcie chciał wiedzieć, czy mu się powiedzie. W sprawach często drobnych, kiedy indziej nader intymnych, a czasami nawet noszących charakter kryminalny, gdy ktoś z zemsty zamierzał spowodować nieszczęście na dom sąsiada, byłoby niezręcznie lub też niecelowo zwracać się o pomoc do oficjalnego kapłana. Dlatego obok zawodowych strażników kultu powstała rozliczna grupa ludzi trudniących się czarnoksiężnictwem, wróżbiarstwem, różnymi rodzajami magii. Wiara w ich potęgę i nadprzyrodzone dary wypływała z przekonania, że w drodze odpowiednich zabiegów można wpływać na bieg wypadków, że nawet pozorną niezmienną powtarzających się stale zjawisk w naturze może być naruszona przez ingerencję bóstwa, spowodowaną stosownymi czarami.

Pewna część osób parających się magią posiadała zapewne zdolności mediumiczne, wiele z nich cierpiało na hiperestezję\* i różne nerwice, nie brakowało schizofreników\*\* i ulegających sennowłóctwu. Ci przy użyciu narkotyków wprawiając się w trans mieli widzenia, jawiły im się dziwaczne zwidy, byli przekonani, że otaczają ich mary i demony. W jakimś sensie zatem działalność ich można uznać za uczciwą, a w każdym razie za zgodną z wewnętrznym przeświadczeniem. Większość stanowili jednak zwykli oszuści, szarlatani, którzy, biegli w swej sztuce, potrafili wokół tych praktyk stworzyć atmosferę grozy i tajemni-

\* Hiperestezja (z gr.) — nadmierna wrażliwość.

\*\* Schizofrenik (z gr.) — człowiek cierpiący na rozszczępienie jaźni.

czości, stosowali zręczne triki, umieli wywoływać stany zbiorowej hysterii czy hipnozy.

W Peru liczba mistrzów „wiedzy tajemnej” była nie mniejsza niż w starożytnym Rzymie, a ścisła specjalizacja w tej dziedzinie sięgnęła szczytów.

Dużą rolę odgrywali snowidze, tłumacze snów, zwani m o s c o c o. Dla Indianina granica między jawą a marzeniem sennym łatwo się zacierała. Wierziono w realność nocnych omamów, a dziwaczne przygody przeżywane we śnie budzić potrafiły zarówno uczucia lęku, jak i dumy. W opowieściach starców, i nie tylko starców, o perypetiach własnego życia nigdy nie było wiadomo, ile awantur rzeczywiście się zdarzyło, a ile stanowiło tylko animizowanie obrazów z podświadomości. Sennika na wzór egipskiego co prawda nie wypracowali starzy Peruwiańczycy, ale nikt nie miał wątpliwości, że widziane we śnie słońce, księżyc, rzeka czy ogień niechybnie wróżyły ciężką chorobę lub śmierć w rodzinie. Kiedy spodziewającej się dziecka kobiecie śniły się węże — rodził się chłopak, jeżeli zaś ropuchy — przychodziła na świat dziewczynka. I tu moskocowie dokonywali zaiste zadziwiającej rzeczy, kusząc się o to, czego do dzisiaj nauka rozwiązać nie potrafi, a mianowicie umieli decydować dowolnie o płci mającego narodzić się malca. Po prostu drogą hipnotyzersko-sugestywnych zabiegów zmuszali przyszłą matkę, by, zależnie od własnych życzeń, śniła albo o węzach, albo o ropuchach. Jeżeli zaś mimo to wynik był niepożądany, winy w żadnym razie nie ponosili moskocowie — jakże bowiem nieraz trudno jest zapamiętać sen, jakże łatwo poplątać jego obrazy.

Ważną oczywiście rolę spełniały czary erotyczne. Wyodrębniona kategoria specjalistów w tej dziedzinie — runatingowie — umiała sporządzać filtry miłosne o niechybnej sile. Kto skosztował tego trunku, ten już nie potrafił się oprzeć zalotom. Kwitł handel różnymi amuletami, zapewniającymi wzajemność. Do najpewniejszych należała rzekoma strzałka piorunowa, kamień rodzący się w miejscu uderzenia gromu, którego użytkowanie tworzyło rysunek pary ludzkiej. W wypadkach szczególnie trudnych trzeba było zdobyć kosmyk włosów lub kawałek odzieży noszonej przez wiarołomcę, a czarownik za pomocą wymyślnych zaklęć



zmuszał niewdzięcznika do powrotu do zdradzonej. Zresztą sposobów mniej lub więcej skomplikowanych liczyło się na setki, a że zawody miłosne i w prymitywnych społeczeństwach nie należą do rzadkości, znawcy tych spraw nie narzekali na brak klientów.

O ile odczytywanie przyszłości czy też zabiegi mające na celu pozyskanie osobistego szczęścia należały do względnie niewinnych, o tyle w skutkach społecznych znacznie niebezpieczniejsza była czarna magia. Tutaj działalność nigromanty była wyraźnie wymierzona przeciwko trzeciej osobie, urojonemu lub faktycznemu wrogowi petenta. Godziła w mienie, zdrowie lub życie. Celem tych praktyk było wyrządzenie szkody, sprowadzenie nieszczęścia. Wierzono na przykład, że sporządzając kukłę nie lubianej osoby, a następnie spalając ją z zachowaniem specjalnych ceremonii, ściągnie się na nią ciężką chorobę lub śmierć. Parający się czarną magią byli jednak realistami. Wiedzieli, że nawet najbardziej skrupulatne przestrzeganie uświęconych tradycją formulek zaklęć, stosowanie budzących grozę akcesorii i otoczenie dziwacznych obrzędów atmosferą tajemnicy niewiele wpłynąć może na praktyczny efekt tych zabiegów. Samymi pobożnymi życzeniami nie da się zmienić świata ani też ingerować w sposób dla siebie korzystny w bieg wydarzeń. Najstraszliwsza klątwa, mimo wiary pokładanej w nią przez umysł prymitywnego człowieka, jest zbyt słabym orężem w walce o prestiż i znaczenie. A czarnoksiężnik zazdrośnie broni swej sławy maga i cudotwórcy. Nie rezygnując przeto z oddziałującego żywo na wyobraźnię aparatu czarów, jednocześnie pomagał sobie w sposób o wiele skuteczniejszy bronią już zupełnie z tego świata, a mianowicie trucizną. W niektórych okresach historii Peru plaga czarnej magii i związanego ściśle z nią trucicielstwa przyjmowała takie rozmiary, że państwo walczyło z nią w sposób również nader skuteczny, paląc żywcem złych czarodziei wraz z rodzinami. Nigdy jednak całkowicie nie udało się wypenić tej zbrodniczej sztuki, a nawet członkowie najwyższej klasy społecznej potajemnie ją uprawiali. Właśnie siostra Siuyacu chodziła w sławie wielkiej i groźnej czarodziejki. Pomawiano ją o moc sprowadzania duchów, które jawiły się jej w kłębach dymu i ognia, ujarzmione potęgą prze-

dziwnych zaklęć słuchały kornie rozkazów niezwyklej kobiety i przynosiły tajne wiadomości z czterech stron świata. Ale nawet i ona, zastanawiając się nad sposobami utorowania władzy siostrzeńcowi sięgnęła nie do czarów, lecz bardziej świeckich środków.

Zleciła zaufanemu płatnerzowi, by przygotował wielką ilość cienkich płytek złota, przedziurawionych w górnej części. Następnie siostry sporządziły długi wełniany kaftan, wszyły weń złote blaszki, gęsto inkrustując opończę różnobarwnymi klejnotami. Od szyi po kostki okutany w tę szatę Roca podobny był do posągowej postaci słonecznego bóstwa. Tuż pod Cuzco, panując nad miastem, wznosił się wysoki pagór, zwany „Sokolim Gniazdem” — Sacsahuaman. Nieznany lud twórców zapomnianej cywilizacji wznosił tu ongi fortecę, której olbrzymie szare granity obrosłe świetlaną leżały podówczas w ruinie. Zabobon otaczał tajemnicze to miejsce i nikt nie ważył się brukać ciszy starego grodu, w którego dziwnych zakamarkach gnieździło się ptactwo nocne i ścierwojady. Ale dla siostry Siuyacu nie było tam tajnych rzeczy. Groźna czarodziejka nocną nawet porą poruszała się po pociętym terenie jak po własnym mieszkaniu. W jednym ze zboczy wzgórze, w grocie Chingana, miała swą pracownię, w której warzyła magiczne mikstury i odprawiała przerażające gusła. Znała tajemne przejścia tunelami, wiodące aż na sam szczyt Sacsahuamanu. W owej pieczarze umieściła, dobrze zaopatrzonego w jadło i napoje, Rokę, polecając mu, by czwartego dnia w samo południe ukazał się przez parę chwil na wierzchołku wzgórze. Po dokonaniu tych przygotowań siostry zajęły się tym, co byśmy dziś nazwali propagandą szeptaną. Po stolicy rozniosły się pogłoski, że do śpiącego Roki zstąpił sam bóg Słońce, owinał go płaszczem strzelistych promieni i zaniósł w niebieskie wyżyny, obiecując, że zwróci go jako króla, jeżeli lud zechce zrozumieć, że młodzian ten jest ulubieńcem niebian.

Tłum szturmował do domu Siuyacu po bliższe informacje, ale matka zachowywała dumne, ba, nieco wzgardliwe milczenie. Wśród dalszych krewnych znaleźli się bezpośredni świadkowie cudownego wydarzenia. Nie szczędziła wyjaśnień i wróżb ciotka zaginionego. Żądała, by lud nie żałował modłów, a bóg dwukrotnie w od-

stepach parodniowych ukaże Rokę w aureoli słonecznego syna, dając świadectwo prawdzie niezwykłego wydarzenia.

Oznaczonego dnia niezmierne podniecenie panowało w mieście. Od świtu kapłani bili setki zwierząt ofiarnych. Ogromny tłum wypełnił wielki plac przed Inticanchą i w trwożnym skupieniu spoglądał w kierunku północno-zachodnim, gdzie rysowały się cyklopie zwaliska Sacsahuamanu. W rozgrzanym powietrzu wisiała lekka mgła zacierająca kontury rzeczy. Zbliżało się południe. Mimo upalnego dnia wielu wiernych tłukła febra zbożnego wzruszenia. Wtem gdzieś z wysoka dobiegł dziwny przeciągły dźwięk. Wszyscy jak na komendę podnieśli w niebo głowy. Ale to tylko z żalonym klangorem podchmurnym lotem gnał tabun dzikich gęsi.

Słońce miało już tylko jeden krok od zenitu. I wtedy się stało. Z okrzykiem podziwu, zachwytu i nabożnej trwogi tłum runął na kolana. Na szczycie Sokolego Gniazda rozdarła się cienka zasłona mgły. Cudowna postać, sypiąca skrami złota i krwią rubinów, stanęła w żółtym blasku dziennej gwiazdy. Trwała tak jeden moment, jeszcze krótką chwilę i zniknęła tak samo nagle, jak się pojawiła.

Teraz mało już było niedowiarków. A kiedy w dwa dni później zjawisko się powtórzyło, uniesienie religijne zapanowało w mieście. Całe Cuzco z frenezją powtarzało jedno tylko imię — Inca Roca.

Wtedy po raz pierwszy głos zabrała Siuyacu. Oznajmiła publicznie, iż ukazał się jej stwórca świata, oświadczając, iż syna znajdują w jaskini Chingana, skąd niechaj lud zawiedzie go do świątyni, gdzie z jego ust usłyszy boskie posłannictwo.

Wszyscy, omal bez wyjątku, mieszkańcy Cuzco, a z nimi razem także wiele okolicznych szczepów wiodło w uroczystej procesji Rokę do miasta.

W świątyni Słońca posadzono go na szczerozłotym krześle, a tłum skostniał w milczeniu, kiedy bohater powstał, by wygłosić mowę do narodu. Według podaniowych zapisków takie mniej więcej z ust Roki padły wówczas słowa:

— Któż wtąpić może w szczególną miłość, jaką ojciec mój Słońce dla nas żywi? I któż nie wie, że z dawnej potęgi naszego królestwa ostały się tylko żalodne szczątki? Występek i gnuśność spopieliły

jego majestat. I jakże mogło być inaczej, skoro każdy obywatel mieni się panem samego siebie i zadowala wspomnieniem, że ongiś istniał prawdziwy rząd? Więc prowincje miast danych danin płacą nam dziś pogardą. Wy sami przecież zamiast pełnić powinności mężów, do tego stopnia zniewieścieliście, że już nie wiecie, co to proca i luk.

Mój ojciec Słońce dopuścił do tego upadku, lecz przecież zachował was jeszcze od niewoli. Teraz chce was podźwignąć z poniżenia. Rozkazuje przeto, byście we wszystkich sprawach byli mi posłuszni, a ja żądam przede wszystkim, byście zajęli się ćwiczeniami wojennymi. Tylko w ten sposób możecie stać się panami świata, tak jak kiedyś nasi przodkowie. W ten tylko sposób odpędzicie lenistwo, przyzwyczajcie się do posłuszeństwa, odzyskacie to, coście stracili, i wreszcie przywróćcie dawną chwałę. Mój ojciec Słońce nie odmówi wam wsparcia. Jego promienie nie będą wysuszać kraju, a księżyc nie powstrzyma dżdżu, chroniąc nas od nieszczęść, które tyle razy spadały na ojczyznę. Moje zaś prawa będą prawami starożytnych królów, nie zaś czczymi nowinkami. Szczęśliwym znamię tych obietnic jest to, że pochodzą od mego ojca Słońca, a więc nie mogą zawieść. W karze zaś za nieposłuszeństwo grom i burze siał będą strach, ulewy zniszczą wasze zbiory, a piorun pozbawi was życia.

Przy ostatnich słowach luna gniewu przebiegła jego ściągłą twarz. Niezliczona cizba padła w bojaźni na ziemię, ale wnet nad olbrzymim placem rozległy się entuzjastyczne okrzyki, proklamujące nowego władcę, który pierwszy przybrał jako tytuł królewski miano **I n k i**.

Uroczystości koronacyjne Roki zakłócił przykry wypadek. Oto przy poszerzaniu otworów w małżowinach usznych elekta doszło do złośliwej infekcji. Żadne znane środki, ani zioła, ani napary, nie przynosiły ulgi. Zapalenie zwłaszcza lewego ucha było tak bolesne, że odchodzący prawie od zmysłów Inka szukał ratunku w chłodniejszym klimacie pobliskiej góry Chaca. Pewnego razu, spoglądając na piękną panoramę Cuzco ciągnącą się u jego stóp, Roca rozmyślał o swojej niedoli i nieszczęściu stolicy, cierpiącej na brak dobrej wody pitnej. Mimo woli na wargi jego wybiegły słowa zaimprovizowanego hymnu-błagania do Huiracochy:

Och, zjeżdźże, Panie  
wielki jak niebo,  
Panie całego świata,  
pierwsza przyczyna  
i stwórco ludzi.  
Dziesięć cię razy ubóstwiam,  
zawsze z oczyma  
skrytymi za rzesami  
i w dół schylonymi,  
szukam cię, Panie.  
Jak za rzekami,  
jak za źródłami,  
gdy mrę z pragnienia,  
tak szukam cię, Panie.  
Dodaj mi odwagi,  
pomóż mi, Panie.

Wtem gdzieś tuż obok gruchnął piorun. Przerażony Inka padł na ziemię. Z rany w uchu broczyła obficie krew, ale ból wyraźnie odchodził i wtedy Roca usłyszał cichy bełkot podskórnej wody. W ten sposób legendy opisują odkrycie źródła wspaniałej wody, która doprowadzona kanałem do miasta usunęła wreszcie odwieczną bolączkę stolicy.

Pierwszym czynem nowego władcy, symbolicznie niejako podkreślającym trwałość dokonanej rewolucji, było przeniesienie rezydencji do górnej części miasta — Hanan, gdzie z murów starej budowli megalitycznej wybudowano pałac, w którego ścianach znajdował się słynny i do dziś zachowany tzw. kamień o dwunastu rogach.

W ten sposób Inka Roca stał się założycielem dynastii Hanan-Cuzco, a w tej dzielnicy miasta prawo zamieszkiwania mieli jego potomkowie oraz pięć z dziesięciu pierwotnych ayllu, a mianowicie Arayraca, Chavín, Sañoc, Huacay Taqui i Tarpuntay.

Inticancha przestała odtąd być siedzibą Inków, zachowała jednak swój sakralny charakter i z biegiem czasu rozbudowana w potężny kompleks budynków świątynnych coraz częściej nazywana była Coricancha.

Dolne, czyli Hurin-Cuzco natomiast zarezerwowano dla potomstwa poprzedników Roki na tronie oraz dla pięciu pozostałych ayllu, które ongi wraz z Manco Capakiem wzięły w posiadanie dolinę.



## ORGANIZACJA ARMII

U podstaw potęgi Inków, którzy w stosunkowo krótkim czasie dokonali niezmiernie rozległych podbojów, leżała żelazna dyscyplina społeczna, niedościgły system administracyjny i sprawna organizacja wojska. Tej ostatniej podwaliny położył Inka Roca, acz pełnię swego rozkwitu osiągnęła dopiero za jego następców.

Do służby wojskowej obowiązany był każdy zdolny do noszenia broni mężczyzna, prawdopodobnie w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Każdy z nich też dwa lub trzy razy w miesiącu odbywał przymusowe ćwiczenia, w których główny nacisk kładziono na umiejętność posługiwania się różnymi rodzajami broni oraz wyrabianie ogólnej sprawności fizycznej, ale próbowano również rozmaitych rozwiązań taktycznych, staczając pozorowane walki. Słowem, pod kierunkiem doświadczonych strategów przeprowadzano normalne manewry. Jądro sił zbrojnych tworzyło dziesięć pierwotnych ayllu, które zdolne były wystawić dwadzieścia tysięcy wojowników, stanowiących rodzaj gwardii przybocznej Inki. W miarę rozrostu państwa rosła liczba żołnierzy i ostatni

władcy pono bez trudu mogli w krótkim czasie zebrać dwustu-tysięczne i większe armie.

Kontyngentów do nich dostarczały wszystkie prowincje i wszystkie ujarzmione szczepy, przy czym każdy z nich występował w odrębnym, dla danego plemienia przypisanym nakryciu głowy. Niezależnie od tego poszczególne oddziały miały własne sztandary, najczęściej w postaci niewielkich kwadratowych i sztywnych proporczyków z namalowanymi herbami. Proporce te przytwierdzano do drzewca lanc. Większe jednostki z prowincji nosiły z sobą także często najosobliwszych kształtów przedmioty, symbolizujące totemy ródowe lub huaca plemienne. Korpus rozpadał się na jednostki złożone z dziesięciu, pięćdziesięciu, stu, pięciuset, tysiąca i pięciu tysięcy wojowników. Na czele dziesięcioletniej armii stał generał — a p u, wybierany osobiście przez Inkę. Naczelnym wodzem, odpowiednikiem naszego marszałka, nosił tytuł h a t u n - a p u. Zazwyczaj rangę tę piastował jeden ze stryjów lub braci władcy, niekiedy bywał nim następca tronu, któremu w takim wypadku dodawano do pomocy kilku doświadczonych wojowników krwi królewskiej. Często też sam Inka prowadził w bój swe armie.

Niżsi dowódcy rekrutowali się przeważnie z urzędników administracyjnych, niekiedy mianowały ich poszczególne szczepy, czasem stanowiska te obsadzali swoimi zaufanymi generałowie. W tym ostatnim przypadku nie mogli ich już odwołać, w zasadzie bowiem etaty oficerskie do pięcioletnika włącznie były dziedziczne i przechodziły z ojca na syna.

Klasyczną broń Inków stanowiły proce, sporządzane z tęgich włókien, ścięgien zwierzęcych, skóry bądź wełnianej plecionki. Sprawni procarze ze znacznej odległości miotali nimi celnie kamienne pociski wielkości dużego jaja. Łuku ze strzałami o grotach kościanych, z krzemienia lub rybnych ości używały przeważnie plemiona ze wschodniej dżungli i w wojsku Inki nie znalazł on szerszego upowszechnienia.

Duży był asortyment dzid, oszczepów i lanc z twardego drewna o ostrzach z miedzi lub brązu. W walce na nieznacznej odległość dobrze spisywały się boleadory — trzy duże kamienne kule zią-





czone rzemieniami. Zręcznie rzucony ten pocisk omotywał nogi przeciwnika i rzucał go na ziemię.

Do walki wręcz używano rozmaitych toporów z kamienia lub brązu, wyżsi oficerowie mieli siekiery ze srebra, a Inka i jego kuzyni ze złota. Znano także halabardy z ostrzem jak u topora i z głowicą najeżoną kolcami. Zasłużoną sławą cieszyły się ciężkie, zębate maczugi oraz cała kolekcja różnej wielkości i kształtów bojowych pałek o głowicach przypominających kastet.

Równie bogaty był wybór broni odpornej. Tu należały przede wszystkim małe okrągłe bądź kwadratowe tarcze, sporządzane z plecionki wiklinowej, skóry, drewna lub szyldkretu. Podobne puklerze, a także metalowe blaszki chroniły plecy od razów z tyłu. Często lewe ramię owijano długim i grubym szalem, co osłabiało siłę otrzymywanych ciosów. Do tego samego celu służyły płachty z grubego sukna, którymi wojownicy osłaniali się przed pociskami z proc. Głowę ochraniano różnego typu hełmami, drewnianymi bądź też ze skóry dzikich zwierząt. Legendarny dwudziesty pierwszy władca starożytnego Peru, Huascar Titu Tupac II, uchodził za wynalazcę tuniki grubo podbijanej bawełną, która w górnej części przechodziła w metalowy napierśnik.

Powodów do działań wojennych nigdy nie brakowało zaborczej polityce Inków. Mogły to być korzyści ekonomiczne, uśmierzenie buntu, misja kulturalna, pragnienie krzewienia prawdziwej wiary, wojna prewencyjna lub wreszcie sama chęć przysporzenia Synowi Słońca chwały zwycięstwem nad nie znanym dotąd przeciwnikiem.

Po zapadnięciu decyzji prowadzenia wojny Inka odbywał naradę wojenną na placu w Cuzco, gdzie znajdował się stożkowaty, bogato klejnotami zdobny „kamień wojny”. W naradzie brali udział wybitni wodzowie i naczelnicy prowincji, przez które miała przechodzić armia. Ustalano na niej szczegółowy plan kampanii, wyznaczano dowódców i liczbę kontyngentów niezbędnego wojska. Teraz głos należał do kapłanów. Składano na ofiarę drapieżne ptactwo i kilka lam wygłodzonych wielodniową głodówką, modląc się, by wróg był tak samo niedołączny jak one. Następnie badano drobiazgowo wnętrze zabitych zwierząt, wróżąc z nich o losach kampanii. Jeżeli wróżby te wypadły niepomyślnie, wy-

prawę odkładano aż do czasu, kiedy augurom \* lepsze objawia się znaki. Jeśli zaś kapłani rokowali zwycięstwo, wojsko natychmiast gotowało się do marszu.

Pochód przez ziemie należące do Inki, dzięki doskonałej organizacji szlaków komunikacyjnych i punktów zaopatrzenia, o czym później, przebiegał gładko, we wzorowym porządku i w żelaznej dyscyplinie. Po drodze wciąż dopływały nowe oddziały z mijanych prowincji, tak że u granicy z nieprzyjacielem władca dysponował armią znacznie liczebnością przewyższającą siły, jakie opuszczały Cuzco.

Tutaj wojsko rozkładało się warownym obozem w strategicznym punkcie i wypoczywało, podczas gdy poselstwo udawało się na pertraktacje z przeciwnikiem, wzywając go do uległości wobec woli Inki. Władcy Tahuantinsuyu stawiali sobie bowiem za zadanie pokojowe pomnażanie imperium bez rozlewu krwi. Istotnie często się zdarzało, że zagrożone plemiona rezygnowały z obrony swej niepodległości, a wtedy Inka traktował je na równi z innymi podległymi swego państwa. W razie odrzucenia oferty po paru dniach wysyłano drugie, a później jeszcze trzecie poselstwo. Równocześnie zwiadowcy zbierali wiadomości o sile wroga, o jego uzbrojeniu, o sposobach prowadzenia walki, badali topografię terenu, gromadzili wszelkiego rodzaju informacje szpiegowskie. W ten sposób Inka miał doskonale rozeznanie o potencjale militarnym i faktycznych możliwościach przeciwnika. Dopiero po trzykrotnym odrzuceniu ultimatum przystępowano do działań wojennych. Zazwyczaj dążono do rozstrzygnięcia całej kampanii w jednym starciu. Bitwę rozpoczynali procarze i łucznicy, po nich wkraczali miotacze oszczepów, wreszcie w bezpośrednim zwarciu dochodzili do głosu topornicy, którzy przeważnie decydowali o losach potyczki. Walki odbywały się wśród straszliwego zgiełku piszczałek, muszli i rogów wojennych, potęgowanego jeszcze przeraźliwym rykiem, którym wojownicy usiłowali przerazić przeciwnika, a jednocześnie dodać ducha swoim. Walczono z ogromną zajadłością i nierzadko bitwę rozpoczętą o świcie przerywał bez rozstrzygnięcia dopiero zmrok. Wiele z andyjskich

\* Augur — u Rzymian kapłan-wróżbita.

ludów miało warownie na szczytach wzgórz, wówczas dochodziło do regularnego oblężenia, które nieraz przeciągało się na całe tygodnie.

W przeciwieństwie do Azteków, celem bitwy nie było wzięcie jeńca, lecz fizyczne unieszkodliwienie przeciwnika, nic dziwnego zatem, że wojny były niezmiernie krwawe i prowadzone w sposób okrutny. Nie do pozadzroszczenia był los pokonanego — wśród jeńców dokonywano często straszliwej masakry, zwłaszcza wobec zbuntowanych szczepów Inka potrafił być bezlitosny i czasami dziesiątkował je wśród wymyślnych tortur.

Indianie peruwiańscy lubowali się w trofeach wojennych. Z czaszek poległych lub zamordowanych sporządzano puchary, ze skór wyrabiano bębny, chętnie noszono naszyjniki z zębów. Od plemion leśnych przejęli także osobliwą sztukę preparowania głów ludzkich w ten sposób, że zmniejszona do wielkości pięści wiernie zachowywała rysy twarzy zabitego.

Zasłużeni na polu bitwy wojownicy otrzymywali w nagrodę od władcy kunsztowne tkaniny i jubilerskie ozdoby ze złota i srebra. W hermetycznie izolowanym systemie kastowym państwa Inków służba wojskowa i dokonane w niej waleczne czyny dawały jedyną omal możliwość awansu społecznego i przełamania nieprzekraczalnej dla zwykłego śmiertelnika bariery klas. Można było w ten sposób zyskać wysokie nawet, i to dziedziczne stanowisko w administracji, zdobyć żonę spośród „wybranych kobiet”, uzyskać przywilej np. korzystania z lektyki czy noszenia parasola, co w normalnym trybie osiągało się wyłącznie tylko z racji urodzenia.

Po zwycięskiej wojnie Inka, na wzór rzymskich imperatorów, odbywał uroczysty tryumf w stolicy, o czym później przyjdzie nam okazja bliżej pomówić.



## PORWANY KRÓLEWICZ

Na południowy zachód od Cuzco w pięknej i żyznej dolinie mieszkał niewielki szczep Huayllakanów. Córka kacyka tego plemienia Mama Micay szeroko słynęła w okolicy z niezwyklej urody i wdzięku. Zakochał się w niej Tocay Capac, możny wódz Aymarków, potężnego klanu górali z sąsiedztwa, i otrzymał obietnicę ręki pięknej dziewczyny. Tymczasem sława jej krasoty dotarła także do Cuzco. Inka Roca rozglądał się właśnie za żonę. Młody władca był realistą. Poddani oddawali mu cześć bałwochwalczą, wierząc, iż jest synem boga Słońce, ale on sam przecież wiedział dobrze, w jaki sposób uzyskał tron. Ślub z dziewczyną z jego rodu w praktyce żadnych by mu nie dał korzyści, zyskanie zaś sojusznika w sąsiedztwie przez małżeństwo politycznie wyrozumowane, to już jest coś. Ze zaś Mama Micay była piękną, młodziutką panną, tym lepiej. Pchnął więc swatów.

Teraz curaca Huayllakanów stanął wobec dylematu. Jego kraik leżał między Cuzco a dzierzawami Ayamarków. Ojciec Micay bał się zemsty gwałtownego Tocay Capaka, który mógł wystawić dziesięć razy tyle co on wojowników. Z drugiej wszakże strony znał cudowne okoliczności towarzyszące koronacji Inki i wierzył, jak szeroko głosily umyślnie kolportowane wieści, że słoneczne bóstwo jego właśnie wybrało na pana świata. W rezultacie Mama Micay ze skromnym orszakiem wyruszyła do Cuzco.

Niedługo potem wspaniałe publiczne bankiety uczyły zaślubiny młodej pary. W rok później jeszcze świetniejsze uroczystości święciły narodziny następcy tronu — Cusi Hualpy. Ale równocześnie cień smutku zawisł nad pałacem Inki. Okazało się wkrótce, że niemowlę cierpi na tajemniczą chorobę — płacze krwią. Starano się trzymać w sekrecie tę wiadomość, ale zbyt wielu lekarzy-znachorów i wróżbitów ściągano do chorego dziecka, niebawem więc lud począł szeptać, że nieszczęście ciąży nad rodem władców.

Roca, świadomy pesymistycznych nastrojów panujących wśród poddanych, zamierzał jakimś efektownym zwycięstwem podnieść stan umysłów mieszkańców Cuzco. Na północ i północny zachód od stolicy żyły liczne wojownicze szczepy należące do potężnego ludu Chanków. Chankowie twierdzili, że wywodzą się od pumy, odziewali się chętnie w skórę srebrnego lwa, a zamiast helmu nosili odpowiednio spreparowaną głowę kuguara. Byli postrachem sąsiadów i słynęli z niezrównanej odwagi i wyrafinowanego okrucieństwa. Augurowie peruwiańscy wieścili jednak sukces. Inka Roca postanowił więc zmierzyć się z tym groźnym przeciwnikiem. W czasie przygotowań do kampanii przybyło poselstwo ze stolicy Huayllakanów z zaproszeniem dla Cusi Hualpy do odwiedzenia rodziny jego matki.

Roca chętnie przystał na propozycję, sądził nawet, że w innym klimacie chłopiec pozbędzie się swej dolegliwości. Kiedy więc wojska Inki wyruszały na północ, jednocześnie orszak dwudziestu „długouchych” z Cusi Hualpą opuścił Cuzco, kierując się na południowy zachód. W Micucancha zgotowano młodemu księciu, który miał podówczas około ośmiu lat, królewskie przyjęcie, starszyzna Huayllakanów prześcigała się w grzecznościach i drob-

nych usługach, a również świętę następcy tronu traktowano z respektem należnym osobom krwi Inków. Wśród zabaw więc i różnych uciech płynęły chłopcu niefrasobliwe dni wesółych ferii. W łagodnym klimacie w pełni gorącego lata poprawił mu się stan zdrowia i zazwyczaj markotny i skłonny do melancholii Cusi Hualpa zaczął wreszcie poznawać smak śmiechu. Pewnego dnia całe plemię szykowało się do żniw na polach, położonych w pewnej odległości od miasteczka. Z nieba lał się upał, a w dusznym powietrzu południowej pory słychać było tylko ciche szczyrkanie niewidzialnych owadów.

— Za ciężka droga w tak gorący dzień — powiedział wódz Huayllakanów i Cusi Hualpa pozostał ze swoim orszakiem w opustoszałej osadzie. Z wesolą piosnką żniwną na ustach całe plemię wymaszerowało z miasta. Inkowie leżeli w półdrzemce w cieniu drzew, z rzadka gasząc pragnienie lykami chłodnej syty\*. Chłopiec leniwie wił wianek z dzikiego kwiecica. Wokół panowała gnuśna cisza. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn z uśmiechem powtarzał: — Acacau! — „Co za upał”.

Wtem przenikliwy krzyk wojenny stargał powietrze. Gromada półnagich wojowników z bronią w rękę rzuciła się na Indian z Cuzco. Mimo całego męstwa w dwa pacierze „długosi” leżeli we krwi, a silne ramiona napastników unosiły chłopca w nieznanym kierunku.

Naczelnik Ayamarków, Tocay Capac, nigdy nie pogodził się ze zdradą Micay. Od lat prowadził wojnę z Huayllakanami i dopuszczał się przy tym tyłu okrucieństw, że w końcu curaca tego plemienia przystał na niegodny spisek: zgodził się podstępnie za władnąć synem własnej córki i oddać go odpalonemu konkurentowi.

Teraz w stolicy swej Ahuayracancha, tj. „Miejsce, Gdzie Się Przędzie Tkaniny”, Tocay Capac niecierpliwie oczekiwał młodocianego jeńca. Kiedy przybył z cennym łupem oddział jego wojowników, Tocay długi czas z okrutnym uśmiechem na porysowanej szramami twarzy przyglądał się chłopcu. Zdawało mu się, że odnajduje w licach Cusi Hualpy rysy niewiernej ukochanej.

\* Syta — pitny miód.

Zatrząsł się z gniewu i zakrzyknął:

— Na ołtarz szczeniaka. Brać go!

Póldzikie postacie podskoczyły do malca. I nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Cusi Hualpa wyprostował się, uczynił władczy ruch drobną dłonią i nad tłumem rozniósł się jego cienki, przenikliwy głos.

— Przekleństwo wam — krzyczał całą siłą chłopięcych piersi — jeśli odważycie się mnie zamordować, na głowy wasze i waszych dzieci spadnie śmierć i nawet pamięć zaginie o waszym narodzie! To mówię ja, syn synów boskiego Słońca.

I nagle strumienie krwi trysnęły z oczu Cusi Hualpy. Tłum zadrżał z zabobonnego przerażenia. Wpatrywał się ze zgrozą w skrwawioną twarz brańca. Ktoś spazmatycznie zawołał: Yahuar huaca! — co znaczy „On płacze krwią” — i nawet najśmielsi odstąpili od chłopca. A Cusi Hualpa stał z krwawym ogniem w oczach i nie spuszczał spojrzenia z Tocay Capaka. Wódz rozumiał, że wyroku śmierci nie wykonają poddani, bo nawet w gromadce jego żon rozległy się szlochy i wyraźne oznaki współczucia dla dzielnego chłopca. Ale Tocay Capac mściwy był bez miary i nie myślał rezygnować z zemsty. Nie ważył się wprowadzić jawnie prowokować wzburzenia własnego ludu, wysłał więc chłopca do pasterzy lam na wielki płaskowyż Suriti, znany z surowego klimatu, i polecił zagłodzić jeńca, stopniowo zmniejszając mu racje żywnościowe.

Tymczasem Inka Roca na północy kraju uwikłał się w ciężkie walki z Chankami. Kilka pierwszych potyczek przyniosło mu dotkliwe straty i nastrój w wojsku nie panował najlepszy. Czujne oko Roki dostrzegło nawet groźne objawy narastającej paniki. Postanowił uciec się do podstępów. Któregoś ranka stanął przed frontem z trzema złotymi lancami i potężną procą w dłoni. Oznajmił, że nocą odwiedził go słoneczny ojciec i przekazał mu tę broń jako rękojmię zwycięstwa, domagając się wydania decydującej bitwy. Rzeczywiście, zagrożeni przykładem Roki, który walczył w pierwszym szeregu, Inkowie stawali tym razem bardzo dzielnie, ale noc rozdzieliła obie armie, nie przynosząc żadnej ze stron wyraźnego sukcesu.

Pod osłoną ciemności Roca część swoich oddziałów ukrył w spryt-

nie wybranej zasadzce, a z resztą wojska nazajutrz po krótkim starciu pozorował ucieczkę. Chankowie dali się wywieść w pole i wzięci w dwa ognie ponieśli sromotną klęskę.

Radość z pięknego zwycięstwa stłumiła wiadomość o tajemniczym zniknięciu Cusi Hualpy. Wódz Huayllakanów biadał głośno i manifestacyjnie obnosił żal, ale jego aluzje, jakoby chłopca porwały jakieś niezziemskie moce, nie trafiały do przekonania Roki. Inka podejrzewał, że w sprawie maczali palce Ayamarkowie, ale w obawie o życie syna nie podejmował przeciwko nim kroków wojennych. Natomiast rozesłał na wszystkie strony szpiegów z poleceniem zbierania wiadomości o zaginionym.

Tymczasem Cusi Hualpa zdobył sobie wśród pasterzy licznych przyjaciół. Mimo że znajdował się pod bacznią strażą, nie cierpiał głodu, zawsze czyjaś pomocna dłoń umiała mu ukradkiem podsunąć jadło. Trudne jest życie górali peruwiańskich. W surowym wysokogórskim klimacie dozorowanie stad lam nie należy do lekkich prac. W ciężkich warunkach chłopiec zahartował się i rozwijał szybko. Stan jego zdrowia uległ także znacznej poprawie. Chociaż na pamiątkę sławetnego wydarzenia popolicie wołano go Yahuar Huacac, choroba krwi minęła, zdaje się, bezpowrotnie. Syn Inki wyrósł, zmężniał, a mięśnie jego nabrały stalowej mocy. Nikt tak szybko jak on nie umiał wspinać się po turniach za zagubionym stadem, a mało kto dorównać mu mógł w zapasach i innych próbach siły. Mimo wszystko jednak los jego nie był do pozazdrosczenia, a zupełny brak wiadomości z Cuzco doprowadzał go niekiedy, zwłaszcza nocami, do wybuchów skrajnej rozpacz. Straż skutecznie izolowała następcę tronu od kontaktów ze światem, nie więc nie wiedział, że zwiadowcy penetrują cały kraj za jego śladami, nie wiedział nawet, że w samym domu zaprzysięgłego wroga myśla o sposobach przyjścia mu z pomocą.

Jedną z żon Tocay Capaka była córka naczelnika z Anta, małej osady na południe od Suriti, niezbyt daleko położonej od Cuzco. Być może nie najlepiej układało się jej małżeństwo z gwałtownym i okrutnym Tocayem, w każdym razie pełna współczucia dla królewskiego jeńca namówiła swych kuzynów z Anta do spisku mającego na celu oswobodzenie Cusi Hualpy.

Okazja nadarzyła się niebawem. Młodzi pastrze obchodzili właś-



nie doroczne święto, a głównym punktem jego programu miał być wyścig na szczyt wzgórza nie opodal Anta. Dobrze uzbrojeni wojownicy z tej miejscowości obsadzili ukradkiem zielone bugaje porastające szczyt wzgórza. U jego stóp tymczasem stanęła gromadka kilkunastu zawodników. Na dany znak chłopcy ruszyli zwartą ławą, ale już w połowie dystansu Cusi Hualpa zyskał kilkanaście długości przewagi, a na mecie zostawił konkurentów tak daleko, że niepostrzeżenie złączył się z wybawcami, zanim zorientowano się w jego ucieczce. Wprawdzie pościg doszedł uciekinierów nad brzegami górskiego jeziora Huaylla-punu, lecz zacięta potyczka zakończyła się całkowitą klęską Ayamarków i Cusi Hualpa bezpiecznie dotarł do Anta. Tu bardzo szybko pozyskał sobie serca mieszkańców, którzy z wielkim żalem z licznym poczetem odesłali go do Cuzco.

Inka Roca dawno już stracił nadzieję odzyskania syna. Wodzowi z Anta wysłał w podzięcie bezcenne podarki w złocie i srebrze, a później złożył mu osobistą wizytę, całe jego ayllu przyjmując w szeregi „długouchych”. Od tej chwili powstała instytucja tzw. Inków z wyboru, których w przywilejach równano z członkami rodów królewskich.

Roca odbył jeszcze kilka wypraw, między innymi nad jezioro Titicaca. Z tej ostatniej ekspedycji kronikarze odnotowali zabawny szczegół. Oto Roca, pragnąc wytępić panoszący się u Urów brud i lenistwo, kazał każdemu z nich co miesiąc przynosić w charakterze podatku rurkę trzciniową wypełnioną... pchłami. Niestety, komentatorzy nie podali, czy w sposób istotny ta oryginalna danina wpłynęła na poprawę stanu higieny u notorycznych brudasów.

Inka Roca żywił wielki szacunek dla wiedzy i tradycje jemu przypisują założenie szkół dla młodzieży klasy panującej. W szkołach tych, zwanych *y a c h a h u a s i*, przygotowywano uczniów do funkcji administracyjnych. Uczono głównie historii, zasad religii, geografii i kartografii oraz statystyki jako podstawowej dyscypliny w zarządzaniu krajem. Wykładowcami byli mędrcomie — amauta, którzy stanowiąc arystokrację talentu tworzyli odrębną klasę społeczną. Byli wśród nich kapłani, znawcy teologii i astronomii, mistrzowie sztuki lekarskiej, specjaliści rachunkowości statystycznej, czyli *q u i p u c a m a y o c*, oraz *h a r a v e k o w i e*,

tj. poeci-historycy. Na temat organizacji tych szkół niewiele da się pewnego powiedzieć, a niektórzy badacze kwestionują nawet sam fakt ich istnienia.

Roca panował długo i szczęśliwie, zginął dość przypadkowo od rany w bok zadanej strzałą dzikusa ze wschodniej dżungli podczas drobnej potyczki w pobliżu miasta. Podobnie jak poprzednicy jest postacią jeszcze na pół legendarną, ale być może on właśnie założył podwaliny pod przyszłą wielkość państwa.



## INTRYG I SPORY WEWNĘTRZNE

W wieku lat dziewiętnastu objął tron po ojcu Yahuar Huacac. Od jego czasów datuje się zasadnicza zmiana w polityce zewnętrznej kraju Inków. Do tej pory wszystkie wyprawy wojenne, podejmowane przez władców Tahuantinsuyu, były kampaniami efemerycznymi i nawet w wypadku zwycięstwa nie pociągały za sobą z reguły poważniejszych zmian terytorialnych. Wojsko wracało z łupem do stolicy, Inka zadawała się narzuceniem formalnego zwierzchnictwa i niewysoką zazwyczaj daniną, której przeciwnik po przyjsciu do siebie odmawiał, więc następowała nowa karna ekspedycja i tak historia kręciła się w kółko. Stąd też kolejni władcy wojowali ciągle z tymi samymi ludami, a faktyczne wpływy Cuzco sięgały niewiele kilometrów wokół miasta. Obecnie ten stan rzeczy uległ radykalnej zmianie dzięki dwóm mężom, być może najgenialniejszym wodzom w historii indiańskiej rasy. Byli to syn Inki Roca — Vicaquirau i jego bratanek Apu Mayta. Obaj ci znakomici wojownicy nie tylko dokonali zasadniczej reorganizacji armii, lecz także z gruntu zmienili dotychczasową

koncepcję wojen. Celem ich był już nie przelotny grabieżczy rajd, ale trwała aneksja zajętego terytorium i wcielenie go bez reszty w system administracyjny państwa. Dlatego na zdobytych terenach wprowadzano zwyczajowe urzędy, obsadzone zaufanymi ludźmi, i w razie potrzeby pozostawiano stałe garnizony, by trzymać w uległości ludność. Stosując zaś politykę zastraszania, nierzadko pustoszo no miejscowości; wojny na ogół stały się jeszcze krwawsze niż dawniej. Z drugiej strony wiele słabszych plemion dobrowolnie ulegało władzy Cuzco i w ten sposób w krótkim czasie rozległe ziemie między Vilcamayu i Apurimac zostały poddane berłu Inki.

Yahuar Huacac nie brał udziału w rozlicznych wyprawach słynnych wodzów. Ciężkie przeżycia we wczesnym dzieciństwie i choro ba, która po latach znów się odezwała, nie pozostały bez wpływu na jego usposobienie. Melancholijny i zamknięty w sobie Inka uwierzył w swą złą gwiazdę i obawiał się, że objęcie przezeń dowództwa skończy się wojskową katastrofą. Wymawiał się tedy od udziału w wojnach, co oczywiście nie oszczędziło mu przygany tchórzostwa.

Istotnie nie brakowało mu osobistych zmartwień. Jego pierworo dny syn, słynny biegacz Pahuac Hualpa Mayta, został zdradziecko zamordowany na polowaniu przez Huayllakanów. Śmierć syna boleśnie dotknęła Inkę, który tygodniami nie opuszczał pałacu i zupełnie przestał zajmować się sprawami państwowymi. Wodzowie Inki zaś srogo ukarali zbrodnię, całe plemię wybito do nogi, nie oszczędzając nawet dzieci, a przy okazji ostatecznie zła mano dawną potęgę Ayamarków.

Nie na tym skończyły się kłopoty rodzinne Yahuar Huacaka. Drugi z kolei syn Hatun Tupac prowadził skandaliczny tryb ży cia, niegodny następcy tronu. Otaczał się tłumem czarowników i wróżek podejrzanej konduity, dnie całe spędzał na hulankach, a wieczorami dopuszczał się ze swą bandą przeróżnych gwałtów, co dziś przydałoby mu miano arcyhuligana. Zirytowany w końcu codziennymi skargami na syna, Inka zesał go na wygnanie do samotni Chita, zabronił mu wszelkich kontaktów z przyjaciółmi i zakazał wstępu do Cuzco. Przez trzy lata młody książe pasał lamy należące do świątyni Słońca w towarzystwie półdzikich ste-

powców, uprzyjemniał sobie nudę pustkowiecia grą na prymitywnej syryndze i skracał czas marzeniami o stolicy.

Pewnego dnia w gorące południe, kiedy zawleczone śręzogą powietrze męczyło migotliwym błyskiem oczy, nasz bohater przymknął powieki. W chwilę potem stanęła przed nim postać z długą brodą, w spadającej aż po kostki białej szacie. Cichy, lecz wyraźny ozwał się głos: — Synu mój! Jam Huiracocha. Wodzowie Inki depczą dalekie ziemie, a tymczasem pod Cuzco w Chinchasuyu buntują się ludy. Powstań i zanieś to poselstwo twemu ojcu.

Hatun Tupac ocknął się, w uszach dzwięczały mu słowa ostrzeżenia, kiedy już zrywał się, by biec do odległego o kilka kilometrów miasta. W stolicy czekało go rozczarowanie. Wprawdzie przechodnie chętnie słuchali jego opowiadania, ale Inka nie chciał dopuścić go przed swoje oblicze. W końcu powtórzono mu relację syna, a wtedy Yahuar Huacac zawrzał gniewem. Pewien, że chłopak wymyślił sobie bajeczkę, by zyskać pretekst do odwiedzenia Cuzco, kazał mu natychmiast wracać i pod karą śmierci nigdy nie przestąpić granic stolicy. Ale obaj wodzowie walczyli gdzieś daleko nad oceanem i miasto było bez wojska. Po paru więc dniach Yahuar Huacac polecił zasięgnąć informacji, co się dzieje w północnych prowincjach. Wiadomości nadeszły skąpe, spóźnione i groźne. Mówiło się w nich, że rebelianci mordują urzędników Inki i gromadzą znaczne siły. Następny meldunek zaś głosił, iż wróg z potężną armią znajduje się o trzy dni od Cuzco. Wtedy przerażony, zrozpaczony, zły na syna i samego siebie Inka podjął niegodną decyzję. Z rodziną i dworem zbiegł z Cuzco do położonej trzydzieści kilometrów na południe miejscowości Muyna. Wieść o haniebnej ucieczce Yahuar Huacaka dotarła rychło do płaskowyżu Chita. Następca tronu nie wahał się długo. Zebrał, ile się dało, pasterzy i pośpieszył organizować obronę miasta. Zapal i energia Hatun Tupaka udzieliła się wszystkim. Kobiety i dzieci pomagały w fortyfikowaniu obronnych pozycji, nawet chorzy i starcy sięgali po broń. W ostatniej chwili przybyły z pomocą wierne plemiona Quechuan. A okoliczny lud do dzisiaj pokazuje człekokształtne wielkie głazy, w które jakoby zakłęci zostali „kamienni wojownicy” zesłani przez Huiracochę. Hatun Tupac czekał na wroga przed murami miasta i po całodziennej walce

odniósł świetne zwycięstwo. Kilka dni trwała pogoń za uciekającym przeciwnikiem, a od rozlanej obficie krwi pobojuwisko nazwano Yahuar-Pampa — „Krwawym Polem”.

W tryumfie powrócił dzielny młodzian do miasta, a lud wznosząc okrzyki na jego cześć głośno żądał, by go jako Inkę Huiracocha osadzić na tronie. Niebawem to się stało, bo zgnębiony Yahuar-Huacac nie chciał nawet widzieć syna, ale oświadczył, że abdykuje na jego rzecz. Niedługo potem nieszczęsny władca zmarł, a kronikarze odnotowali, że „jego śmierć nie była zbyt gorąco oplakiwana”.

Huiracocha wkrótce po koronacji ożenił się z córką naczelnika Anta, jedną z najpiękniejszych kobiet na tronie Inków, z powodu białej karnacji twarzy zwaną Runtu-Caya — „Owalne Jajo”. Miał z nią trzech synów: Roke, Tupaka i Cusi, którzy kształcili się w wojskowej szkole słynnych wodzów, a że ci nie pozwalali tępieć orężowi, młodzi książęta mieli dość okazji, by nabyć nie lada biegłości w sztuce wojennej.

Sam Inka za młodych lat brał chętnie udział w wyprawach wojennych, a kronikarze niejedną o tym opowiadają anegdotę. Oto na przykład pewnego razu zbuntowali się Caytomarkanie zamieszkali za rzeką Yucay. W głębokiej wodzie nie można było odnaleźć brodu, więc Huiracocha kazał zbudować tratwy, by przeprowadzić armię. Budowa się jednak przewlekała, a tymczasem Caytomarkanie na drugim brzegu poczynali sobie nader butnie. Urządzali prowokacyjne tańce wojenne, głośno szydzili z Inki i lżyli jego wojska. Nocą śmiali pływacy przebywali rwącą rzekę i napadali posterunki, mordując bezlitośnie strażników. Inka zżymał się, ale bez tratw skazany był na bezczynność. Pewnego razu, kiedy szczególnie głośne śpiewy nie dawały mu usnąć, a ogniska w nieprzyjacielskim obozie były jaskrawo w gwiazdziste niebo, kazał podać sobie splecioną ze złotych nici procę i naładować ją rozżarzonymi kamieniami, owiniętymi w przepojony żywicą gałgan.

Huiracocha stanął nad brzegiem, w potężnym zamachu zatoczył procę nad głową i ciśnięty z olbrzymią siłą pocisk przeleciał rzekę, spadając daleko na słomiany dach głównego budynku w Caytomarca. Ogień przeskoczył wnet na sąsiednie budowle i prawie cała

osada spłonęła. Caytomarkanie, biadając i klnąc, długo zastanawiali się nad przyczyną tak gwałtownego pożaru w bezchmurną noc, aż wreszcie głos zabrała starucha, ciesząca się sławą wróżki. Widziała ona spadającą z nieba ognistą kulę — widomy znak gniewu Słońca z powodu obelg, jakich przedmiotem z ich winy stał się boży syn z Cuzco. Niech więc Caytomarkanie o brzasku wyślą poselstwo starszyny z błaganem o łaskę i przebaczenie.

Tak się też stało.

W drodze powrotnej Huiracocha otrzymał wiadomość, że w stolicy zbuntował się jego kuzyn Capac i obwołał się władcą, więc Inka przyspieszył marszu.

Rebelia krótko trwała. Pozbawiony liczniejszego wsparcia Capac sam wymierzył sobie sprawiedliwość, trując się z najbliższą rodziną. Huiracocha kazał ciała zdrajców rzucić na pola na łup sępów i dzikiego zwierza.

W niedużej miejscowości Cacha Inka wznosił oryginalną świątynię, jedyną w Tahuantinsuyu budowlę dwupiętrową. W jej wnętrzu wznosił się kolosalny posąg przedstawiający Huiracochę w postaci długobrodego męża w sięgającej do ziemi todze, trzymającego w prawej ręce na łańcuchu pumę. Według legendy sam Inka pozował do tej rzeźby boga.

Inca Huiracocha otaczany był przez poddanych bałwochwalczą czcią i zapewne w okresie największych tryumfów nie przewidywał, że zgubi dobre imię i że starość będzie miał podobną do swego nieszczęsnego ojca. Za młodu bożyszczę tłumu, miał umierać otoczony jego pogardą. Ale nie wyprzedzajmy wypadków.

W późniejszym już wieku zakochał się bez pamięci w pięknej dziewczynie imieniem Curi-chulpa. Uczynił z niej swą konkubinę i miał z nią dwóch synów: Urco i Sucso. W świetle prawa uchodzić musieli za bastardów, a przecież sprzeniewierzając się tradycji Inka ogłosił następcą tronu Urka. Wywołało to święte oburzenie wśród arystokracji. Urco bowiem pędził haniebne życie w towarzystwie pijaków i dziewcząt lekkich obyczajów, pomawiano go o gwałty w klasztorach „Dziewic Słońca” i ponoć nikt go nie widział trzeźwego. Ale starzejący się Inka w osobie jego być może odnajdywał własną młodość, jakże bujną i wichrowatą. Odrzucał tedy perswazje, nie słuchał próśb i zaślepiiony spóźnioną miłością

do pięknej nałożnicy obstawał przy swoich planach. Nic więc dziwnego, że dwór tonął w powodzi intryg, donosów, pochlebstw i obłudnych deklaracji.

A tymczasem na północy kraju zbierały się ciężkie chmury. W XIV wieku w dolinie Cuzco i jego bezpośredniej okolicy istniało paręset drobnych kacykatów, plemion tego samego języka, podobnych wierzeń i zbliżonej kultury. Prowadziły one z sobą ustawiczne walki, a polityczne rozbicie nie pozwalało im na zdecydowaną akcję przeciwko Inkom, których ciągle jeszcze uważano za intruzów. Na dalekim północno-zachodnim zapleczu tych ludów mieściły się rewiry licznych i bitnych szczepów Chanca, o których pochodzeniu niewiele można powiedzieć. Prawdopodobnie w połowie tegoż stulecia zdolny wódz Uscovilca połączył luźne grupy tego narodu w silną konfederację i z mieczem w dłoni, ściślej włócznieą, która stanowiła główną ich broń, począł rozszerzać swe dzierżawy.

Po zaciętych walkach wypędził Quechuan z pierwotnej ich ojczyzny w żyznej dolinie Antahuaylla, założył tam swą stolicę, a po paru dziesiątkach lat zwycięskich wojen Chankowie stanęli nad rzeką Apurimac, na granicy Inków.

Już dawniej dochodziło między forpocztami tych państw do sporadycznych walk, nie ulegało kwestii, że decydujące starcie jest tylko sprawą czasu. Inicjatywę przejęli Chankowie. Mieli zapewne sprawną służbę wywiadowczą i wybrali rzeczywiście dogodny moment. W Cuzco panował zamęt, a nominacja Urka na następcę tronu rozbiła dawną jedność narodową. Władza straciła wszelki autorytet, w intrygach dworskich kamarylli ginęła myśl narodowa, prywatnie brała górę nad interesem publicznym. Huiracocha przebywał poza stolicą i tam dosięgło go poselstwo Chanków. Z przerażeniem wysłuchał zgrzybiały Inka bezczelnego ultimatum. Wodzowie Chanków żądali bezwarunkowego uznania ich zwierzchności i oddania miasta. Sponiewierany, pozbawiony cienia energii władca usłuchał. Z żonami i dworem swoim, z nieprawnym następcą tronu i prawie całą arystokracją opuścił haniebnie stolicę, udając się do położonej około 40 kilometrów od Cuzco górskiej fortecy Caquia Saquis-ahuana.

Na burzliwej radzie ostro przeciwko tej decyzji protestowali trzej



legalni synowie Huiracochy i obaj słynni wodzowie, ale znaleźli się w przygniatającej mniejszości. Nie poszli jednak za przykładem władcy i postanowili dokonać cudu — obronić stolicę. Wszyscy trzej bracia mieli za sobą ćwiczenia wojskowe pod doświadczonym okiem sławnych marszałków i byli mistrzami sztuki wojennej, ale najmłodszy z nich, ledwie dwudziestoletni Cusi, nosił znamię geniusza i jego jednogłośnie wybrano naczelnym dowódcą.

Mimo niezwykłego entuzjazmu patriotów, w mieście panowała sytuacja krytyczna. Prawie wszyscy „długousi” wraz z pocztami zbrojnymi udali się za Huiracochą, w mieście doliczono się ledwie siedmuset osób zdolnych do noszenia broni, gdy tymczasem zwiadowcy donosili o dziesięcioletniej armii Chanków. Cusi rozesłał posłów do okolicznych wasali z prośbą o posiłki. Większość odpowiedziała odmownie, powołując się na decyzję panującego Inki, inni wyraźnie wymigiwali się, powiadając, że ich samych na razie Chankowie pozostawiają w spokoju, nieliczni tylko zapowiedzieli, że przybędą w charakterze obserwatorów i zależnie od przebiegu walki podejmą na miejscu decyzję. Ale i te niepomyślnie wiadomości nie skruszyły woli oporu garstki bohaterów. Cusi, młodzieniec nad wiek surowych obyczajów, bogobojny i nieugiętego charakteru, postanowił niedługie już godziny dzielące od bitwy spędzić na modłach i postach.

O dwie strzały z łuku od Cuzco tryskało święte źródło Susurpuquio. Woda rozbijając się gromko o skały rozrzuciła srebrny pył w przymglonym słońcu późnej wiosny. Zastona pary poczęła układać się w niewyraźny zarys majestatycznej postaci i zmęczone całonocnym czuwaniem oczy Cusi ujrzwały boga Słońce. Wojownik przypadł czołem do ziemi i poprzez szum wody usłyszał ciche słowa:

— Jutro rankiem wróg stanie u bram mojej stolicy, ale ty go pobijesz. Bądź śmiały i ufaj mi.

Długo jeszcze Cusi trwał w dziękczynnej modlitwie, a kiedy podniósł oczy, widziadło już znikło. Młodzieniec więc co sił w nogach pobiegł do miasta. Wiadomość o niezwykłym widzeniu wodza dodała ogromnej otuchy obrońcom, a nastrój poprawiło jesz-

cze przybycie kilku oddziałów sprzymierzonych Quechuan, którym udało się przejść przez linie Chanków.

O świcie rogi strażników zasygnalizowały nadsięgnięcie wroga. Nieprzyjaciel szedł zwartą chmarą, ale o staję przed stolicą armia rozbiła się na kilka kolumn i poczęła okręzać miasto. Skoncentrowany atak przewidywali doświadczeni strategowie Inków i w mignie obroncy zaciągnęli z góry wyznaczone pozycje. Z murów widać było wyraźnie trzymający się opodal nieprzyjacielski poczet sztandarowy, który, na wzór starosłowiańskich stanic, wiódł posąg Uscovilca, jako rzekomą rękojmię zwycięstwa.

Główne uderzenie przypuścił wróg na Quilliscanchą, przedmieście Cuzco. Trafił jednak na bohaterki opór lokalnego szefa Huaranca. Cudów męstwa dokonywała tu jego żona Chanan-coca, istna walkiria indiańska, która wśród nędznych lepianek na czele garstki wojowników potykała się zwycięsko długie godziny z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Wojownicze małżeństwo nie pozwoliło Chankom zyskać przewagi.

Od zachodu stary wódz Apu Mayta, chociaż ciężko ranny na początku bitwy, także trzymał się dzielnie. Ale na południowym przedpolu zmęczone parodniowym marszem oddziały Quechuan chwiały się pod naciskiem włóczniarzy chankowskich. Ich radosny krzyk wojenny słyhać było wyraźnie na głównym placu miasta, gdzie tłum kobiet i dzieci przed świątynią Słońca modlił się żarliwie do opiekuńczego boga.

Cusi, jak na naczelnego wodza przystało, z wyniosłego miejsca przypatrywał się przebiegowi walki. Uznał, że nadchodzi krytyczny moment. Skrzyknął do siebie drużynę czterdziestu gotowych na wszystko młodzieńców, wybiegł z miasta i od flanki w szalonym pędzie rzucił się ku sztandarowemu pocztowi Chanków. W obu rękach dzierząc halabardę i krótki topór przypadł do zaskoczonego oddziału. Za nim skoczyli wierni towarzysze. Impetowi natarcia nie zdzierżyli chorążowie wrogów. Pod potężnym uderzeniem brzeszczotów ugięły się włócznie obrońców. W chwili później ramiona dzielnej młodzi Inków uniosły świętą pacarinę\* napastnika. Wnet krzyk boleści i trwogi

\* Pacarina — posąg mitycznego przodka plemienia.

przebiegł pole walki. Mimo bitewnego zgiełku usłyszały go wszystkie pułki Chanków. Na podawaną sobie z ust do ust fatalną wieść, że cuzkańczycy zdobyli symbolizującą zwycięstwo świętość narodową, zbożny lęk omotał dusze wojowników. Rozkazy dowódców gubiły się we wrzawie dzikiej radości, podnoszonej przez Inków.

Jeszcze parę minut i watahy Chanków rzuciły się do panicznej ucieczki. Na ich karkach gnali dzielni obrońcy stolicy.

A na ten widok poderwali się z amfiteatralnej widowni pobliskich wzgórz bierni dotąd widzowie dzikiego spektaklu — okoliczne szczepy — i z boku uderzyli w pierzchającego wroga.

Słońce zakurzone od rozlanej krwi zachodziło w tym dniu w czerwonym blasku, podczas gdy zwycięzcy wkraczali do miasta wiodąc setki spętanych jeńców.

Tymczasem Inka rozłożył się obozem na płaskowyżu Chita, gdzie czasu młodości pasał owce, i niecierpliwie czekał wiadomości ze stolicy. Nie chciał wierzyć własnym uszom, gdy nazajutrz Cusi meldował mu o świetnym zwycięstwie. Nie chciał wierzyć własnym oczom, gdy zobaczył w lektyce posąg Uskivilki, zdobny w złote stroidla i paradne pióra, i przed nim defilujący w okowach tuzin pojmanych wodzów. Stary, prawdopodobnie cierpiący na sklerozę władca skłonny był w tym podejrzewać jakiś podstęp. Ale na dworze Inki przebywał parlamentariusz Chanków, który na widok pokonanych pobratymców padł z boleści na ziemię i rwał sobie włosy z głowy. Wtedy wreszcie zdziecinniały starzec zrozumiał, ale zamiast radować się z sukcesu, zawiść i może wstyd wypełniły jego duszę.

Na żądanie Cusi, by mógł odbyć tradycyjny tryumf, odpowiedział odmownie i oświadczył, że aktu tego dokona Urco. Na te słowa łuną gniewu okryła się twarz młodego wodza, ale zanim zdążył się odezwać, wybuchnął Huaranca:

— Jak śmiesz, panie, wymieniać nawet imię tego tchórza, niegodnego szczyścić się mianem Inki? Panem może on być tylko dziewczek i opojów, ale nie tych, co krew w obronie ojczyzny przelewają.

Rozjątrzony Huiracocha zuchwałstwem wojownika, zwykłego curaca, a nie Inki, zakrzyknął do przybocznej straży:

— Brać go!

Ale niemłody już wódz potrząsnął groźnie siekierą i rzekł chłodno:

— Łeb straci, kto krok bodaj zrobi.

Z orszaku Inki nikt nie wystąpił.

Cusi wmieszał się w spór, w czolobitnych słowach próbował nakłonić ojca do powrotu do Cuzco, ale ten odwrócił się wzgardliwie i powtarzał tylko:

— Albo Urco, albo nikt.

Było już późne popołudnie i drużyna z Cuzco szykowała się do odwrotu. Zauważono jednak, że z obozu Inki wymknęło się potajemnie kilka oddziałów, kierując się także w drogę do stolicy. W obawie zasadzki Cusi podzielił wojsko na trzy części. Główna siła podążyła zwykłym traktem, który przechodził wąską przełęczą, gdzie najłatwiej można było zgotować przeciwnikowi krwawą niespodziankę. Dwie pozostałe grupy szybszym krokiem podążyły zakolem, by od tyłu wziąć niebezpieczne miejsce. Jak się niebawem okazało, owe środki ostrożności były ze wszech miar celowe. Kiedy bowiem czołówka pochodu zbliżyła się do krytycznego punktu, z pobliskiego pola kukurydzy posypały się na nią kamienie. Przenikliwy okrzyk wojenny: Chaya, chaya! na krótko tylko zawibrował w powietrzu, bo zaraz od tyłu na napastników spadli wytrawni wojownicy Apu Mayty. W kilka chwil później wśród połamanych kolb indiańskiego zboża wałały się trupy kilkudziesięciu wysłanników Huiracochy.

Cuzco przyjęło Cusiego publicznym festynem i okrzyknęło go mianem „Pachacutec”, tj. „odnowiciel, wybawca, reformator”. Głośno wzywano go, by zasiadł na tronie Inków, ale mimo wzburzenia z powodu gotowanej mu przez własnego ojca zdrady, Cusi, zwany także Yupanqui, odmówił tego zaszczytu. Wiedział, że z Chankami odbyła się dopiero pierwsza runda walki, i być może aktem jawnej usurpacji nie chciał zapeszać wojennego szczęścia.

A potęga Chanków rzeczywiście bynajmniej nie była złamana. Niedobitki ich zatrzymały się na trawiastych połoninach Ichupampy, doszły tam znaczne posiłki z ojczyzny, a słynni wodzowie bitnego plemienia Astohuaraca i Tomayhuaraca w krótkim czasie

zmobilizowali dwustutysięczną armię, której jednak większość tworzyli wojownicy podbitych lub wasalnych szczepów.

Ale tymczasem i w Cuzco sytuacja uległa radykalnej zmianie. Bogate łupy z pierwszej wojny Cusi szczerze rozdzielił między sprzymierzonych, a okoliczne plemiona, które wczoraj zachowały się z tak ostrożną wstrzemięźliwością, dzisiaj skwapliwie garenły się pod chorągwie szczęśliwego wodza. Lustracja wojska wykazała, że liczy ono do stu tysięcy dobrze zbrojnych wojowników.

Ufny w strategiczną wyższość swych dowódców i pragnąc zaoszczędzić miastu ewentualnych zniszczeń, Cusi Yupanqui postanowił szukać nieprzyjaciela w polu. W drodze doszło go poselstwo Chanków, których wodzowie, grożąc niepozostawieniem w Cuzco kamienia na kamieniu, żądali bezwarunkowego poddania się. Inka odpowiedział z godnością i pokorą:

— W stolicy Słońca nie stanęła jeszcze stopa wroga. O zwycięstwie zaś decydują nie słowa, lecz wola boga Słońce.

W parę dni później na błoniach Ichupampy doszło do jednej z największych bitew w historii Tahuantinsuyu. W dzikim tumultie trzysta tysięcy wojowników — choć chyba kronikarze nazbyt szafują cyframi — toczyło całodzienne mordercze zmagania. Chankowie nie ustępowali Inkom w męstwie, ale stanowczo nie sprzyjało im szczęście. Już w pierwszych godzinach walki padł rażony w skroń pociskiem z procy Tomayhuaraca. Śmierć ulubieńca Chanków niemal wprowadziła zamieszania w ich szeregi, sprzymierzeńcy zaczęli bowiem uchodzić z pola. Jednakże już słońce gasiło powoli swój żar, a rozstrzygnięcia jeszcze nie było. W końcu Cusi w nagłym wypadzie potężnym ciosem czekana w srebrną blachownicę zdusił oddech w piersiach Astohuaraki, a w chwilę potem toporem odciął mu głowę. Teraz dopiero załamały się bojowe szyki Chanków, a kiedy zmrok spadł na ziemię, na stepie legło trzydzieści tysięcy Inków, ale niewiele więcej nieprzyjaciół w szybkiej ucieczce szukało drogi do ojczyzny.



## ODNOWICIEL I BUDOWNICZY

Rozbicie Chanków około 1438 roku jest ponoć pierwszą zasługującą na wiarę datą w dziejach Inków. Od tego czasu opisywane w kronikach wypadki, mimo tu i ówdzie podkoloryzowanego legendą nalotu baśniowego, mają już walor historyczny.

I tym razem stary Huiracocha odmówił urzędzenia tryumfu, pragnąc oddać ten zaszczyt swemu ulubieńcowi, na co znów nie zgodzili się zwycięzcy.

Mimo świetnego sukcesu sytuacja polityczna w państwie była wielce pogmatwana. Prawowity Inka przebywał na dobrowolnym wygnaniu, jego boku trzymał się ogłoszony oficjalnie następcą tronu Urco, podczas gdy w Cuzco faktyczną władzę sprawował najmłodszy syn Huiracochy. Utrzymanie na dłuższą metę tego stanu rzeczy groziło utwaleniem rozbicia narodowego, rozpadnięciem się państwa i zaprzepaszczeniem owoców wspaniałej wiktorii. W dodatku chodziły słuchy, jakoby Inka zamierzał ab-

dykować na rzecz znenawidzonego Urka, a niektórzy poszeptowali, że faworyt władcy już opasuje czoło szkarłatnym sznurem pana Cuzco.

Naczelnicy sprzymierzonych i wasalnych plemion domagali się formalnej koronacji Pachacuteka, on sam na pozór wciąż się wahał, publicznie głosił, że tron z prawa wciąż należy się jego ojcu, ale potajemnie odbywał długie narady z duchownymi dostojnikami.

I pewnego dnia na wielkim wiecu ogłoszono, że w obliczu rozpadu władzy najwyższy kapłan zapyta opiekuńczego bóstwa, kogo życzy sobie widzieć Inką.

Nazajutrz na ogromnym placu przed świątynią Słońca tłoczyła się nieprzejrzana ciżba mieszkańców Cuzco i delegatów ze wszystkich podległych szczepów. W śmiertelnej ciszy zastygł plac, gdy po dłuższej chwili oczekiwania na niewielkim podwyższeniu stanął huillac-umu. Starzec miał na sobie luźną krótką tunikę z ciemnej materii, a na niej śnieżnobiałą narzutę — huapil, ornamentowaną złotem i szlachetnymi kamieniami i zakończoną u kolan frędzlami z najdelikatniejszej szkarłatnej wełny. Nagie ramiona świątobliwego męża pokrywały szerokie kosztowne bransolety, a z lewego przegubu zwisało mu małe złote zwierciadło, przy którego pomocy zapalał święty ogień. Na nogach miał białe miękkie sandały. Wspaniały był strój głowy kapłana, stanowiący kombinację korony z hełmem. Składał się on ze stożkowej tiary, na którą nałożony diadem skrzył się od szmaragdów i złotych promieni słonecznej tarczy. Całość uwieńczoną kitą z najrzadszych piór papuzich podtrzymywała pod brodą opaska w postaci złotego księżycy. W pełnej gali arcykapłan jawił się ludowi tylko w bardzo rzadkich, szczególnie ważnych dla państwa okolicznościach.

Starzec wyciągnął prawe ramię i w zupełnej ciszy usłyszano dzwięczny dygot złotych ozdób. Padły miarowo odmierzane, poważne słowa:

— Ludu Słońca! Nasz ojciec i bóg orzekł: do zwycięzcy Chanków należy tron Inki.

W tym momencie u boku huillac-umu wyrosła postać Pachacuteka w prostej odzieży zwykłego wojownika.

Z okrzykami radości: Sapay Inca! — „Jedyny Inka” i Inti Churina! — „Syn Słońca”, tłum padł na kolana, długo wiwatując na cześć swego ulubieńca.

Tymczasem najwyższy kapłan opasał czoło nowego władcy pąsowym llautu i wsunął za nie dwie białe i czarne lotki cudownego ptaka *corequeneque*, którego zsyła bóg Słońce na ziemię w niezmiernie rzadkich przypadkach. Z okazji np. koronacji zjawia się on na pewnym zagubionym jeziorze u stóp pasma Villcañota, dobrowolnie oddaje potrzebne pióra wtajemniczonemu ptasznikowi, po czym znika bez śladu.

Na placu nie milkła frenetyczna wrzawa radości, gdy nowy władca w towarzystwie kapłanów i najwyższych dostojników wchodził do świątyni, by złożyć tradycją przepisane ofiary. Tutaj radosna czekała go niespodzianka. Posąg boga Słońce dzierżył w prawej ręce strojną mascapaiche, której długie cienkie chwosty tonęły w delikatnych złotych rurkach. Na ten widomy znak bożej łaski Cusi Yupanqui długie godziny krzyżem rozciągnięty wznosił dziękczynne modły do świętego patrona, podczas gdy kapłani odprowadzali zwyczajowe obrzędy, a lud zabawiał się na hucznych ucztach.

W kilka dni później niepokojące wieści obiegły miasto. Oto Urco, mieniąc się prawowitym z łaski ojca Inka, gromadził wojska w niedalekiej dolinie i zamierzał siłą wejść do Cuzco. Pachacutec, uprzedzając zamiary przyrodniego brata, wyruszył naprzeciw z licznym oddziałem. Nie mający wielkiego pojęcia o sztuce wojennej Urco dał się zaskoczyć. Po krótkiej potyczce został zepchnięty na sam brzeg dość stromej rzeki i tutaj dosięgnął go pocisk, wyrzucony przez Rokę. Trafiony boleśnie w kark, Urco zsunął się po zboczu i wpadł do wody. Wprawdzie nie utonął, ale nieco dalej przy próbie lądowania u skał Chupillusca zginął z ręki, idących w trop za nim, braci.

Na wiadomość o śmierci Urka wojska jego się rozbiegły, a większość „długouchych” powróciła do stolicy. Nieliczni tylko dochowali wierności Huiracochy, który uparcie odmawiał pojednania z synem i umarł w sędziwym wieku w swej samotni.

Inków zawsze najbardziej pociągała południowa prowincja Collasuyu, to jest ziemie położone w basenie Titicaca, ich mityczna



ojczyzna. Wysokogórska ta kraina, żyzna i dobrze nawodniona, słynęła z obfitości prosa — quinoa, ziemniaków papa, jadalnych bulw oca i ollucó. Nieprzejrzone stada lam i alpaka, płochliwych wigoni i guanaków pasły się na połoninach, dostarczając mieszkańcom pod dostatkiem mięsa. Liczne plemiona żyły na tej ziemi, a z nich najpotężniejszy szczep Colla zyskał zdecydowaną supremację, stworzył też coś w rodzaju luźnej federacji drobnych plemion Ajmarów. Wojownicze ludy ze stepów Chaco, a nawet dalekiego Chile zapuszczały się nieraz w te rejonny grabieżczymi rajdami, Colla mieli więc aż nadto okazji do wyćwiczenia się w żołnierskim rzemiośle i w walkach górskich byli mistrzami. Sami zresztą góorskimi szlakami awanturowali się często aż po wybrzeża oceanu.

Wcześni Inkowie niejednokrotnie wyprawiali się w te okolice, ale mimo zwycięskich kampanii nigdy dotąd ich zdobycze nie nosiły trwałego charakteru. Kiedy więc posłowie Pachacuteka przybyli do Hatuncolla, ufortyfikowanej stolicy federacji, jej naczelnik Chuchi Capac na wezwanie do poddania się odpowiedział zuchwale:

— Za mało miejsca pod słońcem dla naszych państw. Niech więc Inka złoży mi hołd albo wypiję trunek z pucharu zrobionego z jego czaszki.

Ale bitwę wygrały wojska z Cuzco. Chuchi Capac z dwoma synami i głównymi wodzami dostał się do niewoli, Hatuncolla otworzyła wrota, a ludność ukorzyła się przed nowym panem. Inka zostawił namiestnika i silny garnizon w podbitej prowincji i zwiększwszy dwukrotnie swoje terytorium, wrócił do Cuzco, obladowany nieprzeliczonymi łupami.

Stolica zgotowała wspaniałe przyjęcie zwycięzcy. Domy tonęły w zieleni, przybrane wielobarwnym kwieciami. Przez ulice przeskakiwały wysokie łuki girland i wieńców. W powietrzu unosiły się tysiące krasnopiórych ptaków, uwiązanych niewidzialną długą nicią do gałęzi drzew i występów domów. W mieście zebrały się poczty honorowe wszystkich podległych plemion w narodowych strojach, zwyczajowej zbroi i przypisanym nakryciu głowy. Cuzkańczycy wylegli na ulice w odświętnych szatach. Ludowi poeci — haravekowie — wznosili hymny pochwalne na cześć zwycięs-

kich wojsk, a zgiełkliwa muzyka przyczyniała niezwykłego tumultu.

Nadbiegli gońcy z wieścią, że zbliża się Inka. Na jego spotkanie wyruszyli przyodziani w uroczyste szaty notablowie, trzymając wojenne znaki wasalnych szczepów. W parę godzin później oni właśnie tworzyli czołówkę uroczystego pochodu. Za nimi w niedużym odstepie kroczyła drużyna najbardziej zasłużonych w wojnie żołnierzy, w pełnym uniformie wojownika, niosąc bogaty łup. Wiedli oni osobliwe trofea — bębny sporządzone ze skóry poległych wodzów Colla, tak znakomicie imitujące kształt ludzki, iż dzięki kombinacji umiejętnie poruszanych sznurków zmarły uderzał trzymanymi w rękach pałeczkami we własny brzuch. W pewnym odstepie kroczyła główna siła armii, potrząsając toporami i buławami i wiodąc nagich, silnie skrępowanych jeńców. Za nimi sześciu obnażonych wyższych dowódców Colla niosło drewnianą lektykę, w której siedział ze spętanymi w tył rękoma ich naczelnik. A potem sunęły długim szeregiem różnego rodzaju nosze z wybitnymi wodzami Inków w uroczystych szatach i odświętnych insygniach, znamionujących ich godności i stanowiska. Tłumek pieśniarzy, krocząc powoli, półśpiewając, półrecytując głosił hymny pochwalne — hailli, wielbiąc sławę Syna Słońca.

I oto wreszcie on, Jedyny Inka, potomek bóstwa dziennej gwiazdy, pan znanego świata. Siedział na okrągłym niskim zydlu z grubego złota, w palankinie ocienionym gajem długich wielobarwnych piór. Niosło go sześć par muskularnych ramion bliskich krewnych, a z obu stron dwunastu dostojników wachlarzami chłodziło twarz władcy, równocześnie odpędzając natrętne owady. Pięćset najpiękniejszych dziewcząt z kwieciami we włosach i zielonymi gałązkami w dłoniach opląsywało lektykę rytmicznym krokiem. A on nieruchomy niczym statua, wzrokiem niewidzącym wpatrzony w dal płynął tak nad głowami tłumu, więcej bogom niż ludziom podobny.

Dalej szli Inkowie krwi jego rodu, przyboczna drużyna i w końcu reszta zwycięskiej armii.

Majestatyczny orszak wił się długie godziny wśród ciasnych uliczek stolicy, a wszędzie, któreśdy stąpił, sypały się nań wiązanki wielokolorowego kwicia. Wreszcie w narastającym wciąż tumult-

cie zgiełkliwej muzyki i burzliwych okrzyków pochód zatrzymał się na Placu Skargi — Huacaypata. Syn Słońca i wodzowie zstępowali z lektyk. Z rzuconych twarzą w ziemię nagich jeńców stworzono długi pomost, wiodący aż do wrót Coricanchy. Po ich karkach stąpał Inka, powtarzając rytualną formułkę:

— Jak was, tak wszystkich zdepcę moich wrogów.

Po czym w towarzystwie najbliższych, bosostopy, wszedł do świątyni, gdzie dłuższy czas spędził na dziękczynnych modłach, podczas gdy tarpuntayowie składali dziesiątki lam w ofierze dobroczynnym bóstwom. Wielodniowe zabawy ludowe i orgiastyczne uczyły zakończyły święto zwycięstwa.

W podobny sposób po każdym zwycięstwie Inkowie obchodzili tryumf. Tym razem Pachacutec na zakończenie uroczystości kazał ściąć Chuchi Capaka, a z jego czaszki wyrzezać, staroperuwiańskim zwyczajem, czarę do picia rytualnego trunku. Wielu jeńców rzucono na żer dzikim zwierzętom w zoo, a młodociani synowie nieszczęsnego kacyka zostali zesłani do ciężkiej pracy w kamieniołomach.

Zwycięstwo nad Chankami oddało w ręce Inków praktycznie całą zachodnią prowincję, Cuntisuyu, to jest rozległe tereny między rzeką Apurimac a pasmem morskiej kordyliery\* i wybrzeżem Pacyfiku. Obejmowało ono piękne górskie doliny, zamieszkane przez przyjazne ayllu Quechuan ze sławną fortecą Curamba, być może pochodzącą jeszcze z przedhistorycznych czasów. Dalej ciągnęła się ojczyzna Chanków, jeden z najżyźniejszych rejonów w Peru Antahuaylla i wiele nie mniej urodzajnych kotlin, których granicę zachodnią wyznaczała rzeka Pampas, płynąca tak głębokim kanionem, że u jej brzegów kłębiła się już roślinność tropików z odurzającą wonią bursztynowca. Na wschodnich stokach nadmorskiej kordyliery mieszkał cywilizowany lud Sora, w którego ojczyźnie w Vilcashuaman Inkowie założyli stolicę prowincji. Za nimi zaś aż po ocean leżały siedziby inteligentnych i utalentowanych Lucanów, których być może dalecy przodkowie stworzyli prastarą kulturę Nazca i wymyślili zdumiewający system nawadniania pustynnych terenów.

\* Kordyliera (z hiszp.) — pasmo gór.

W młodości Pachacutec Yupanqui chętnie brał udział w wyprawach wojennych, ale w miarę upływu lat cywilizator wziął w nim górę nad wojownikiem. Był na pewno jednym z najwybitniejszych Indian w historii tej rasy, o renesansowej skali zainteresowań i uzdolnień. Jego dziełem jest gruntowna przebudowa stolicy, a Cuzco, jakie ukazało się oszołomionym oczom konkwistadorów, postać swą jemu właśnie zawdzięczało.

Nosił w myślach wizję miasta, prawdziwego Pępka Świata, godnego być metropolią państwa władającego całym światem. Wysiedlił przeto mieszkańców i kazał wyburzyć wszystkie domy. Wysuszył mokradła, splantował ziemię, w kamienne flizy ujął koryta rzeczek. Pięćdziesiąt tysięcy robotników przez lat dwadzieścia pod jego osobistym kierownictwem wznosiło nowe miasto, którego plan urbanistyczny on sam nakreślił.

Ze szczególnym pietyzmem przystąpił do przebudowy świątyni Słońca — Intihuasi, zwanej także „Dziedzińcem Słońca” — Inticancha, a przez lud popularnie „Ogrodem Słońca” — Coricancha. W koncepcji Pachacuteka miała to być raczej cała święta dzielnica niż jeden dom boży. Istotnie świątynia, obejmująca kompleks budynków, zajmowała mniej więcej środek Cuzco i położona była w niższym mieście między strumieniami Huatanay i Tullumayo.

Całość otaczał wysoki mur o pięknej obróbce kamieniarskiej, z blisko półmetrowym fryzem wyłożonym złotymi płytkami. Główna świątynia stanowiła prostokąt długości prawie stu metrów i osiemnastu szerokości. Do budowy użyto gładko polerowanych bloków kamiennych, ale dach, jak zresztą wszystkie budowle w państwie Inków, kryła gęsto zbita trawa ichu.

Główne wejście wychodziło na wschód, tak że pierwsze promienie rodzącego się słońca były w zajmującą środek ołtarza złotą tarczę. Poza tym znajdowało się tam jeszcze jednaścioro drzwi i wiele wąskich otworów okiennych. Węgary i futryny były ze złota, gęsto wyłożone szlachetnymi kamieniami. Wnętrze o ścianach wytafelkowanych złotymi płytkami i cedrowym, bogato zdobionym suficie dzieliło się na sześć części. Największa z nich była poświęcona bogu Słońce, a pozostałe kaplice Księżycowi, Grzmotowi, Jutrzence, Tęczy i różnym gwiazdom.

Podłogę świątyni Słońca pokrywały złotym licem przetykane, puszyste dywany z najdelikatniejszej wełny wigonia. Pośrodku ołtarza zwisało wielkie szczerozłote jajo, symbol pana wszechrzeczy i prapoczątku świata. Po prawej stronie stała złota statua Słońca w postaci i wielkości jednorocznego chłopca. Miesiąc cały przy surowym poście ludności pracowali nad nią najlepsi złotnicy państwa. Z lewej zaś strony srebrzył się wizerunek Księżyca. Poniżej jaja trzy lamy reprezentowały niebiańskie trzody, u których stóp błyszczwały świetliste gwiazdy, prawdopodobnie konstelacji Oriona. U samego zaś dołu para indiańska przedstawiała Ziemię i Morze.

W niszach ściennych na taboretach z masywnego złota siedziały w paradnych strojach mumie zmarłych władców z insygniami swej władzy. Nie brakowało także złotych posągów sławnych Inków, a całe wnętrze mieniło się od gry barw cennych klejnotów.

Do tego największego sanktuarium inkaskiego imperium wstęp poza kapłanami miał tylko Inka i jego najbliżsi krewni z męskiej linii. Żona władcy — coya — raz tylko w swym życiu w dniu ślubu przekraczała zaczarowany dla zwykłych śmiertelników krąg, by bogom ofiarą kadzideł podziękować za zaszczyt, jaki ją spotkał.

Ze świątyni Słońca przez srebrem obite drzwi przechodziło się do kaplicy Księżyca. Mama Quilla, jak zwano księżyc, uchodziła za siostrę i żonę Słońca. W panteonie Inków Księżyc zajmował trzecie miejsce i szczególną czcią otaczany był przez mężatki. Świątynia jego tonęła cała w srebrzystym półcieniu od ścian tafelkowanych srebrnymi płytkami i jasnych dywanów gęsto przetykanych srebrną nicią. Rzeźba bóstwa, także z tego metalu sporządzona, zajmowała całą ścianę przeciwległą do drzwi, a po obu jej stronach w niszach na srebrnych krzesłach spoczywały mumie zmarłych coya. Wszystkie znajdujące się tu przedmioty były ze srebra, a z niewiast wstęp miały tylko żona Inki i jej córki.

Obok w mniejszej kaplicy stał złoty posąg gwiazdy porannej — Chasca — wyobrażanej w postaci kędzierzawowłosego pazia Słońca, który uchodził za szczególnego patrona księżniczek Inków. W komnacie tej, jak i innych poświęconych Grzmotowi, Tęczy

i gwiazdom ściany były wykładane srebrnymi i złotymi tafelkami, a błękitny sufit przedstawiający firmament nabity złotymi ćwieczkami gwiazd.

Do świątyni przylegała również od bogactwa kapiąca wielka hala, w której zbierali się kapłani, skąd krużganki prowadziły do ich mieszkań prywatnych. Obok wreszcie znajdowały się pomieszczenia dla świętych lam, spichlerze z ofiarną kukurydzą i inne gospodarczego charakteru budynki.

Pięć wodociągów o złotych w końcowej części rurach doprowadzało wodę z okolicznych wzgórz do świętej dzielnicy.

Tuż obok znajdowała się właściwa Coricancha — złoty ogród Słońca, o którym fantastyczne krążyły legendy. Podobno wszystkie drzewa i krzewy były w nim ze szlachetnych odrobione kruszców, cała fauna peruwiańska, poczynając od jaguara, a kończąc na drobnych żukach, miała swe artystyczne imitacje wykonane w złocie i srebrze. W tym ogrodzie z baśni mieściły się także cudowne sadzawki i lazienki, do których dostęp dozwolony był tylko żonie i córkom panującego Inki.

Owa święta dzielnica stanowiła ośrodek religijny i duchowy całego imperium. Mimo jednak niezmiernych bogactw, jakie tam zgromadzono, zewnętrznie wcale nie wyglądała imponująco, przypominając dość chaotyczny zestaw stodołowatych budynków. Jej obsługę sprawowało cztery tysiące kapłanów i niezliczone rzesze służby obojga płci, a poza tymi osobami tylko nieliczni mogli przekroczyć progi królestwa bogów. Dla potrzeb ludu więc Pachacutec kazał ustawić przed świątynią stożkowaty i obity złotą blachą kamień, przedstawiający Słońce. Później obok stanął posąg młodzieńca, wykuty w srebrze i pokryty złotymi płytkami cienkiej blachy. Lud uważał go za wizerunek Słońca i poufale nazywał „naszym Inti”. W rzeczywistości był to posąg boga bogów panteonu Inków i pana wszechrzeczy — Huiracocha, bóstwa o zamkniętym dla ogółu imieniu.

Przed świątynią przeszło 4000 m<sup>2</sup> powierzchni zajmował czworoboczny i nieco pogni „Plac Słońca” — Inti Pampa, arena głównych uroczystości państwowych i ofiarnych. Z placu tego w cztery strony świata do czterech dzielnic Tahuantinsuyu biegly główne szlaki komunikacyjne. Wokół zaś stały okazałe pałace

dostojników. Tu drobna uwaga: w naszym rozumieniu z pojęciem pałac wiążemy coś strzelistego, pnącego się w górę, w Peru rzecz miała się zgoła inaczej, pałac przypominał szopę ciągnącą się wzdłuż. Długość, a nie wysokość czy masywność bryły stanowiły o monumentalizmie budynku w koncepcjach tamtejszych architektów.

Większość budynków była kamienna, o fasadach pokrytych tynkiem w wesołych kolorach, często stosowano także wysuszone na słońcu cegły, wiele domów wznoszono z kombinacji tych dwóch elementów, natomiast znacznie rzadziej występowało budownictwo drewniane. Charakterystyczną cechą tej architektury jest brak łuków sklepiennych, kolumn czy pilastrów, trapezoidalny układ okien i zwężające się ku górze drzwi. Domy z reguły parterowe, rzadziej jednopiętrowe, czy to należące do arystokracji, czy też zwykłego ludu, pokrywał zawsze słomiany dach, a w wyjątkowych wypadkach niezmiernie mocna plecionka z elastycznych witek i drobnych gałązek.

Stale powtarzanie się tych elementów nadawało budownictwu Inków znamię monotonii, domy wyglądały na kopię jednego i tego samego wzoru powielanego tysiącrotnie. Zapewne więc rację miał Humboldt \* pisząc: „Architektura powstała w kraju, pełnym zębatach skał, na prawie bezdrzewnym płaskowyżu, nie mogła tak jak greckie i rzymskie budownictwo naśladować płataniny belkowań w drzewie, lecz prostota, symetria i trwałość musiały stać się głównymi rysami, co tak korzystnie wyróżnia peruwiańskie budowle.”

Legendy głoszą, że sam Pachacutec wymodelował w glinie szczegółowy plan miasta, że więc jemu stolica zawdzięczała tę postać, która taki zachwyty wywołała u pierwszych konkwistadorów. Mimo nierównego terenu wszystkie ulice biegły prosto, czy to pnać się w górę, czy też w dół opuszczając, i przecinały się pod prostym kątem w regularnej szachownicy. Wszystkie były brukowane bądź wysypane żwirem, a pośrodku każdej z nich biegł wyłożony ka-

\* Alexander von Humboldt (1769—1859) — słynny przyrodnik, geograf i podróżnik niemiecki.

mieniami rów odpływowy z wodą, dzieląc w ten sposób ulicę na dwie części o ciasnych chodnikach. Mimo wspomnianych mankamentów, rzekomo liczące 300 tysięcy mieszkańców Cuzco, jak pisał Pedro Sancho de la Hoz, sekretarz zdobywcy Peru, „było miastem tak wielkim i pięknym, że nawet gdyby leżało w Hiszpanii, także musiałoby budzić podziw”.

Ale nie na urbanistyce i architekturze kończyły się zainteresowania Pachacuteka. Ten niezwykle mądry o umysłowości starożytnych polihistorów wielką przywiązywał wagę do historii własnego narodu, upatrując w tradycji ważki czynnik scalający jedność narodową w ramach państwowych. Odczytał tedy pielgrzymkę szlakiem mitycznej wędrówki Ayarów. Otwór pieczar, z których wyszedł Manco Capac ze swym rodzeństwem, Pachacutec kazał oprawić w złote ramy, a cały, zresztą nie zidentyfikowany, rejon podniósł do rangi najwyższej świętości państwowej. Po powrocie do stolicy zwołał kolegium najwybitniejszych mędrców i polecił im odtworzyć kronikę swego rodu i uwiecznić ją na ścianach jednej z sal w świątyni Słońca. W ten sposób jest on twórcą oficjalnej wersji historii narodowej i bez obawy popełnienia grubszego błędu przyjąć można, iż wyeliminował z dziejów momenty nie przynoszące chwały dynastii. Niestety, te tak zwane „malowane kroniki” zaginęły bez śladu. W każdym razie na pewno za sprawą Pachacuteka brak jest, jeśli tak rzecz można, na legalnej liście panujących Inków nazwiska Urka. Istnieją jednak poszlaki, że wprawdzie krótko, niektóre źródła wspominają o jedenastu dniach, niemniej jednak panował faktycznie w Cuzco. Postać Urka należy do bardzo dyskusyjnych. Przypisują mu opracowanie planów budowy fortecy na miejscu starych ruin Sacsahuamanu. W tym celu kazał z dalekiej północy przywieźć kamień niezwyklej rozmiarów. Tysiące robotników całymi miesiącami dźwigało gigantyczny głaz, aż wreszcie już niedaleko Sokolego Gniazda kamień zapłakał krwią i powiedział: Saycuni, co znaczy „zmęczyłem się”. Pozostawiono go więc w spokoju na miejscu, gdzie dziś go pokazuje lud pod mianem „kamienia zmęczonego”.

Także na polecenie Urka niezliczone rzesze Indian z najdalszych zakątków kraju znosiły żyzną ziemię, z której u wschodniego



boku fortecy usypano pagór Sunso, na którego zboczach powstały słynne ogrody Inków.

I to chyba już wszystko, co przechowały legendy o tym z reguły przemilczanym Ince.

Korygując czy też nawet świadomie fałszując historię Pachacutec dążył do ukazania swego rodu w jak najczystszy blasku, w nie zaćmionym splendorze bogopochodnej dynastii. On też kazał ryc na skałach petroglify\* z bohaterskimi scenami mitycznej przeszłości. Więcej jeszcze, aby możliwie jak najpełniej izolować Inków od poddanych, z Cuzco usunął wszystkich, w których żyłach nie płynęła krew królów. Stolica i ziemie położone w promieniu kilku mil od miasta od jego czasów stały się rezydencją elity, gdzie zwykły śmiertelnik nie miał prawa noclegu. W ten sposób Cuzco stało się rzeczywiście Pępkiem Świata, sanktuarium narodowych pamiątek, wielkim dworem uprzywilejowanego plemina, świętym miastem, skąd wola Jedynego Inki rządziła światem i determinowała losy podwładnych plemion.

Zwycięskie wojny znacznie zwiększyły liczbę tych ludów, dla których rolnictwo było głównym zajęciem. Ale warunki glebowe w Peru nie należą do najlepszych. Po nowym podziale Cuzco i okolicy rychło dał się odczuć brak ziemi. Dla Syna Słońca wszakże nie było rzeczy niemożliwych. Dla Inków zdawało się nie istnieć pojęcie ziemi jałowej, nie przyjmującej ziarna. Nawet skały potrafili zmusić do rodzenia plonów, z bardzo dalekich nieraz stron na barkach dziesiątków tysięcy tragarzy przenosząc miliony ton nadającej się do uprawy ziemi. Umiano powiększyć sztucznie areał rolny, wznosząc na stokach skalistych gór podparte murem wielopiętrowe tarasy małych pól i ogrodów.

Żadna ziemia nie może leżeć odłogiem, nierodna — mawiał Inka. I na rozkaz władcy z Cuzco ciągnięto nierzadko przez setki kilometrów kanały, cięte czasem w żywej skale, często biegnące wydrążonymi w górach tunelami, byle tylko nawodnić jałowe tereny. Nawet piaszczystym diunom znad Pacyfiku potrafiono wydrzeć spłachcie zdatnej do uprawy ziemi. Tam gdzie nie dało się sztucznie doprowadzić wody, bo gubiła się w pustyni, znoszono

\* Petroglif (z gr.) — rzeźba na skale.

wielometrowe warstwy wydmi i czapy usypanych wiatrem ostrysz<sup>\*</sup>, schodzono w dół szukając wilgotniejszych pokładów ziemi. Gdy je znaleziono, sadzono ziarna kukurydzy lub nasiona warzyw, gęsto przemieszane z główkami sardynek. Tak zdobyte poletka-ogrody otaczano wysokim murem z cegieł, chroniąc je w ten sposób przed niszczycielską inwazją lotnego piasku. W wielu bezludnych miejscach peruwiańskiego wybrzeża, gdzie dziś niepodzielnie włada bura pustynia, ongi za Inków tętniło pracowite życie indiańskiego chłopca. Dla ludów par excellence<sup>\*\*</sup> rolniczych, jakimi były plemiona Tahuantinsuyu, pierwszorzędnego znaczenia nabierała znajomość pór roku, umiejętność określania najodpowiedniejszego czasu siewu i żniw. Bez dokładnego kalendarza zaiste łatwo jest poplątać właściwy rytm prac rolnych, co dla ludności żyjącej z uprawy ziemi mogło mieć katastrofalne skutki. Kalendarz zaś ściśle związany ze znajomością astronomii może być oparty tylko na obserwacji ciał niebieskich.

Na temat wiedzy astronomicznej Inków niewiele mamy jednak pewnych wiadomości. Zнали oni zapewne bieg słońca, księżyca, może Wenus i niektórych innych planet, ale równocześnie z tymi ciałami niebieskimi wiązali poglądy, które nie ułatwiały im naukowej interpretacji zjawisk astronomicznych.

Wierzono na przykład, że słońce co wieczór zstępuje w morze, nocą płynie pod ziemią i następnego ranka, odświeżone kąpielą, znów staje na niebie. Zaćmienie słońca oznaczało gniew boga Inti i oznaczało nieszczęście w skali krajowej. Dla zmian faz księżyca nie znaleziono w ogóle wyjaśnienia, a częściowe jego zaćmienie oznaczało chorobę bogini Quilla. Przy pełnym zaćmieniu przerażenie ogarniało kraj, w razie bowiem ewentualnej śmierci bóstwo mogło spaść i zmiażdżyć całą ludność. Więc wzdłuż i wszerek Tahuantinsuyu huczały bębny, rogi i piszczałki. Przerażliwy hałas pomnażały głośne krzyki mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy w ten sposób próbowali chorej bogini pomóc w przebudzeniu się z omdlenia. Łączący się z tym rozpaczliwy skowyt psów — ulubieńców Quilli — bitych niemilosiernie, by

\* Ostrysz — pagórek piaskowy.

\*\* Par excellence (fr.) — w najwyższym stopniu.

wzmocnić skuteczność tego osobliwego lekarstwa, jakim miał być zgiełk, unosił się nad całym Peru, dopóki nie ujrzano na niebie znów jasnego dysku.

Lepiej znano okresy przesilenia dnia z nocą. Dla ścisłego określenia obiegu słońca i oznaczenia dat zimowego i letniego przesilenia rzekomo Pachacutec wymyślił „obserwatorium słoneczne” — *intihuatana*. Kazał mianowicie po wschodniej i zachodniej stronie miasta wbić osiem kamiennych słupów różnej wielkości, a obserwatorzy według rzucanego przez nie cienia mierzyli różne wysokości słońca, ustalając ekwinokcja\*. Podobne urządzenia miały także inne miejscowości, ale większość uczonych kwestionuje w ogóle istnienie takich zegarów słonecznych w państwie Inków.

Niewątpliwie w Tahuantinsuyu nie osiągnięto biegłości astronomicznej, z jakiej słynęły ludy Ameryki Środkowej — Majowie, Toltecy czy też Aztekowie. W tradycjach peruwiańskich, już w zamierzchłych czasach panowania setki problematycznych królów, niejednokrotnie dokonywano reform kalendarza. Ostatecznie kalendarz opracowano na podstawie badań ruchów słońca i księżyca, przy uwzględnieniu zapewne rytmicznego występowania na pogórzu andyjskim pory suchej i deszczowej.

Rok Inków *h u a t a* liczył 365 (słoneczny) albo 354 dni (księżycowy). W jaki sposób wyrównywano tę różnicę, dokładnie nie wiadomo. Przypuszcza się, że co dziesięć lat dodawano do dwunastu miesięcy, na jakie dzielono rok, odpowiednią ilość dni, unikając w ten sposób powstania zbyt rażących dysproporcji między obu rachubami czasu. Uczeni nie są zgodni również, kiedy Inkowie rozpoczynali rok. Większość przypuszcza, że około 22 grudnia, inni wymieniają czerwiec lub maj. Kalendarz równocześnie stanowił terminarz prac publicznych oraz świąt religijnych.

Pierwszy miesiąc, *Capac Raymi* (22. 12.—22. 1.), rozpoczynał się letnim zrównaniem dnia z nocą. W okresie tym padały częste deszcze i odbywało się wielkie święto inicjacyjne młodzieży Inków. Zajęcia rolne sprowadzały się głównie do plewienia pól,

\* Ekwinokcjum (z łac.) — zrównanie dnia z nocą.

zbiórki wczesnych kartofli, owoców i różnych ziół. Czas pomyślny dla rybaków.

Drugi, Camay (22.1—22.2.). Lud zajmował się karczowaniem nowych gruntów oraz naprawą dróg i kanałów, uszkodzonych przez deszcze. Młódź Inków zaś toczyła pozorowane walki między Górnym a Dolnym Cuzco, ćwiczyła się we władaniu siekierą i maczugą. Manewry te kończyło święto z rytualnym pijaństwem.

Trzeci, miesiąc dojrzewania, Hatun Pucuy (22.2—22.3.). W tym czasie specjaliści strażnicy i dzieci strzegli pól przed napadami ptactwa, a rybacy cieszyli się z pięknych połowów.

Czwarty, Pacha Pucuy (22.3—22.4), zaczynał się od jesiennego ekwinokcjum. Był miesiącem kwiatów i owoców, w którym obchodzono uroczyste święto odnowienia znicza, wiecznie płonącego w świątyni Słońca.

W piątym, Airihua (22.4—22.5) rozpoczynały się zbiory kukurydzy. Kapłani odprawiali wtedy święto na cześć insygniów królewskich i odbywały się wielkie państwowe polowania z nagonką.

Tahuantinsuyu obfitowało w wiele odmian zwierzyny łownej. Inkowie jednak ogłosili całkowity zakaz polowań dla prostego ludu, uważając, że ochota myśliwska uczy gnuśności i odwołuje zwykłego człowieka od prac rolnych. Rozrywkę tę rezerwowali więc sami dla siebie, chociaż utrzymywali także zawodowych łowców, zwanych aylllo.

Co roku Inka urządził wielkie polowanie z nagonką — chacuc, w którym na olbrzymim terenie brało udział nierzadko od pięćdziesięciu do stu tysięcy naganiaczy. Na taką skalę nigdzie indziej w historii nie odbywały się łowy. W jednym i tym samym miejscu nie polowano częściej niż raz na cztery lata. Był to bowiem okres niezbędny do odrośnięcia wełny wigonia. Ulubioną zwierzyną łowną były także alpaki i guanaki, ale oczywiście nie brakowało drapieżników, jaguarów, pum, ocelotów, dzikich kotów, niedźwiedzi, jeleni i różnych gryzoni. Nagonka trwała całe tygodnie, a biorący w niej udział uzbrojeni byli w lance i kije. Nie wolno im jednak było zabijać zwierzyny, z jedynym wyjątkiem węży oraz w szczególnych przypadkach, kiedy w grę wchodziło ratowanie własnego życia. Pośrodku rewiru łowieckiego stały rozbite namioty Inki i jego gości, a w olbrzymim kotle znajdowało się

rzadko mniej niż dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy sztuk rozmaitego zwierza. Naganiacze w trzech rządach napędzali Ince osaczoną i przerażoną zwierzynę. Kiedy zaś władca zmęczył się mordowaniem, na arenę wstępowali zawodowi myśliwi. Wigonie, alpaki i guanaki obalali żywcem na ziemię i oddawali w ręce fachowców od strzyży, którzy pozbawione sierści zwierzęta puszczały znów na wolność. Poza drapieżnikami zabijano tylko niewielką ilość wielbłądowatych oraz jeleni, z reguły oszczędzając samice, chyba że chodziło o niedoleżne czy kalekie sztuki. Dzięki temu gigantyczne łowy nie powodowały uszczerbku w zwierzostanie.

W prowincjach podobne polowania urządzali lokalni szefowie. Uczestnicy łowów otrzymywali znaczne przydziały mięsa, które cięto w wąskie paski i suszono na powietrzu — tzw. *charqui*, przypominające północnoamerykański pemikan\*.

W szóstym miesiącu, Aymuray (22.5—22.6.), magazynowano zboże, zbierano kartofle, oca i proso quinoa. W okresie tym trwały prace publiczne przy budowie domów, dróg i kanałów, a specjalni inspektorzy Inki odbywali podróże lustracyjne po kraju.

Następny miesiąc, Intip Raymi (22.6.—22.7.), zaczynał się od zimowego przesilenia dnia z nocą i w nim obchodzono uroczyste święto dożynek połączone z publicznymi uctami. W tym czasie obrabiano ziemię należące do Inki i Słońca, zasiewano kukurydzę i dokonywano dorocznego rozdziału ziemi.

W ósmym miesiącu, Chahuar Quiz (22.7.—22.8.), uprawiano rolę, sadzono kartofle, zbierano warzywa, pieprz, robiono zapasy soli.

W następnym, Capac Situa (22.8.—22.9.), czyniono różne magiczne zabiegi mające na celu odwrócenie klęski suszy.

Dziesiąty miesiąc, Coya Raymi (22.9.—22.10.), zaczynał się od wiosennego zrównania dnia z nocą i służył z ekspiacyjnego święta Situa, jednego z najoryginalniejszych w religijnym kalendarzu Inków. Warto o nim słów kilka powiedzieć.

W pierwszy dzień nowiu na placu przed świątynią Słońca zbie-

\* Pemikan — suszone na słońcu kawałki mięsa starte na proszek, zmieszane z tłuszczem.

rało się czterystu mężczyzn z najstarszych ayllu stolicy. Przemawiał do nich w uroczyste szaty przybrany Inka, który krótką mowę kończył tymi mniej więcej słowami: „O sławni mężowie, ozdobo Tahuantinsuyu, jako przedstawiciel boga Słońce rozkazuję wam: wszystkie choroby, zło i nieszczęścia wypędźcie z tego miasta, wyrzucicie poza granice ojczyzny”. Na to zbrojni w lance wojownicy dzielili się na cztery grupy i ostrym tempem biegli na północ, południe, wschód i zachód. W pierwszej większej napotkanej rzece brali kąpiel, wierząc, że w ten sposób nieszczęścia spłyną do oceanu. Pozostała zaś w mieście ludność wznosiła gromkie okrzyki: „Niech znika zło, precz z chorobami”. Przez całą noc w blasku pochodni trwały rytualne tańce, w których brał udział sam Inka. O świcie zaś wszyscy kąpali się w rzekach i źródłach, przepędzając choroby. W dniu tym zanikały różnice społeczne, najwyżsi dostojnicy bawili się pospół z prostym ludem, zapominano dawnych uraz i traktowano siebie wzajemnie z uprzedzającą grzecznością, co miało być warunkiem przeżycia w szczęściu następnego roku.

W tym samym miesiącu dokonywano zwózki drzewa i naprawy domów.

W następnym, Uma Raymi (22.10.—22.11.), obchodzono święto na cześć zmarłych oraz warzono duże ilości kukurydzianego alkoholu.

Dwunasty miesiąc, Ayamarca (22.11.—22.12.), był okresem przygotowywania się młodzieży do święta inicjacji, porą sadzenia kartofli, oca i jarzyn.

Kalendarz Inków wyznaczał rytm pracy, przerywany częstymi świętami, z którymi z reguły łączyły się pijatyki na niezwykłą skalę. Władca bowiem wymagał żelaznej dyscypliny czasu przeznaczanego na roboty, ale równocześnie był niezmiernie pobłażliwy dla ludzkich słabostek w dobie rekreacji.

Pachacutec dużą wagę przywiązywał do nauki, otaczał opieką szkoły założone przez Inkę Roca, udzielał licznych przywilejów klasie uczonych — amauta. Tradycja przypisuje mu autorstwo wielu „złotych myśli” w rodzaju: „Ten kto mieni się lekarzem, a zna tylko niewiele roślin, zanim sięgnie po ten tytuł, niech przedtem uczy się tak długo, aż wreszcie pozna zarówno dobroczynne, jak

i szkodliwe przymioty wszystkich”, albo: „Śmieszne jest chcieć zliczyć gwiazdy, gdy się nie umie posługiwać q u i p u”.

Quipu, o którym już przedtem wspominaliśmy, zwane czasem błędnie pismem sznurkowym lub węzłkowym, było kombinacją różnej wielkości sznurków przywiązanych do nieco grubszej linki. Sznurki te rozmaitych kolorów miały na sobie supełki. Różnice w długości, kolorze, ilości węzłów i ich rozmieszczeniu, w sposobie splatania sznurków oraz różnorodne kombinowanie tych elementów stwarzały omal nieograniczone możliwości posługiwania się quipu jako środkiem dokumentacji liczbowej. Przy jego pomocy fachowcy potrafili ująć liczbowo wszystkie przejawy życia, które dadzą się wyrazić cyfrowo, a więc np. powierzchnię określonych upraw, liczbę dzieci w jakiejś prowincji, wielkość zbiorów kukurydzy, ilość upolowanego zwierza z rozbiciem na gatunki itd., itd. A Peruwiańczyków jak żaden chyba inny naród fascynowała statystyka. Ich roczniki statystyczne „spisane” w postaci quipu były znacznie obszerniejsze i bardziej drobiazgowe od współczesnych. Ponoć Inka w każdej chwili mógł się dowiedzieć, ile sztuk kamiennych pocisków do proc znajduje się w magazynach jego państwa, albo też, ile dziewcząt w wieku dojrzałym czeka na mężów w takim to a takim mieście. Być może komentatorzy hiszpańscy trochę przesadzali z tą statystyczną manią Inków, pewne jest jednak, że dzięki wynalazkowi quipu władcy Peru mieli doskonałe rozeznanie w faktycznych zasobach państwa i w jego rozwojowych perspektywach, co pozwalało im na prowadzenie polityki społeczno-gospodarczej niemal we współczesnym sensie planowanej.

Pewne dwuznaczne wypowiedzi starych kronikarzy na temat quipu sprawiły, że niektórzy uczeni skłonni byli widzieć w nim oryginalną formę pisma, przy którego pomocy „zapisywano” także tradycje religijne i historyczne wydarzenia, a nawet utwory literackie. Nowsze badania nie potwierdzają tych przypuszczeń, ale nie jest wykluczone, że na przykład haravekowie przy recytowaniu nieraz rozwlekłych poematów posługiwali się quipu. Nie oznacza to bynajmniej, że na quipu miały być zanotowany epos, raczej służyło ono za pomoc mnemotechniczną na podobieństwo różańców w rękach babek klepiących pacierze.

Znajomość quipu była sztuką dostępną tylko nielicznym. Uczono jej w szkołach dla Inków, pod kierownictwem mistrzów zwanych quipucamayoc, którzy ciesząc się powszechną estymą pełnili równocześnie funkcję wysokich urzędników państwowych. Wybitni znawcy tego fachu często stosowali dodatkowo system własnych znaków, co sprawiało, że tak sporządzone quipu mógł odczytać tylko sam autor lub ktoś znający ustny komentarz — szyfr. Podobnie zresztą dzieje się dziś ze stenogramami tych stenografów, którzy stosują sobie tylko wiadome znaczniki. Nic więc dziwnego, że kilkadziesiąt quipu, znalezionych w staroperuwiańskich grobach, w braku klucza milczy z uporem, choć być może ongi zawierały treści pierwszorzędnej wagi państwowej. Pachacutec otaczał opieką znawców quipu, zresztą popierał wszystkie dziedziny nauki i sztuki. Sam zdaje się miał niepośledni talent poetycki, układał drobne liryczne i nieco melancholijne poematy, a na jego dworze nigdy nie brakowało haraveków, ludowych pieśniarzy i opowiadaczy starych tradycji. Mimo braku pisma literatura Inków była wcale obfita i różnorodna. Niestety do naszych czasów niewiele z niej się dochowało. Pierwszych bowiem badaczy folkloru indiańskiego — misjonarzy i kapłanów — szokowały zawarte w niej „pogańskie” treści i nie dbali o dokładne zapisy, zresztą słaba znajomość języka quechua nie ułatwiała im rejestracji tych przekazywanych z ust do ust utworów. Z całej bogatej twórczości prozaicznej za autentyczne uchodzi dziś jedno tylko opowiadanie, spisane w roku 1585 przez Fraya Martina de Murua. Duchowny ten znał doskonale język quechua i indiański folklor, jest też autorem ciekawej historii Inków. Jego informatorami byli starzy amautowie, a czas powstania utworu przypada prawdopodobnie na okres rządów Pachacuteka lub jego syna. Ze względu na wyjątkowość opowiadania, pozwolę sobie przytoczyć je w niewielkim skrócie.





## BAJKA O PASTERZU I PIĘKNEJ KSIEŻNICZCE

W bliźniaczych górach Pitu-siray nad doliną Yucay pasterz strzegł stada białych lam, przeznaczonych przez Inkę na ofiarę Słońcu. Wędrował za stadem i grał na swym flecie, słodko i miękko, nie czując z miłosnych pragnień młodości ani nawet nie wiedząc o ich istnieniu. I tak grał sobie beztrosko pewnego dnia, gdy przyszły doń dwie córki Słońca. W dzień miały one zwyczaj spacerować po zielonych łąkach, a wieczorem wracały do domu. Więc tego dnia właśnie przybyły do miejsca, gdzie wypoczywał pasterz i spytały go o lamy.

Pasterz dopiero teraz je zauważył i przerażony padł na kolana, sądząc, że ma do czynienia z boginkami czterech słynnych w okolicy krystalicznych źródeł. Nie ważył się odezwać. Dziewczęta powtórzyły pytanie, powiedziały, by się nie bał, bo one są dziećmi Słońca, pana całego kraju, i dla dodania mu odwagi wzięły go za ramię. Wtedy pasterz dopiero wstał i ucałował ich ręce. Po dłuższej rozmowie powiedział, że jest już pora zebrać stado,

i prosił o pozwolenie odejścia. Starszą księżniczkę, imieniem „Cień Lancy” — Chuqui-llantu, uderzył wdzięk i piękna postawa młodego pasterza. Spytała o jego imię i skąd pochodzi. Odrzekł, że mieszka w Laris, a na imię ma Acoya-napa. Chuqui-llantu zauważyła na czole pasterza srebrną płytkę, która wydawała delikatne błyski. Przyjrząwszy się bliżej, zobaczyła wyrzyte na niej bardzo wymyślnie dwie dziwne figury, pożerające serce. Spytała pasterza o nazwę srebrnej ozdoby, na co odpowiedział, że jest to *utusi*.

W końcu księżniczka pożegnała pasterza i wracając rozmyślała o tych postaciach tak delikatnie wyrzeźbionych, że wydawały się żywe. Po drodze cały czas rozmawiała o tym z siostrą.

W pałacu służba Słońca przygotowywała właśnie wieczerzę, ale Chuqui-llantu, bardzo zmęczona spacerem, nie chciała jeść. Reszta rodziny wieczerzała z jej siostrą, która nie myślała, by z powodu Acoya-napa można się było martwić. Tymczasem Chuqui-llantu nie mogła zasnąć z wielkiej miłości do pasterza i żałowała, że nie dała mu poznać, co się dzieje w jej piersiach. Wreszcie jednak usnęła.

W pałacu było wiele bogato umeblowanych apartamentów, w których mieszkały kobiety Słońca. Dziewczęta pochodziły z wszystkich czterech prowincji podległych Ince, a mianowicie z Chinchasuyu, Chontisuyu, Antisuyu i Collasuyu. W ogrodzie pałacowym były cztery źródła, płynąc w kierunku czterech prowincji, a każda z kobiet kąpała się w fontannie prowincji, w której się urodziła.

Najpiękniejsza z dzieci Słońca, Chuqui-llantu, zapadła w głęboki sen. Śniła. Zdawało się jej, że widzi słowika *checollo*, skaczącego z drzewka na drzewko i śpiewającego bardzo miękko i słodko. W końcu ptak urwał śpiewkę, sfrunął na dół i rzekł księżniczce, by się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Księżniczka powiedziała, że na jej tęsknotę nie ma ratunku. Słowik poprosił, by mu się zwierzyła ze swych trosk. Więc Chuqui-llantu opowiedziała o wielkiej miłości do pasterza strzegącego białego stadka. Śmierć wydawała się jej nieunikniona. Nie było bowiem innego lekarstwa, jak tylko iść do tego, którego tak śmiertelnie pokochała, a jeśli touczyni, jej ojciec każe ją zabić.

W odpowiedzi checollo kazał dziewczynie powstać i usiąść między czterema fontannami. Tam niech zaśpiewa to, co ma najlepiej w pamięci. Jeśli fontanny powtórzą jej słowa, może śmiało zrobić, na co ma ochotę. Powiedziawszy to ptak odfrunął, a księżniczka przebudziła się. Choć przerażona snem, ubrała się śpiesznie i usiadła między czterema fontannami. I przypominając sobie dziwną ozdobę pasterza, zaczęła śpiewać:

Dwoje zakochanych pożera sobie serca.

Natychmiast wszystkie fontanny poczęły powtarzać ten wiersz. Widząc ich przychylność, księżniczka poszła trochę jeszcze spozczać, całą noc bowiem rozmawiała we śnie ze słowikiem.

Tymczasem młody pasterz wracając do domu miał ciągle w myślach wielką urodę dziewczyny. Wzbudziła w nim miłość, ale martwił się, bo miłość ta była bez nadziei. Wziął więc flet i grał tak rozpaczliwe melodie, że sam wreszcie rozplakał się i lamentował, ciężko wzdychając.

— Aj, aj, aj, nieszczęśliwy pasterzu opuszczony i bez ratunku. Już się zbliża dzień twej śmierci, bo nie ma tu lekarstwa ni żadnej nadziei.

I mówiąc to, także zasnął.

Matka pasterza mieszkała w Laris, mocą swych czarodziejskich darów znała przyczynę rozpacz, w jakiej tonął jej syn, i wiedziała, że umrze, o ile ona nie postara się o pomoc. Poszła więc w góry i o wschodzie przybyła do szalasu pasterza. Syn wyglądał jak umierający, z twarzą zlaną łzami. Zbudziła go, a on opowiedział jej o swej nieszczęsnej miłości. Pocieszała go, jak mogła, mówiąc, by się nie smucił, bo w ciągu kilku dni znajdzie na to środek.

Rzekłszy to poszła między skały i nazbierała zieleń, które leczy rozpacz. Poczęła je warzyć, ale jeszcze nie skończyła gotowania, gdy u wejścia do szalasu stanęły dwie księżniczki. Chuqui-llantu bowiem, po odpoczynku, wybrała się z siostrą na spacer po zielonych górskich stokach. Zmęczone siadły u wejścia, a widząc w środku starą kobietę pozdrowiły ją i spytały, czy nie ma czego do zjedzenia. Matka padła na kolana i poczęstowała je miską zieleń, które dziewczęta zjadły z apetytem.



Po posiłku Chuqui-llantu spacerowała koło szalasu, ale nadaremnie szukała pasterza, którego matka zamieniła w płaszcz. Więc księżniczka myślała, że ukochany pasterz poszedł za stadem. Kręcąc się tak zauważyła płaszcz, bardzo się jej podobał, więc spytała, skąd go matka ma.

Stara kobieta odpowiedziała, że w prastarych czasach należał on do ukochanej dziewczyny Pachacaimaka, bóstwa wielce czczonego w dolinach wybrzeża, i że ona otrzymała go w spadku. Księżniczka, sama nie wiedząc dlaczego, tak czule o płaszcz ten prosić zaczęła, że w końcu stara go oddała. Kiedy Chuqui-llantu wzięła płaszcz w ręce, spodobał się jej jeszcze bardziej. Wkrótce potem pożegnała się ze staruszką i udała się w drogę powrotną, krocząc powoli wśród zielonych łąk i rozglądając się uważnie wokół, czy nie ujrzy tego, za którym tęskniła. Była bardzo smutna, nie znalazła bowiem żadnych śladów pasterza. Po wspaniałej wieczery księżniczka poszła do łóżka i położyła przy nim płaszcz. Myśląc o ukochanym zaczęła żałośnie lkać. W końcu zmęczona zasnęła, a zaraz potem płaszcz przybrał dawną swą postać pasterza. Zaczął wołać ją po imieniu. Przerazona księżniczka wyskoczyła z łóżka i zobaczyła kłęczącego przed nią pasterza. Uradowana, spytała, w jaki sposób dostał się do pałacu. Odpowiedział, że ona sama przyniosła go w płaszczu. Chuqui-llantu uściskała go serdecznie i otuliła koldrą.

Nazajutrz pasterz znów zmienił się w płaszcz. Niosąc go w rękę księżniczka o wschodzie słońca opuściła pałac ojca, a kiedy znaleźli się w górskim wąwozie, Acoya-napa wrócił do normalnej postaci. Ale księżniczkę tym razem śledził jeden ze strażników i kiedy zobaczył, co się dzieje, głośnym krzykiem uderzył na alarm. Kochankowie zbiegli w góry w pobliżu miasta Calca. Wspięli się na szczyt skały i zmęczeni długą wędrówką zasnęli. Zbudził ich niezwykle hałas. Wypatrując, co się dzieje, z twarzami zwróconymi ku Calca, oboje zostali zamienieni w glazy, do dziś pokazywane między Calca i Huayllapampa.



## MIŁOŚĆ I ROKOSZ

Inka Yupanqui Pachacutec podniósł do nie znanego dawniej splendoru własny ród, odgradzając go nieprzebytą barierą od zwykłych śmiertelników. Sam poślubił córkę naczelnika Choco, imieniem Anahuarqui, ale następcę tronu ożenił już ze swą najstarszą córką, a jego siostrą, co odtąd stało się prawem i służyło jeszcze większej izolacji rodziny Jedyne go Inki od reszty społeczeństwa. Oddawano mu cześć balwochwalcą i mógł zaiste mieć się za żywego boga, za jakiego go zresztą prosty lud uważał.

Ale nie wszyscy chcieli się z tym stanem rzeczy pogodzić. Wśród niedawno ujarzmionych szczepów nie wygasły tęsknoty niepodległościowe, urzędnikom i namiestnikom Inki nie zawsze udawało się zdławić tradycje narodowe podległych im plemion. Dla nich władca Tahuantinsuyu był krwawym tyranem i okrutnym des-

potą, a nie ziemskim wcieleniem bóstwa. Rozbijając ciężki dzban o głowę Pachacuteka, służący z plemienia Cuyo nie sądził, że dopuszcza się świętokradztwa, lecz mniemał, że dokonuje aktu zemsty na satrapie. Ciężko zapłacili za to rodacy zamachowca, cały lud został dosłownie starty z powierzchni ziemi, ale Inka właściwie już nigdy nie wyszedł całkowicie z doznanych wówczas obrażeń.

Wola Inki była wprawdzie powszechnie uznawanym prawem, przyjmowanym bez szemrania przez prostych ludzi, ale w najbliższym jego otoczeniu wśród wielkich tego świata trafiała nieraz na opór, który w wypadku gry wielkich namiętności mógł nawet doprowadzić do otwartej rebelii. I tak oto wydarzyło się, że jeden z głównych dostojników państwa opromieniony licznymi zwycięstwami, namiestnik wschodniej prowincji, Apu Ollantay zakochał się w pięknej córce Inki — Cusi Coyllur — „Wesoła Gwiazda”. Dziewczyna darzyła go wzajemnością i kiedy poczęła dziecko, za wiedzą swej matki wzięła potajemnie ślub z młodym bohaterem. Cusi Coyllur była ulubioną córką Inki, ale związek ten starannie ukrywano przed władcą, bowiem Ollantay, mimo wysokiej rangi, nie należał do krwi królewskiej, a znając poglądy Pachacuteka na te sprawy obawiano się straszliwego gniewu Inki. Tymczasem Ollantay odniósł nowe świetne zwycięstwo, przysporzył państwu wielkich zdobyczy, zyskał olbrzymią popularność, sądził więc, że te zasługi zjedną mu łaskę Inki, zwłaszcza że sam pochodził ze starożytnego rodu kacyków Anta, z których córkami dawni panowie Tahuantinsuyu chętnie wchodzili w związki małżeńskie. Zwierzył się tedy ze swej miłości arcykapłanowi Słońca, którego prosił o interwencję. Huillac-umu wychowywał niemal od dziecka Ollantaya, żywił doń wiele sympatii, ale tym razem szorstko odrzekł, że namiętność jego jest grzeszna i bezprawna, a Inka nigdy nie zgodzi się oddać mu córki za żonę. Wtedy Ollantay wyjawiał mu całą prawdę, na co sędziwy kapłan odparł ze smutkiem i nie bez goryczy:

— Och, młody wodzu, a więc ukreśliłeś już sznur twego losu, za późno, by go odplątać. Idź tedy do króla, ale mów krótko i z najgłębszym respektem. Bogowie tylko wiedzą, czy życie, czy śmierć znajdziesz.

Tymczasem w południowych prowincjach wybuchły rozruchy i Pachacutec zwołał radę wojenną, na której dowództwo nad ekspedycją powierzono Ollantayowi. Wykorzystując przychylny moment, nasz bohater poprosił Inkę o rozmowę w cztery oczy. Haravekowie w następujący sposób zapisali ten dialog:

Ollantay: — Wiesz, o najmiłościwszy panie, zem służył ci od młodości. Dochowywałem ci zawsze wiary, a zapłatą była mi twa cenna podzięka. Wszystkie niebezpieczeństwa szczęśliwie pokonałem, dla ciebie stale czuwałem nocami, dla ciebie zawsze byłem w pierwszej linii bitwy i zawsze czoło me tonęło w pocie. Dla twojej sławy byłem dzikim wodzem, wzywałem Antów, by się nie oszczędzali, lecz zabijali i lękiem napelniali kraj, szczerze rozlewając krew pobitych. U przeciwnika imię me jest tak straszne jak stryżek, to ja obciąłem dumne skrzydła Yungom, to ja przypieczętowałem los Chanków, dziś twoich niewolników bez żadnej nadziei. To ja zadałem śmiertelny cios, gdy powstał wojowniczy Huancavilca, naruszając twój dostojny spokój, i ja tego zdrajcę rozciągnąłem. Ollantay zawsze prowadził awangardę tam, gdzie losem wojowników była śmierć. Ollantay zawsze był na przedzie, gdy uparty wróg pierzchał w popłochu. Dziś wszystkie plemiona kłonią się przed tobą, niektóre narody dają się pokojowo prowadzić, te zaś, które się opierają, tych rozlewa się krew — ale wszystko to, o królu, mnie się zawdzięcza. O Jedyny Inko, wielkie i piękne nagrody mi przypadły, ja wiem, twa wdzięczność i podziękę, i złota siekiera. Inko, dałeś mi władzę i rządy nad całą rasą Antów, a twoim, wielki królu, jest cały ich kraj.

Dumna przemowa dość znacznie odbiegała od rad arcykapłana, więc Ollantay się zreflektował i padając na kolana kończył pokorniejszym już tonem:

— Twój niewolnik — schylam się przed twym rozkazem, niechaj wola twoja pieczętuje mój los. O królu, wielkie są moje zasługi i błagam cię o ostatnią łaskę. Proszę o rękę Cusi Coyllur, jeżeli zdobyłem miłość księżniczki. O królu, będziesz zawsze miał wiernego syna, bez bojaźni, sprawdzonego w próbach, na twe rozkazy.

A na to Pachacutec, jeszcze spokojnie, choć już w gniewie:



— Ollantay, nie pozwalaj tak sobie. Jesteś zwykłym poddanym, niczym więcej. Pamiętaj, zuchwalcze, czym jesteś, i naucz się trzymać właściwego ci miejsca.

Ollantay: — Więc uderzaj w serce.

Pachacutec w najwyższym rozdrażnieniu:

— Do mnie, nie do ciebie wybór należy. Nonsensowne żądania. Wynos się!

Oburzony wzdargą monarchy Ollantay opuścił Cuzco, przysięgając, że pewnej nocy stolica „zaśnie na krwawym posłaniu”. Na rozkaz zaś Inki nieszczęsna księżniczka została osadzona w celi więziennej klasztoru „Dziewic Słońca” i całkowicie odcięta od świata.

Na północny zachód od Cuzco nad płynącą głębokim kanionem rzeką Urubamba w cudownej scenerii wznosiły się gigantyczne granitowe bloki prastarej fortecy. Tu Ollantay urządził swą rezydencję, przy pomocy wiernych plemion z Antisuyu znacznie rozbudował warownię, która od jego imienia wzięła nazwę Ollantaytampu. I tu przez swoich zwolenników, do których dołączyli się miejscowi górale, został proklamowany Inką. Pachacutec wysłał na stłumienie rebelii wodza „Kamienne Oko” — Rumiñavi, ale wojska z Cuzco wpadły w zasadzkę i poniosły sromotną porażkę.

Mijały lata, Ollantay trzymał się wciąż w swej niedostępnej warowni i nie miał żadnych wiadomości od ukochanej.

Tymczasem w Cuzco w klasztorze „Dziewic Słońca” dorastała ich córka Yma Sumac — „Jak Piękna”. Dziewczynka zupełnie nieświadoma swego pochodzenia skończyła już dziesięć lat i nadchodził czas podjęcia decyzji, czy na zawsze ma pozostać w acclahuasi. Ale Yma Sumac źle się czuła w surowej klauzurze, tęskniła za nie znanym jej światem i najchętniej czas spędzała na ukradkowym przyglądaniu się ulicznemu życiu. Pewnego popołudnia u bramy znalazła ją starsza o kilka lat accla, imieniem Pitu Sailla, zresztą bardzo jej przyjazna. Zaczęła jej wszakże wyrzucać, że tyle czasu spędza na podpatrywaniu miasta, i tłumaczyć, że tylko tu można znaleźć szczęście, powinna więc przyjąć śluby. Na co Ymie Sumac zakrepiły się łzy w oczach i dziewczyna zaczęła się cicho skarżyć:

— Wciąż mi to samo mówisz i wciąż to samo radzisz. A przecież wszystko tu napelnia mnie przerażeniem i wstrętem. Spójrz na ulice, dlaczego ludzie się tam śmieją. Dlaczego, dlatego, że nie są tu. Słuchaj, dziś nocą nie mogłam spać. Wyszłam do ogrodu i tam w głębokiej ciszy słyszałam jęki, szloch i płacz. W uszach je noszę dzień cały. Ja się boję, ja się boję. Dlaczego wszyscy mają matki, a ja nawet nie znam jej imienia? Czy dlatego mam być na wieki niewolnicą, otoczoną strachem?

Yma Sumac mówiła to tak rozdzierającym tonem, że z kolei Pitu Salli stanęły łzy w oczach. Aclla miała dobre serduszko i już zamierzała zdradzić tajemnicę, gdy rozmowę przerwało nagłe zjawienie się surowej mamacony.

W parę dni później Pitu Salla odkryła dziewczynce całą prawdę i tej samej nocy zaprowadziła ją w głąb ogrodu, gdzie w podziemnym lochu więziono jej matkę.

Tymczasem schorowany Pachacutec zmarł po wieloletnim panowaniu, a nowym władcą został Tupac Yupanqui. Przez wiele lat przebywał on na dalekich wyprawach wojennych i nie bardzo orientował się w wypadkach w Cuzco. Po uroczystościach koronacyjnych i zapoznaniu się z sytuacją rozkazał Kamiennemu Oku skończyć wreszcie z rebelią Ollantaya.

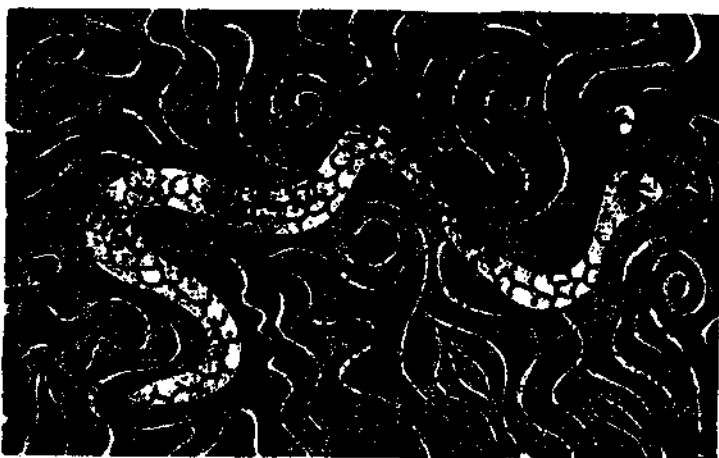
Rumiñavi na własnej skórze poznał wodzowskie talenty buntownika i wiedział, że trudno mu będzie zdobyć kompleks potężnych fortyfikacji. Postanowił tedy uciec się do podstępów. Oddziały swoje podprowadził cichaczem w pobliże Ollantaytampu i ukrył je w okolicznych wąwozach. Sam zaś w podartej odzieży i z poranioną twarzą stanął przed samozwańczym Inką, przedstawiając się jako ofiara okrucieństwa nowego władcy. Ollantay wzruszył się niedolą swego dawnego przeciwnika, przyjął go serdecznie, witając w nim sojusznika własnej sprawy.

W parę dni później przypadło wielkie doroczne święto Słońca — Raymi. Jak kazał zwyczaj, zakończyła je orgiastyczna biesiada. Rumiñavi udawał, że bierze udział w pijatyce, lecz kiedy nocą wojownicy pokotem leżąc odsypiali ciężkie pijaństwo, otworzył bramy, wpuścił swych ludzi i bez trudu opanował buntownicze gniazdo. Wiadomość o bezkrwawym zwycięstwie wywołała burzę radości w Cuzco, a zachowanie się Tupac Yupanquiego zdu-

miało wszystkich. Wprawdzie Inka sownie wynagrodził zasługi Kamiennego Oka, ale, być może powiadomiony przez arcykapłana o kulisach rebelii, kazał zwolnić Ollantaya z więzów i, co więcej, przywrócił go do dawnych godności.

Właśnie dwór huczał od owacji na cześć wielkoduszności monarchy, gdy przez strażę przedarła się młodzianka dziewczynka, niezwyklej urody, i rzucając się do nóg Inki, ze szlochem błagała o ratunek dla matki więzionej w ciemnicy domu „Dziewic Słońca”. W kilka chwil później ze zdumieniem rozpoznano w wynędziałej więźniarce Cusi Coyllur, o której sądzono, że już od lat nie żyje. W ten sposób Inka odzyskał siostrę. Ollantay połączył się z żoną i córką, którą dopiero teraz po raz pierwszy ujrzał, a miłosno-polityczna przygoda skończyła się isticie filmowym happy endem.

Opisane tu wypadki stanowią treść najsłynniejszego dramatu w literaturze quechua. Wersje hiszpańskie sztuki pochodzą ze schyłku XVIII względnie z początku XIX wieku i nie są wolne od późniejszych interpolacji, co niektórym badaczom dało asumpt do twierdzenia, że utwór jest apokryfem, opartym wprawdzie na legendach inkaskich, ale wzorowanym na manierze hiszpańskiej komedii „płaszczka i szpady”. Rzeczywiście np. występujący w „Apu Ollantay” spryciarz i dowcipniś „rączonogi” paż Ollantaya, Piqui Chaqui, uchodzić może omal za kopię sprytnego sługi Gracioso z kastylijskiej sceny. Niemniej jednak analiza filologiczna tekstów oryginalnych potwierdza starożytność utworu, przynajmniej w jego głównych partiach.



## WIELKI SYN WIELKIEGO OJCA

W późniejszych latach, zajęty wewnętrznymi sprawami państwa, Pachacutec nie brał osobiście udziału w wyprawach wojennych. Ale wojska jego prawie nieustannie walczyły we wszystkich stronach świata. Po opanowaniu południa główną uwagę skierował Inka na północną prowincję Chinchasuyu, zamieszkaną przez liczne i wojownicze plemiona górali. Skierował tam zdolnego wodza Capac Yupanquiego, w którego armii znajdował się spory oddział Chanków pod wodzą Ancoayllu. W ciężkich walkach z tamtejszymi szczepami Chankowie przechylili szansę zwycięstwa na stronę Inków i ich brawurze Capac Yupanqui zawdzięczał ocalenie z beznadziejnej już wydawało się sytuacji. Ale wysłany do Cuzco pochwalny meldunek o męstwie Chanków wywołał bezprzytomny gniew Inki. Pachacutec nie mógł znieść, że jego dawni przeciwnicy okazali się lepszymi żołnierzami, i wysłał potajemny rozkaz podstępnego wymordowania wszystkich Chanków.

Kiedy *ch asqui*\* recytował późnym wieczorem to krwawe polecenie wodzowi, z namiotu wyszła drobna postać kobieca.

\* *Ch asqui* — goniec sztafetowy poczty Inków.

Z bladym księżycem w gęstej aureoli wisiała mroczna noc, ale dziewczyna zrećnie wymijała posterunki Inków i w kilkanaście minut później dotarła do niewielkiego obozu Chanków. Ancoayllu — Capac Yupanqui żonaty był z jego siostrą — zrazu nie chciał wierzyć, by za jego zasługi tak potworną miano zapłacić podłością, gdy jednak Indianka oświadczyła, że w obawie o własne życie ucieknie z nim razem, nie tracił więcej czasu. Wygaszono ognie i kilkuset wojowników rozpoczęło mozolną wędrówkę, znajdując nową ojczyznę w puszczech montanii \*, gdzie w trudno dostępnej krainie nad dolnym biegiem rzeki Huallaga ponoć do dzisiaj żyją ich potomkowie.

Nazajutrz raniem Capac Yupanqui rozmyślał właśnie nad sposobem wykonania rozkazu i zastanawiał się, czy obejmuje on także jego żonę, kiedy zaraportowano mu ucieczkę Chanków. Wódz szalał ze wściekłości, zwinął obóz i szybkim marszem całą siłą ruszył w pościg. Ale ślady zrazu dość wyraźne, niedługo gubić się zaczęły w skalistych wąwozach, w bagnistej dżungli, na trzęsawiskach, w królestwie węży i pijawek. Wkrótce stracono orientację, ale wódz wciąż popędzał armię do forsownego marszu.

Wreszcie u stóp wzgórzy Cuntur-cunca tamę pochodowi stawili bitni Morochukowie. Pobojuwisko od nieprzeliczonego trupa otrzymało nazwę „Zakątka Zmarłych” — Ayacucho, a w blisko czterysta lat później w tym samym miejscu stoczono bitwę, która Peru przyniosła niepodległość. Zagrzany sukcesem Capac Yupanqui pędził na karkach uciekinierów aż do stóp nadmorskiej kordyliery. Tu ostatecznie zrezygnował z rewanzu na zbiegłych Chankach i postanowił uratować się przed gniewem Inki niezwykłymi zdobyczami. Podbił żyzny kraj Huanków, zajął dolinę Rimac, podporządkował sobie inteligentne ludy Yauyo i Huarochiri, które nad oceanem stworzyły miejskie ośrodki o dość wysokiej cywilizacji. Otarł się o wielkie jezioro Chinchay-cocha, wszedł do Huanuco, ciągle zwycięski wtargnął hen na północnym wschodzie w lasy dorzecza Marañonu. W walkach z leśnymi ple-

\* Hiszpańska nazwa wschodniego Peru, pokrytego wilgotnymi lasaim równinowymi.

mionami to znów górskimi szczepami gromadził ogromne łupy i wreszcie stanął wśród chłodnych pól dalekiej Cajamarki.

Ekspedycja trwała już prawie dwa lata i znacznie przekroczyła wyznaczony jej termin. Capac Yupanqui uznał więc, że pora wracać, a że nigdy jeszcze w historii żadna armia nie zawojowała tylu ziem i żaden wódz nie wiódł z sobą tylu zdobycznych bogactw, szedł spokojnie, ba, ufny, że Inka nie odmówi mu nowych zaszczytów.

Jakże się srodze mylili!

Inka, dzięki dobrze zorganizowanej poczcie szybkobiegaczy, doskonale orientował się w ruchach armii. Nie odwoływał jej, bowiem Capac Yupanquiemu służyło nadzwyczajne szczęście wojenne — stoczył setki bitew, ani jednej nie zanotował poważniejszej porażki. A kraje, które przemierzał, bogaty płaciły mu haracz. Ale Inka ma i musi mieć jedno tylko słowo.

Więc o parę dni drogi od Cuzco zwycięską armię spotkał Apo, dowódca przybocznej gwardii Inki. Capac Yupanqui podszedł do łektyki dostojnika. Apo chłodnym spojrzeniem lustrował steraną bojowym trudem twarz wodza.

— Przynoszę ci śmierć — powiedział obojętnie.

— Dlaczego? — ciekawość, nie obawa dźwięczała w głosie wysłuchanego wojownika.

— Czyż nie pozwoliłeś uciec tym psom Chankom? Czy miałeś pozwolenie iść tak daleko i tak późno wracać?

Capac Yupanqui schylił głowę.

Apo zwrócił się do straży:

— Brać go.

Wódz uczynił gest ręką.

— Jedna chwila. Muszę zdać komendę Huaynie.

— Któż to taki? — spytał Apo.

— Mój młodszy brat.

— Dobrze — powiedział wysłannik Inki.

A kiedy Huayna się zbliżył, Apo rozkazał strażnikom:

— Weźcie i tego.

W parę minut później kat ściał głowy obu braciom. Rozkaz Inki bowiem lub jego specjalnego wysłannika był prawem, wykonywanym natychmiast i bez zbędnej zwłoki.

Podczas swej tak niefortunnie zakończonej wyprawy Capac Yupanqui otarł się o południowe rubieże państwa Chimu. Niewiele pewnego wiemy o jego początkach. Sama nazwa — pierwotnie Chimor — jest lokalnym mianem dzisiejszej doliny Trujillo. Według legend, w bardzo dawnych czasach, na wybrzeżu zatoki Guayaquil wylądował z rodziną cudzoziemski książę Tacanaymo, który nauczył się miejscowego języka i córki swe wydał za mąż za tubylczych kacyków. Tacanaymo stał się założycielem dynastii osiemnastu królów, którzy wpływy swe na wybrzeżu stopniowo rozszerzali od granic Ekwadoru aż w okolice doliny Rimac, czyli dzisiejszej Limy.

Głównym ośrodkiem tego państwa było Chanchan, wielkie miasto zajmujące prawie 20 km<sup>2</sup>. Archeolodzy datują jego założenie na IV—V wiek, ale szczyt rozkwitu osiągnęło w XIV i XV wieku. Stolicę przecinała gęsta sieć ulic, wodociągów i kanałów, a dziesięć dzielnic otoczonych wysokim murem wyznaczało zapewne granice zajmowane przez różne klany. Ściany murów, jak i wspólniejszych budynków pokrywały realistyczne płaskorzeźby zwierząt, a także arabeski o motywach geometrycznych. Na piramidach z cegieł wznosiły się niewielkie i niezbyt liczne świątynie. W mieście nie brakowało parków i ogrodów, a ruiny dziś pozostałe i przy pracach wykopaliskowych znajdowane przedmioty ze złota świadczą o bogactwie stolicy i jej mieszkańców.

Państwo Chimu nie wykazywało ambicji rozszerzania się w głąb kraju, jego ekspansja trzymała się wąskiego stosunkowo pasma wybrzeża, co zdawałoby się świadczyć, że głównym zajęciem ludności obok rolnictwa było rybołówstwo.

Najwyższą cześć oddawano księżycowi — Si. Uważano, że jest potężniejszy od słońca, którą nie świeci w nocy, podczas gdy księżyc pojawia się także w dzień. Do bóstw zaliczano również ocean — Ni, oraz ziemię — Vis. Zdaje się, iż przedmiotem kultu były też niektóre gwiazdy.

Religia zresztą w państwie tym nie odgrywała tak wszechpotężnej i wszechprzenikającej życie roli jak u Inków. Bóstwom składano ofiary w postaci kwiatów, mąki kukurydzianej, owoców i w rzadkich wypadkach dzieci ubranych w kolorowe stroje. Wierzono w nieśmiertelność, ale pod warunkiem zachowania ciała zmarłe-

go. Zwłoki mumifikowano starannie i przechowywano w grobowcach, tworzących wielkie nekropole w pobliżu ośrodków miejskich. Także dwie wyspy przybrzeżne Macabi i Guanape przez tysiąc lat były grzebalnymi miejscami dostojników Chimu.

Wysoki poziom osiągnęła metalurgia, znano technikę odlewu, stopu i złocenia. Narzędzia i sprzęt rolniczy wyrabiano z brązu. Z tegoż materiału bądź z miedzi sporządzano ostrza lanc i oszczepów oraz głowice maczug. Uzbrojenia dopełniały podługowate tarcze, plecione z grubej rogoży.

Do wielkiego mistrzostwa doszli jubilerzy Chimu. Ich delikatne wytworne puchary ze złota pokrywały anaglify\* o często nader frywolnych scenach. Znany jest srebrny naszyjnik, którego prawie sto ogniów przedstawia miniaturowe pelikany, przy czym każdy ptak ujęty jest w odmiennej postawie, co nie tylko o biegłości artystycznej, ale równocześnie i o talencie obserwatorskim świadczy. Wiele wyrobów jubilerskich przypomina zabawki, np. ten, który przedstawia dziecko bujające się w hamaku rozpiętym między dwoma drzewami, podczas gdy po ich pniach wspinają się węże.

Mieszkańcy Chimu kochali się w strojach. Kolorową odzież z delikatnej bawełny tłoczonych w różnorodne wzory kroili w fantazyjne modele, nie żalowali przy tym złotych i srebrnych ozdób. Stosowali również haft z niebieskiego i złotego pierza. Posiedli także umiejętność układania misternych mozaik z wielobarwnych piór, a ich szyszaki bogactwem i pomysłowością przewyższają wszystko, co w tej dziedzinie wymyślili Indianie obu Ameryk.

Ale wszelkie rekordy mistrzostwa pobili Chimu w ceramice. Ich gliniane naczynia w kolorach białym, czarnym, szarym i różowym modelowane w nieprzeliczonych kształtach stanowią dziś prawdziwą ozdobę muzeów całego świata. Garncarze ci musieli być ludźmi nie pozbawionymi poczucia humoru i często dla zabawy czy żartu stosowali różne sztuczki techniczne. Znalezione np. podwójną wazę, której ucho w postaci fontazia łączącego obie części wydaje gwizd, gdy poruszyć napelnione wodą naczynie. Malowidła na ceramice Chimu dają pełny przegląd fauny i flory

\* Anaglif (z gr.) — płaskorzeźba na pucharach, dzbankach itd.



wybrzeża i stanowią prawdziwy almanach obyczajów, kronikę życia codziennego i społecznego starych mieszkańców tego rejonu. Mimo znacznego rozwarstwienia klasowego musiał to być lud wesół, skłonny do zabaw, rozmiłowany w zbytku i nie gardzący uciechami zmysłowymi. Wysokie miejsce w społeczeństwie tym zajmowała kobieta, która mogła nawet sprawować władzę polityczną. Radość życia, jeśli tak rzecz można, filozofia doczesności cechująca tę cywilizację, jej wyrafinowanie artystyczne zbliżają ją wielce, rzecz nieoczekiwana, do kultury kreteńskiej, co oczywiście nie oznacza możliwości istnienia prehistorycznych kontaktów między kręgami kulturowymi indiańskim i śródziemnomorskim.

O bogactwach i luksusie, w jakim żył Chimu Capac — „Wielki Chimu” (tak nazywali Inkowie władcę tego państwa), krążyły bajeczne opowieści, potwierdzone zresztą w znacznej części przez wyprawę Capac Yupanquiego. Pachacutec tedy wysłał swego syna Tupaka pod opieką słynnych wodzów na podbój tych terytoriów. Olbrzymia armia z taborem liczącym dziesiątki tysięcy tragarzy i służby ruszyła więc na północ utartym szlakiem. Przez długie tygodnie cuzkańczycy za jedynego przeciwnika mieli klimat i trudne warunki drogowe. Roku tego bowiem wyjątkowo dokuczliwe burze szalały na paramosach, a grad padał prawie bez ustanku. Z uczuciem ulgi wreszcie wojsko ujrzało u swych stóp zieloną i żyzną dolinę Cajamarca. Nieoczekiwanie jednak mieszkańcy, sprzymierzeni z królestwem Chimu, stawili silny, choć krótkotrwały opór. Możliwość wypoczynku w pięknej okolicy przyszło więc okupić znacznymi stratami.

Po paru tygodniach rekreacji wojsko podjęło marsz. Celem był kraj „Silnych Mężów” — Chachapoya, słynący z kopalń złota i niezwyklej urody kobiet o cerze białej jak u Europejsek. Chachapojowie bronili się dzielnie w niewielkich warownych obozach górskich. Miesiące mijały, a Tupac nie mógł odnieść poważniejszego sukcesu nad niezłomnymi góralami. Wreszcie stanął pod murami głównej fortecy Pias. Szturm nie napotkał żadnego oporu. W warowni znaleziono tylko umierających z głodu starców, dzieci i chorych. Okazało się, że wojownicy oraz młodsze kobiety zabrali wszystkie zapasy żywności, by nadal prowadzić

walkę partyzancką. Tupac pozostawił tu silną załogę i skierował się ku wybrzeżu. Przejście przez „Fatalną Przełęcz” — Chirmac-casa — kosztowało go więcej ofiar niż wszystkie dotychczasowe potyczki. Wśród piekielnego chłodu z trudem utorowano sobie wreszcie drogę przez śniegowiska, ale lawiny porwały w przepaść setki wojowników i obozowych ciurów.

Po tych przejściach walki z plemionami Palta i nadmorskim ludem Tumbez, lennikami królestwa Chimu, wydawały się beztrząsą zabawą. Ale dalej na północ, już na terenach dzisiejszego Ekwadoru, dzikie plemiona leśnych Indian nie miały dla syna Inki najmniejszego respektu.

Sławą wielkich wojowników cieszył się tu zwłaszcza szczep Cañari, znany ze spiczastego kształtu czaszek. Deformację tę uzyskiwano sztucznie, ściskając głowę noworodka dwiema deseczkami aż do trzeciego roku życia. Cañari rzeczywiście stawili gwałtowny opór, a w jednej z bitew zadali nawet Inkom dotkliwą porażkę. Ostatecznie zawarto z nimi pokój, którego jedyną korzyścią było udzielone przez nich zezwolenie na założenie posterunku w Tumipampa.

Tu usłyszano o szmaragdowych bogactwach prowincji Manta, więc Tupac do nowych walk znów poderwał swe oddziały. Łup w drogocennych kamieniach przeszedł wszelką imaginację, ale zdobycz okupiono poważnymi stratami w ludziach. Nie zrażony tym Tupac skierował się przeciwko dzikiemu szczepowi Cara. Mieszkańcy tropikalnych nizin, odłam ludożerczych Karaibów z północnych wybrzeży Ameryki Południowej, przybyli nad Ocean Spokojny już w X wieku pod wodzą legendarnego przodka Carana, od którego wzięli imię. Męstwem i techniką wojenną górowali nad miejscową ludnością i wkrótce stali się postrachem wybrzeża. Chodzili prawie nago i nie mieli stałych osiedli, mieszkając przeważnie w naprędce kleconych szałasach leśnych. Pomawiano ich o ludożerstwo, a ich zatrute strzały budziły powszechny respekt. O wyostrzonych zmysłach i przebiegłości dzikiego kota, byli mistrzami walk w puszczech, które chętnie prowadzili z wysoka, przywykli bowiem do nadrzewnego życia. Inkowie nigdy dobrze się nie czuli w dżungli, po kilku tedy próbach zaniechali podboju, uważając, że dzikusie nie są godni wyższej cywilizacji.

Niepowodzenia także spotkały Tupaka w kraju Huancavilca. Bardzo żyzna i dobrze nawodniona prowincja ta leżała na północ od Tumbes, ale poza mnogością różnorodnej zwierzyny nie odznaczała się żadnymi bogactwami naturalnymi. Lud zaś ją zamieszkujący należał do najdzikszych, z jakimi kiedykolwiek zdarzyło się spotkać wojskom Inki.

Tutaj doszły Peruwiańczyków wiadomości o znajdującym się za górami potężnym i możnym państwie Puitu. Informacje te były jednak nader mgliste, im dalej na północ zapuszczało się wojsko, tym uboższe zdobywało tereny, w bagnistych nizinach tropików Indianie z płaskowyży andyjskich zapadali masowo na śmiertelne choroby. Armia od kilku już lat znajdowała się na wojennej wyprawie, a główny cel ekspedycji — zajęcie królestwa Chimu — nie został osiągnięty. Biorąc pod uwagę te właśnie momenty, wodzowie postanowili poniechać dalszych zdobyczy na północy i zarządzili powrót, założywszy uprzednio w Tumbes silną bazę dla utrzymywania w ryzach nowo podbitych ludów.

Już nieraz w przeszłości Inkowie zahaczali o rubieżę krain należących do państwa Chimu. Władcy jego, jak mówiliśmy, nie mieli ambicji rozszerzania swej domeny w głąb kraju. Ich ekspansja zarówno w północnym, jak i południowym kierunku trzymała się pobrzeża morskiego. Wiedziano o istnieniu na południowym wschodzie dobrze zorganizowanego i wykazującego zaborcze tendencje państwa Inków. I od tej też strony stworzono system potężnych fortyfikacji obronnych. Uderzenia od północy nie brano w ogóle w rachubę. Pojawienie się tam wroga wywołało olbrzymią panikę w najbardziej na północ wysuniętych osiedlach. Cuzkańczycy prawie spacerem zajęli jedną trzecią państwa, zanim ostatni niepodległy władca Minchanzaman zdołał zorganizować opór. Odtąd toczono zacięte walki o każdą dolinę, ale Inkowie prowadzili je w sposób bezwzględny, niszcząc pola uprawne i burząc bałwochwalnie\*. Po zdobyciu stolicy Chanchan nie zostawiono kamienia na kamieniu, wreszcie Inkowie zagrozili zerwaniem całej siatki irygacyjnej tego państwa, co równałoby się zamienieniu w pustynię kwitnącego kraju. Przed

\* Bałwochwalnia — świątynia pogańska.

tą groźbą ugiął się Minchanzaman i zawarł układ ze zwycięzcą. Państwo Chimu zostało wcielone do imperium Inków z pozostawieniem jako gubernatora prowincji syna Minchanzamana. On zaś sam i wielu znakomitych garncarzy i innych mistrzów rzemieślniczego kunsztu zostali deportowani do Cuzco.

Na południe od Chimu wzdłuż wybrzeży ciągnęła się żyzna kraina Chinchu. Ongi była to jałowa pustynia, którą pracowitość i niezwykle talenty hydrotechniczne mieszkańców przemieniły w zielen ogrodów. Pierwotna ludność tego wybrzeża — plemię karłów, jak głoszą legendy, nie wyższych niż dwa łokcie — została wytępiona przez przybyszy z dalekich ziem, którzy mówili dialektami języka quechua. Cztili oni różnych bogów, z których największą sławą cieszyło się bóstwo ryb — Pachacamac, identyfikowany później z Huiracochą. Inkowie już dawniej znajdowali się w kontakcie z Chinchami i nawet częściowo udało się im narzucić niektórym plemionom zwierzchnictwo. Konfederacja Chinchu prowadziła częste wojny z Chimu, przeciwstawiając się ich ekspansji w kierunku południowym. Zniszczenie tego państwa przyjęli Chinchowie z radością i dobrowolnie uznali władzę Inki. W tym sukcesie dużą zapewne rolę odegrał takt dyplomatyczny Tupaka. Zgodził się on bowiem na szczególny synkretyzm religijny, a mianowicie wprowadzając kult Słońca zachował system wierzeń lokalnych, uznając Pachacamaka za równorzędne Słońcu bóstwo.

Opisana tu niezwykła wyprawa trwała lat siedem. W porównaniu z pochodami Aleksandra Wielkiego trudno więc nazwać ją błyskawiczną. Ale wódz Macedończyków prowadził zdobycze wojny w krajach wysokiej kultury, szedł wybornymi szlakami komunikacyjnymi, przy których kupiły się bogate miasta, skąd mógł czerpać wszelkie zasoby. Natomiast marsz Inków wiódł przez dziką płataninę równikowej dżungli, przez bagniste, tchnące febrą niziny subtropików, przez lodowe pola Andów, górskie rozpadliny i pustkowia, o których topografii i warunkach klimatycznych, a także mieszkańcach nic lub prawie nic przedtem nie wiadano. Żeby więc w ogóle możliwe było posuwanie się naprzód, należało bić drogi, przerzucać mosty, karczować lasy, osuszać mokradła, zakładać warownie, które zabezpieczając ar-

mii były jednocześnie służyły za stacje komunikacyjne z krajem. Trzeba było uprawiać ziemię, siać i zbierać, gromadzić żywność, w najtrudniejszych warunkach terenowych i klimatycznych tworzyć sieć baz militarnych, ba, fabrykować oręż, aby wypełnić luki w zniszczonym sprzęcie. I to wszystko w ciągłych walkach z przeciwnikiem, o którego sile i technice wojennej wiedziano bardzo mało. Słowem, z trudem wojownika w ciągłej parze szedł mózół cywilizatora. I tą skalą mierzone wyprawy Inków, zwłaszcza do Chinchasuyu, zaprawdę niewiele sobie znajdują równych w dziejach świata.

Z entuzjazmem witało Cuzco powrót zwycięskiej armii, obladowanej bajecznymi łupami w szlachetnych kruszcach i drogocennych kamieniach. Z podziwem przyglądało się miasto dziwnym strojom i małym jeńców, osobliwym zwierzętom i nieznanym okazom flory, masie egzotycznych towarów. Długo nie milkły wiwaty na cześć bohaterskich wodzów, których imiona nie schodziły z ust mieszkańców.

Ale popularność w kraju, rządzonym wołą despoty, jest sławą niebezpieczną. Pachacutec wydał wspaniały bankiet na cześć zwycięzców, ale nazajutrz spadły głowy dwóch jego kuzynów-dowodców, oskarżonych o przekroczenie rozkazów, zbytnią mitręgę i niepotrzebne narażanie syna Inki na niebezpieczeństwa. Na dworze władców peruwiańskich bowiem w stosunku do własnej rodziny chętnie stosowano metody znane z historii tyłu sułtanów i kalifów.

Pachacutec, już dobrze podeszły w leciech, zachorował poważnie, a że choroba ta zbiegła się ze straszliwym trzęsieniem ziemi i gwałtownymi wybuchami wulkanów Misti i Chachani, uznał to za prognostyk bliskiej śmierci, postanowił więc oficjalnie proklamować swego następcę.

W Tahuantinsuyu z reguły władza przechodziła na najstarszego syna, ale zasada ta w przeszłości bywała łamana, czego przykładem był sam Yupanqui. Z racji pierworództwa prawo do tronu miał przede wszystkim Amaro. Wyróżnił się on w paru wyprawach jako zdolny wódz, ale nad zawód wojownika przekładał pracę budowniczego i agronoma. Młodzieniec był romantycznego

usposobienia, a historię jego małżeństwa opowiadało sobie całe Cuzco.

Oto pewnego razu Amaro uczestniczył w rycerskich grach, zajął pierwsze miejsce w ćwiczeniach i z rąk pięknej dziewczynki Cusichimpo brał nagrodę. Uroda jej oczarowała syna Inki, który zakochał się w niej bez pamięci. Nusta pochodziła ze starożytnego, zasłużonego w historii Tahuantinsuyu rodu, ale odrzuciła zaloty księcia. Amaro rozpaczal, unikał ludzi, całymi dniami wałęsał się samotnie po lasach i opłakiwał swój los. Kiedyś w takiej wędrówce znalazł się nad brzegiem dzikiego źródelka. Zapadł wieczór i wstała noc tak jasna, że na niebie widać było wyraźnie nawet białe karły\*. Głęboka czern wodnej tafli fascynowała nieszczęśliwego kochanka. Zdawało mu się, że coś go ciągnie, zaprasza, popycha. Zrozpaczony młodzian postanowił w topieli poszukać ukojenia dla swęgu bólu. Już zbierał się do skoku, gdy wtem ujrzał na wodzie idącego statecznie na długich, szczudłowatych nogach wielkiego topika, zwanego cusi-cusi. Skojarzenie tubylczej nazwy pająka z imieniem ukochanej zdało się Amaro dobrym znakiem i chłopak poniechał samobójczych myśli. Usiadł znów nad brzegiem. Po niedługiej chwili usłyszał blisko szelest. Wnet zobaczył dwa goniące się węże. Samica uciekała szybko, ale zdumiony książę ujrzał, że goniący ją samiec zerwał jakiś biały kwiat i kiedy dotknął nim towarzyszkę, ta stanęła bezwolna i nieoporna. Amaro porwał porzucone kwiecie i pobiegł do Cuzco, z niecierpliwością oczekując świtu. Wiedział, że o tej porze Cusichimpo zwykła iść do rzeki, czatował więc na nią na znanej ścieżce. Kiedy nadeszła, zniemacka uderzył ją magicznym kwiatem. Dziewczyna krzyknęła ze strachu, a w chwilę potem nie mogąc oprzeć się nagle rozbudzonej miłości zarzuciła ramiona na szyję Amara, który niebawem ją poślubił. Leśne zaś jezioro na pamiątkę tego wydarzenia nazwano jeziorem Srebrnych Węży. Historię tę znał także Pachacutec i surowy władca uznał, że tak sentymentalnemu osobnikowi nie można powierzyć rządów nad państwem. Zwoławszy tedy radę rodzinną z udziałem starszyzny oznajmił, że swymi następcą mianuje Tupaka. Opasał mu czoło

\* Białe karły — bardzo małe, trudno dostrzegalne gwiazdy.

czerwonym llautu i wręczył złote berło — t u p a c y a u r i, a następnie dostojnicy Inków zaprowadzili nowego władcę do świątyni Słońca, gdzie kapłani dopełnili przepisanych obrzędów. Jeszcze nie zakończyły się uroczystości koronacyjne, kiedy Pachacutec nagle wyzdrowiał, poczuł się znów zupełnie dobrze i uznał, że nie warto przedwcześnie oddawać władzy. Kazał więc synowi zamieszkać w Coricancha, by u świątłych amautów czerpał wiedzę o sztuce rządzenia tak wielkim państwem. Sam zaś przez wiele jeszcze lat krzepko dzierżył ster władzy.

Wreszcie zmarł, osierocając z przybocznych żon i licznych konkubin prawie trzysta dzieci, co — jak tłumaczyli indiańscy informatorzy hiszpańskim kronikarzom — „wcale nie jest za dużo na tak wielkiego monarchę i tak długie panowanie”.

Tupac, który przy koronacji przyjął także imię Yupanqui, w dawniejszych wyprawach wojennych poznał trzy dzielnice Tahuantinsuyu, obcy był mu tylko wschód i właśnie do Antisuyu wyruszył z pierwszą swą jako Inka wyprawą.

Kraina ta leżała za stokami wschodnich Andów, porośnięta tropikalnym lasem. Wrota — p u n c u — do niej otwierały potężne rzeki, dopływy Amazonki, które prądem swych wód złobily w masywach górskich katarakty. Wnętrze Antisuyu zajmuje olbrzymi pierwotny las, las niezmożony, który szydzi sobie z trzebieży i ognia. Królestwo lian, orchidei, tysiąca potężnych drzew, przetykanych smukłymi pniami palm, władztwo mrówek i termitów, kolibrów i papug, setek małp, gadów i płazów, aligatorów i ohydneho robactwa. Przez pół roku prawie bez przerwy wisi w powietrzu mokra ściana cienkich nitek deszczu, a las stoi pod wodą utyłany w mokradle i bagniskach. Woń zgnilizny i butwiełli głuszy wytworny aromat kwiatów tak pięknych, że aż nierealnych. Szaleństwo kolorów do granic wyuzdania. Muzyka dziwnych szmerów i szelestów, jadowitych syków, świstów i gwizdów, głosów, w których dźwięczy nie wiadomo: chichot czy może płacz i jęk. Suchy trzask piorunów, głuchy łoskot padających pni, podejrząny bulgot wody w mokradłach, błyskawice bez grzmotu i grzmoty bez błyskawic. Podzwrotnikowa puszcza skrzepowana okowami lian, miotająca się w płątaniu pełzaków. Zielone piekło dżungli, w której tylko węże mają swe pokrętne płaje. Kraina

pod każdym względem różna od ojczyzny Inków, zamieszкана skąpo przez dzikich Indian myśliwców i rybaków, nie gardzących smakiem ludzkiego mięsa.

A przecież podbój tych ziem o zabójczym klimacie, zwłaszcza części sąsiadujących ze wschodnimi Andami, miał dla Inków wielkie znaczenie, stąd bowiem pochodziła koka. Tu rósł bambus i palma chonto, dostarczająca surowca do wyrobu broni. Bezdrzewne prawie płaskowyże Cuzco ciągle wołały o budulec, a tego było tu bez liku. W Antisuyu także żyły ptaki krasnopióre i znajdowały się bogate pokłady złota.

Tymi też względami kierowany Manco Capac dotarł do rzeki Paucar-tampu, ledwie zresztą parę dziesiątków kilometrów od Cuzco płynącej. Za nią nie wazyli się iść dalej Inkowie. Dopiero Tupac Yupanqui przekroczył tę granicę i czterema kolumnami uderzył w zieloną ścianę gigantycznego pierwoboru. Nie chodziło mu tylko o jednorazową ekspedycję, zamierzał utrwalić zdobycze, więc po puszczy rozniósł się huk toporów bijących w wiekowe pnie, moszczono wśród mokradeł pierwotnego gąszczu drogę, trwały symbol zwycięstwa cywilizacji nad wrogą przyrodą. Półdżicy Campowie, plemię atletycznych mężczyzn i pięknych kobiet o twarzach tatuowanych na czerwono farbą z owoców achiote i obyczajach nad podziw łagodnych, ulegli dobrowolnie urokom wyższej kultury. Indianie ci oddali wielkie usługi Ince, służąc za przewodników w labiryncie dzikiej puszczy, i stanowili nieocenione źródło wiadomości o bogactwach tej krainy i zwyczajach wojennych prymitywnych ludów z okolicy. Dzięki współpracy Campów w basenie rzeki Tono i nad Marcapata powstały wkrótce liczne osiedla, a granice państwa zostały przesunięte aż po brzegi Paytiti. Ponieważ jednak leśnej ludności było niedużo, sprowadzono kolonistów z innych prowincji, którzy karczowali puszcze, zakładali plantacje koki i w poszukiwaniu pepit \* przemywali piasek złotodajnych rzek. Nie zabrakło także silnych posterunków wojskowych, chroniących kraj przed napadami dzikusów z dżungli. Z czasem zaś na drogach wiodących do Cuzco zapanaował ożywiony ruch — długie kolumny tragarzy dźwigały wy-

\* Pepita — grudka złota.



borny materiał budulcowy i inne plody gorącej strefy. W armii Inki znajdowały się także drobne oddziały Colla. Czuly się one źle w warunkach tropikalnych, zresztą wcielone pod przymusem nie wykazywały wojennego animuszu w służbie swoich ciemieżców. Korzystając z zamieszania podczas jednej z potyczek z bitnym plemieniem Chunca, kilkunastu wojowników Colla zdezerterowało. Zanieśli oni do ojczyzny wiadomość o rzekomej porażce Inki w walkach z Indianami dżungli, co się stało sygnałem do ogólnego powstania.

Niebawem do Cuzco doszły alarmujące wieści o znoszeniu posterunków inkaskich i mordowaniu urzędników. Uciekinierzy potwierdzili te informacje, sprawujący więc pod nieobecność Tupaka rządu w stolicy Amaro pchnął śpiesznie gońców do brata. Meldunek dotarł do Inki w sercu puszczy. Władca natychmiast forsownym marszem pośpieszył na południe.

Prowincja Colla, legendarna ojczyzna dynastii, była zawsze oczkiem w głowie Inków. Przecięta licznymi rzekami, w głębokich, wiecznie zielonych dolinach prawie cały rok rodziła zboże, chociaż podstawę wyżywienia ludności stanowiły ziemniaki. Na górskich łąkach pasły się stada lam, a w lasach roilo się od łownego zwierza. W wyższych partiach ostre zimy rozpoczynające się w kwietniu uniemożliwiały jednak uprawę kukurydzy hamująco wpływały na wegetację roślin, powodując skarlenie form drzewnych.

Ludność spokrewniona z Ajmarami nosiła wełnianą odzież, mężczyźni stroili głowy w czapki *chucos*, przypominające kształtem moździerz, a kobiety nosiły czepki bardzo zbliżone do kornetów zakonnic. Lud ten miał z prastarych czasów wywodzącą się kulturę, posiadał pewną znajomość astronomicznych zjawisk i własną rachubę czasu, w której rok liczył dziesięć miesięcy. Colla nie znali pisma, ale rozwinęła się u nich interesująca twórczość poetycka, a pieśniarze ludowi, na podobieństwo greckich *ajjów*\*, przekazywali potomności wierszowane kroniki dawnych wydarzeń i stare legendy.

W prowincji Collasuyu istniało dużo ludnych osiedli o domach

\* *Aojda* — w starożytnej Grecji śpiewak wędrowny.



kamiennych, lecz słomą krytych, i o wnętrzu bardzo skromnie w porównaniu z budynkami grzebalnymi urządzonych. Wysoko także wykształciła się u nich sztuka wznoszenia fortyfikacji obronnych — pucara — na szczytach wzgórz. Wojowniczy lud niełatwo ugiął się pod obcą presją.

Jeszcze za życia Pachacuteka w czasie zamieszek spowodowanych być może rewoltą Ollantaya zbiegli trzymani w niewoli synowie dawnego władcy Colla, Chuchi Capaka, wznieśli powstanie, z dużym trudem stłumione.

Tym razem kilka lat zajęło uśmierzenie buntu. Dopiero po zdobyciu wszystkich górskich fortec, przesiedleniu części ludności w inne strony i założeniu gęstej sieci wojskowych posterunków udało się ostatecznie opanować Collasuyu. Niektóre plemiona wołały jednak wyrzec się ojczyzny niż stracić niepodległość. I tak np. szczepy Lupaca i Pacasa wyemigrowały aż za jezioro Poopó na tereny dzisiejszej Boliwii. Nie na wiele się to im zdało, bo wojska Inki i tam ich dosięgły.

W zwycięskim marszu armia z Cuzco przeszła przez stepy Chaco i zapuściła się aż po Tucuman w dzisiejszej Argentynie. Inkowie znaleźli się w kraju Chiriguanów, osławionego ludu kanibalów, którzy ponoć jeńcom żywcem wrywali kawałki ciała, zjadając je ze smakiem na oczach nieszczęśnika. Byli postrachem wszystkich okolicznych szczepów, a sława groźnego ich imienia sięgała na setki mil wokoło. Ale próżno wzdłuż i wszereż dziesięcioletnia armia penetrowała pustkowia. Nigdzie ani śladu przeciwnika. Można by przysiąc, że kraina jest całkowicie bezludna, można by, gdyby nie to, że nocami niewidzialną ręką wypuszczane zatrute strzały zabierały życie wojownikom z Cuzco wśród straszliwych cierpień. Skryci w dzień w niedostępnych kryjówkach wśród moczarów i lasów, nocami Chiriguanie szarpali Inków, porywali żywność, rabowali wszystko, co się tylko w zasięgu ich ręki znajdowało. I przed świtem znikali bez śladu, niczym zjawy nocne. Z aprowizacją było coraz gorzej, nic bowiem żywności na miejscu zdobyć się nie dało, a dostawy z Cuzco nie zawsze dochodziły w porę. Wreszcie wodzowie postanowili poniechać walki z cieniem i wrócić do ojczyzny.

Mimo niepełnych efektów wyprawa przyniosła olbrzymie korzyś-

ci, nie tylko bowiem spacyfikowano właściwą prowincję Collasuyu, ale w Boliwii odkryto przebogate kopalnie srebra i złota, a w miarę wzrostu potęgi imperium zapotrzebowanie na te kruszce stale rosło.

Ludy Colla utrzymywały ożywione kontakty z plemionami północnego Chile, „Kraju Ptaka Tili”. W czasie ostatniego powstania u boku rebeliantów walczył nawet posiłkowy oddział Promauków, jak ogólnie zwano Chilijczyków. Dwóch ich wodzów zostało wziętych do niewoli, ale Tupac Yupanqui, który tytuł naczelników Colla stracił i kazał ich skórę wygarbować na bębny, potraktował tych nadzwyczaj łaskawie, ba, obsypał bogatymi darami, prowadził z nimi długie rozmowy o organizacji państwa, wreszcie wydał za nich dwie przyrodnie własne siostry i z orszakiem licznej służby oraz kilkunastu amautów odesłał do domu.

Inka wiedział, co robi, i rzeczywiście nie zawiodł się w swych nadziejach. W dwa lata później zjawili się w Cuzco jego chilijscy szwagrowie, barwnie opisywali zainteresowanie, jakie żywią poddani dla zorganizowania państwa na modłę Tahuantinsuyu, i prosili Tupaka o złożenie oficjalnej wizyty w ich kraju. Władca z radością przyjął zaproszenie i w kilka miesięcy później na czele wielkiej armii wymaszerował ze stolicy.

Pochód bez przygód stanął u granic pustyni Atacamy, ale przejście szerokiego na sto z górą kilometrów pasa pustynnego przysporzyło wojsku licznych trudności. Atacama wprawdzie nie była wówczas tak jak dzisiaj beznadziejnie pozbawionym wody i roślinności obszarem, gdyż zamieszkujący ją tajemniczy lud Atacameńczyków posiadał sztukę nawadniania i potrafił niektóre części pustyni przemienić w żyzne oazy, ale nie żywił on wcale sympatii do intruzów. W ciężkich walkach wojska Inki przebiły się wreszcie na wybrzeże i tu rzeczywiście gorąco ludność przyjęła pana Cuzco. Po paru tygodniach ciągłych uczt i zabaw władca uznał, że w tej sytuacji wodzowie doskonale dadzą sobie radę bez niego, po wydaniu więc odpowiednich dyspozycji z przyboczną gwardią ruszył w drogę powrotną.

Na dłużej zatrzymał się w Tiahuanaco. Miasto zagadkowych prastarych ruin, rozrzuconych na olbrzymiej przestrzeni, zrobiło na nim ogromne wrażenie. Całe też dnie spędzał nad brzegami je-

ziora Titicaca, a w bezsenne noce godzinami nie odrywał oczu od rysujących się wyraźnie na tle ciemnego nieba śniegowych pól wulkanów Illimani i Illampu. Fascynowała go także „Wyspa Księżycowa” — Coati — ze swą scenerią fantastycznych skał, zdawało się, spadających w jezioro. Kazał tu wybudować świątynię Księżycy z posągami bogini sporządzonym w srebrze i w złocie o wielkości normalnej kobiety, a w cieniście gaju wznosił największy po Cuzco dom „Dziewic Słońca”.

Niebawem okazało się, że chilijscy szwagrowie opowiadając o nastrojach ludności nakoloryzowali co niemiara. Mieszkające dalej na południe plemiona bynajmniej nie podzielały ich zachwytów nad organizacją państwową Inków, a pobyt w kraju wojsk z Cuzco traktowały jako jawne wyzwanie. Pochód więc w głąb Chile zastępów Syna Słońca toczył się wśród krwawych walk, o zaciekłości nie znanej dotąd w historii Peru. Ściągane z ojczyzny posiłki nie na wiele się zdawały, bo sześć ciężkich lat trwało, zanim wreszcie ćwierćmilionowa armia stanęła nad brzegami Maule, za którą leżało dopiero właściwe Chile. Próba przeprawy przez rzekę około 1475 roku skończyła się sromotną klęską i wódz Inków musiał cofać się pośpiesznie. Ścigany zapalczywie przez Promauków, oparł się dopiero nad wodami Rapel i odtąd granic tych nigdy już nie kusili się przekroczyć Inkowie.

Lasy Araukanii i puszcze Amazonii w ten sposób postawiły tamę dalszej ekspansji władców Cuzco.

Najbardziej chyba wojowniczy ze wszystkich Inków, Tupac Yupanqui niedługo wypoczywał i po paru latach znów stanął na czele licznej armii. Tym razem szlak wojenny wiódł na północ.

W Tumbes czekała go przyjemna niespodzianka. W czasie ostatniej wyprawy w te strony nie mógł sforsować oporu Huancavilków. Teraz do nadmorskiej warowni przybyła delegacja tego plemienia z propozycją przyjęcia go do państwa Inków i z prośbą, by wysłał do ich kraju kapłanów i urzędników, którzy by nauczili ludność prawdziwej religii i ustanowili właściwe instytucje społeczno-prawne. Tupac z radością przyjął tę deklarację, widział bowiem w tym dowód moralnej siły promieniującej z państwa, które reprezentował i ucieleśniał. Kraina Huancavilków nie odznaczała się bogactwami naturalnymi, ale warunki klimatyczne

sprzyjały rozwojowi rolnictwa. Tubyłcy byli zręcznymi hodowcami. Trzymali duże stada świń piżmowych oraz lam, które wyjątkowo dobrze zaaklimatyzowały się w gorącym pasie wybrzeża. Hodowano także wiele kaczek i różnych ptaków kurowatych. W lasach pełno było dziczyzny i jeleni. W rzekach zaś roilo się od smacznych ryb. Słowem, warunki żywnościowe prowincji należały do najlepszych, a puszcza dostarczała lekkiego drewna na budowę tratw. Tubyłcy średniego wzrostu, ale silnej budowy ciała i bardzo wojowniczego ducha, odznaczyli się wyjątkowym okrucieństwem. Mieli zwyczaj tatuowania piersi i malowania połowy twarzy, od górnej wargi po czoło albo w dół po szyję, jaskrawymi farbami. W uszach i nosie nosili kołczyki małe kawałki złota. Żyjąc w ciągłej wojnie z sąsiadami, jeńców mordowali i po obcięciu głowy ściągniętą ze zwłok skórę wypychali popiołem. Głowę i ciało zabitego spalali na ofiarę bogom, a wypchaną skórę z doklejoną woskową maską ustawiali w prymitywnych świątyniach jako trofeum wojenne. Pomawiano ich zresztą także o ludożerstwo. Ten barbarzyński ludek prawie nie znał odzieży i pozostawał pod władzą dziedzicznych w linii męskiej naczelników. Dużą rolę w tej dzikiej społeczności odgrywali kapłani-czarownicy. W dalszym marszu na północ przez gęstą nadmorską dżunglę Tupac dotarł do krainy Chonów, położonej nad zatoką Guayaquil. Wojownicze to plemię zwykło walczyć na wodzie i pewnego ranka z trudem przedzierającą się przez nadbrzeżne moczary armię zaatakowała flotyła lekkich i ruchliwych łódek. Woda była obcym dla Inków żywiołem. Ale Tupac nie zwykł rezygnować. Skoro wroga można pobić tylko jego własną bronią, trzeba zbudować flotę i nauczyć się wodnej strategii. Po kilku miesiącach wytężonej pracy ciesili, do tysięcy łodzi wsiedli wojownicy z andyjskiego płaskowyzia. I pierwsza bitwa morska skończyła się pełnym sukcesem Inki, naczelnicy Chonów poprosili o pokój, a w dalszych kampaniach czynnie nawet wspierali cuzkańczyków. W zatoce Guayaquil o parę kilometrów od lądu leżała duża leśnista wyspa Puna. Wnętrze jej, pokryte sporymi wzniesieniami, zarastały trzcinowe gąszcza i podzwrotnikowa dżungla. W pasie nadbrzeżnym pracowici mieszkańcy uprawiali poletka kartofli, juki i dyni. Żywna wyspa obfitowała w ptactwo i drobną dziczyz-

nę, a ziemia rodziła wiele owoców gorącej strefy. Tutejsi Indianie celowali w budownictwie tratw, uchodzili za dzielnych żeglarzy i śmiałych wojowników i utrzymywali ożywione stosunki handlowe z ludnością stałego lądu. Głównym ich bogiem był jaguar, któremu składali ofiary ludzkie.

Przy pomocy Chonów ekspedycja skończyła się pełnym powodzeniem i nawet Inka przez małżeństwa córek nawiązał związki rodzinne z głównymi naczelnikami wyspiarzy.

Już w czasie pobytu w Tumbes Tupac usłyszał o dwóch wyspach, położonych hen w oceanie. Miały się one nazywać Hahua-chumpi i Nina-chumpi, to jest „Zewnętrzna” i „Ognista Wyspa”. Mieszkańcy Puna potwierdzili te wiadomości i Inka postanowił dokonać niezwykłego w historii Tahuantinsuyu wyczynu. Kazał zbudować olbrzymią liczbę łódek ze skór foczych oraz tratw i z kilku tysiącami wojowników puścił się w morskie odmęty.

Przez dziewięć miesięcy główna część armii pozostała w Tumbes nie miała żadnych wiadomości o swym wodzu. Wreszcie się zjawiał, przywożąc z sobą niezwykle płody ziem egzotycznych i ludzi o czarnej barwie skóry. Ta bajeczna ekspedycja, zanotowana w legendach, skłoniła niektórych badaczy do wysnucia supozycji, jakoby Inka dotarł do Melanezji\*, być może Wysp Salomona. Jakkolwiek jednak Thor Heyerdahl\*\* na balsie „Kon Tiki” dowiódł możliwości w sprzyjających warunkach przepłynięcia Oceanu Spokojnego, wyczyn Tupaka rzekomo dokonany z tak potężną armadą wydaje się mitem. Być może kompromisowym wyjaśnieniem zagadki jest przypuszczenie, iż Inkowie dosięgli w tej wyprawie jakiejś wyspy z grupy Archipelagu Żółwi — Galápagos. Co prawda pierwsi odkrywcy europejscy w czterdziestych latach XVI wieku nie zastali na tych wyspach mieszkańców, ale z drugiej strony z historii konkwisty z okresu eksploracyjnych wypraw Pizarra do Peru znany jest wypadek spotkania na pełnym morzu balsy obładowanej towarami, co by świadczyć mogło

\* Archipelag w południowo-zachodniej części Oceanu Spokojnego.

\*\* Współczesny etnolog norweski, szef słynnej wyprawy w 1947 r. tratwą z Peru do Polinezji, podjętej w celu udowodnienia możliwości oceanicznych migracji ludów przedhistorycznych.

o handlowych kontaktach między tubylcami kontynentu a autochtonami wysp Pacyfiku.

W każdym razie Tupac Yupanqui jest jedynym Inką pomawianym przez historię o dalekomorską wyprawę, czyn niezwykle w dziejach w gruncie rzeczy góralskiego narodu.

Przyjęty entuzjastycznie przez załogę pozostawioną w Tumbez, Syn Słońca, niesyty zdobytej chwały, po krótkim odpoczynku wyruszył na podbój państwa Puitu, czyli Quito.

Równikowe to królestwo o tradycji kilkuwiekowej zamieszkiwali przybysze z południa — ludy należące do grupy językowej quechua oraz Indianie zbliżeni do kolumbijskich Chibchów. Szwefowie tego państwa, zwani *s c y r i* lub *c o n c h o c a n d o*, stworzyli w stolicy ośrodek silnej autokratycznej władzy, której podlegały okoliczne szczepy, znajdujące się przeważnie na bardzo niskim stopniu rozwoju cywilizacyjnego. W owym czasie rządził w Puitu stary wódz Hualcopo, który wysłanników Tupaka przyjął z wielką pompą, ale wezwanie do uległości wobec pana Cuzco oraz żądanie wprowadzenia kultu Słońca odrzucił z pogardą. Delegacji Inków oświadczył z nie ukrywaną drwiną, że jego bogowie — różne drzewa i jelenie — dostarczają mu przynajmniej budulca i pożywienia, podczas gdy Słońce dokucza mu tylko swoim żarem.

W tej sytuacji rozstrzygnąć musiała broń, ale mimo że wiele podległych mu plemion przeszło na stronę Inki, Hualcopo stawiał tak skuteczny opór, że Tupac musiał wezwać posiłki z Cuzco. Sam powrócił do stolicy, pozostawiając dzieło podboju swoim wodzom i małoletniemu synowi — Huaynie.

Panowanie Yupanquiego przebiegało w nieustannym szczęku oręża, ale syn wielkiego Pachacuteka nie tylko oddawał się wojennym sprawom. Jego zasługą jest doprowadzenie do końca, rozpoczętej już za poprzedników, budowy wielkiej fortecy w Cuzco. Dwadzieścia tysięcy robotników przez wiele lat wznosiło gigantyczne mury największej tego rodzaju budowli w Nowym Świecie.

Panujący od północy nad stolicą skalisty szczyt Sokolego Gniazda — Sacsahuaman, od niepamiętnych czasów mieścił ruiny megalitycznej warowni nieznanego pochodzenia. Nieszczęsnej pamięci



Inka Urco opracował plany wykorzystania ich do wzniesienia isticzyklopiego systemu obronnego. Pachacutec przystąpił do realizacji tego monumentalnego dzieła, które dokończył jego syn. Zbudowana z olbrzymich granitowych ciosowych bloków warownia wznosiła się tarasowato potrójnym pasem nieregularnie spiętrzonych wałów i obejmowała w obwodzie prawie trzy kilometry. Kronikarze Sancho de la Hoz i Garcilaso de la Vega, którzy widzieli ją jeszcze prawie nietkniętą i w pełni bojowej gotowości, przy jej opisie nie szczędzą słów zachwytu:

„Forteca obejmuje tyle budowli i wież, iż jeden człowiek nie byłby w stanie obejść je za dnia. Wielu Hiszpanów, znających Lombardię i inne obce kraje, oświadczyło, iż nigdy nie widzieli podobnej budowli i tak potężnego zamku. Pięć tysięcy żołnierzy mogłoby w niej znaleźć pomieszczenie. Fortecy tej nie można ani ostrzelać, ani podminować, bowiem wznosi się na skale. W kierunku miasta skała opada bardzo stromo i tu stoi tylko jeden pas obwałowań, po drugiej zaś stronie, gdzie skała jest mniej stroma, są trzy mury, jeden wyższy od drugiego, a najbardziej wewnętrzny jest najwyższy. Wały te są najpiękniejszą w tym kraju budowlą, a użyte do ich budowy kamienie tak wielkie, że nie chce się uwierzyć, żeby ręce ludzkie mogły je tu przetransportować. Wyglądają jak odłamy gór lub skał, niektóre mają trzydzieści pięć wysokości i szerokości, inne dwadzieścia pięć, inne wreszcie piętnaście, a żaden z nich nie zmieściłby się na trzech wozach. Kamienie te nie są gładkie, a mimo to doskonale z sobą połączone. Hiszpanie powiadają, że nie mogą się z nimi równać ani mosty Segovii\*, ani budynki wzniesione przez Herkulesa czy Rzymian.”

Przez dolny, liczący trzysta kroków długości, mur wiodła brama Tiu-Puncu, przez środkowy Acahuana-Puncu, tak nazwana od imienia głównego budowniczego, przez górny zaś, który otaczał właściwą fortecę, brama Huiracochy. Dolne obwałowanie miało około dziesięciu metrów szerokości z przedpiersiem na metr wysokim, środkowe było nieco węższe. Nad wewnętrznym zaś mu-

\* Segovia — miasto w środkowej Hiszpanii, słynne z murów pochodzenia iberyjskiego oraz akweduktu z czasów rzymskich.

rem wznosiły się trzy potężne wieże. Dwie z nich w kształcie prostokąta, trzecia zaś najsilniejsza Moyoc-marca była okrągła, być może dlatego, że znajdowało się w niej źródło z odprowadzaną rurami świętą wodą. Położenie tej instalacji znane było tylko najbardziej zaufanym z otoczenia Inki.

W Moyoc-marca mieściła się z wielkim luksusem urządzona rezydencja władcy, w dwóch pozostałych wieżach załogę tworzyli także wojownicy z rodu Inków. Dla zapewnienia zaś większej obronności tej jedynej w swoim rodzaju warowni wykuto głęboko w skałach piwnice, dostępne z wież, a między sobą połączone systemem tak przemyślnych przejść, iż niewtajemniczony gubił się w tym labiryncie.

Krażyły legendy o podziemnych tunelach biegnących z Sacsahuamanu do Tiahuanaco i aż po jezioro Titicaca, ale mimo gorączkowych starań poszukiwaczy skarbów w późniejszych wiekach, połączeń takich nie znaleziono i prawdopodobnie istniały one tylko w sferze fantazji. Nauka dzisiejsza nie umie jeszcze ani wskazać przybliżonego czasu powstania pierwotnych budowli Sacsahuamanu, ani jego pierwszych budowniczych. Być może zagadki te na zawsze pozostaną niedocieczoną tajemnicą.

Tupac Yupanqui należał do tych nielicznych władców Peru, którzy nie brali poważnie swego boskiego pochodzenia. W opinii współczesnych uchodzić musiał chyba za wolnomyśliciela, aczkolwiek zapewne Inkowie takiego pojęcia nie znali. Jego na przykład poglądy na istotę Słońca wręcz trąciły herezją. W dysputach z amautami nierzadko tak mu się zdarzało formułować sądy:

— Mówią, że Słońce jest żywą istotą i twórcą świata ze wszystkim, co się na nim znajduje. Jeżeli jednak ktoś coś tworzy, to musi być przy tym obecny. A przecież wiele rzeczy rodzi się nocą, kiedy Słońca nie ma. Jakżeż więc może ono być ich stwórcą? Nie jest także żywą istotą, bo przecież jak każde stworzenie męczyłoby się swoimi codziennymi podróżami albo także od czasu do czasu zmieniałoby tor swej wędrówki. A przecież wszyscy widzimy, że niczym spętany zwierz, porusza się niezmiennie w ten sam sposób i po tej samej drodze. Skoro zaś nie ma swobody wyboru, nie może być najwyższym bóstwem, lecz widocznie ślepo słucha rozkazów kogoś potężniejszego.

Ten racjonalizm w kwestiach religijnych łączył ze sceptycyzmem i niezwykłą tolerancją w ocenie obowiązujących tradycyjnie norm moralnych. Kiedy mu doniesiono o miłostkach jednej z jego przybocznych żon z jakimś wojownikiem i żądano, by zgodnie z prawem wydał wyrok śmierci na przestępczą parę, ponoć uśmiechnął się tylko lekko i powiedział niefrasobliwie:

— Ach, dajcież spokój! Ot, zwykle sobie figle młodości.

On także znacznie rozluźnił surowe reguły obowiązujące w klasztorach „Wybranek Słońca”, a za jego czasów barbarzyńska surowość praw obowiązujących w państwie Inków uległa złagodzeniu.

Liberalizm Yupanquiego przyjmowały z uznaniem i wdzięcznością niższe warstwy, natomiast u Inków krwi królewskiej budził poważne opory i zarzuty, że władca uszczupla w ten sposób autorytet rodu. Nie zaoszczędził też los Tupac Yupanquiemu goryczy bratobójczych walk. Oto generalnym wizytatorem wszystkich dzielnic mianował jednego z braci, Tupac Capaka. Ten zmówił się z zarządcami kilku prowincji, by jawnie sięgnąć po władzę. Spisek w porę wykryto. Tupac Capac został stracony, ale rebeliantów potraktowano dziwnie łagodnie. Chociaż winni najcięższej zbrodni — podniesienia ręki na Jedyngo Inkę — wynieśli szyć z pozornie beznadziejnej opresji. Stali się klasą półniewolniczą, przypisaną do osoby Inki i spełniającą przy nim różnorakie funkcje służebne.



## **USTRÓJ SPOŁECZNO-POLITYCZNY PAŃSTWA INKÓW**

Za panowania Pachacuteka i jego syna organizacja państwowa Tahuantinsuyu przybrała ostateczną swą formę. Nie wiadomo dokładnie, któremu z tych władców jakie instytucje zawdzięczają swe powstanie, nie jest to zresztą dzisiaj szczególnie ważne, wiele z nich bowiem i tak było na pewno wynikiem długiego procesu rozwojowego, ciągnącego się przez całe pokolenia.

Na czele państwa stał Sapay Inca — jedyny Inka, czyli Syn Słońca — Inti Churin, potomek bóstwa, monarcha absolutystyczny skupiający w swych dłoniach pełnię władzy świeckiej, duchownej i wojskowej. Jego wola była prawem, bezpośrednio z jego osoby czerpały autorytet wszystkie społeczne i państwowe instytucje. On — żywy bóg — uosabiał państwo, porządek prawny, tradycję

i wiarę. Lud zwał go *h u a c c h a - c u y a c* — „przyjacielem i dobroczyńcą biednych”, on bowiem był siewcą wszelakiego dobra, on od urodzin do śmierci kierował losem poddanych, którzy żyli przez niego i dla niego. Rzadko, tylko w ważkich chwilach, ukazywał się ludowi, który padał wówczas przed nim na twarz, jakże bowiem patrzeć w oblicze bóstwa bez obawy oślepienia. Nawet najwyżsi dostojnicy, ba, własni bracia władcy jawili się przed nim nie inaczej jak na klęczkach i z symbolicznym brzemieniem na grzbiecie.

Ostatni z przedhiszpańskich Inków, Atahualpa, mówił w niewoli, że „bez mojej zgody w Tahuantinsuyu nawet ptak nie ośmieli się zerwać do lotu”. Pomijając dumną przechwałkę zawartą w tej wypowiedzi, widać z niej jednak wyraźnie, do jakiego stopnia osobowość Inki ciążyła nad całym państwem i jak dalece wyznaczała rytm biegu zarówno spraw publicznych, jak i prywatnych losów obywateli.

Apoteoza władcy Tahuantinsuyu przyjęła formy tak uniwersalne i wszechogarniające całe życie państwowe, że dalekiego tylko tu podobieństwa dopatrzeć się można w dawnych despotiach azjatyckich. Inny bowiem syn boski — faraon, ograniczony władzą kapłanów, nawet w przybliżeniu nie zajmował takiej pozycji, jak pan Cuzco.

Wysokim murem etykiety dworskiej odgradzony od społeczeństwa, Inka wyróżniał się zastrzeżonym wyłącznie dla niego strojem i specjalnymi insygniami władzy. Odzież i pożywienie dla Inki przygotowywały „Dziewice Słońca”. Tu zacytujmy ciekawy fragment z notatek Pedro Pizarra, bratanka zdobywcy Peru:

„Pewnego razu jakiś Indianin poskarżył się, że któryś z Hiszpanów przywłaszczył sobie ubrania Atahualpy. Markiz (tj. Francisco Pizarro) kazał mi zbadać sprawę. Indianin zaprowadził mnie do budynku, w którym stało mnóstwo skrzyń, i powiedział, że Hiszpan stąd skradł odzież. Spytałem, co zawierają owe skrzynie. Otworzył kilka i pokazał mi ich zawartość. Były tam rozmaite przedmioty, jakich Atahualpa kiedyś dotknął rękoma, i ubrania, które nosił. A więc znajdowały się tam rogoże, jakie rozciągano u jego stóp, podczas gdy obiadował, dalej kości lam i drobiu, których, spożywając ich mięso, dotknął palcami, kukurydziane

kaczany i ubrania, słowem wszystko, czego tylko ręką tknął lub nosił na sobie. Zapytałem, po co się to wszystko przechowuje. Odpowiedział, że co sześć miesięcy wszystko, czego dotknęła święta osoba władcy, pali się, a popioły rozsypuje na cztery wiatry.”

Oczywiście, że przy tak rozrzutnej gospodarce zużycie odzieży, jako że Inka zwykł kilka razy dziennie się przebierać, osiągało ogromne rozmiary i wymagało zatrudnienia prawdziwych warsztatów krawieckich, jakie istniały w każdym klasztorze „Dziewic Słońca”. Bogactwo wyposażenia dworu Inki przewyższało wyobraźnię orientalnych bajek. Wszystkie naczynia i sprzęty używane przez władcę były z czystego złota. Inne, nie bezpośredniego użytku, ze srebra.

Dla zwiększenia jeszcze dystansu dzielącego Inkę od reszty społeczeństwa późniejsi władcy z reguły żenili się ze swoimi siostrami, choć nie gardzili także licznymi konkubinami, a tradycje opowiadają o wielu romansach z kobietami znacznie niższego rodu.

Otoczająca Inkę atmosfera ubóstwienia nie kończyła się z jego śmiercią, traktowaną jak narodowa tragedia. Mumię zmarłego zamurowano w przeznaczonych na ten cel komnatach pałacu Inki, a wraz z nią liczne żony i sługi władcy, które ogarnięte histerią chciały towarzyszyć swemu panu na tamtym świecie. Od wczesnego ranka do późnego wieczoru przez cały miesiąc Cuzco tonęło w głośnych lamentach. Później skargi żałobne odbywały się nocami w pełni lub nów księżyca. Co miesiąc procesje żałobne ciągnęły przez miasto, a chóry śpiewaków opiewały czyny władcy. Podobne uroczystości miały miejsce także na prowincji. Po roku żałoby narodowej mumię zmarłego w uroczystym pochodzie przenoszono do świątyni Słońca i ustawiano na złotym taborecie w jednej z nisz.

Pałac zmarłego pozostawiano w nietkniętym stanie, a dawna jego służba doglądała w nim porządku, jak również czuwała nad przynależnymi doń ogrodami. Zmarły Inka zachowywał także własność pól, z których dochody szły na ofiary i okazyjne uczyty wydawane na jego cześć. Mumie Inki — *m a l q u i* — brały udział w różnych uroczystościach państwowych i do ich obsługi przyda-

na była liczna służba. Interesujące, ale chyba trochę złośliwe wiadomości na ten temat przynosi cytowany już Pedro Pizarro:

„Przy każdej mumii służył szlachetnie urodzony Indianin i Indianka; swoje własne zachcianki podawali jako życzenia mumii. Gdy chcieli urządzić ucztę, oświadczali, że takie jest żądanie zmarłego; tak samo postępowali, gdy chcieli zabawić się ze służbą innej mumii. Mumie odwiedzały się nawzajem, a w opuszczonych pałacach odbywały się huczne biesiady i wesole tańce. Ale mumie składały wizyty także żyjącym, jak również na odwrót. Wiele osób, mężczyzn i kobiet, zgłaszało się do służby przy mumiach, bo pod tym płaszczykiem mogły bezkarnie hołdować zabawom, jeść i pić do woli.”

Osobiste więc wydatki Inki nie kończyły się z jego śmiercią i w poważnym stopniu pochłaniały, jak byśmy dziś powiedzieli, dochód narodowy państwa.

Kiedy Manco Capac obejmował w posiadanie dolinę Cuzco, nieliczna jeszcze była jego rodzina. Z biegiem czasu jednak, dzięki przywilejowi posiadania prawie nieograniczonej liczby legalnych żon, ród Inków rozrósł się ogromnie. Poza tym tytuł Inki przyznano także potomkom tych naczelników, którzy sprzymierzili się z założycielem dynastii. W miarę jednak rozrostu państwa rządząca nim elita okazała się za małą, wobec tego wielu szefom podbitych plemion i ich potomstwu nadano specjalne przywileje tzw. Inków z przybrania. Z tych też kategorii, zwanych przez Hiszpanów Orejones, czyli „długousi”, wywodzili się wyżsi urzędnicy, gubernatorzy prowincji, główni kapłani, dowódcy wojska, a także uczeni i haravekowie.

Oni sprawowali pełnię faktycznej władzy nad milionowymi masami podbitych ludów, nad pospółstwem — *h a t u n r u n a*, pozbawionym praktycznie wszelkich możliwości awansu w hierarchii społecznej. Z ludu rekrutowały się olbrzymie armie robotników i wojowników. Nieliczni tylko mogli zostać urzędnikami najniższych stopni i bardzo rzadko, dzięki osobistemu męstwu na polu bitew, zdobyć wyższą rangę wojskową. Najniższy szczebel zajmowali „czarni studzy” — *y a n a c o n a*, pochodzący z jeńców wojennych i ich potomków, z przestępców skazanych dożywotnio na pracę niewolniczą. Pełnili oni różnorodne funkcje

służebne przy Ince, a niektórzy z nich, na podobieństwo egipskich Mameluków, dochodzili na dworze władcy do wysokich zaszczytów i godności.

Jak już mówiliśmy, płaskowyż andyjski zamieszkiwały małe grupki ludności pokrewnego języka, skupione w ayllu, tj. wspólnotach rodowych, które z biegiem czasu już za państwa Inków przekształciły się w jednostki terytorialno-administracyjne. Mieszkańcy ayllu wywodzili się zazwyczaj od wspólnego przodka i tworzyli mniejszą lub większą liczbę rodzin. Władzę sprawowała rada starszych, która na wypadek wojny wybierała szefa wojennego — *sinchi*. Poszczególne rodziny władały uprawną ziemią, której rozdziału dokonywano corocznie, uwzględniając ewentualne zmiany liczebne w ich składzie, natomiast pastwiska i lasy stanowiły własność komunalną.

Czasami, a zapewne dość często, dochodziło między różnymi ayllu do walk i sporów o tereny łowieckie. Niekiedy kilka ayllu, czy to w celu wspólnej obrony przed wrogiem, czy to dla dokonania prac, które przerastały możliwości jednej wspólnoty, np. budowa mostu, przeprowadzenie kanału itp., łączyły się trwałym sojuszem, tworząc z czasem szereg pod wodzą dziedzicznego naczelnika — *curaca*.

Zdarzało się także, iż w podobny sposób powstawały wielkie konfederacje plemion, rządzone przez potężnych królików, jak to miało miejsce w przypadku znanych nam Chanków i Colla.

Inkowie nie niszczyli prastarej struktury socjalnej podbitych plemion, lecz tylko przystosowywali ją do własnych koncepcji administracyjnych, opartych na fetyszyzmie liczby i statystycznej obsesji. I tak oto Tupac Yupanqui zarządził pierwszy spis ludności, wszystkich mieszkańców państwa dzieląc na określone kategorie wieku, a mianowicie:

puñucrucu — śpiochy, ludzie powyżej sześćdziesiątki, zwolnieni od pracy, trybutów i pańszczyzny, zdolni tylko do służenia radą, utrzymywani przez państwo lub wspólnotę;

chaupirucu — półstarzy, od 50—60 lat, wolni od pańszczyzny, ale zdolni jeszcze do lekkiej pracy w polu i ogrodzie, do nadzorowania plantacji i urządzeń irygacyjnych;



puric — w pełni sił, zdolni do wszelkich robót i płacenia pańszczyzny, ojcowie rodzin w wieku od 25 do 50 lat;  
yamahuayna — młodzieńcy, 20—25 lat, zobowiązani do pomocy rodzicom we wszelkich pracach;  
cocapallac — od 16 do 20 lat, zbieracze koki, zdolni do różnych lekkich prac ręcznych;  
pucllac huambra — 8 do 16 lat, pasterze lam i zatrudnieni w lżejszym rękodziele;  
tantaresi — 6 do 8 lat, chłopcy strzegący pól kukurydzy przed ptactwem i wreszcie mniejsze dzieci i niemowlęta, przy czym według niektórych kronikarzy dzieciarnia już w wieku 2—3 lat musiała chwycać pchły, by od najmłodszego wieku przyzwyczajać się w ten sposób do pracy i poczucia obowiązku.

Inkowie nie znali metryk urodzenia, podział więc na kategorie wieku dokonywany był na podstawie zewnętrznego wyglądu oraz oceny zdolności do pracy. Dla zapewnienia maksymalnej dokładności przy spisach wprowadzono szereg ograniczeń osobistych. Członkowie poszczególnych ayllu czy plemion musieli nosić określony strój głowy, zamieszkiwać w mieście wyznaczoną dzielnicę, a na prowincji nie wolno im było opuszczać, bez wyraźnego zezwolenia, wioski, w której się urodzili. Dane otrzymane ze spisów ludności skrupulatnie „notowano” na quipu. Następnie przystępowano do dokładnego wymierzenia ilości ziemi uprawnej, ustalając jednostkę areału niezbędną dla wyżywienia bezdzietnego małżeństwa. Jednostka ta zwana t u p u zmieniała się zależnie od jakości gleby, stopnia jej nawodnienia, rodzaju panujących w danej okolicy upraw. Przeciętnie obejmowała prostokątne pole o rozmiarach sześćdziesiąt na pięćdziesiąt kroków.

W zasadzie cała ziemia w Tahuantinsuyu stanowiła własność państwa, ale dzielono ją na trzy części, a mianowicie na ziemię wspólnot, przydzielaną w użytkowanie jej członkom, na ziemię Inki, z której dochody szły na cele państwowe oraz potrzeby dworu władcy, co zresztą na jedno wychodziło, oraz na ziemię Słońca, przeznaczoną na utrzymanie kapłanów i wydatki związane z kultem. Brak jest danych, czy ten trójdzielny podział był ściśle przestrzegany. Prawdopodobnie większość ziemi należała do Inki, nierzadkie były bowiem wypadki konfiskaty ziem zbun-

towanych wspólnot lub nawet całych prowincji. Z drugiej strony w wypadku niedostatku uprawnych pól, przy wzroście liczebnym jednostek terytorialnych, państwo śpieszyło w sukurs, przydzielając z własnej puli niezbędny areal. Istnienie takiej struktury rolnej nie eliminowało jednak całkowicie prywatnej własności. Zdarzało się bowiem często, że za wybitne zasługi dla państwa Inka prywatnym osobom nadawał ziemię. Darowizny te były niezbywalne, dziedziczne w rodzinie obdarowanego, który nie płacił z nich żadnych danin.

Po ustaleniu minimalnej jednostki ziemi, niezbędnej na utrzymanie rodziny, każde małżeństwo otrzymywało trzy tupu, czyli takie jednostki. Jedną z nich uprawiało dla potrzeb Inki i państwa, drugą dla kapłanów i kultu, z trzeciej dochody szły na własne utrzymanie. Za każdego syna małżeństwo otrzymywało dodatkowo jeden tupu, a za córkę połowę tej ziemi. Przy małżeństwie syna zabierał on swoje tupu, przy zaślubinach córki jej działkę zatrzymywał ojciec. Wdowa zachowywała w dożywociu ziemię przydzieloną jej mężowi. Ziemie należące do osób, które uległy wypadkom losowym — kalectwu, ciężkiej chorobie bądź powołane zostały do służby wojskowej, uprawiała wspólnota. W wypadku klęsk żywiołowych — wylew rzeki, grad, trzęsienie ziemi — dotkniętym nimi spieszyła z pomocą wspólnota lub państwo, z magazynów, w których przechowywano nadwyżki, przydzielając nieodpłatnie odpowiednie ilości zboża. W podobny sposób regulowany był podział łąk i pastwisk. Przy czym, jak już mówiliśmy, co roku dokonywano tu korektur, uwzględniając aktualny stan liczebny rodzin oraz, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, czynniki obiektywne zaszłe w ubiegłym sezonie — nieurodzaj, epidemie, klęski żywiołowe, zniszczenia wojenne itp.

Dla sprawnego działania tego systemu, który, jak zaraz zobaczymy, rozciągał się także na inne strefy działalności gospodarczej, Inkowie wprowadzili jednostki terytorialno-administracyjne. Podstawową taką jednostką była *pachaca* — 100 rodzin, na której czele stał *llacta-camayoc*, urzędnik wyznaczony przeważnie z miejscowej „lepszey” rodziny, potomek dawnego kacyka, czasem zaś przysyłany z zewnątrz. *Pachaca* rozpadała się na mniejsze jednostki typu porządkowego złożone z dziesięciu

i pięćdziesięciu rodzin, z szefami wybieranymi spośród pater familias\* w obrębie tych grup. Naczelnicy owych jednostek dzierżyli w swych rękach pełnię władzy administracyjno-sądowej (z pewnymi wyjątkami) nad podległymi sobie grupami, czuwali nad utrzymaniem właściwego rytmu pracy, nad podziałem ziemi i zajęć, oni też wyznaczali ludzi do robót szarwarkowych i baczylili, by w terminie wykonywano przepisana pańszczyznę i oddawano nałożone daniny.

W państwie Inków obowiązywał powszechny przymus pracy, sięgający od samej góry hierarchii społecznej do nizin. Nawet ślepcom, głuchoniemym przydzielano lekkie zajęcia, w postaci na przykład łuskania kukurydzy, nawijania motków bawełny; już dzieci ledwie wyszłe z okresu niemowlęstwa przyzwyczajano do drobnych robót przynoszących pożytek społeczny. Lenistwo było wrogiem numer 1. Często więc wymyślano robotę dla samej roboty, byle tylko ludziom nie dać zakazać się bakcylem nieróbstwa. Jeden z Inków mawiał, że jeśli naprawdę nie można znaleźć jakiejś pożytecznej pracy, niech lud przenosi góry z miejsca na miejsce. Z drugiej strony baczono, by praca nie przerastała możliwości i fizycznych sił jednostki, by odbywała się w warunkach nie zagrażających jej życiu. Dlatego szkodliwe dla zdrowia poszukiwania rtęci czy poławianie pereł były całkowicie zakazane, a prace plantacyjne w zabójczym klimacie dżungli nadamazońskiej zlecano tylko tubylcom przystosowanym do życia w tropikach. Dlatego też gigantyczne prace przy wielkich budowlach, ciągnięcie olbrzymiej długości dróg, inżynieryjne roboty przy drążeniu tuneli i zakładaniu kanałów nie pociągały za sobą takich hekatomb w ofiarach ludzi, jak podobne dzieła Egipcjan i Mezopotamczyków. Osiągano to przez stałą zmianę kontyngentów roboczych, zapewnienie pracownikom dłuższych okresów wypoczynku i rekreacji.

Wielka część ludności państwa, właśnie z racji pełnionych funkcji, nie mogła i nie była w stanie sama się wyżywić. Tu należała rządząca krajem elita oraz pełniąca w jej imieniu kierownicze funkcje na prowincji armia lokalnych naczelników czy urzędników.

\* (Łac.) Ojciec rodziny.

ków, dalej ogromnie rozbudowana klasa kapłańska, żołnierze służby czynnej, uczeni, górnicy i budowniczo wie dróg, różne kategorie rzemieślników oraz niezliczona służba władcy o różnorodnych funkcjach.

Wszystkie te grupy ludności musiał wyżywić chłop peruwiański, a ponieważ do pańszczyźnianej pracy na ziemi na rzecz państwa i kleru obowiązani byli tylko z onaci mężczyźni, wczesne małżeństwa poddanych nabierały wagi pierwszoplanowej. Stąd zapewne wzięły się przypuszczenia, że system rządów Inków do tego stopnia nie liczył się z wolą i uczuciami poddanych, iż urzędnicy kojarzyli małżeństwa na zasadzie samowolnie dokonywanego przez nich łączenia par. Zdaje się, iż rzecz miała się jednak nieco inaczej. Rzeczywiście specjali inspektorzy Inki dość często objeżdżali wsie i w czasie swych wizyt udzielali małżeństw znajdujących się w wieku ślubnym młodzieży, ale chyba raczej chodziło tu nie tyle o przymusowy spęd nupturientów, ile o zatwierdzenie umówionych już uprzednio związków.

Ale lud wiejski — hatun runa — nie tylko dawał państwu pracę na roli. Z jego szeregów rekrutowali się na płaskowyżu andyjskim niezliczeni pasterze. Większość olbrzymich stad lam i alpaka należała bądź do Inki, bądź do Słońca, mniejsze trzody znajdowały się w posiadaniu niższej arystokracji i lokalnych curaca, rodziny zaś miały prawo do nie więcej niż dwóch par tych zwierząt, przy czym zabić na mięso można było tylko sztukę chorą lub starą, a młodszą wtedy jedynie, gdy dzięki reprodukcji utrzymalna była liczba pogłowia.

Co roku odbywała się generalna strzyża, a zebraną wełnę wspólnoty przydzielaly rodzinom, których kobiety zajmowały się przędzeniem i tkaniem, dostarczając odzieży do magazynów państwowych, skąd znów rozdzielano ją między mieszkańców.

W zasadzie były to jedyne świadczenia spełniane przez kobiety, ale praktyka zadawała kłam tej teorii. Mężowie czy ojcowie bowiem wciągali je także do prac na ziemiach Inki i Słońca, a można przypuszczać, że pomagały także przy różnego typu robotach rzemieślniczych na rzecz państwa. Większość autorów, zajmujących się historią Tahuantinsuyu, podkreśla, że w państwie tym nie znano niewolnictwa w barbarzyńskich formach spotyka-

nych w innych społeczeństwach, ale przecież wspólnoty musiały także płacić haracz w dziewczętach. Oto co roku we wszystkich miejscowościach kraju pod okiem specjalnych wysłanników Inki odbywał się swoisty konkurs piękności dziewczynek w wieku lat ośmiu do dziesięciu. Laureatki tych rewii urody szły do wspomnianych już domów „Dziewic Słońca”, a mimo nadania tej instytucji charakteru zaszczytu religijnego, nietrudno sobie wyobrazić, ile przy tej okazji rozgrywało się dramatów rodzinnych.

Daniny rodzin należących do wspólnot wiejskich obejmowały także określone ilości rozmaitych przedmiotów, jak sznury, obuwie, różne wyroby ceramiczne. Zapotrzebowanie na rzemieślników, głównie jubilerów, snycerzy, tkaczy i garncarzy, było ogromne. Ale każdy z nich pracując dla Inki czy curaca otrzymywał państwowy surowiec, pełne zaopatrzenie dla siebie i rodziny, jeżeli mu pomagała, w postaci odzieży, wyżywienia i leków na czas pracy, a okres jej nie mógł przekraczać trzech miesięcy w roku.

Niekiedy z uwagi na rodzaj pracy wykonywanej przez rzemieślnika decydował o niej osobisty talent i biegłość mistrza. W tym wypadku świadczenia nie mierzono ilością zużytego czasu, ale uważano za spełnione w momencie oddania zamówionego przedmiotu, a wykonawca nie mógł być wcześniej powołany do nowego świadczenia niż przed upływem roku.

Z częstymi wizytami prowincjonalnych dostojników wiązał się zwyczaj wręczania Ince, dla pozyskania jego życzliwości, kunsztownych prezentów. Nic więc dziwnego, że wybitnie utalentowani rzemieślnicy, prawdziwi artyści w swoim fachu, cieszyli się ogromnym popytem, każdy bowiem z wysokich urzędników marzył o olśnieniu Inki jakimś nadzwyczajnym darem. Tego typu mistrzowie nie mieścili się już w ramach wspólnoty, lecz przebywali na dworze swoich zleceniodawców, utrzymywani przez nich wraz z rodziną.

Rozbudowany system danin i świadczeń publicznych limitowały lokalne warunki. Zrozumiały, że od ludności andyjskiej puny nie żądano piór, ptaków tropikalnych, a na plemiona z zielonej dżungli nie nakładano haraczu w postaci oceanicznych muszli. Po zajęciu więc nowej krainy specjaliści urzędnicy sporządzali plastycz-

ne mapy terenu z dokładną jego topografią, liczyli ludność, ustalali bogactwa naturalne, zasoby leśne, warunki hydroagronomiczne, zaznajamiali się szczegółowo z lokalną florą i fauną, badali miejscowe specjalności typu przemysłowego, poznawali specyficzne uzdolnienia mieszkańców. Dopiero po tak wszechstronnych studiach wyznaczano, stosownie do ekonomicznych możliwości okolicy, daniny w określonych płodach, zarządzano przeprowadzenie takich czy innych prac charakteru publicznego.

Zależnie więc od okoliczności obowiązkowe prace, czyli mity, mogły obejmować konstrukcję akweduktów, budowę fortecy, regulację rzeki, kopanie złota, założenie nowych plantacji koki, a także dostarczanie tancerzy czy nosicieli lektyk na dwór Inki itd., itp. Owe kolektywne roboty publiczne typu szarwarkowego wykonywała jedna partia robotników tylko przez ściśle reglamentowany okres. Na przykład w kopalniach nie mógł on trwać dłużej niż cztery miesiące, przy czym dniówka przypadała na najdogodniejsze godziny dnia. Specjaliści zaś urzędnicy czuwali pilnie nad stanem zdrowia pracowników i warunkami, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, higieny i bezpieczeństwa pracy.

Zresztą Inkowie potrafili nadać kolektywnym pracom charakter solennego obrzędu religijnego, który nie był wolny od znamion widowiska rozrywkowego, co wysiłek czyniło znacznie łatwiejszym. Praca w mentalności tubylcy należała do aktów twórczych, przepojonych treścią magiczną, przekształcających przyrodę, otoczenie, przynoszących w efekcie nowe rzeczy. Z wysiłkiem fizycznym w wyobraźni Indianina współdziałały nadzmysłowe tajemnicze siły, powołując do życia nie istniejący przedtem przedmiot. Kielkowanie rzuconego w ziemię siewu, jego wegetacja, kwitnienie i dojrzewanie to fenomeny nie dające się wytłumaczyć w sposób, powiedzmy, materialistyczny. Dlatego prace publiczne, zwłaszcza te na wielką skalę, inicjowały wielkie uroczystości religijne z udziałem kapłanów, a nierzadko i samego Syna Słońca. Dlatego robotom na roli towarzyszyły chóralne pieśni siewne i żniwne, pełniące rolę zabiegu magicznego dla zapewnienia pomysłnych zbiorów. I dlatego wreszcie chłop wstępujący na Pole Inki lub Słońca odziewał się odświętnie i przystrajał w rzadko tylko noszone ozdoby. Także transport ciężarów odbywał się

w równym takcie nóg i rąk, przy akompaniamencie przeciągłego śpiewu przewodnika. Rytm i pieśń, stanowiąc element obrzędowy, równocześnie zmniejszały wysiłek indywidualny, rozkładając go na cały zespół, czyniły pracę łatwiejszą i nadawały jej walor omal że towarzyskiej rozrywki.

Cała ziemia i wszystkie jej plody stanowiły własność Inki względnie państwa i Słońca. Trzecią część plonów otrzymywali ci, dzięki którym w ogóle je zbierano. Wszystkie nadwyżki i daniny w naturze szły do magazynów państwowych. Część transportowano do Cuzco, większość pozostawała w spichlerzach miejscowych na utrzymanie urzędników, wojska i robotników. Tam gdzie nieurodzaj groził głodem ludności, przetrucano nadwyżkę żywności z innych okolic. I rzeczywiście w tym zdumiewającym kraju nie znano, co to żebractwo i nędza, liczne bowiem magazyny rozrzucone po całym państwie zawierały dobra wszelkiego rodzaju obliczone co najmniej na przetrwanie dziesięciu lat. Wszelkie zaś czasowe ubytki tych żelaznych rezerw uzupełniano jak najszybciej. Zwyczaj tedy Indianin z masy hatun runa mógł żyć w poczuciu spokoju i bezpieczeństwa własnej egzystencji. Od państwa otrzymywał wszystko, co było mu potrzebne do życia, ale nie ponadto, chociaż on był twórcą nieprzebranych bogactw państwowych. A to, co państwo łaskawie mu użyczało, wystarczało właśnie tylko na biologiczne przetrwanie i reprodukcję gatunkową wielomilionowej armii pracy.

Urodzenie determinowało w sposób niemal absolutny los i rolę społeczną jednostki w Tahuantinsuyu. Wielki Inka Tupac Yupanqui mawiał na przykład, że dzieci pospółstwa nie mogą zajmować się nauką, wiedząc bowiem więcej niż ich ojcowie ulegną grzechowi pychy, zaczną gardzić swym dotychczasowym zajęciem i wtedy przysporzą tylko szkód państwu. Czy to więc nisko, czy szlachetnie urodzony musi być wychowywany odpowiednio do stanu swego ojca, niech więc chłop pilnuje ziemi, rzemieślnik rękodziela, a arystokrata uczy się rozkazywać i rządzić, bo to ostatnie nie jest sprawą pospółstwa.

Zasady te stały się też podstawowym kanonem w polityce państwa w stosunku do obywateli. Rodzina członka klasy hatun runa była niczym innym jak komórką roboczą, kierowaną od kolebki

po śmierć rozkazami płynącymi z zewnątrz. Mimo formalnego braku niewolnictwa w państwie Inków, przypisany do ziemi, na każdym kroku skrępowany tysiącem przepisów określających rytm jego pracy, odzież, czas ślubu czy zamażpójścia, Indianin z ludu był bezwolną marionetką nakręcaną rękoma nadzorujących go urzędników. Nawet liczne święta nie dawały mu złudzenia wolności, bo w dniu te musiał brać udział w rytualnych biesiadach kończących się z reguły pijaństwem, uczestniczyć w grupowych śpiewach i tańcach i tym podobnych zabawach.

Indianin z pospólstwa nie mógł nawet marzyć o przekroczeniu barier dzielących go od rządzącej nim elity. Nie miał co myśleć o wyrwaniu się z zakłętą kręgu ciasnego i monotonnego świata wspólnoty, do której sam fakt urodzenia przypisał go na całe życie. W lepszej już sytuacji znajdowały się Indianki, jeżeli wybrane do domu „Dziewic Słońca” znalazły szczególne względy monarchy. Mężczyźni natomiast mogli w bardzo rzadkich zresztą wypadkach dostąpić drobnego awansu, dzięki wyjątkowemu talentowi artystycznemu lub szczególnym zasługom wojennym. Ale nawet i wtedy hatun runa, używając terminologii z obozów koncentracyjnych, co najwyżej osiągnąć mogli funkcje vorarbeiterów, nigdy natomiast nie zostaliby przyjęci do klasy prawdziwych prominentów. Jeżeli więc niektórzy pisarze zachwycają się, jakoby państwo Inków przyniosło poddanym „zorganizowaną szczęśliwość”, to mają rację tylko o tyle, o ile szczęście mierzy się brakiem potrzeb.

System społeczno-państwowy Inków zabijał w człowieku z ludu inicjatywę, z góry i w całym swoim założeniu odbierał mu szansę wszelkiego postępu, wplatał go w kierat niezmiennie powtarzającej się codzienności, usypiał osobiste ambicje, tłumił wolę, narkotyzował. Na rozkaz Inki, wyrażony ustami jego przedstawiciela, hatun runa podejmował prace — zasiewał pola, nawadniał grunta, ciągnął mosty i kanały, wznosił ciężkie budowle. Na inny znów sygnał zbierał plony, zapełniał magazyny, strzygł lamy i budował drogi. Hasło wskazywało mu dni, kiedy należało świętować, i na dany znak pokornie szedł na wojnę. Z biegiem czasu system ten wytworzył społeczeństwo o funkcjach wegetatywnych, pasywne i apatyczne.



Do Jedynego Inki zwykły Indianin miał niewiele bliżej niż do chłodnych gwiazd na wysokim niebie. Ale przecież niekiedy na wojnie czy przy okazji udziału w różnego rodzaju pracach szarwarkowych widywał dostojników, otoczonych bajecznym dla niego zbytkiem, ocierał się o świat, o którym legendy prawili wioskowi bazarze. Czy wtedy nie budziły się w nim nie znane mu dotąd tęsknoty, czy nie porównywał własnej doli z losem możnych tego świata, czy nie doznawał żalu i poczucia krzywdy? Któż wie, sądzą jednak, że baśń o „zorganizowanym szczęściu” peruwiańskiego Indianina pochodzi z krainy mitów.

W lepszej już sytuacji znajdowała się warstwa ludności formalnie i faktycznie półwolnej. Tworzyli ją yanacona, pochodzący z jeńców wojennych, krewnych przestępców skazanych na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej za zbrodnie jakiegoś familianta czy też członka wspólnoty. Ludzie ci byli zmuszeni do pełnienia służby przy Ince lub wysokich dygnitarzach państwowych. Wykonując niekiedy nader intymne usługi mieli sporo okazji do zwrócenia na siebie uwagi pana, zdobycia jego życzliwości, czasem awansowali do roli zaufanych totumfackich, rzadziej dochodzili do znacznych zaszczytów. Mieli więcej od hatun runa szans zrobienia kariery, ale czy en masse\* byli zadowoleni ze swego losu, wątpić należy, skoro zważyć, że w okresie konkwisty oni najłatwiej przechodzili na stronę Hiszpanów.

Mówiliśmy wyżej, że za podstawową jednostkę administracyjno-terytorialną uchodziła pachaca. Wyższymi były grupy 500 i 1000 rodzin, a dalej 10 000 rodzin, nad którą władzę sprawował zazwyczaj lokalny curaca lub jego potomek. Najwyższe szczeble w hierarchii zajmowali: „ten, który widzi wszystko” — t u c r i c u c, zarządzający 40 000 rodzin na terytorium pokrywającym się z ziemią państwem lub plemienia podbitego przez Inków, oraz czterej wicekrólowie c a p a c - a p u, władający w czterech dzielnicach państwa.

Najwyższych urzędników mianował Inka spośród bliskich krewnych, on także osobiście wybierał dziesięcioletnich. Niższych urzędników zaś wyznaczał przełożony bezpośrednio wyż-

\* En masse (fr.) — w masie, w wielkiej ilości, jako całość.

szego szczebla, w ten sposób władza płynęła od Inki z góry w dół, a hierarchia zbudowana była na zasadzie wertykalnej\*. Między zaś urzędnikami zajmującymi identyczne stanowiska nie istniały żadne, poza ewentualnie prywatnymi, kontakty czy współzależności. Urzędnicy składali okresowe raporty z podległych im terenów bezpośrednio szefom, a więc znów na zasadzie pionowej z dołu do góry. Najwyżsi dostojnicy udawali się co jakiś czas do Cuzco w celu osobistego zapoznania Inki ze stosunkami panującymi na powierzonych im odcinkach państwa. Niezależnie od tego Inka wysyłał lustratorów czy komisarzy, którzy na miejscu sprawdzali faktyczny stan rzeczy. Czasami zaś sam udawał się w wielką podróż wizytacyjną po całym kraju — z reguły zaraz po koronacji — która nieraz ciągnęła się dwa i trzy lata.

Niektóre urzędy, z racji nadania Inki, były dziedziczne i przechodziły na syna lub bratanka. Na obszarze podległego mu terytorium każdy urzędnik sprawował władzę administracyjno-porządkową i sędowniczą, ale bez władzy ustawodawczej, bo to stanowiłoby ingerencję w prawa zastrzeżone wyłącznie dla Sapay Inca. Sędziowie nie mogli na przykład wymierzyć za przestępstwo niższej niż przewidziana kary, nie mieli też prawa łaski. Kodeks karny Inków nie należał do obszernych, ale nie żałował surowych kar. Przestępstwa mniejszej wagi sądzili urzędnicy niżsi w ramach swej kompetencji terytorialnej, zbrodnie zaś zagrożone karą śmierci gubernatorzy prowincji, sam Inka lub wyznaczeni przez niego specjaliści sędziowie.

Do najcięższych zbrodni należały: nieposłuszeństwo wobec Inki, rebelia, mord, kradzież, podpalenie, zdrada małżeńska, czarna magia, rozmyślne niszczenie urządzeń służących użyteczności publicznej (mosty, wodociągi, drogi), ciężkie bluźnierstwo, co z reguły karano śmiercią. Ale i w tych przypadkach brano pod uwagę szczególne okoliczności i motywy sprawcy. Jeżeli oskarżony ukradł na przykład z głodu lub nędzy, bywał zwalniany od odpowiedzialności, natomiast podlegał karze jego przełożony jako winien dopuszczenia do takiego stanu rzeczy. Zabójstwo w obronie

\* Wertykalny (z łac.) — pionowy; linia, której kierunek przebiega pionowo z góry w dół.

własnej lub w afekcie, zwłaszcza w przypadku dowiedzenia zdrady małżeńskiej, karano tylko czasowym wygnaniem.

Szeroko rozbudowana była kategoria przestępstw urzędniczych. Dowiedzione sędziemu przekupstwo kończyło się nieodmiennie jego śmiercią. Zaniedbywanie obowiązków urzędniczych, kierowanie się prywatą, niesprawiedliwość wobec podwładnych, złą gospodarkę karano surowo i z reguły winny tracił urząd. Pijaństwo w czasie wykonywania obowiązków służbowych pociągało za sobą zesłanie do karnych robót.

Wymiar kar był zróżnicowany, zależnie od przynależności społecznej przestępcy, przy czym surowsze kary spotykały członków warstw uprzywilejowanych niż ludzi z pospólstwa.

W każdej najmniejszej miejscowości rezydował specjalny sędzia — michic, który zajmował się wyłącznie tępieniem znanych dobrze naszym czasom plag społecznych, a mianowicie chulikaństwa, bumelanctwa i brakoróbstwa. Dzięki działalności tych urzędników ponoć młodzież w państwie Inków była wzorem obyczajności i pracowitości.

Nie wiadomo, czy przestępstwa przeciwko religii i kapłanom podlegały kompetencji sądów cywilnych, czy też zajmowały się nimi kolegia duchownych. Mało mamy wiadomości o procedurze sądowej u Inków.

W zasadzie każda sprawa musiała być rozstrzygnięta w ciągu pięciu dni, a wyrok podlegał natychmiastowej egzekucji, albowiem nie znano pojęcia apelacji. Rozprawa odbywała się w obecności wszystkich zainteresowanych stron, a oskarżony miał prawo do obrońcy, wybieranego spośród urzędników.

Przyznanie się podejrzanego uznawano za dowód jego winy. W braku takiej deklaracji brano pod uwagę zeznania świadków, a w razie potrzeby stosowano tortury. Gdy i one nie pomogły, uwalniano go od kary. Niekiedy uciekano się do czegoś w rodzaju sądów bożych — oskarżonego wrzucano na jakiś czas do dołu z jadowitymi węzami bądź też na jego plecy z wysokości jednego metra spuszczano ciężki kamień.

Karę śmierci wykonywano najczęściej przez ukamienowanie lub powieszenie, ścięcie czy zabicie maczugą. Czasem egzekucję łą-

czono z wyrafinowanymi męczarniami — delikwenta ćwiartowano żywcem albo spalano na wolnym ogniu.

Z innych kar stosowano: banicję wieczną lub okresową, zesłanie na ciężkie roboty, pręgierz, biczowanie, zamknięcie w świątyni albo w klasztorze dziewic (oczywiście tyczyło to tylko kobiet), rzadziej więzienie i kary typu hańbiącego, jak obcięcie włosów.

Prawodawstwo Inków znało pojęcie odpowiedzialności zbiorowej. Kto więc zabił władcę, coyę lub następcę tronu, tego włóczono, szpikowano strzałami i ćwiartowano. Jego dom równano z ziemią, a potomstwo aż do czwartego pokolenia nie mogło piastować żadnych cywilnych czy wojskowych stanowisk i urzędów.

Na prowincji w nowo zdobytych krajach starano się wymiar sprawiedliwości dopasować do istniejących tam norm prawnych i obyczajowych. Jak już bowiem mówiliśmy, Inkowie włączając do swego państwa coraz to nowe krainy starali się swój system administracyjny adaptować do istniejącego tam porządku i możliwie jak najmniej zmieniać modus vivendi \* tamtejszej ludności. Dlatego też chętnie u władzy pozostawiali miejscowych curaca z prawem dziedziczości, dla podniesienia autorytetu kacyków zwalniali ich od obowiązków osobistej daniny, a synów kształcili w Cuzco na przyszłych zarządców prowincji. Co roku jednak musieli curaca powtarzać w stolicy hołd władcy i składać szczegółowy raport o sprawach podległych im rejonów.

Mimo wielkiej tolerancji w polityce inkorporacyjnej, tolerancji, która nawet godziła się na istnienie lokalnych kultów, Inkowie bynajmniej nie rezygnowali z pełnej asymilacji nowo pozyskanych ziem i ich mieszkańców. Sądziли jednak, że całkowite wchłonięcie obcych plemion możliwe będzie dopiero w dłuższym procesie historycznym, a wszelkie sztuczne jego przyspieszanie może tylko przynieść niepowetowane szkody. Dwa główne scalające elementy widzieli w religii i języku. I tych instrumentów podboju kulturalnego i narodowego nigdy się nie zrzekali. Zaraz więc po zwycięskiej kampanii, uznając prawo tubylców do oddawania czci starym bożkom, wprowadzali kult Słońca jako oficjalnie obo-

\* Modus vivendi (łac.) — sposób bycia, ułożenia wzajemnych stosunków.

wiążącą religię państwową. Rozbudowany szeroko system świąt o dużych walorach widowiskowych wywierał znaczny wpływ na umysłowość tubylców, działał atrakcyjnie na „niewiernych”, hołdujących nieporadnie wyciosanym w drzewie balwanom.

Zaraz po kapłanach przybywali nauczyciele języka. R u n a - s i m i, czyli „mowa mężów”, to jest czysty język quechua, jakim mówili Indianie mieszkający w dolinie Inków, był najbogatszym i najbardziej rozwiniętym narzeczem ze wszystkich dialektów andyjskich, najlepiej też się nadawał do pełnienia funkcji języka uniwersalnego. Zakładane na miejscu szkoły cieszyły się tedy dużą frekwencją, nie tylko dlatego, że w zasadzie nauka była obowiązkowa, ale raczej dlatego, że bez wykazania się nabyciem w ciągu określonego czasu biegłości w tym języku nie było mowy o piastowaniu tak atrakcyjnych dla Indianina urzędów i różnych godności tytularnych. Wprawdzie chyba nie zawsze udało się nauczyć całą starszą generację, młodzież jednak po niewielu latach uważała narzucony sobie język za macierzysty.

Quechua zdaje się nie było mową ojczystą Inków. Niektóre źródła podają, że Inkowie i kapłani w rozmowach między sobą posługiwali się niezrozumiałym dialektem, którego nauki pod karą śmierci zabroniono niewtajemniczonym.

Oczywiście ów proces asymilowania i podporządkowywania sobie prowincji nie zawsze przyjmował tak niewinne formy, nie zawsze język i religia załatwiały sprawę. Niejednokrotnie Inkowie natrafiali na mniej lub więcej bierny opór mieszkańców, często nie udawało się pokojowymi metodami stłumić tęsknot niepodległościowych. Wtedy uciekano się do bardziej zdecydowanych form nacisku. Porządku w kraju pilnowały silne garnizony wojskowe. W razie gdy i to nie pomagało, chwytało się jeszcze ostrzejszych środków, część ludności deportując do odległych okręgów, od dawna spacyfikowanych. Na miejsce przesiedlonych zaś osadzano rodziny kolonistów z wiernych plemion. Przez dwa lata do momentu pełnego zagospodarowania się korzystali oni z magazynów państwowych. Owi koloniści, zwani mitima, tworzyli odrębne grupy narodowościowe w otoczeniu obcego plemienia, być może w stosunku do niego pełnili funkcje nadzoru

i inwigilacji typu wywiadowczego, a na pewno w znakomity sposób przyczyniali się do upowszechnienia znajomości państwowego języka. Tymczasem deportowani, oderwani od substratu plemiennego, w obcym środowisku rychło się wynaradawiali, do czego walnie się przyczyniały popierane przez władze małżeństwa mieszane.

Trzecim, obok państwowej religii i jednego języka, czynnikiem unifikacyjnym był system komunikacyjny, na który składała się sieć dróg i kursujące po nich sztafetowe poczty szybkobiegaczy.

Dla olbrzymiego państwa ciągnącego się na przestrzeni setek mil od pustkowi Argentyny i Chile aż po dżungle Ekwadoru i Kolumbii i od Oceanu Atlantyckiego po niezgłębione selwasy\* wschodu, przy centralistycznym systemie rządów sprawa zapewnienia szybkiej łączności między odległymi dzielnicami kraju miała znaczenie pierwszoplanowe. A pamiętajmy, że Inkowie nie posiadali zwierząt wierzchowych, nie znali zasady koła, a zatem pozbawieni byli mechanicznych środków przenoszenia się z miejsca na miejsce. W dodatku ich państwo o poszarpanej konwulsyjnie konfiguracji terenowej, pocięte głębokimi bruzdami przepastnych kanionów, barykadowane kataraktami dzikich rzek z natury rzeczy nie sprzyjało rozwojowi szlaków komunikacyjnych. Jakże bowiem myśleć o sprawnej łączności w kraju niebosiężnych gór i lodowych pól, pustyń i piasków lotnych, bezkresnych stepów i puszczy, w których ścieżkę torować sobie trzeba siekierą i nożem, w kraju wreszcie wszystkich klimatów?

A jednak z tymi trudnościami Inkowie uporali się po mistrzowsku. Wiele dziwów ujrzeli konkwistadorzy hiszpańscy w Nowym Świecie, ale chyba nic ich tak nie zaskoczyło, olśniło i w taki wprowadziło nieklamany zachwyt, jak właśnie owe słynne drogi Inków. Dziesiątki litrów atramentu przelano na papier przy ich opisach. Główny autorytet w sprawach cywilizacji Inków Pedro de Cieza de León, żołnierz-pisarz, sam po tych drogach podróżował i w swej „Kronice Peru” nie szczędził słów podziwu. Posłuchajmy:

\* Selva (hiszp.) — selwasy, lasy tropikalne w Południowej Ameryce.

„Huayna Capac kazał zbudować drogę bardziej królewską, dłuższą i szerszą niż te, po których jego ojciec miał zwyczaj podróżować. Miała prowadzić aż do Quito, dokąd zamierzał się udać. Jak zwykle przy niej znajdować się powinny hotele i budynki dla sztafet biegaczy. W pośpiechu po całym kraju rozbiegli się gońcy, głosząc jego wolę. Następnie dla dopilnowania rozkazu ruszała w drogę szlachta. I w ten sposób zbudowano najpiękniejszą i najbardziej godną widzenia szosę, jaka kiedykolwiek istniała w świecie. Biegła z Cuzco aż do Quito i łączyła się z drogą wiodącą do Chile. Za pamięci ludzkiej, jak sądzę, ani nigdzie się nie słyszało, ani nie czytało o tak wspaniałej rzeczy, jak ta droga, ciągnąca się głębokimi dolinami, po wysokich górach i śnieżnych szczytach, przez bagniste mokradła, pod olbrzymimi skałami i pobok rzek o burzliwych wodach. W niektórych okolicach była płaska, wybrukowana kamieniami i biegła wzdłuż stoków, gdzie indziej przechodziła przez urwiste góry, była cięta w żywej skale, na brzegach rzek osłaniały ją mury, przecinała pola śnieżne, ówdzie tworzyła tarasy i platformy, a wszędzie była czysto zamieciona, a wzdłuż niej w wielkiej liczbie znajdowały się hotele, magazyny ze skarbami, świątynie Słońca i posterunki poczty. Tak było wzdłuż całej trasy. Ach, czyż tak wspaniałe rzeczy zdarzały się za czasów Aleksandra, czy też któregośkolwiek z wielkich monarchów, jacy rządili światem? Czyż kiedykolwiek zbudowali oni taką drogę lub wzniesli podobne budynki? Wielka szosa, którą Rzymianie przeprowadzili przez Hiszpanię, była niczym w porównaniu z tą drogą, podobnie jak inne, o których mówią nam księgi. A została wykonana w tak krótkim czasie, że przechodzi to wszelką imaginację. Ponieważ Inkom więcej czasu zabierało wydanie rozkazów niż ludziom wykonanie roboty.”

I poczciwy wojak jeszcze stopniuje swój zachwyty:

„Wierzę mocno, że cesarz Karol V, mimo całej swej potęgi, nie byłby w stanie zbudować podobnej szosy jak ta, która prowadzi z Quito do Cuzco lub z Cuzco do Chile, ponieważ nie miałby tylu sił ludzkich do dyspozycji co Inkowie, ani też nie umiano by przeprowadzić tak porządnie budowy, jak za ich panowania. Jeszcze gdyby chodziło o budowę drogi długości pięćdziesięciu, stu

lub dwustu legua\*, przyjąć można, że na niezbyt trudnym terenie także za Karola V można by ją zbudować; ale drogi Inków miały do 1100 legua długości, biegły przez tak dzikie i strome góry, że w niektórych miejscach człowiek dostawał zawrotu głowy, tam zaś gdzie prowadziły przez spadziste ściany skalne, były przy pomocy kilofa i ognia wyrabane w żywej skale, gdzie zaś musiały pokonać zbyt ostre stromizny, przemieniano je w schody, których stopnie miejscami przerywano szerokimi występami przeznaczonymi na odpoczynek. Tak samo pewnie prowadziły przez zasypane śniegiem szczyty, jak przez las dziewiczy czy mokradła. Kto zna drogę prowadzącą z Limy przez strome wierchy Huarochiri i śniegi gór Pariacaca do Jauja, kto pomyśli o zawrotnej przepaści, jaką droga spada do rzeki Apurimac, ten przywótczy moim słowom”.

Naszego reportera zdumiewa także „łatwość, z jaką tubylcy budowali drogi, bez wielkiego wysiłku i ofiar. Inka, który postanowił zbudować jedną z tych dróg, nie musiał długo się zastanawiać lub wydawać surowych rozkazów, wystarczyło mu po prostu zarządzić: niech się staniel! Jego budowniczkowie udawali się na miejsce, wytyczali trasę i rozkazywali mieszkańcom jednej czy drugiej prowincji budować drogę. Każda prowincja własnym sumptem i wysiłkiem budowała odcinek przebiegający przez jej terytorium i w ten sposób o tym samym czasie powstawała droga na całej swej długości”. Z sieci dróg, której ogólna długość sięgała co najmniej, według współczesnych obliczeń, 16 000 kilometrów, znaczna część dochowała się do dzisiaj i wciąż jest użytkowana. Dzięki zastosowaniu do badań archeologicznych w Peru samolotów odkryto zapomniane szlaki, których odcinki miejscami zagarnęła dżungla, gdzie indziej splukal deszcz lub zniszczyły trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. Z głównych arterii komunikacyjnych dwie szczególnie ze względu na swój rozmach budzą uzasadniony podziw. Są to szlaki: wyżynny i nadbrzeżny. Pierwszy prowadził od północnej granicy znad brzegów niezidentyfikowanej rzeki Ancasmayo przez Pasto i Quito, Huancapampa, Cajamarca, Huamachuco, Huamanca, Jauja, Huancavelica do Cuzco,

\* Legua — hiszpańska mila, ok. 5,5 km.



a stąd przez Ayahuiiri obiegał zachodnie wybrzeże jeziora Titicaca, skręcał na wschód do Chuquisaca i gubił się na południu w stepach Argentyny. Droga ta w pewnych miejscach miała ponad sześć metrów szerokości — kronikarze hiszpańscy mówią, że na niektórych odcinkach swobodnie obok siebie mogło iść osiem koni. Przeważnie była wykładana płytami kamiennymi, w góry wspinała się serpentyną, czasem przebiegała w skałach tunele, a na moczarach biegła po wysokich na parę metrów nasypach ziemnych wzmocnionych darnią.

W Tumbes rozpoczynał się szlak nadbrzeżny, szerszy od pierwszego, wiódł do starej stolicy Chimu Chanchan i ośrodków dawnej kultury w Pachacamac i Nazca. Stąd zbaczał na wschód do stolicy, następnie przez Arequipa wracał nad ocean, a dalej na południe mijał pustynię Atacama, sięgając aż po południową granicę imperium nad chilijską rzeką Maule. Na dużych odcinkach droga ta chroniona była przed inwazją lotnych piasków murem z gliny lub suszonych cegieł, gdzie indziej biegła aleją drzew owocowych i krzewów kwiatnych.

Nie brakowało także poprzecznych dróg łączących te dwie arterie, a liczne odnogi prowadziły także do zagubionych w Andach i położonych na odludziu gniazd górskich oraz do kolonii w puszczech wschodnich.

Przy drogach w odstępach jednodniowej podróży, a więc zależnie od konfiguracji terenu, co kilka lub kilkanaście i więcej kilometrów znajdowały się schroniska dla podróżnych, zwane t a m b o. Na pustkowiach nie różniły się one od szopy, bliżej większych osiedli tworzyły cały kompleks budynków mieszkalnych i magazynów, w punktach strategicznych przyjmowały niekiedy postać forticy. Schroniska te, zwane przez Hiszpanów oberżami, a w literaturze anglosaskiej karawanserajami, tworzyły zwykle prostokąt, a na zamkniętym przez nie placu koczowały lamy. W magazynach przechowywano zapasy wszelakiego dobra, a w arsenałach rozmaite gatunki broni i pocisków. W tambo podróżny znajdował odpoczynek i nocleg, wodę i pożywienie, opał, a w razie potrzeby mógł się zaopatrzyć w odzież czy obuwie, a wojsko uzupełnić uzbrojenie. Wszystko nieodpłatnie, w Peru nikt bowiem prywatnie nie podróżował, nie znano łazików i wagabundów, każ-

dy więc, kto znalazł się na królewskiej drodze, pełnił służbę dla Inki. Tamba znajdowały się pod opieką miejscowej ludności i utrzymywane były jej kosztem. Do mieszkańców należała także konserwacja dróg i mostów, a specjaliści urzędnicy baczili, by w razie potrzeby nie zabrakło rąk do pracy. Znakomity system dróg umożliwiał szybkie przemieszczanie oddziałów wojska i transport towarów z najodleglejszych nawet zakątków kraju, ale nie na tym kończyła się ich rola. Podobnie jak wzdłuż naszych szos biegną linie przewodów telegraficznych, tak drogi Inków stanowiły osobliwe łącza telekomunikacyjne, oczywiście w sensie nieco przenośnym. Myślę tu o słynnej poczcie peruwiańskich sztafet szybkobiegaczy.

Oto przy szosach Inków w niewielkiej od siebie odległości, zmiennej w zależności od topografii terenu, znajdowały się po obu stronach drogi szałasowe gońców, zwanych chasqui. Były one tak sytuowane, żeby można widzieć sąsiednie posterunki zarówno z jednej, jak i drugiej strony. W stacjach tych przebywało zawsze kilku szybkobiegaczy, a na głównych czy też bardziej ruchliwych drogach i kilkunastu. Przed każdym z szałasów przez całą dobę siedział na czatach Indianin. Jeden z nich obserwował jeden odcinek drogi, podczas gdy jego kolega z vis-à-vis — drugi. Jak tylko któryś z nich zauważył, że od sąsiedniego posterunku podąża w jego stronę Indianin, wybiegał mu na spotkanie, po czym wracał z nim razem do macierzystej stacji, ucząc się na pamięć meldunku, zawartego w krótkich telegraficznych słowach, a następnie biegł w kierunku swego zmiennika. Tu powtarzała się znów ta sama procedura. W ten sposób sztafeta nie traciła ani jednej chwili; na tę modłę przekazywano także quipu, jak również drobne przedmioty. Dzięki temu systemowi Inka mógł w Cuzco jadać świeże ryby morskie i owoce z dżungli.

Służba pocztowa rekrutowała się z młodych Indian o silnych sercach, zwinnych nogach i dobrej pamięci. Trenowani byli do niej od wczesnej młodości, ale, powiedzmy, staż zawodowy nie trwał u nich dłużej niż kwartał, po czym szli na dziesięciomiesięczny urlop wypoczynkowy. Praca chasquego uchodziła za bardzo zaszczytną, gońcy bowiem przynosili niekiedy rozkazy samego władcy. W takim przypadku mieli przewiązane karmazynową wstąż-

ką paleczki, a na ten znak, kto żyw, nawet sam gubernator prowincji, ustępował z uszanowaniem drogi. Utrudnianie lub uniemożliwianie chasquiemu przekazania wiadomości oraz wszelki zamach na jego nietykalność cielesną należały do ciężkich zbrodni, zwykle karanych śmiercią.

Różne są opinie na temat szybkości peruwiańskiej sztafety. Przypuszcza się, że zależnie od rodzaju trasy i panującej pogody mogła ona w ciągu doby przebyć od 250 do 500 kilometrów. Istnieje w każdym razie dowody, że prawie siedemset kilometrów odległości z Cuzco od Limy biegacze indiańscy pokonywali w niespełna cztery dni, podczas gdy konny kurier hiszpański jeszcze w XVII wieku na przebycie tej trasy używał co najmniej dwa tygodnie.

Dla informacji o życiowym dla państwa znaczeniu — np. wybuch groźnej rewolucji, bunt itp. — ten środek przekazywania wiadomości nie wystarczał. Inkowie i na to znaleźli sposób — system sygnalizacji dymno-światłowej. W tym celu przy każdej stacji pocztowej zawsze znajdował się w pogotowiu stos drzewa do podpalenia, a poza tym na wysokich wzgórzach stacjonowały specjalne posterunki. Metodą tą można było przekazywać tylko mało skomplikowane meldunki, ale dzięki niej, przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, Cuzco w parę godzin dowiadywało się na przykład, że wybuchło powstanie w odległej o 2000 kilometrów prowincji. W niektórych częściach kraju przyjął się także „telegraf puszczany”, czyli sygnalizacja przy pomocy bębnow, zapożyczona od Indian z puszczy nadamazońskich.

Cały system administracji, rozbudowana szeroko hierarchia biurokratyczna, metoda inwigilowania poddanych niemal od kołyski aż po śmierć, sieć dróg i poczt oraz jej ukierunkowanie, wszystko to służyło umocnieniu centralistycznej władzy. Za czasów Inków Cuzco było rzeczywiście „pępkiem świata”. Z jego środka wybiegały drogi w cztery dzielnice kraju, którym odpowiadały cztery dzielnice miasta. Na główny plac stolicy złożyła się ziemia wszystkich prowincji kraju dla symbolicznego podkreślenia, że Cuzco to miniatura imperium. I było to prawdą, ale prawdą jest także, że ową „miniaturę imperium” Inkowie traktowali jako czysto prywatne, rodowe gniazdo. Przecież z murów miasta i jego

najbliższej okolicy wypędzili wszystkich tych, którzy nie mogli wykazać się pokrewieństwem z nimi. Świetność stolicy, jej piękno i bogactwo służyło tylko podniesieniu splendoru Syna Słońca i jego rodziny. Dynastia peruwiańska pobiła wszystkie rekordy papieskiego nepotyzmu\*, stryj Inki stał na czele kapłanów, bracia rządili jako wicekróle czterema dzielnicami, synów słuchało wojsko, bratankowie i siostrzeńcy kierowali prowincjami. Cuzco jest moje — powtarzał Jedyne Inka. Imperium jest nasze — mówiła jego rodzina, a osiemdziesiąt, ba, dziewięćdziesiąt procent ludności odbierało pokornie rozkazy od członków ich rodu.

Albowiem krajem rządziła elita, garstka wobec milionowych mas, dla niej zastrzeżona była wiedza i mądrość, potęga i sława, bogactwo i radości życia. Z jej szeregów pochodzili wyżsi kapłani, amautowie i haravekowie — uczeni i znawcy historii. Tylko oni mieli prawo badać niebo i władać ziemią. Jedynie przed nimi świątynie otwierały wrota i tylko do ich ucha przeszłość szeptała słowa historycznej prawdy.

Panująca elita świadomie tedy dążyła do stworzenia społeczeństwa żyjącego w kategoriach poddańczego szablonu, ludzi bezwolnych i posłusznych. W tym celu w najdrobniejszych szczegółach przemyślany mechanizm administrowania tym państwem był dziełem umysłów chłodnych, abstrakcyjnych, lekceważących naturę ludzką i pełnych wiary, że przy pomocy norm prawno-religijnych można sięgnąć po rządy dusz. I po te rządy z żelazną konsekwencją sięgnęli.

A cóż gmin, pospólstwo, lud? Niech słucha i pracuje, milczy i wielbi pana.

I taka jest chyba prawda o tym przedziwnym państwie, o czym zbyt łatwo zapominają ci, którzy w Tahuantinsuyu widzą realizację socjalistycznych ideałów.

\* Nepotyzm — obsadzanie najwyższych stanowisk członkami najbliższej rodziny.



## KRÓL DWÓCH STOLIC

Inkowie byli kochliwi, jak przystało na dzieci wesołych bóstw greckiego Olimpu, ale nie na synów poważnych bogów peruwiańskich. Niejednemu z nich miłość przysporzyła nie tylko strapiień osobistych, lecz także poważnych kłopotów politycznych. Zobaczymy jeszcze, że pośrednio kobieta przyczyniła się nawet do zguby ich państwa.

Tak się też stało, że niemłody już Tupac Yupanqui zupełnie oszalał z miłości do pięknej Chiqui. Dziewczyna pochodziła z bocznej linii Inków i istotnie mogła brać premie na konkursach urody. Yupanqui uczynił z niej pierwszą faworytę, przy której zupełnie w cień odeszła coya, jego siostra Mama Ocello, osoba surowych obyczajów i dużej ambicji. Chiqui wywierała wielki wpływ na podstarzałego władcę, który niczego nie był w stanie jej odmówić. Za jej to sprawą buntownicy z pewnej prowincji, zamiast zgodnie z prawem stracić głowy, wywinęli się od śmierci i stworzyli, jak wiemy, załazek nowej grupy społecznej — yanacona. Ta humanitarna decyzja wywołała jednak milczący sprzeciw

w myślącym ortodoksyjnymi kategoriami otoczeniu Inki. Dotknięta w osobistych uczuciach, Mama Ocllo najwyraźniej obnosiła swe niezadowolenie i głosiła otwarcie, iż uchybianie prawom i niewczesna pobłażliwość w przeszłości już nieraz państwo Inków popchnęły na skraj przepaści. Aczkolwiek coya nie wymieniała tu żadnych imion ani przykładów, aluzje rozumieli wszyscy i coraz więcej dworaków w cichym porozumieniu potakiwało jej słowom.

Omali do otwartego skandalu nie doszło, gdy Yupanqui ogłosił następcą tronu Huare, syna, którego miał z Chiqui. Prawowity następca, Huayna, od lat przebywał na północy, gdzie właśnie dopiero co podbił możne państwo Puitu, zyskał wielką sławę i popularność wśród narodu. Wykazał się takimi walorami wodza, że można było wierzyć, iż będzie w przyszłości pomnożycielem państwa, zwłaszcza że ekspansja Inków już od dłuższego czasu kierowała się na północ, a te rejony doskonale poznał Huayna. Decyzję więc Yupanquiego potraktowała Mama Ocllo jako osobistą zniewagę, a wyżsi dostojnicy jako głupotę polityczną. Ale wola Syna Słońca była święta, więc dwór pochylił głowy.

Mimo brzemienia lat ochota wojenna wciąż nie opuszczała Yupanquiego. Wprawdzie do dłuższych kampanii nie był już zdolny, ale kiedy nadeszły meldunki, że raptem o trzy dni drogi w Antisuyu wybuchły drobne lokalne rozruchy, Inka nie wytrzymał i kazał się tam wieść swej przybocznej gwardii. Kiedy orszak zboczył z głównej trasy, znalazł się na grząskiej i osłizłej od rozkali drodze. Przechodzono właśnie u podnóża dość stromego pagórka, stopy tragarzy zapadały się głęboko w podmokłe sapy i lektyka wadcy chwiała się lekko. Nagle z zarośli porastających stok świsnęło kilka strzał. Gruby królewski płaszcz — *yacolla* — osłabił pęd pocisku i ostrze nieznacznie tylko drasnęło prawą pierś Inki, ale miał on już ponoć osiemdziesiąt pięć lat.

Zaniesiony pośpiesznie z powrotem do Cuzco, Yupanqui dostał gorączki, drobna ranka zaczęła ślimaczyć się i ropieć. Posłano po lekarzy — kapłanów. Ci polecili przenieść chorego do małego ciemnego pokoju, który uprzednio okadzono mieszaniną wonnych ziół i kukurydzianej mączki. Ale przykładane do rany balsamy i wywary, jakimi pojono chorego, by ściągnąć temperaturę, nie

pomagały. Od łoża Inki nie odstępowała Chiqui, jedyna osoba, której Yüpanqui dał się pielegnować.

Sztuka lekarska w Peru nie wyszła ponad poziom medycyny pierwotnego ludu. Poznano wprawdzie dość dobrze właściwości lecznicze wielu roślin, ale terapię łączono z tak uciążliwymi i męczącymi chorego zabiegami typu magicznego, że często nie lekarstwo, ale sposób jego zadawania zabijał pacjenta. Pewnymi sukcesami mogła się poszczycić chirurgia. Ciągłe wojny dostarczały bez liku przypadków ciężkich obrażeń głowy i kończyn, więc lekarze mieli aż nadto okazji do przeprowadzania różnych eksperymentów operacyjnych. Posiedli umiejętność amputacji członków i nawet trepanacji czaszki. W chorobach wewnętrznych natomiast naturze niewiele mogły pomóc zabiegi znachorskie i zabobon.

Po paru dniach Chiqui z przerażeniem stwierdziła, że stan Inki wyraźnie się pogorszył. Starzec chwilami tracił przytomność i w malignie bredził.

W Tahuantinsuyu panowała wiara, że niezwykłą moc uleczenia nawet beznadziejnie chorych mają „ludzie obudzeni ze śmierci”. Tak nazywano tkniętych piorunem, cudownie wyratowanych topielców, a zwłaszcza osoby, które ocknęły się po parodniowym letargu. Sławą groźnych czarowników i znakomitych lekarzy cieszyli się także członkowie niewielkiego plemienia znad jeziora Titicaca — Collahuaya. Byli to peruwiańscy Cyganie, oni jedni drwili sobie z rozkazów przypisujących ludność do stałego miejsca zamieszkania. Włóczyli się po całym kraju, oferując znachorskie i magiczne usługi. Mało kto ważył się jednak z nich korzystać, bo pomawiano ich o kontakty ze złymi mocami przyrody. Lud żywił do nich mieszane uczucia pogardy i pełnego bojaźni szacunku, prowadzili bowiem tryb życia nocny, a w dzień zapadali bez śladu w nieznanymi kryjówkach. Chiqui od swojej służby dowiedziała się, że na przedmieściach Cuzco przebywa czarownik z tego plemienia, o którym szeptano, że zasypyany olbrzymią lawiną piasku po trzech dniach dopiero się spod niej wygrzebał i od tego czasu nie ma odeń mocniejszego lekarza. W ostatniej rozpaczy wyrzuciła z komnaty chorego kapłanów i kazała sprowadzić znachora. Mag całą noc spędził z nieprzytomnym Inką. Nikt nie wie, co tam robił, bo nawet Chiqui kazał opuścić izbę. W każdym

razie rankiem Yupanqui zbudził się w pełni zmysłów i po raz pierwszy od wielu dni zażądał posiłku. W południe wezwał do siebie całą rodzinę i w jej obecności czerwone llautu wręczył Huare, potwierdzając w ten sposób jego wybór następcą. Pod wieczór zaś umarł.

Śmierć tego wielkiego Inki nastąpiła w roku 1493, a więc w rok po pierwszym lądowaniu Kolumba w Nowym Świecie. Yupanqui jeszcze nawet nie domyślał się istnienia białych, ale cień konkwestadorów miał już musnąć jego syna.

Teraz zdecydowanie do akcji wkroczyła Mama Ocllo. Przy wezłowi zmarłego oskarżyła Chiqui o morderstwo. Zarzuciła jej, że przy pomocy czarów spowodowała krótki powrót do przytomności Inki, po to, by ten Huarego, nie będąc w pełni zmysłów, mianował swym następcą, a po dopięciu celu otruła władcę. Oskarżeniu przytaknęli kapłani, gniewni za sprostowanie ich medycznych talentów. Zwołany stante pede\* sąd skazał Chiqui na ścięcie, a egzekucję wykonano bezzwłocznie. Huarego deportowano do odległej prowincji, ale w Cuzco poszeptowano, że i jego zgładzono potajemnie, bo eskortujący go oddział przedziwnie szybko, jak na tak daleką drogę, powrócił do stolicy.

W tej sytuacji już bez przeszkód proklamowano Inką Huaynę. Młody władca od lat przebywał na północy, kontynuując wszczęte przez ojca dzieło podboju. Już jako chłopiec wykazywał ogromne zainteresowanie pięcią nadobną i jako z prawa następcy tronu wcześniej ożenił się z najstarszą swą siostrą. Małżeństwo długi czas pozostawało bezpotomne. Wówczas, kto wie, czy nie za namową matki, Mamy Ocllo — która znała skłonności syna, a kochała go nadzwyczajnie — rada rodzinna zawarła z nim trochę niezwykły układ. Niech wybierze sobie spośród kuzynek jeszcze dwie żony. Wszystkie trzy będą z punktu widzenia prawa traktowane jednakowo, a ta, która pierwsza urodzi syna — następcę tronu — otrzyma tytuł coyi, o dalszej zaś kolejności praw do korony po nim decydować będzie kolejność urodzin następnych synów, zrodzonych przez te trzy żony. Huayna ochoczo przystał na propozycję. I tak się złożyło, że pierwotnego syna — Ninan

\* Stante pede (łac.) — dosłownie: na stojąco, natychmiast.



Cuyuchi — dała mu pierwsza żona Mama Cusirimay, która też formalnie została coyą. Wkrótce potem młodsza siostra Rahua obdarowała go Inti Cusi Hualpą, a niedługo potem córka jego wuja Mama Runtu urodziła Manka, a w rok później Paullu. Z tej trójki żon największymi względami obdarzał Huayna Mamę Rahua i ona też wraz z coyą towarzyszyła mu w jego północnej kampanii.

W kraju bitnych Cañari ciężkie czekały go tarapaty. Na podstawie układu z czasów Yupanquego Inkowie mieli tam bazę militarną w Tumipampa. Huayna przeto wysłał przodem gońców i sam wyprzedzając o dzień drogi główne siły tylko z niedużym oddziałem gwardii przybocznej podążał za nimi w ślad. Nic nie wiedział, że dopiero przed paru dniami tubylcy znieśli załogę i że prowincja stanęła pod bronią.

Było już późne popołudnie, kiedy nagle z czterech stron na spokojnie posuwający się orszak spadły dzikie watahy wojowników. W parę chwil skończył się dramatyczny opór zaskoczonych Inków. Połowa poległa, resztę zwycięscy Indianie pognali do znajdującej się w pobliżu niewielkiej doliny. Wódz napastników ze zdumieniem i radością rozpoznał w zdjętym z lektyki jeńcu Huaynę. Zapadał już wieczór i w ciemnościach nie ważył się tak znamienitego niewolnika prowadzić do odległej o dzień marszu Tumipampy, gdzie rezydował jego szef, od którego spodziewał się nadzwyczajnych nagród. Zdecydował się tedy przenocować na miejscu. Ale wódz miał pewne wątpliwości, nie bardzo wiedział, jak traktować syna sławnego Inki z Cuzco, czy godzi się pętać go więzami, czy szorstkie obejście się z nim nie będzie mu poczytane za złe przez własnych przełożonych. Długo męczył się z tymi myślami zwycięski wojownik, wreszcie kazał Huaynę wpakować do pustej o tej porze roku studni o brzegach stromych, ale niezbyt głębokiej. Dla wszelkiej pewności jeszcze dwaj Indianie mieli pilnować jeńca. Sam zaś wielce z siebie zadowolony, że tak kompromisowe znalazł wyjście z kłopotliwej sprawy, bez dłuższego wahania zasiadł z resztą oddziału do hucznej uczty.

Była ciemna noc, gwiazdy świeciły jakoś niechętnie. Od ognia rozpalonych opodał dochodziły wrzaski pijanych. Huayna na indiańską modłę siedział w kucki w swym więzieniu i z wściekłością



i rozpaczą jednocześnie patrzył w górę, szukając w mrocznym niebie ratunku. Nad nim wartownicy rozmawiali z cicha i jak się Huaynie wydawało, z niezadowoleniem. Zaczął przysłuchiwać się uważniej. Rzeczywiście strażnicy skarżyli się, że ich towarzysze bawią się wesoło, a o nich zapomniano. Wreszcie jeden z nich powiedział, że pójdzie i rozejrzy się za trunkami. Jakoż niedługo potem tuż nad sobą Huayna usłyszał znajomy dźwięk — gulgot płynu wlewanego z kalebasy wprost do gardła.

Mijały godziny. Huayna miał nadzieję, że jednak ktoś z orszaku zbiegł i doniósł wojsku o jego niewoli. Może już śpieszy mu na odsiecz, więc młody wódz wycęzał słuch, ale nic oprócz pijackich ryków ucho jego nie chwyciło. Wkrótce i one poczęły cichnąć, tylko nad głową jeńca rozlegało się coraz głośniejsze, ciężkie chrapanie. Jeszcze godzina lub dwie. Niebo już bladło, ogniska wygasły, przedranny chłód pełzał po ziemi. Nagle nagiego ramienia Huayny dotknęło coś. To coś było miękkie, gładkie i ruchliwe. Wódz wzdrygnął się, myśląc, że to wąż, i półgłosem zakrzyknął:

— Co to?

Nad nim rozległ się ledwie dosłyszalny szept kobiety:

— Pst. Szybko!

Huayna zrozumiał. Oburącz chwycił materię i za chwilę wydobył się ze studni. Pólnaga Mama Rahua — jej to bowiem *chumbi*, czyli szeroki szal, jakim okręcają się Indianki, posłużył za zbawczą linę — ujęła męża za dłoń i ostrożnie przeprowadziła między śpiącymi wartownikami...

W cztery dni później olbrzymia armia Inki stanęła pod Tumipampą. Po drodze Huayna palił osiedla, nie zostawiając przysłowiowego kamienia na kamieniu. Wojska z Cuzco brały straszliwą zemstę. Nikt, kto wpadł w ich ręce, nie uszedł śmierci. Wojowników krzyżowano na drzewach. Starcy i kobiety szli pod nóż, dzieci załatwiała nabijana krzemieniem maczuga. Jęk i płacz rozszedł się po okolicy. Przerażony naczelnik Tumipampy wiedział, że nie sprosta potędze z Cuzco. Pięć tysięcy chłopców z zielonymi gałązkami w rękach wysłał do obozu Inki. Ale Huayna kazał dzieciarnię wziąć pod straż i dał rozkaz szturmowi. Świadomość beznadziejności położenia nie zawsze dodaje męstwa, często obez-

władnia. I tak się tym razem stało. Po paru godzinach walki ty-  
siące jeńców wojska Huayny prowadziły nad brzeg niedalekiego  
jeziora. Tu najpierw utopiono owych młodocianych parlamenta-  
riuszy, po czym wszystkim wojownikom ścięto głowy, a ich kadłu-  
by wrzucono do jeziora, które od rozlanej krwi zostało nazwane  
Yahuar-cocha („Jezioro Krwi”). Po tak wziętej zemście Huayna  
zwrócił się do stojącego w pętach wodza pokonanych i powiedział  
sztydlerczo:

— Ot, teraz wszyscy jesteście małymi chłopcami.

I na zakończenie krwawej kazi kazał kacyka Tumipampy żyw-  
cem obedrzeć ze skóry.

W ten sposób zginąć miało 20 000 Cañari, choć niektóre źródła  
twierdzą, że los ten dotknął forpocztę narodu Cara, czyli Caran-  
gui, rządzącego państwem Quito.

W owych czasach i na tamtych właśnie terenach wojny prowa-  
dzono w sposób niezmiernie barbarzyński, ale to niesłychane  
okrucieństwo do tego stopnia poraziło bliższą i dalszą okolicę, iż  
ze wszystkich stron biegły do Inki delegacje holdownicze. Droga  
więc do równikowego królestwa stała otworem. Ale nie tak my-  
śleli Carowie i ich sprzymierzeńcy z wojowniczego plemienia Pu-  
ruhua.

Lud ten zamieszkiwał góry środkowego Ekwadoru na południe  
od Riobamba i lata całe żył w stanie wojny ze wszystkimi są-  
siadami. Słynni byli ich procarze, którzy jednym strzałem  
z wierzchołka najwyższej palmy potrafili strącić drobnego ptasz-  
ka. Długi czas opierali się oni ekspansji południowej szczepu Ca-  
ra, który pod wodzą królików, zwanych Scyri, stworzył w oko-  
licach równika ośrodek państwowy Puitu, czyli Quito. Morder-  
cza wojna ciągnęła się nieustępliwie i prawdopodobnie skończy-  
łaby się całkowitym wyniszczeniem jednej z dwóch stron, gdy-  
by nie uwieńczona małżeństwem miłość dwojga młodych ludzi.  
Oto Toa, jedynaczka jedenastego Scyri, wzięła ślub z synem wo-  
dza szczepu Puruhua — Duchicelą. Rzadko w historii się zda-  
rzało, by małżeństwo z uczucia miało tak pożyteczne skutki po-  
lityczne jak w tym przypadku. Działo się to jeszcze w począt-  
kach XIV wieku. Odtąd oba państwa połączyły się czymś w ro-  
dzaju personalnej unii, wygasła dawna między nimi nienawiść.

Wnuk tej pary Hualcoco dzielnie się bronił przeciwko Tupac Yupanquiemu, a obecnie jego syn Cacha także nie myślał tracić niepodległości. Nad rzeką Achapullas gorącą bitwę wydał Inkom młody i śmiały wódz Challeuchima. Dopiero gdy część armii Huayny zdradzonym przez miejscowych Indian brodem obeszła go z flanki, rozbity uszedł z niedobitkami w góry.

W kilka dni później Cacha poniósł dotkliwą porażkę pod Teocajas, ale propozycje pokojowe odrzucił. Zrezygnował z bronienia Quito i zamknął się w starej, pochodzącej z czasów pierwszych Scyri fortecy Hatun Taqui. Bohaterski królik miał trzy razy mniej liczną armię od Inki i znacznie gorzej uzbrojoną. W warowni nie dostawało zapasów żywności, wiedział, że nie wytrzyma dłuższego oblężenia. Jednakże parlamentariuszom, którzy w imieniu Huayny obiecywali mu pozostanie na tronie pod warunkiem złożenia hołdu panu Cuzco, odparł, że ojcowie ojców jego zawsze przekładali śmierć nad hańbę niewoli, proponuje więc sprawę tronu Quito rozstrzygnąć w otwartym polu.

Przez pięć dni i pięć nocy toczyła się najdłuższa chyba w historii Tahuantinsuyu bitwa, aż wreszcie rankiem szóstego dnia Cacha padł z przebitą oszczepem pierśią. Ale i wtedy jeszcze jego wojownicy nie zaprzestali walki i dopiero po południu sprowadzone przez Inków posiłki przeważały szalę.

Huayna upodobał sobie Quito, wtedy jeszcze raczej nędzną wioszczynę, dzięki niemu już miasto, rozłożone między czterema pagórkami, miejscowość, w której w południe nie pada cień, a dzień trwa zawsze tak samo długo jak noc. Lubił nawet dokuczliwy deszczyk, o tej samej porze codziennie zsyłany przez zaćmione niebo. Lubił spoglądać na zawsze dymiący wulkan, którego popioły niekiedy przysłaśniały słoneczny blask. Ale choć tu budował sobie stolicę, wciąż nie czuł się panem kraju. W bezpośredniej okolicy ludność zachowywała się spokojnie, lecz już o dzień drogi malej gromadce Inków nie było bezpiecznie się poruszać. Carowie nie zrezygnowali z niepodległości. Raz po raz dochodziły meldunki o akcjach tubylczej partyzantki. Niejeden chasqui nie dobiegł celu krótkiego odcinka przemierzanej sztafety. Nocami nieznanne ręce wzniecały pożar w zabudowaniach Inków. Nieuchwytni wojownicy napadali na karawany tragarzy i łupili towary.

Wróg czał się w mrokach wieczoru, ale i w biały dzień wystrzelone przez nie wiadomo kogo pociski zabierały życie przybyszom z Cuzco. Tubylcy z osiedli zajętych przez oddziały Inki powtarzali imię groźnego wodza Chalcuchimy, a ostatnio coraz częściej padało także imię Paccha, a wtedy w głosie mówiącego brzmiał podziw i coś więcej niż tylko szacunek. W końcu szpiedzy Huayny dowiedzieli się, że Paccha jest nowym Scyrim, wybranym przez niezłomnych Carów. Wówczas zrozumiał, że nie stoczył jeszcze ostatniej bitwy o królestwo Quito.

Pewnego dnia rozmyślał w swoim pałacu nad sposobami walki z nieuchwytnym cieniem, kiedy z podmiejskiego posterunku doniesiono mu o niezwyklej ofercie, uczynionej przez dwóch starych Indian, którzy mówili o sobie, że są wodzami gór. Oto Paccha chce złożyć w ważnej sprawie wizytę Huaynie, żąda jednak od szefa Inków przysięgi na Słońce jako gwarancji bezpiecznego powrotu. Jeżeli Huayna zgadza się i przysięgę taką złoży, to niech na ten znak na dachu swego pałacu wystawi złamaną lancę. Gdy to się stanie, nazajutrz w samo południe Paccha zjawi się przed jego obliczem.

Huayna wysłał na dach służącego.

Następnego dnia w galowym stroju naczelnego wodza Huayna siedział w audiencyjnej sali na połączanym taborecie. Otaczała go gromadka wyższych dowódców i kapłani. Nadchodziło południe. W chwilę potem majordom wprowadził malowniczą grupę. Tworzyły ją trzy osoby. Dwóch niewysokich starców o prawie białych włosach w ubiorze zwykłego wojownika, między którymi kroczył śmigły młodzieniec w dziwnym hełmie zakrywającym pół twarzy i zakończonym na tyle głowy olbrzymim pióropuszem. Jego pierś okrywał cienki pancerz ze złotej blachy. „Pewnie zdobyty na jakimś naszym poległym wodzu” — pomyślał Huayna bacznie obserwujemy niezwykle gości. Trójka zatrzymała się pośrodku sali. Dwaj starcy pochylili nisko głowy w niemym ukłonie. Smukły młodzieniec stał prosto z oczyma głęboko przykrytymi powiekami.

Cisza wisiała długo w powietrzu. Przerwał ją pierwszy Huayna: — Mówcie — powiedział uprzejmie.

Starcy wrócili do zwykłej postawy. Jeden z nich sękatę palce

zwarł w pięść, ugiął rękę w łokciu i tak wyprostowaną podniósł w górę.

— Panie — powiedział chropawym tonem w zepsutym dialekcie quechua — jesteśmy naczelnikami gór narodów Cara i Puruhua. Paccha chce, panie, mówić tylko z tobą.

Wódz Inków zawahał się, ale po chwili klasnął w dłonie. Świta Huayny opuściła salę, zniknęli także starcy. A wtedy młodzieniec jedną ręką zerwał hełm z pióropuszem, drugą ściągnął pancerz i rzucił go o ziemię.

Huayna zakrzyknął i zerwał się z miejsca.

Przed nim stała młodzianka, piękna dziewczyna. Burza atramentowych włosów sięgała jej prawie kolan, trochę migdałowate brązowe oczy utkwiała w twarzy Inki i w opustoszałej sali rozległ się dźwięczny głos:

— Jestem ostatnim Scyri tego królestwa. Panie, dziękuję ci za ojca (Huayna w nadziei pozyskania tubylców wyprawił Cachy królewski pogrzeb) — tu głos dziewczyny lekko zadrżał, ale zaraz ciągnęła spokojnie: — Lud mój cierpi i chcę o tym z tobą pomówić poważnie, panie.

Ale Huaynę już oczarowała egzotyczna uroda królowny, nie poważne rozmowy były mu w myśli. I w niespełna rok później Paccha powiła mu syna Atahualpę. Ślub swej władczyni z Inką Carowie przyjęli radośnie i odtąd byli najwierniejszymi poddanymi Huayny. Tak to niemal dokładnie powtórzyła się historia romansu praprababki Pacchy z synem wodza wrogiego plemienia.

Opisane tutaj wypadki zdarzyły się przed kilku laty, jeszcze za życia Tupac Yupanquego. Wiadomość o śmierci ojca i mianowaniu go Inką zastała Huaynę w Quito, które od czasu poślubin Pacchy jeszcze bardziej polubił. Obawiając się jednak komplikacji zostawił ją w równikowej stolicy, a sam śpiesznie ruszył do Cuzco, dopiero bowiem koronacja przez arcykapłana Słońca nadawała pełną sankcję tytułowi Jedyne Inki.

Tymczasem w Cuzco nie działo się dobrze. Po śmierci Yupanquego regencję przejął jego cioteczny brat Hualpaya, starzec przebiegły i wielkich ambicji. Od samego początku przemysliwał, jak tu na stałe utrzymać się u steru władzy. Rozmyślnie zwlekał

z wysłaniem zawiadomienia do Huayny i z tego powodu nawet ostro starał się z Mamą Ocllo, która energicznie pilnowała interesów syna.

Na uroczystości koronacyjne nowego Sapay Inki zaczęli już zjeżdżać się gubernatorzy i naczelnicy z prowincji. Hualpaya począł się znosić z nimi i niektórych udało mu się pozyskać dla swojej sprawy. Ale główny szkopał polegał, rzecz dziwna w tak zmilitaryzowanym państwie, na braku broni. Co prawda w fortecy Sacsahuaman leżały olbrzymie zapasy wojennego sprzętu wszelakiego rodzaju, ale pieczę nad arsenałem sprawował ostatni człowiek, do którego mógłby się zwrócić regent. Prawda też, że z okazji śmierci lub koronacji Inki do stolicy przybywali prawie wszyscy prowincjonalni dostojnicy, ale zwyczaj kazał im wieźć z sobą cenne podarki, lecz tylko bardzo skromny poczet ochrony osobistej. Właściwie był to nawet nie tyle zwyczaj, ile zakaz prawny, zmierzający do ograniczenia zbrojnych zamieszek, jakie się niekiedy przy wyborze władcy zdarzały. Natomiast przepisy te nie obowiązywały Huayny jako oficjalnego następcy tronu. Hualpaya nie pozostawało więc nic innego, jak przemycić oręż do stolicy. I Mama Ocllo, bacznie obserwując swego antagonistę, zauważyła podejrzany ruch w okół pałacu regenta — stale doń wchodzili to znów wybiegali obcy ludzie, robiący wrażenie gońców, choć nie nosili zwykłego stroju chasqui.

Do Cuzco zjechał właśnie jej cioteczny brat Achache, który żywił do Mamy Ocllo głęboki szacunek, a był jednym z najwyższych dostojników państwa, bo gubernatorem Chinchasuyu. Do jego domu — każdy z wicekrólów utrzymywał pałac w stolicy — wybrała się coya ze swymi troskami i podejrzeniami. Achache słuchał uważnie; i jego, choć dopiero od kilkunastu godzin bawił w mieście, uderzyła już atmosfera zgorączkowania i wzajemnej nieufności.

Ważył właśnie słowa odpowiedzi i rady, kiedy u drzwi, a była już późna noc, wszczął się głośny hałas. Za chwilę wbiegł sługa.

— Panie — Indianin pochylił się nisko — panie, jacyś podejrzani oberwańcy żądają posłuchania.

— Niech przyjdą, jutro — gniewnie rzekł Achache.



— Tak jest, panie — majordom bił czołem o podłogę — ale oni mówią, że jutro będzie za późno, że to sprawa niezwyklej wagi.

— Wpuść — szepnęła Mama Ocllo.

— Ilu ich? — spytał gubernator.

— Czterech, panie.

— Wprowadź pod strażą — rozkazał wódz.

Majordom nie przesadzał. Młodzi Indianie utylfani w błocie i obszarpani wyglądali na drabów spod ciemnej gwiazdy. Padli na twarz przed Inką z płaczem i jękiem, wołając:

— Łaski, o wszechpotężny panie!

Achache huknął na nich i wtedy najstarszy zaczął przerywanym od strachu głosem relację. Byli wieśniakami z niewielkiej osady położonej o kilka godzin drogi na północ od Cuzco. Dziś późnym popołudniem do tej miejscowości przybyła duża karawana z ciężkim ładunkiem koki. Ludzie szli z bardzo daleka i ledwie trzymali się na nogach, więc wiodący ich curaca postanowił tam przemocować. Oni zaś, to jest ich czwórka, byli namiętными amatorami koki — tu opowiadający znów zaczął bić czołem o ziemię i powtarzać ze szlochem:

— Łaski, potężny panie, łaski! — A poderwany przez gubernatora ciągnął zeznanie dalej.

Kiedy zapadł wieczór i zdrożeni tragarze zasnęli, wieśniacy ci podczołgali się pod ich obóz i skradli jeden kosz koki. Był niezwykle ciężki.

— I patrz, panie, co w nim jest.

Rzekłszy to Indianin sięgnął po przyniesioną z sobą typową dla zbieraczy koki podługowatą plecionkę w kształcie wora. I na oczach zdumionych Inków zaczął wyjmować z niej proce, krótkie nabijane krzemieniem maczugi, toporki, pałki i kastety.

Mama Ocllo wymieniła z kuzynem porozumiewawcze spojrzenie. Inka spytał jeszcze, dlaczego właśnie do niego się z tym zwracają, otrzymał odpowiedź, że osada, w której mieszkają, należy już do Chinchasuyu.

Ostrożny Achache, choć podejrzewał w całym tym incydencie jakąś niezrozumiałą mu mistyfikację, uznał sprawę za tak ważną, że osobiście na czele swych ludzi opuścił Cuzco i prowadzo-

ny przez rabusiów jeszcze przed świtem dotarł na miejsce. Złodzieje nie kłamali. Karawana niosła ogromne ilości broni. Wzięty na spytki curaca wyznał, że czyni to na rozkaz Hualpaya, który polecił arsenały prowincjonalne ogolocić, dodał, że o dzień drogi idą jeszcze dwie takie kolumny i że tragarze są przebranymi żołnierzami.

W takiej sytuacji Achache skrzyknął co się dało wojowników i pomaszerował do Cuzco, aby aresztować regenta-zdrajcę. W stolicy jednak go nie zastał, tegoż dnia wczesnym rankiem Hualpaya opuścił miasto w nieznanym kierunku. Towarzyszył mu silny oddział zbrojnych. Mama Ocllo bardzo się niepokoiła. Stara dama nagle ciężko zachorowała, nie straciła jednak nic z dawnej energii. Od wielu już dni znajdowała się poprzez prywatnych gońców w kontakcie z synem. Ostrzegała go przed Hualpayą i radziła nie wkraczać do Cuzco bez uprzedniego porozumienia się z Achache. Wiedziała także, że Huayna dla przyspieszenia marszu oderwał się od swej głównej siły i podróżuje tylko z niewielkim orszakiem. Jest już w Quispicancha, więc Mama Ocllo boi się, by nie wpadł w zasadzkę, którą mu niechybnie gotuje zdrajca.

Po wysłuchaniu racji coyi, Achache ruszył bezzwłocznie w tym kierunku. Przecucia nie zawiodły matki, ale pan Chinchasuyu jeszcze zdążył. Rozbił wojsko regenta, połączył się z Inką i razem z nim wkroczył do miasta wiodąc w lykach Hualpayę, którego nazajutrz stracono publicznie za zdradę stanu.

Cuzco niezwykłą owacją przyjęło Inkę. Huayna, od chłopięcych lat w czynnej służbie wojskowej, cieszył się ogromną popularnością wśród młodzieży, a kobiety, oczarowane jego pełnym galanterii obejściem, wprost go ubóstwiała. Długo zatem ciągnęły się festyny i radosne bankiety, a Huayna jak mało który z jego poprzedników miłował tego typu uciechy.

Huayna, który przy koronacji dostał przydomek Capac — bardzo lubił, jak już mówiliśmy, swą żonę Mamę Rahua, ba, więcej jeszcze, żywił dla niej głęboką wdzięczność za uratowanie go z niewoli u Cañari. Miał nawet może trochę wyrzutów sumienia, że w ostatnich latach zakochany w księżniczce spod równika, mocno ją zaniedbywał. Przybyła teraz wraz z nim do Cuzco,

więc Inka postanowił w jakiś szczególny sposób ją wyróżnić. Okaza niebawem się nadarzyła. Inti Cusi Hualpa, ich syn, dochodził właśnie wieku dojrzałości. Zbliżało się święto inicjacji młodzieńców, w którym miał on grać główną rolę. Chłopca, którego wychowywał cały pułk ciotek w Cuzco, ojciec właściwie dopiero teraz poznał. Zresztą nie za bardzo mu się spodobał, wydawał mu się zbyt zniewieściał, raczej do dworskiego niż wojennego życia skłonny. W tym wypadku jednak nie o syna, lecz o jego matkę chodziło. I rzeczywiście Cuzco nigdy nie zapomniało tegorocznego święta młodzieńców. Tysiąc mężów z pierwszych rodów Inki owego dnia okrążyło w rytualnym tańcu wielki Plac Skargi, dźwigając długi na siedemset stóp i gruby jak ramię atletycznego męża łańcuch ze szczerego złota (zresztą różne wymiary podają kronikarze). Nigdy i nigdzie, ani przedtem, ani potem, z żadnej pracowni jubilerskiej nie wyszło tak gigantycznych rozmiarów „cacko”. Po hiszpańskim podboju łańcuch ów znikł, krążyły pogłoski, że tubylcy wrzucili go w głębokie tonie jeziora Urcos, ale współczesne poszukiwania nurków zakończyły się jak dotąd niepowodzeniem. Od nazwy łańcucha, sznura w języku guechua (huascar), dla upamiętnienia tej niezwyklej uroczystości Inti Cusi Hualpa przyjął imię Huascar. Ale niebawem cież śmierci padł na miasto. Zmarła Mama Ocllo. Huayna, który serdecznie kochał matkę, wyprawił jej wspaniały pogrzeb i na cześć obojga zmarłych rodziców zarządził ogólnonarodową żalobę. I znów Tahuantinsuyu stało się terenem widowiska, jakiego w podobnej skali nie znał świat. Zaiste Huayna miał naprawdę „amerykańską” żyłkę rekordomanii. A więc przez cały miesiąc połowa ludności wielomilionowego państwa zbierała się na publicznych placach i tonęła w rozdzierającym szloch od wschodu słońca do południa, po czym luzowała ją druga połowa, zawodząc i lamentując aż do zachodu.

Huaynę czekał jeszcze obowiązujący każdego Inkę po koronacji objazd wizytacyjny państwa, ale zbliżał się nowy rok, a z nim słoneczne święto żniw, władca postanowił więc spędzić je w Cuzco.

Wreszcie nadszedł ów dzień, stolica zapełniła się barwnym tłumem dygnitarzy z prowincji, dla wyższych urzędników bowiem

udział w święcie był obowiązkiem, od którego zwolnić mogła tylko ciężka choroba, wojna czy jakieś nieszczęście losowe.

O głębokim jeszcze mroku na Huacaypata ruszyła uroczysta procesja. Otwierały ją mumie przodków niesione na złotych krzesłach. Za milczącym orszakiem zmarłych kroczył pod baldachimem z bajecznie kolorowych piór Inka z coją, oboje w paradnych szkarłatnych szatach, za nimi najbliższa rodzina, a dalej wyżsi kapłani i dostojnicy według rangi, ale tylko krewni władcy. Albowiem słoneczne święto Raymi było równocześnie rodzinnym świętem dynastii. Inni zaś Inkowie w tym samym czasie gromadzili się na sąsiednim placu — Cusipata.

W zupełnym milczeniu, z twarzami skierowanymi w miejsce, gdzie miało się ukazać słońce, stali zebrani. Szarzyzna nocy bladeła, za wierzchołkami Andów plużyły się smugi różowe i błękitne, a kiedy pierwszy rąbek czerwonej tarczy wysunął się zza śnieżnych wierchów, wszyscy przypadli w kucki i z okrzykami radości posyłali pocałunki rodzącej się gwieździe dziennej. Trwało to dotąd, aż słońce w pełni swego blasku stanęło na niebie. Wówczas powstał Inka. W obu rękach dzierżył olbrzymie szczerozłote kielichy z chichą. Podniósł w górę prawicę ku słońcu, potrząsnął nią lekko, zapraszając boskiego rodzica do spełnienia toastu. Następnie zawartość tego kielicha przelał do stojącej obok z masywnego złota beczulki. Stojący przy niej kapłan wydał głośny krzyk radości. Słońce wypilo. Istotnie w beczulce nie było trunku, który spłynął rurką, łączącą naczynie z basenikiem w świątyni. W tej samej chwili rozległy się chóry wielbiące boga Słońce. Za czym Inka upił odrobinę z kielicha trzymanego w lewej ręce, a następnie strząsał po kilka kropli do złotych i srebrnych kubków, z jakimi do niego podchodzili członkowie królewskiego rodu. Teraz Huayna w towarzystwie kapłanów udał się do świątyni, gdzie złożył ofiary i czas jakiś spędził na modłach. Kiedy zaś wrócił na swoje miejsce, do Coricanchy ruszyła długa procesja jego rodziny i Inków zebranych na sąsiednim placu z wotywnymi darami w złocie i drogocennych kamieniach. Trwało to długo, prawie do samego południa, a przez cały czas niżsi kapłani różnęli i spalali zwierzęta ofiarne, a chóry śpiewały hymny na cześć Słońca coraz silniejszym głosem. Kiedy zaś słońce sięg-

nęło zenitu, jeden wielki wrzask zadygotał w powietrzu i nagle ucichł.

Wtedy Inka podniósł się ze złotego zydła, wzniosł w górę duży puchar i wesołym głosem powiedział:

— Synowie i córki moje, pijcie i radujcie się, jako ja piję i raduję się.

I rzekłszy to jednym haustem wychylił czarę. W tym samym momencie gdzieś niewysoko rozległ się przenikliwy świst. Wszyscy poderwali głowy w górę. Wielki kondor atakowany przez stado śmigłych sokołów bronił się rozpaczliwie i już niedoleźnie. W powietrzu roilo się od czarno-białego pierza. Wtem orzeł przewinął się na skrzydło i ciężko runął, spadając u stóp Inki. Kapłani i wielu dygnitarzy spochmurnieli i pochylili głowy. Orzeł — symbol monarszej władzy — pokonany przez ptasią hołotę, zły to omen. Ale Huayna, snadź rozgrzany już trunkiem, zawołał wesoło:

— Patrzcie, przyjaciele, w nasze święto nawet król ptaków oddaje hołd Synowi Słońca. A więc radujcie się, dzieci!

I plac zaniósł się okrzykami na cześć Słońca i Inki, ale nie wszystkich twarze poweselały.

Służba zaczęła rozstawiać stoły pokryte obrusami ze śnieżnej wełny, ustrojone kwieciami, gotowała naczynia. Tymczasem po przeciwległej do tronu Inki stronie placu stanął łańcuch trzymających się za ręce tancerzy. Z hymnem, opiewającym czyny Huayny, na ustach, lekko pochyleni, w poważnym rytmie czynili dwa kroki w przód, po których następował jeden w tył. Kiedy zaś wreszcie, co trwało nader długo, stanęli przed Inką, złożyli dziesięć głębokich pokłonów dziesięciu mumiom zmarłych Inków i zaintonowali nowy hymn, głoszący chwałę dynastii. A potem, robiąc teraz dwa kroki w tył, a jeden w przód, a więc w odwrotnym porządku, stawili władcę nowymi rapsodami, aż wreszcie zeszli z placu. Wtedy na nowo podniósł głos chór. Zaczął od wysokiego tonu, ale w miarę jak słońce zniżało swój bieg, śpiewacy cichli, aż wreszcie z zachodem umilkli.

Od paru już godzin trwała uczta. Strojne fiusta bez przerwy roznosiły dzbany z napojem, owoce, prażoną kukurydzę i święty, pieczony w kształcie jabłek chleb c a n c u.

A gdy zapadł wieczór, zaczęła się trwająca aż do świtu noc szep-  
tów i zwierzeń, westchnień i pocałunków.

W kilka dni po tym święcie Huayna ruszył w objazd państwa.  
Wziął z sobą coyę i Mamę Rahua, ale pozostawił w Cuzco synów  
oraz trzecią żonę, która go właśnie obdarzyła nowym potomkiem  
— Titi Atauchi.

Inka ledwie otarł się o puszcę Antisuyu, dłużej natomiast, jak  
zwyczaj kazał, spędził w Tiahuanaco i nad jeziorem Titicaca. Tu  
uregulował sprawę dostaw suszonej ryby do Cuzco, a w Copaca-  
bana — „Kamień Szlachetny Dający Życie” — wzniósł świąty-  
nię na cześć cieszącego się szeroką sławą w okolicy huaca. Roz-  
gromił dzikie szczepy Chiriguanów i od tego czasu nigdy już  
więcej drapieżne zagony wojowniczych koczowników z pampa-  
sów Argentyny nie ważyły się szarpać południowych rubieży  
imperium.

Następnie skręcił nad ocean i szybkim marszem zdążył na północ.  
Ustanowił szczegółowe prawa, dotyczące rozdziału nawozu —  
guana z ptasich wysp między poszczególne prowincje. Wszędzie  
po drodze witały go tłumy mieszkańców, a naczelnicy miejsco-  
wości i gubernatorzy kraików prześcigali się w fetowaniu pana  
Tahuantinsuyu. Oczywiście opóźniało to znacznie pochód. Minał  
już rok i więcej, a drogie sercu jego Quito ciągle jeszcze było  
daleko przed nim. Więc stęskniony za Pacchą Inka znów poga-  
niał ludzi, a tragarze jego lektyki natrudzili się w tej podróży jak  
nigdy w żadnej wojennej wyprawie.

Wreszcie znalazł się w ukochanej równikowej stolicy. Paccha  
wciąż jaśniała blaskiem niezwyklej urody, Atahualpa wyrósł na  
dziesięcioletniego silnego chłopca i pod okiem wytrawnych wo-  
dzów Carów — Chalcuchimy, Quiquiza i Kamiennego Oka —  
uczył się z zapalem sztuki wojennej. W dawnym państwie Scyrów  
panował idealny spokój, ale plemiona z wybrzeży Ekwadoru,  
zwłaszcza znad zatoki Guayaquil, wróciły do dawnego barba-  
rzyństwa, zbuntowały się i nie chciały słyszeć o władzy Inki.

Więc tylko parę miesięcy darował sobie Huayna zasłużonego wy-  
poczynku i znów wyruszył w pole.

Inka skierował się przede wszystkim przeciwko Huancavilkom.  
Szczep ten, jak pamiętamy, prosił jego ojca jeszcze o przysłanie

kapalnów i amautów, by wprowadzili cywilizację do ich kraju. Ledwie jednak Yupanqui wrócił do Cuzco, dzicy wymordowali wśród wymyślnych tortur wszystkich urzędników Inki, z których wielu należało do królewskiego rodu. Huayna dysponował tym razem olbrzymią armią pięćdziesięciu tysięcy doświadczonych wojowników, plemię więc nie próbowało nawet stawiać oporu.

Całą ludność spędzono w jedno miejsce. Inka wygłosił do niej dłuższą orację. Wykazywał Huancavilkom ohydę ich czynu, twierdził, że zasługują na całkowite wytepienie, ale on jako syn boga Słońca jest miłosierny, więc okaże im łaskę i wspaniałomyślność niezastużoną.

Uszczęśliwieni Huancavilkowie odpowiedzieli wybuchem radosnych dziękczynień. A on polecił im ustawić się gęsiego i co dziesiątego (Inkowie byli fanatykami systemu dziesiątego) bez różnicy wieku i płci kazał zamordować. Pozostałym natomiast wyrwano po dwa siekacze z każdej szczęki, przy czym miała to być kara dziedziczna, przechodząca z pokolenia w pokolenie. Biegły więc dentysta miał w tym kraju pole do popisu i zbitcia niezłej fortuny.

Także i na wyspie Puna należało zrobić porządek. Tupac Yupanqui wydał kilka swych córek za tamtejszych naczelników. Jedna z nich zbiegła, donosząc, że dzicy mężowie maltretują cuzkanki, że wyspiarze spalili wzniesioną tam świątynię Słońca, hołdując dawnemu bałwochwalstwu i zupełnie nie kryjąc się odbywają kanibalskie uczty. Kacyk Tumpalla przyjął posłów Inki bardzo życzliwie, oświadczył, iż oskarżenia zbiegłej żony to rezultat zwykłych nieporozumień małżeńskich, bo istotnie stadło to nie żyło szczęśliwie. Inne natomiast Indianki z Cuzco doskonale się tu zaaklimatyzowały, co się zaś tyczy świątyni Słońca, to rzeczywiście spłonęła, ale nie z winy mieszkańców, lecz od piorunu. Zresztą niech Inka osobiście przekona się o tutejszych stosunkach, Tumpalla zaprasza go serdecznie, ale prosi o wstrzymanie się z wizytą na parę dni. Kacyk chce Ince przygotować nowy dom, wie bowiem, iż władcy nie godzi się nocować pod dachem, pod którym już ktoś bodaj jedną noc spędził.

Huayna Capac za kilka dni udał się na wyspę z niezbyt licznym oddziałem wojowników z najbliższego swego otoczenia. Przyjęty

był wspaniale i Tumpallá wystąpił z wystawną ucztą, po czym złożył mu oficjalny hołd ze starszyzną wyspy. Pobieźna inspekcja w okolicy głównej osady wykazała jednak, że w dżungli tubylcy mają swe pogańskie bałwochwalnie i że oddają nadal cześć jaguarowi. Huayna kazał zniszczyć miejscowe huaca i wybudować nową świątynię Słońca. Ince wydawało się także podejrzane, że trzy inne córki Yupanquiego, a więc jego przyrodnie siostry, które wyszły tu za lokalnych kacyków, nie zjawily się na jego spotkanie. Tumpallá tłumaczył, że wybrały się one ze swymi mężami na wyprawę handlową do sąsiednich wysp i że powinny wrócić za jakiś tydzień. Wyjaśnieniom kacyka nie wierzył Huayna, kazał więc swoim ludziom dokładnie zlustrować wyspę, a sam wrócił do Tumbes, gdzie miał za dziesięć dni czekać ich powrotu.

Ale minęło piętnaście i dwadzieścia dni, a z Puna nie nadchodziły żadne wiadomości. Zaniepokojony mocno Inka wysłał ludzi z Tumbes na zwiady. Okazało się, że główna część jego oddziału w oznaczonym terminie wsiadła na balsy. W połowie drogi między wyspą a kontynentem wioslarze z Puna na dany znak swego przywódcy poprzecinali liny wiążące tratwy. Zaskoczeni Inkowie znaleźli się w wodzie. Większość zaraz utonąła, a ci, co umieli trochę pływać, zostali zabici ciosami ciężkich wiosel. Tymczasem kamraci zbrodniarzy napadli pozostałą na wyspie załogę i wybili ją do nogi. Serca zamordowanych ofiarowali swoim krwiożerczym bogom, a głowy Inków zdołają teraz chaty Tumpalli i innych naczelników.

Na znak żałoby Inka włożył szarobrazowe szaty i przez kilka dni opłakiwał żalną śmierć krewnych i przyjaciół. A potem wziął straszliwą zemstę. Wiele tysięcy wyspiarzy straciło życie, a Huayna rozkazał, by nie umierali bezboleśnie...

Ongi bóg Słońce protoplaście rodu nakazywał, by dzieło cywilizatorskie prowadził dając dobry przykład i kierując się łagodnością. Wszyscy Inkowie pamiętali o tych słowach, wierzyli w niezwykłą atrakcyjność swego państwa, przekonani byli, że czynią łaskę i dobrodziejstwo obcym ludom, biorąc je pod opiekę. Dlatego nigdy nie omieszkiwali przed wszczęciem wrogich kroków wysłać wprzód posłów z żądaniem pokojowego poddania się



woli Syna Słońca. Nie działali zniechęca, przez zaskoczenie, przeciwnik zawsze był uprzedzony, że grozi mu starcie z potęgą Tahuantinsuyu. Kiedy jednak ultimatum zostało odrzucone, wówczas miecz Inki nurzał się we krwi, a uszy jego wojowników głuche były na wołania o łaskę. A w tym względzie Huayna Capac także pobił wszystkie rekordy swoich poprzedników.

Szczególnie krwawe walki prowadzono na północy zamieszkaanej przez prymitywne plemiona dzikusów, używających nieraz zatrutych strzał, amatorów ludzkiego mięsa. W dżunglach północno-wschodniego Ekwadoru wojsko siekierami musiało torować sobie drogę przez gęstwinę, ludzie po pas zapadali się w zdradzieckie bagna pokryte omszarem, a białawe moskity huachache cięły dotkliwie, wsącżając w krew złośliwą gorączkę. Po paru tygodniach pobytu w takich warunkach połowa wojska z trudem trzymała się na nogach, schorowana i głodna, bo większość taboru przepadła na podmywiskach i bagnach. Armia znalazła się na terenach dzikiej prowincji Pasto. Z westchnieniem ulgi, po wielu dniach borykania się z wrogią tropikalną puszcza, oddział ujrzał na rozległej leśnej polanie wielką osadę. Żywego ducha w niej nie spotkano. Wszyscy mieszkańcy opuścili wieś, pozostawiając wielkie zapasy żywności i ogromne ilości palmowego araku w tykwach. Przednia straż armii Inki nie żałowała sobie. I nie wiadomo, czy to trunek uległ za daleko posuniętej fermentacji, czy też podstępne ręce dosypały doń jakiegoś narkotyku, dość że w parę kwadransów od dowódców po ostatniego ciurę wszyscy byli półprzytomni. Nikt nie usłyszał cicho skradających się setek bosych stóp. Nie do wszystkich nawet doszedł przeraźliwy okrzyk wojenny skaczących do ataku dzikusów. W godzinę później awangarda wielkiej armii Inki przestała istnieć. A puszcza łożyczała się ohydny wrzaskiem, który nie z ludzkich zdawał się wychodzić piersi, głuchym to turkocącym dudnieniem bębnow, bijących pogrobne intruzom z południa.

Sześć czy więcej nawet miesięcy zmitrężył Huayna w złowrogiej prowincji, ale kiedy stąd odszedł, błogosławiły go tylko ścierniki, które na długi czas zaopatrzył w padlinę.

W podwójnej walce z tubylcami i jeszcze dzikszą od nich przyrodą Inka dotarł do rzeki Ancasmayo, być może któregoś z do-

plywów Guaviare w Kolumbii. Niewykluczone także, że sięgnął jeszcze dalej na północ, z wyprawy tej bowiem przywiózł ogromny łup w postaci szmaragdów i turkusów. Kto wie zatem, czy nie odnalazł bajecznych kopalń tych kamieni w kraju Chibchów.

Niektóre kroniki wspominają niejasno o ostrym zatargu między Huayną a „długouchymi”. Oto pewnego razu napadnięty zniemacka Huayna wraz z Atahualpą, który od dawna towarzyszył ojcu w wojennych wyprawach, i odcięty od głównych sił znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Oddział Inków, zamiast przyjąć wodzowi z pomocą, zbiegł i tylko dzięki bohaterskiej postawie yanaconów Syn Słońca został uratowany. Kiedy później Huayna czynił z tego powodu gorzkie wyrzuty dowódcy wyborowego oddziału Inków — Miki — i dla upokorzenia go nadał wielu yanaconom wysokie stopnie oficerskie, Inkowie się zbuntowali. Zawładnęli złotym posągiem Słońca, który zawsze towarzyszył wyprawom, i ruszyli w drogę do Cuzco. Po paru dniach wszakże się zmitygowali i powrócili, błagając o przebaczenie, które zostało im udzielone.

Incydent ten, choć zarówno jego tło, jak i przebieg są problematyczne, jest bardzo prawdopodobny. Podstarzały bowiem kochanek proklamował Pacchę prawowitą coya, co w oczach Inków było czynem nielegalnym, gdyż, po pierwsze, tylko jednej z żon przysługiwał ten tytuł, a nosiła go już od lat Mama Cusirimay, po drugie, Paccha nie należała do rodu Inków, lecz była zwykłą śmiertelniczką. Czyn Huayny potępiało więc wielu arystokratów, a powszechnie także szemrano, iż Jedyny Inka przekłada barbarzyńskich Carów nad członków własnego rodu. W zarzutach tych było trochę prawdy, gdyż w armii Huayny rzeczywiście trzy najwyższe stanowiska zajmowali dawni przeciwnicy, wodzowie Carów. Oliwy do ognia dołało jeszcze mianowanie Atahualpy królem Quito i w tym to charakterze ulubiony syn Huayny towarzyszył ojcu w ostatnich kampaniach. Huayna decyzję tę tłumaczył ogromnym rozrostem imperium. Z Cuzco coraz trudniej było sprawnie dyrygować tak olbrzymim państwem. Podboje na północy objęły kraje tropikalne o zupełnie innym klimacie, odmiennych warunkach glebowych, o różnej strukturze gospodarczej, z ludnością o całkowicie innej cywilizacji i sposobie życia.

Mechaniczne włączanie ich w polityczny organizm państwa Inków byłoby rzeczą bardzo trudną i nawet niecelową. Dlatego lepiej jest pozostawić im pewną autonomię i pozwolić rządzić się na własną modłę, acz w ramach Tahuantinsuyu. Ale tłumaczenia te były raczej usprawiedliwianiem decyzji podjętych przez powolnego kochanka niż męża stanu. W efekcie zaś decyzje owe miały fatalne skutki, ułatwiając Hiszpanom znacznie podbój Peru.

Przedstawione tu na paru stronach kampanie wojenne w istocie rzeczy trwały lat kilkanaście. Huayna począł odczuwać brzemię lat, coraz częściej i na coraz dłuższe odpoczynki udawał się do Quito lub Tumipampa, gdzie drugą sobie założył rezydencję. Ale wciąż jeszcze co jakiś czas towarzyszył wojsku w wyprawach.

Pewnego razu biwakował niedaleko zatoki Guayaquil. Noc była dżdżysta i parna. Huayna leżał na hamaku rozpiętym w połowym namiocie i nie mógł usnąć. Miał lekką febrę. Myślał o swej młodości, wspaniałych tryumfach, zwycięskich wojnach, w uszach dźwięczały mu wiwaty tłumów i Inka uśmiechnął się lekko. Przesuwały się w jego wyobraźni strzępy wspomnień, jakaś zapomniana dziewczyna, to znów Paccha, syn i matka, czyjś pogrzeb, mrok jakiejś świątyni i nagle skrwawiony kondor u jego stóp.

Huayna otworzył oczy i wzdrygnął się z przerażenia. Ze stropu namiotu spadała nań chmara przerażających zjaw. Bezgłowe dzieci, twarze okrutnych wojowników, dziwaczne kalekie postacie wywijające palcatą maczugą. W powietrzu latały ucięte ręce i nogi, toczyły się niby piłka głowy beznose. Z drugiej znów strony sunął w jego kierunku oddział samych kadłubów, a choć bez nóg, szedł przecie rytmicznym wojskowym krokiem. Ince wydało się, że rozpoznaje znajomych, ach, tak, na pewno, to przecież wódz Pinto. Ale czymże dziwnym on tak wywija? Huayna podniósł się nieco, by lepiej widzieć, i znów padł na posłanie. Pinto trzymał w ręku własną skórę, zdartą z niego z rozkazu Inki...

Przez całą noc namiot pełen był widm z przeszłości, duchów i mar osób zmarłych z woli Huayny. Inka zamykał oczy, a wtedy fantomy znikaly, ale ciekawość brała za chwilę górę nad lękiem i znów legion mściwych upiórów dręczył swego kata.

Dopiero o pobrzasku omamy opuściły namiot i Inka zasnął ciężkim, nie dającym odpoczynku snem.

Mimo całonocnych potyczek z cieniami — nie pamiętał ich zupełnie — Inka wstał w wyjątkowo dobrym usposobieniu. Przy posiłku wesoło żartował z usługującymi mu dostojnikami i cały obóz obleciała wiadomość: „pan jest dziś łaskaw”, co ostatnimi czasy nie za często się zdarzało.

Okolo południa do koczowiska przybył mały orszak. Z lektyki wysiadł oliwkowobrazowy, poważny Indianin. Był to rezydent Inki w fortocy Tumbes. Kazał się wieść do Huayny. Poufna w cztery oczy konferencja trwała prawie sześć godzin. Natychmiast po niej, mimo zapadającego zmierzchu, dostojnik opuścił obozowisko.

Z namiotu Inki nie dochodził żaden odgłos. Od samego rana pan nie miał nic w ustach, ale dworacy długo nie wazyli się zakłócać spokoju władcy. Zrobiło się ciemno i wreszcie pierwsi weszli pochodnicy. Huayna siedział jak skamieniały. Wysokie czoło pocięły głębokie bruzdy, zapadłe policzki rysowały szczególnie wyraziście ostre kontury orlego nosa. Podpartymi na łokciach rękoma podtrzymywał głowę o oszronionych włosach i trwał tak w martwej zadumie. Na nieśmiałe propozycje podania posiłku Inka uczynił gniewny ruch dłonią i wtedy z ust jego padły pierwsze i jedyne już tego dnia słowa:

— Odmarsz do Quito, natychmiast!

Strwożeni dworacy cofali się tyłem, nie mogąc oderwać oczu od dziwnego przedmiotu leżącego przed Inką na stole. Był to stłowy europejski topór. „Mimo nocy” — dziwiło się wojsko rozkazowi, ale nikt nie śmiał zadawać pytań.

A spoczywającego w lektyce Huaynę czekała noc gorsza jeszcze od tamtej. Wczoraj zmagał się ze zwidami, teraz musiał żywym stawiać czoło. Straszne, niepojęte wiadomości przyniósł rezydent z Tumbes. Do miasta tego przybyli biali, brodaci ludzie. Z ich rąk strzela piorun. Noszą się zupełnie obco i mówią niezrozumiałym językiem. A są z nimi także innego koloru ludzie. Są mężowie o twarzy czarniejszej od najciemniejszej bezgwiazdnej nocy, a są inni do nas bardzo podobni, a nawet dwaj z nich znają język quechua, można się więc z nimi porozumieć. Nie, o Hui-

racochy nie nie mówili, wspominali tylko o potężnym władcy mieszkającym za morzem, ale też niewiele, głównie pytali o złoto. Rezydent zwiedził nawet ich wielki pływający dom, dziwy tam widział nad dziwami, jadł osobliwe potrawy i pił trunki o smaku nie znanym tutejszym napojom. Biali przebywali dwa dni, a potem zniknęli ze swym domem na wielkiej wodzie, która ich przyniosła.

Inka znał stare przepowiednie Huiracochy, ale dlaczego nic o nim nie mówili? Biali i brodaci — tak właśnie zapowiadał Huiracocha, ale skąd są z nimi czarni? Zagadka, o czarnych przecież bóg nie wspominał. Ale skoro towarzyszą im Indianie znający język quechua, to przecież stąd pochodzą, a więc musieli oni już kiedyś być w tym kraju. Jeżeli jednak są to wysłannicy Huiracochy, to dlaczego tak szybko odjechali, dlaczego tylko dwóch białych, jeden czarny i jeden miedzianoskóry zeszli na ląd. Dlaczego reszta, w tym sam wódz, cały czas trzymali się pływającego domu?

Całą drogę do Quito męczył się Inka tymi pytaniami, ale skreślony relacją rezydenta rebus pozostał nie rozwiązany. W swojej stolicy u boku ciągle pięknej Pacchy Huayna powoli zapominał o niezwykłym wydarzeniu. Czasami myślał, że może rezydent uległ zwidom, podobnym marom, które napastowały go owej pamiętnej nocy, ale kiedy spojrzał na siekiere z metalu nieznanego w jego świecie, znów go strach oblatywał. Więc słał gońców do Tumbes. Wybrzeże nie miało żadnych meldunków. Drużyna białych zginęła bez śladu. Może pochłonęły ją morskie odmęty, może pomogły ofiary składane w świątyniach całego kraju? W końcu Inka kazał zakopać zniechęcony topór i odtąd odzyskał zwykłą równowagę ducha.

Tak minęło w spokoju kilka miesięcy. Aż wreszcie się stało... Nadleciała znad zielonych puszczy wschodu. Niby gigantyczny latawiec wlokła się w kurzu ciemnobłękitnych skier, rozrzucając krople złocistych ognia. W mroku nocy pięła się po niebie majestatyczna i groźna, warkoczem kreśląc dziwaczne zygzyki. Chwilami gasiła blask, płowiała, pełzała, już była tylko cieniem, ale wraz wybuchała wiechą seledynowych rac, ogniła się krwistym pióropuszem. Jak zrodzona w ogniu salamandra podczajala się do

krainy gwiazd, po rozlogach niebiańskich wywijiała świetlistym biczem długiego ogona. Zmęczona wędrówką zawisła hen pod Drogą Mleczną, mało widoczna, wyprostowana jak sznur magiczną sztuczką ciśnięty w powietrze. I nagle pochyliła czoła, złamała się wpół i rozrzucając krwawe kule i deszcz złotego pyłu runęła w przepaść między niebem a ziemią. Na chwil kilka stała się noc straszna, czarna, noc z czasów jeszcze nie stworzonego świata. A wtem dwa purpurowe jęzory liznęły powietrze, rozległ się głuchy, posepny pomruk, zadudniła ziemia. To się przebudził stary olbrzym, wulkan Cotopaxi.

Setki, tysiące lam dawały szyję na kamieniach ołtarzy. Zwierzęta nie wystarczą na odwrócenie fatalnego losu. Więc niewinnych dzieci żądają kapłani, matki z ramion wypuszczają niemowlęta — niech ich krew przyska na ofiarni\*. Daremne poświęcenia, próżny serdeczny płacz wiecznego rozstania. Wyroków przeznaczenia już nie odwrócą ni modły, ni ofiary. Od północy imperium złe wiatry sypnęły śmiertelnym siewem czarnej ospy. Złowrogi pochód zarazy szedł zieloną puszcza, wspinał się zuchwale wysokogórkami ścieżkami, przetaczał się przez stepy, najchętniej popasał w miastach i osiedlach. Epidemia nie wybierała ofiar, od jej razów padał nagi dzikus zaskoczony na łowieckiej wyprawie, pastuch lam, cichy chłop, lśniący od złota dostojnik, dziecko w kolebce i niedołężny starzec. Dziesiątki nie pogrzebanych trupów zalegały gościńce, niejeden chasqui, zanim doniósł przerażającą wieść, padał w pół drogi swojej sztafety. Być może nagła epidemia ospy, która wtargnęła od północy do Kolumbii i Ekwadoru, a potem sięgnęła i innych rejonów Tahuantinsuyu, miała swe początki w Meksyku. Do tego kraju w czerwcu 1520 roku zawlókł zarazę Murzyn z Kuby, Franciszek Eguia, uczestnik wyprawy Korteza\*\*. W listopadzie tego roku padł jej ofiarą bohaterki tlatoani Azteków Cuitlahuac. W późniejszym czasie epidemia wystąpiła w różnych krajach Ameryki Środkowej i niewykluczone, że po siedmiu dopiero latach przedostała się do państwa Inków.

\* Ofiarnia — miejsce składania ofiar.

\*\* Hernando Korteza (1485—1547) — słynny konkwistador hiszpański, zdobywca Meksyku (1520—1521).

W Quito zaraz w pierwszym okresie panowania epidemii zmarła coya i oficjalny następca tronu — Ninan Cuyuchi. W kilka dni później zapadł na nią Huayna Capac. Miejscowi lekarze wobec choroby byli zupełnie bezradni, nie umieli nic wymyślić ponad magiczne zaklęcia, a dla złagodzenia cierpień stosowane zimne okłady jeszcze pogarszały sytuację, przyprawiając chorego zazwyczaj dodatkowo o zapalenie płuc. Epidemia miała jednak, jeśli tak rzecz można, kapryśny charakter. Niektórych atakowała bardzo łagodnie, innych zaś porażała gwałtownie i bezapelacyjnie. Do tych ostatnich niestety należał Syn Słońca. O Huaynie trudno nawet powiedzieć, że chorował, z miejsca bowiem stracił przytomność i od razu znalazł się w stanie agonalnym. Przerażony dwór opuścił pałac Inki w obawie przed zarażeniem i władca potężnego imperium przez kilka godzin konał samotnie. Jego przedśmiertnemu rżeniu akompaniował tylko spazmatyczny szloch niewieści. Ostatnia Scyri królestwa Quito, ona jedna tylko, pozostała do końca wierna swemu władcy i mężowi.



## **WOJNA BRATOBÓJCZA I KONIEC IMPERIUM**

Nagła śmierć Huayny Capaka skomplikowała sytuację polityczną w kraju. Wprawdzie zgodnie ze znanym nam układem obecnie prawo do tronu przysługiwało Huascarowi i jemu też arcykapłan Słońca w Cuzco nałożył szkarłatne llautu na czoło, koronując go Jedynym Inką, ale nie rozwiązana była sprawa królestwa Quito, gdzie pozostawał Atahualpa. Wytworzył się nieco paradoksalny stan rzeczy: formalną władzę w całym kraju miał Sapay Inca — Huascar, natomiast faktyczna siła spoczywała w rękach bastarda według praw Inków — Atahualpy. Olbrzymie armie doświadczonych wojowników, z którymi od lat prowadził wojny Huayna Capac, przebywały na północy, a ich słynni wodzowie wszyscy opowiadali się po stronie syna księżniczki z Quito.



Z powodu epidemii sprawa zawisła trochę w próżni, bo w obawie rozwleczenia zarazy ograniczano kontakty z północą kraju. Nawet zabalsamowane zwłoki Huayny Capaka przechowywano na razie w królewskim pałacu w Tumipampa, czekając odpowiedniejszej pory na uroczyste ich przewiezienie do Cuzco. Jedynie serce Inki wysłano do stolicy, aby pogrzebać je, jak nakazywała tradycja, w murach Ollantaytampu.

Huascar od dzieciństwa wychowywany wśród kobiet, wyrastał w atmosferze intryg dworskich, nie czuł powołania do żołnierki i nie odznaczał się ani talentem wodzowskim, ani bystrością polityka, co nie przeszkadzało mu być pysznym i mściwym bez miary. Atahualpa natomiast, zrodzony ze zwykłej, choć królewskiego rodu śmiertelniczki, odczuwał kompleks niższości wobec Inków z Cuzco, dobrze maskowany arogancją. Przebiegły i okrutny, żywił niepohamowane ambicje, a żądza władzy głuszyła u niego wszelkie inne uczucia. Przy tak różnych dyspozycjach psychicznych obu braci nie mogło być mowy o pokojowym duumwiracie\*, konflikt wisiał w powietrzu i jasne było, że doprowadzić musi do wojny domowej, której przebieg, choć toczyła się już niemal na oczach Hiszpanów, nie jest w pełni znany.

Ze względu na zarazę uroczystości koronacyjne niewielu dostojników z prowincji zgromadziły w stolicy. Rozesłani po całym kraju gońcy zanieśli jednak oficjalnie wieść o wyborze Huascara do wszystkich zakątków państwa, z żądaniem, by szefowie prowincji i naczelnicy plemion składali hołd nowemu władcy. Rada wojenna Atahualpy doradzała mu grę na zwłokę, on sam nie miał innego zamiaru. Kiedy natomiast dowiedział się, że wyspiarze z Puna przygotowują poselstwo do Cuzco, wyruszył przeciwko nim na czele silnej flotyli tratw. Doszło do największej chyba w historii Tahuantinsuyu walki morskiej. Indianie z Puna lepiej obeznani z wodą zadali Atahualpie dotkliwą porażkę. On sam stracił lewe ucho i został oszczepem ciężko ranny w udo. Nie udało mu się wylądować na wyspie i dalszą walkę z jej mieszkańcami powierzył wiernemu miastu Tumbes. W istocie rzeczy drobny ten incydent świadczył wyraźnie o prawdziwych intencjach Atahualpy,

\* Duumwirat (łac.) — panowanie dwóch mężów.

czego jednak Huascar nie rozumiał. Kiedy nowy Inka zażądał od brata, by odesłał do Cuzco pozostałe w Quito kobiety Huayny i klejnoty zmarłego, ten czym prędzej dokonał przeglądu frau-cymeru i najpiękniejsze dziewczęta wybrał do swego haremu, a następnie bezczelnie oświadczył, że zgodnie z wolą umierającego zaprzysiął mu przy łożu śmierci, iż wszystkie jego rzeczy na wieki pozostaną w Quito. I tę wymówkę przyjął Huascar za dobrą monetę, co zdaje się świadczyć o czymś więcej niż tylko naiwności Inki.

W ten sposób przez pewien czas bracia, którzy prawdopodobnie osobiście w ogóle się nie znali, na pozór żyli w zgodzie. Gdyby wszakże Huascar miał trochę więcej już nie tyle politycznej, ile życiowej orientacji bądź też lepszych doradców, nie tak beztrudno oddawałby się swej ulubionej rozrywce — łowom. O epidemii już prawie zapomniano, a władca Quito ciągle był mu winien oficjalny hołd. Zaproszenia do Cuzco zbywał milczeniem lub też wykręcał się od wizyty pod różnymi pretekstami. W końcu do stolicy, gdzie gotowano uroczysty pogrzeb, przybył wspaniały kondukt żałobny wiodący zwłoki Huayny Capaka, eskortowane przez jego żonę — Mamę Rahua Ocllo. W orszaku zabrakło Atahualpy, wtedy dopiero Huascar przejrzał politykę brata, ale kiedy ją zrozumiał, w bezrozumnej złości do dawnych głupstw dołożył nowe. Wymordował towarzyszących ciału ojca dostojników, bliskich przyjaciół zmarłego władcy i Atahualpy, w ten sposób pogłębiając jeszcze przepaść dzielącą go od przyrodniego brata.

Oburzona na syna Mama Rahua Ocllo wyniosła się z Cuzco i zamieszkała w wiejskiej rezydencji koło Siquillapampa, ciesząc się powszechnym miernym u arystokracji.

Huascar miał liczne żony, ale, jak wiemy, cógą mogła być tylko jedna z rodzonych sióstr Inki, w zasadzie najstarsza. Zwrócił się przeto do matki z prośbą o rękę Chuqui Urpay. Mama Rahua odpowiedziała twardo: nie.

Ale Huascar nie na darmo tyle przebywał na dworze Cuzco. Znał na wylot kruczki skompikowanej nieraz procedury prawno-etykietałnej. Skoro matka odmawia, można od tej decyzji zaapelować do jej ojca. Wielki dziesiąty Inka Tupac Yupanqui prze-

cięż nie żyje. To nie stanowi przeszkody, widzieliśmy przecież już, że mumie władców i po śmierci brały czynny udział w życiu, swatów więc wysłał Huascar do pałacu swego dziada. Tam w paradnej sali na złotym krześle siedziała sprowadzona specjalnie w tym celu z Coricanchy mumia zmarłego Syna Słońca. Po obu jej bokach stał Indianin i Indianka, pełniący służbę u Tupac Yupanquiego. Dziewosłab złożył bogate dary u stóp mumii i nisko pochylony, pokornym głosem w imieniu Huascara wygłosił zwyczajową formułkę oświadczyn. Po długim milczeniu z ust rzeczników Yupanquiego padła jednocześnie uroczysta odpowiedź:

— Nasz pan, Syn Słońca, wielki Inka Tupac Yupanqui, raduje się z wyboru i go pochwała.

W ten sposób wola zmarłego złączyła dłonie Huascara z najstarszą jego siostrą. Tahuantinsuyu znów miało prawowitą coyę.

Nadszedł rok 1529 i wypadki poczęły się toczyć szybszym tempem. Zmarł właśnie Chamba, curaca prowincji Cañar znad zatoki Quayaquil, a syn jego zwrócił się o inwestyturę do Cuzco, nie zaś do Quito, któremu administracyjnie kraj podlegał. Atahualpa potraktował to jako akt buntu i obrazę osobistą, zareagował szybko i okrutnie. Żonę i dzieci kacyka, które nie chciały wskazać kryjówek ich męża i ojca, wbił na pal i wśród niezwykłych tortur wymordował połowę plemienia. Wodzowie Atahualpy wieścili głośno, że podobny los czeka nieuchronnie wszystkich, którzy nad władzę Quito stawiają pana z Cuzco. Było to już jawnym rzuceniem rękawicy, ale Huascar lekceważył napływające informacje o rebelianckich poczynaniach Atahualpy. Wysłał doń tylko nowe poselstwo z wyraźnym tym razem żądaniem przybycia do Cuzco. Atahualpa odpowiedział, że właśnie szykuje się do drogi...

Mama Rahua Ocllo, surowa i dostojna pani, znacznie bystrzej oceniała sytuację. Często odwiedzali ją starzy wodzowie i wysocy urzędnicy. Arcykapłan Słońca, brat Huayny Capaka, miał także swój wywiad i nie taił przed nią ponurych obaw. Po wielu z nimi rozmowach Mama Rahua postanowiła porzucić dumę i odwiedzić syna.

Huascar bał się jej trochę, ale kiedy się zjawiała, natychmiast ją przyjął. Stara dama, niska, o dziewczęco smukłym ciele, ale gęsto srebrem przetykanych włosach, dawno już nie widziała syna. Nie bawiła się jednak w ceremoniałem przepisane powitania. Miała twarz surową, twardo uderzyły jej oczy w źrenice Huaścara, kiedy powiedziała:

— Synu Słońca, jeżeli jeszcze nim jesteś...

Inka dobiegał czterdziestki, średniego wzrostu, miał skłonność do otyłości, a jego spokojna, niewzruszona twarz rutynowanego dworaka wyrażała teraz bojaźliwe zdziwienie.

— Co to ma znaczyć: jeżeli jestem? Czyż matka nie wie, że nasz praojciec Manco Capac był Synem Słońca i że...

— Ach, wiem. — Mama Rahua pogardliwie machnęła ręką na próbę historycznego wywodu syna. — Ale, co ważniejsze, wiem także, iż nie może jednocześnie dwóch Inków rządzić krajem.

Huascar zmarszczył brew i milczał. Matka ciągnęła:

— Czyż nie rozumiesz, że Atahualpa gotuje się do zajęcia tronu twego ojca? W Chinchasuyu, czy to nad morzem, czy w górach, nikt nie śmie wspomnieć twego imienia. Kto ciebie wzywa, tego los dopełnia maczuga lub nóż krwawych wojowników Atahualpy. On z każdym dniem rośnie w siłę. Okrutna dola mieszkańców Cañar odbiera odwagę twoim coraz mniej liczny stronnikom. Północ już stracona. Tahuantinsuyu zgubiło swą nazwę, zamiast czterech, ma tylko trzy dzielnice, a jutro... — w głosie matrony zadźwięczała skarga.

Mama Rahua usiadła na niskim krześle. Schyliła głowę na piersi, słaba, bezbronna kobieta.

Huascar stał przed nią. Syn Słońca z wyraźnym zakłopotaniem mówił:

— Ależ, matko. Skądże te niepokoje? Atahualpa niedługo stanie w Cuzco. Przyjdzie ukorzyć się przede mną. Otrzymałem poselsstwo, już śle swych ludzi. Matko, naprawdę próżne są twe obawy. Mam meldunki.

A matka pomyślała: „glupi”, lecz głośno rzekła:

— Meludnki... I ja je znam. Atahualpa gromadzi wojska, wysyła potajemnie broń. To nie ceremonialny orszak.

Huascar roześmiał się prawie pogodnie:

— Och, matko, matko, czyby cię do rady wodzów nie zaprosić?

Pani wstała. Powiedziała ostro:

— Na wojennych sprawach winienesz znać się lepiej ode mnie. Ale ja dwanaście lat spędziłam u boku twego ojca na zwycięskich wyprawach. A ty, w jakich kampaniach brałeś udział? Co wiesz o swojej sile, skoro poniechałeś nawet objazdu prowincji, od czego każdy Inka zaczynał rządy.

Huascar zarumienił się i spuścił głowę, prawdą bowiem było, co mówiła. Mama Rahua ciągnęła podniesionym głosem:

— Wyborowe oddziały całego kraju słuchają rozkazów Atahualpy. I najlepsi wodzowie, Quizquiz, Challcuchima czy Rumiñawi — każdy z nich stanie za dwudziestu twoich. To mówię ci ja, która dobrze ich znam.

Nie czekając na odpowiedź, Mama Rahua skłoniła się ostentacyjnie nisko i opuściła pałac Inki. Za chwilę lektyka unosiła ją w kierunku Siquillapampa.

Wizyta matki nie była jednak bezowocna. Kilka dni jeszcze Huascar trwał w bezczynności, ale wreszcie ocknął się. Zwołał radę wojenną, uważnie słuchał meldunków i wydał rozkazy. Cuzco opuściły silne armie.

W miesiąc potem na słynnych szlakach Inków panował ożywiony ruch. Strumizną górską i zieloną doliną, rozkolysanym mostem rzuconym nad przepaścistą rzeką i pustynią suchych równin, wygodnym traktem i śliską ścieżynką, grząskim moczarem i spadziastą percią, rzeczonym przydrożem i ruchliwą ulicą biegli półnaczy gońcy — chasqui. W białym pióropuszu na głowie, z procą lub krótką maczugą w jednej dłoni, z konchą morską w drugiej i z poselstwem w pamięci nieśli szybkobiegacze wielką nowinę do stołecznego Cuzco.

— Atahualpa rozgromiony, w niewoli — rzucają zmęczone usta wieść radosną.

— Król Quito zbiegł — trzy słowa meldunku zaraz zwarzą radosne uniesienie mieszkańców prastarej metropolii.

Rzeczywiście wskutek karygodnego niedbalstwa dowódcy Inków po kilku godzinach niewoli odsiecz odbiła uzurpatora.

— Donosi Ambato: armia zniesiona. Generał Atoc w niewoli, stracony.

— Ambato? Gdzie leży Ambato? — pyta ktoś z trwogą.

W tłumie jest amauta. Sędziwy mędrzec dosłyszał pytanie.

— U stóp Chimborazo; mała to osada.

Odpowiedź nie wystarcza, bo kto wie, gdzie jest Chimborazo.

Więc biegnie nowe pytanie:

— Daleko?

— Daleko, bardzo daleko — bez uśmiechu odrzekł uczoney.

Słynni wodzowie Atahualpy zuchwałym manewrem oskrzydłającym z trzech stron wzięli dwukrotnie liczniejszą armię Inki

i w puch ją roznieśli. Nieszczęsny Atoc długo konał u pala męczarni, a z jego czaszki Challcuchima wyrzezał sobie czarę.

Zlane potem ciało gońca dygoce w chłodzie wczesnego wieczoru.

Indianin wciąga w strudzone płuca rzeński strumień zimnego powietrza. Drewniany głos recytuje beżnamiętnie:

— Huanca Auqui rozbity pod Tumipampa. Cofa się w nieładzie.

Inny chasqui donosił:

— Wróg pod Cajamarca dopadł cofającą się armię. Huanca Auqui ucieka.

I w kilka miesięcy później:

— Huanca Auqui wzywa śpiesznej pomocy. Jest już w dolinie Jauja.

Przyrodni brat głównego Inki, Huanca Auqui, dowodził najlepszą armią, jaką dysponował Huascar. Biegnące z północy i zachodu sztafety coraz krótszą miały drogę do stolicy. Mnożyły się meldunki. Oszczędne w słowach raporty donosiły o ciągłych przewagach wojsk Atahualpy. Jego wódz, okrutny Quizquiz, pochodem zniszczenia zbliżał się nieubłaganie do stolicy. Święta Dolina Inków gromadziła ostatnie rezerwy. Z Cuzco wybiegli gońcy na południe i południowy wschód. Chasqui trzymali w rękach pałeczki ze szkarłatną wstążką — znak, że niosą osobisty rozkaz samego Syna Słońca. Setkami kilometrów biegł ich szlak. Hen, za jezioro górskich tajemnic Titicaca, do przepastnych równin Tucumanu, przez lodem ścięte granie Andów do dalekiego Chile — mknęli posłańcy królewscy. Od wojowniczych ludów południowej prowincji Collasuyu Inka żądał niezwłocznej pomocy. Nieodmówili jej wierni poddani.

Ale już nad Rozgadaną Wodą, jak zwano rzekę Apurimac, ostatnim na zachodzie bastionem broniącym dostępu do doliny Cuzco, stanęły zwycięskie kohorty Atahualpy. Gońcy niemal bez przerwy przybiegali z wiadomościami. Potyczki, drobne porażki i małe sukcesy.

W ten zwykły nurt wojennych komunikatów nagle wpadła niezwykła wiadomość. Nie wiadomo, w jaki sposób przez kordon wojsk pana Quito prześliznęła się informacja znad oceanu. Zza wielkiej wody Huascarowi śpieszy nieoczekiwana pomoc. W okolicach Tumbezu wylądowali biali, brodaci mężowie, z których rąk strzelają pioruny. Idą na ratunek prawowitemu Ince. Niezwyčajne nowiny burzą spokój kapłanów. Wróżby nakazują — Huascar musi osobiście objąć dowództwo.

Zwycięstwo będzie jego.

Mylili się augurowie.

Zręczne manewry biegłych w sztuce wojennej wodzów Atahualpy zdezorientowały i zwiody Inkę nienawykłego do zdradzieckich stratagemów. W chwili kiedy zdawało się, że jego armia zyskuje zdecydowaną przewagę, Huascar dał się lekkomyślnie wwiesić w zasadzkę. „Syn Słońca w niewoli” — fatalna wiadomość sokolim skrzydłem obiegła Świętą Dolinę. Rozstawione na przełęczach, u wylotów górskich jarów, na garbach wzgórz, u mostów i brodów rzecznych oddziały poszły w rozsypkę. Chilijczycy, ludy Colla i Charca wydłużonym marszem wracają na południe. Ze szczytu Pisac stropiony wartownik trwożnym sygnałem wielkiej muszli morskiej *pututo* ogłasza alarm dla miasta Cuzco. Za późno. U wrót stolicy stoją już dymiące krwią zastępy wojowników Quizquiza i Chalcuchimy. Stolica pada na kolana, po zgiętych karkach pokonanych wchodzą w mury miasta Inków ponurzy i nie znający litości starzy wodzowie Atahualpy. Plac wypełnia tłum, milczący i pełen nie ukrywanej bojaźni. Przed potężnym masywem świątyni Słońca w złotej królewskiej lektyce siedzi Jedyne Inka — Huascar. Skamieniały tłum nie pada dziś na twarz przed Synem Słońca. Przerażenie przybija do miejsca mieszkańców Cuzco. Widzą na szyi swego pana szorstki postronek, a ręce władcy, w tył wykręcone, krepują mocne sznury. Takim jeszcze nigdy panujący Inka nie jawił się swym

poddanym. Więc tłum wstrzymuje westchnienia i czeka w trwodze. Z lewa kroczy powoli gęsiego dziesięć żon Inki. Za każdą z nich idzie posepny wojownik z krótką, krzemieniem nasadzaną maczugą w ręku. Dziesięć niewiast staje w rzędzie przed lektyką. Niskim, ostatnim w życiu pokłonem żegna swego pana. Za każdą z nich stoi oprawca i kiedy kobiety z wolną się wyprostowują, cios w potylicę rzuca je na ziemię. Z prawej strony następna dziesiątka ofiar zbliża się nieuchronnie do miejsca straszliwej karni. Huascar nie ma siły patrzeć w twarze swoich bliskich, krewnych, dzieci. Przymyka oczy. Surowe kulaki straży zmuszają go do oglądania agonii ukochanych. Już cztery dziesiątki drogich istot drga w ostatniej konwulsji na skrwawionej płycie placu. Nadciągają nowe. Z oczu Huascara płyną łzy. Opodal pod silną strażą stoi jego matka. Dumna pani ma oczy suche, wargi zacisnięte w ciekłą pręgę. Patrzy nieugięcie na nie kończącą się egzekucję członków swego rodu. W końcu rzecze jedno słowo: „Mówi!am”, które jak chłaśniecie szpicruty godzi w obolałą duszę syna.

Atahualpa poprzysiął wytępić całe ayllu Huascara, a jego kaci metodycznie wypełniali rozkazy. Niezczędzono nawet kobiet ciężarnych, którym płód żywcem wycinano z ciała. Nawet wielki kapłan Słońca — huillac-umu za to, że włożył llautu na głowę Huascara, oddać musiał własną. Zbrodnia, jakiej nigdy nie notowały kroniki Tahuantinsuyu. Nie darowano nawet umarłym, spalono czcigodną mumię Inki Tupac Yupanqueiego, który szczególnie położył zasługi dla umocnienia dynastii z Cuzco.

Z rodu Huascara ocalili tylko nieliczni, kryjąc się w przebraniu prostych Indian w górskich pieczarach. Resztę „długouchych” Challcuchima i Quizquiz spędzili na Plac Skargi, gdzie przed posągiem Atahualpy, który przybrał tytuł „Pana Świata” — Titi Capac, musieli złożyć poniżający hołd. Kazano im obciąć brwi i rzęsy i na klęczkach zdmuchnąć je w kierunku Cajamarki — aktualnej siedziby zwycięzcy.

Ale samemu Atahualpie nie było dane zobaczyć stolicy imperium. W tym samym czasie, kiedy jego wodzowie niszczyli dynastię cuzkańską, od strony Tumbez Francisco Pizarro na czele garści hiszpańskich awanturników podjął zaborczy pochód w głąb



kraju. Informowany dokładnie o posunięciach białych, Atahualpa nabrał niewielkiego o nich mniemania, lekcewał intruzów, bą, gardził nimi i w sposób bezprzykładnie naiwny sam wszedł w ich sidła. Dramatyczne wypadki, które rozegrały się w Cajamarce w ciągu pół godziny na podwieczorz 16 listopada 1532 roku, przypieczętowały los potężnego imperium. Zuchwały napad hiszpańskich *desperados*\* oddał w ich ręce Atahualpę i to było już więcej niż początkiem końca\*\*.

I nasza opowieść zbliża się także do swego epilogu.

Atahualpa ofiarował bajeczny okup za cenę swej wolności. Jednocześnie takiej masy złota i srebra świat jeszcze nie widział. Kómnatę o powierzchni przeszło 30 m<sup>2</sup> do wysokości ponad 2 metry wypełniły złote klejnoty, bezcenne arcydzieła staroperuwiańskiej sztuki jubilerskiej. Na rozkaz Inki wierni poddani usypali stos 80 m<sup>3</sup> srebra i kunsztownych wyrobów z tego metalu. Atahualpa dotrzymał solennie warunków niezwykłego układu, ale nie dało mu to życia. W haniebnym procesie skazany na śmierć, został uduszony w czerwcu 1533 roku, po siedmiu miesiącach fikcyjnego panowania nad swoim ludem, w hiszpańskiej niewoli. Przed wykonaniem wyroku Atahualpa zdążył jeszcze rozkazać stracić Huascara z jego najbliższą rodziną, uwięzionych poza zasięgiem wpływów hiszpańskich.

W ten sposób bratobójcza wojna o sukcesję po wielkim Huaynie Capaku skończyła się gwałtowną śmiercią obu pretendentów.

Klęska i upadek Atahualpy nie oznaczały jeszcze rozbicia militarnych sił Tahuantinsuyu. Nietknięte pozostały wojska jego słynnych wodzów. Wprawdzie wuj Atahualpy, sędziwy już wojak, Chalcuchima dobrowolnie udał się do Hiszpanów, by swemu władcy towarzyszyć w niewoli, ale nie mniej sławny od niego Quizquiz grasował z potężną armią w okolicach Cuzco. Rumiñavi zaś, na wiadomość o pojmaniu Inki, pośpiesznym marszem udał się na północ, gdzie objął opuszczony tron Quito. Niebawem

\* *Desperados* (hiszp.) — awanturnicy, zuchwalcy.

\*\* Opis wojny bratobójczej i podboju Peru znajdzie Czytelnik w mojej książce pt. „Ród Pizarrow” („Nasza Księgarnia”, 1967), skąd niektóre fragmenty zostały zaczerpnięte do tego rozdziału.

okazało się, że Pizarro popełnił błąd tracąc Atahualpę. Przez parę wieków wypracowany system administrowania tym krajem wymagał istnienia centralnej władzy, jego kółka funkcjonowały sprawnie dopóty, dopóki ktoś z góry nakręcał cały mechanizm. Tym kimś był Inka, gdy go zabrakło, natychmiast zacięła się precyzyjna maszyna i wnet stanęła. Całe życie gospodarcze zostało sparaliżowane. Mimo pory zasiewów nikt nie wychodził w pole, bo nie było odpowiedniego rozkazu. Chasqui ziewali z nudów przed swymi strażnikami, ruch towarowy ustał, nikt nie utrzymywał w porządku dróg i mostów, skończyły się dostawy żywności.

Poniewczasie zrozumiał Pizarro, że ze śmiercią Inki stracił klucz do dyrygowania życiem tego kraju, którego nie był jeszcze panem. Postanowił tedy zastąpić go bodaj wytrychem, i szkarłatną opaskę założył na czoło młodszego brata Atahualpy, imieniem Toparca. Ale inwestytura władzy z rąk cudzoziemca była nowością w historii Tahuantinsuyu i nie wszyscy Indianie, zwłaszcza przeciwnicy rodu z Quito, a tych była większość, wybór ten respektowali. Zresztą Toparca niebawem umarł otruty, a obwiniony o jego śmierć stary woj Challcuchima skonał w oparach duszącego dymu na inkwizycyjnym stosie.

Do zażartych wrogów ludzi z Ekwadoru należeli ostatni pozostali przy życiu legalni synowie Huascara z jego trzeciej równorzędnej żony: Manco, Paullu i Titu Atauchi. Ten ostatni notabene niebawem zaginął w tajemniczych okolicznościach.

Stolica Inków, poza sporadyczną wizytą kilku Hiszpanów przysłanych tu za radą Atahualpy dla dopilnowania dostaw złota na jego wykup, nie odczuła jeszcze ciężaru zaoceanicznych intruzów i wciąż rządziła się na starą modłę. Ludność miasta powoli otrząsnęła się z depresji, w jaką wprawił ją narzucony siłą hołd Atahualpie, po odejściu jego wojsk powrócili zbiegli i ukrywający się przed siepaczkami Inkowie. Na miejsce haniebnie zamordowanego arcykapłana wybrano nowego, uzupełniono wakujące stanowiska wysokich dygnitarzy i nawiązano przerwane dramatycznymi wydarzeniami kontakty z prowincjami, zwłaszcza z Antisuyu i Collasuyu. Brakowało wciąż jednak głównej osoby i wreszcie wielki kapłan Słońca przy aplauzie i gorącej radości tłumów koro-

nował Jedynym Inką tego, któremu z prawa zaszczyt ten przynależał, to znaczy Manka.

Był on ostatnim władcą, który z zachowaniem starożytnych obzędów otrzymał sakrę w Cuzco z rąk arcykapłana. Chociaż więc tradycyjnie przyjęta w historii lista panów Tahuantinsuyu wymienia na trzynastym miejscu Atahualpę, a pomija zupełnie Manka, w istocie rzeczy lokata ta należy się temu ostatniemu. Atahualpa bowiem ogłosił się Inką w drodze uzurpacji, nie był koronowany przez arcykapłana Słońca i prawdopodobnie nigdy w ogóle nie przebywał w Cuzco.

W tym samym czasie, kiedy Pizarro rozpoczynał podbój Peru, krajem targająca zażarta wojna domowa. Hiszpan dość szybko o tym się dowiedział i umiał wyciągnąć z tego korzyści. Rozpuszczał mianowicie wiadomości, że idzie na pomoc legalnemu Ince — Huascarowi — i w ten sposób, jeszcze zanim zetknął się z Atahualpą, zjednywał sobie na zapleczu stronników wśród tubylców. Stracenie uzurpatora z Quito zdawało się poświadczać prawdę słów konkwistadora i chociaż Huascar już nie żył, pozyskiwało dlań przyjaciół zamordowanego Inki względnie wrogów Atahualpy.

Manco za dobrą monetę wziął zapewnienia Kastylijczyka, zaofiarował mu się z sojuszem i otworzył przed nim bramy Cuzco. Inka w pierwszym okresie oddał znaczne usługi Hiszpanom, wydawnie przyczyniając się do rozbicia wojsk Quizquiza, który wkrótce został zabity w czasie sprzeczki ze swymi wojownikami. Później jednak Indianin zrozumiał, że jest tylko marionetką w ręku białych, którzy kontrolują każdy jego krok i nie szczędzą mu, nawet prości żołdacy, osobistych upokorzeń. Postanowił tedy opuścić Cuzco, ale od granic miasta zawróciły go hiszpańskie straże. Przekonał się wtedy, że mimo pozorów swobody ruchów jest de facto \* więziony.

Jego brat Paullu szybko się „zeuropeizował” i przyjaźniąc się ze współnikiem Pizarra — Almagrem — poszedł z nim na współpracę. Manco wszakże z innej był ulepiony gliny. Odezwała się w nim dawna duma rodowa. Po paru bezskutecznych próbach

\* De facto (lac.) — w rzeczywistości, w istocie.

udało mu się w końcu zbiec i na rozkaz Jedyngo Inki całe Tahuantinsuyu stanęło w ogniu. Sam Manco z wielką armią obległ Cuzco. Indianie z dymem puścili starożytną stolicę, oszczędzając tylko świątynię pamiątek narodowych Coricanchę, ale w ruinach miasta Hiszpanie z męstwem desperata odpierali szturmy. Kiedy zaś Kastylijczycy brawurowym wypadem zdobyli obsadzoną przez Inków, a dominującą nad Pępkiem Świata fortecę Sacsahuaman, ataki tubylców straciły na sile. Po kilku miesiącach zniechęcony Manco zwinął oblężenie i wycofał się do twierdzy Ollantaytampu, gdzie zaatakowany przez Hiszpanów po zaciętych walkach znikł w górskich pustkowiach Vilcapampa.

Trwające rok powstanie (1536—1537), największy zryw niepodległościowy peruwiańskich Indian, wygasło w całym kraju.



## PAŃSTWO CIENI

Ze wszystkich brutalnych wodzów Atahualpy największym okrucieństwem i bezwzględnością odznaczał się Kamienne Oko — Rumiñavi. Pochodził ze szczepu Cara, z rodziny wojowników od niepamiętnych czasów zapisanych wojenną sławą w historii królestwa Puitu. Słynął z nieustraszonego męstwa, żelaznej energii i przebiegłości. Kiedy przed laty Paccha poślubiła Huaynę Capaka, on jeden z całego plemienia nie złożył broni i z niewielkim oddziałem tak jak on sam nieulekłych żołnierzy przez wiele jeszcze miesięcy prowadził partyzantkę. W końcu, kiedy za pośrednictwem Pacchy zapewniono mu przebaczenie i wysoki stopień w armii, zszedł ze swych ukochanych gór. Lojalnie brał udział we wszystkich kampaniach Huayny i Atahualpy, niezwykłą brawurą wyróżnił się w niezliczonych bitwach, ale mimo generałskiej rangi nigdy pod swoje rozkazy nie otrzymywał większej armii. Było w nim coś, co Inkom nakazywało mieć się na baczności. Właściwie nic nie mogli mu zarzucić. Rumiñavi bez słowa protestu szedł na najniebezpieczniejsze placówki, jeśli mu kaza-

no, z setką wojowników rzucał się na dziesięciokrotnie liczniejszego przeciwnika. A przecież w zaufanym gronie i Huayna, i Atahualpa mawiali o nim: „O, to niebezpieczny, niepewny człowiek”. Może nie podobało im się, że Kamienne Oko nie lubił uczestniczyć w zwyczajowych bankietach święcących zwycięstwo, podczas gdy sam wieczorami chętnie się upijał, słuchając pieśni starych poetów, opiewających chwałę dawnych Scyri. Może za złe miano, iż największe nawet pochwały, jakich mu wszakże nie szczędzono, przyjmował z obojętną, nieruchomą twarzą, na której nigdy nie zabawił cię uśmiechu. W każdym razie tak się zawsze składało, że podczas gdy Chalcuhima, Quizquiz i nawet mniej od nich sławni wodzowie niejednokrotnie brali pięćdziesiąt i więcej tysięcy wojownika pod komendę, Rumiñaviemu nie powierzano więcej nad 5 tysięcy. Czy Kamienne Oko zdawał sobie sprawę z tej jawnej dyskryminacji, czy go to nie bolało, trudno powiedzieć, bo zawsze milczący, skryty, nigdy nie zdradzał swych uczuć.

W ów pamiętny listopadowy wieczór, gdy Atahualpa zmierzał ku swemu przeznaczeniu na wielkim placu w Cajamarca, Rumiñavi właśnie z pięciotysięcznym oddziałem ubezpieczał od flanki Inkę. A kiedy powłóczył się salwa z muszkietów, znacząca koniec imperium, Kamienne Oko wysłał szperaczy, by się zorientować w sytuacji. Na wiadomość, że władca dostał się do niewoli, nie uczynił nic, by mu przyjść z pomocą, lecz szybkim marszem podążył na północ i ogłosił się królem Quito.

„Urządowanie” rozpoczął od wymordowania członków rodziny Atahualpy oraz wszystkich Inków z Cuzco. Nieświadomy tych wydarzeń Atahualpa, który ufny w obietnicę Pizarra pragnął jak najszybciej dopełnić okupu, wysłał do Quito swego brata Illesca lub Quilliscacha z pocztą wysokich dygnitarzy po znajdujące się tam skarby. Rumiñavi przyjął delegację wystawną uczta, nie żałując gościom chichy, a potem pijanych kazał zabić. Z brata zaś Atahualpy żywcem ściągnął skórę i zrobił z niej bęben, który przyozdobił czaszką nieszczęśnika.

Po niespełna roku tak tyrańskich rządów, w San Miguel, bazie wypadowej Hiszpanów, zjawiono się poselstwo plemienia Cañari i innych szczepów z błaganiem o pomoc i uwolnienie ich od

krwawego despoty. Kapitan garnizonu Sebastian Belalcázar zwietrzył wielki los swego życia. Jest rzeczą zdumiewającą łatwość, z jaką konkwistadorzy w obcych, nie ujarzmionych jeszcze krajach wzajemnie siebie zdradzali. Fort San Miguel założony w indiańskiej wiosce Tangarara nad rzeką Chira pomyślany był jako łącznik między interiorem\* a wybrzeżem, jako punkt oparcia, dający jaką taką szansę ratunku na wypadek katastrofy militarnej. Pizarro w tym czasie dopiero szedł na Cuzco, stolica Inków zachowywała wciąż swą niepodległość i zupełnie nie można było przewidzieć, jak się rozwiną wypadki. A przecież Belalcázar nie wahał się ani chwili, ogłosił bazę, zabrał całą załogę — dwustu pieszych i osiemdziesięciu konnych — i ruszył na północ, wystawiając na sztych swego szefa.

Z ewentualnością wtargnięcia białych liczył się Rumiñavi i uczynił wszystko, by utrudnić życie napastnikowi. Niejeden koń połamał nogi w zręcznie zamaskowanych wilczych dołach, na oddział hiszpański wspomagany przez silne watahy ciemniejących przez Carów Indian, na każdym kroku czyhały pułapki. Gdyby nie pomoc tubylców, znających topografię terenu, kto wie, czy ekspedycja nie skończyłaby się fiaskiem. Wprawdzie pierwszą bitwę na względnie płaskim terenie Kamienne Oko przegrał, ale w górach, gdzie atut kawalerii nie mógł być w pełni wykorzystany, Rumiñavi po mistrzowsku wodził się z konkwistadorami.

Z dwóch potyczek wyszedł zwycięzcą, w trzeciej niemal co do nogi wygniół indiańskich sprzymierzeńców Belalcázara. Wieczorem został poważnie poszarpany oddział białych w bardzo niekorzystnej strategicznie sytuacji. Kilka tysięcy Carów otoczyło ze wszystkich stron Kastyljczyków i obsadziło dominujące nad obozem Europejczyków przełęcz. Z drżeniem serca oczekiwali zdobywcy świtu, a z nim nowego ataku Indian. Wielu było rannych, a wszyscy głodni, gdyż tabor wpadł w ręce tubylców. Minęła już północ, nikt nie zmrużył oka, do snu nie kołysały raz po raz rozlegające się nawoływania dzikich, którzy podawali sobie jakieś tajemnicze, niezrozumiałe hasła.

\* Interior (z łac.) — wewnątrz kraju.

Bezksiężycowa noc zwisała nisko nad ziemią, jasna od srebra dziwnie wielkich gwiazd. Zmęczone oczy strażników łowiły skaczące cienie czujnych wojowników Rumińawiego wśród groteskowego krajobrazu fantastycznie porozrzucanych skał jak nie z tej planety. I znowu denerwujące, przenikliwe gwizdy, wybuch historycznego śmiechu, długo echem odbijane od górskich ścian wojenne okrzyki.

Wtem cały obóz zerwał się na nogi. Gdzieś z daleka dobiegł głuchy łoskot idący z góry i spadający w dół, jakby gigantyczna lawina potężnych głazów, urwana z niebotycznego wiszaru staczała się wyboistym zboczem. Zadrżała ziemia, struchlałym Hiszpanom zdawało się, że nad ich głowami kołyszą się urwiste szczyty, że łamie się i rozpada kapryśna linia górskich łańcuchów. Niebo zaogniło się czerwienią. Na jego tle ujrzano wysoko w górę skaczący słup kłębiącego się dymu. I świat pociemniał dookoła, rozjaśniany co chwila pręgą jasnokrwistych błyskawic. Z czeluści ziemi dobywał się półmrok i jęk złowrózby. W świetle płomieni wyrzucanych z pnącego się coraz wyżej stożka dymu i kłębow popiołów wełniły się jasnobrudne zwały chmur. A potem lunął deszcz, lepki i ciepły deszcz, który nie zmywał i czyścił, lecz pozostawiał po sobie ni to smugi rozmazanej sadzy.

Świt następnego dnia wstał późno. Dawno już słońce powinno rozpocząć swą zwykłą wędrówkę, a wciąż popielaty, kleisty mrok otulał góry nieprzeniknioną kotarą. Dopiero koło południa niebo nieco pojaśniało, ale w powietrzu wisiał wciąż duszący i lekko kwaskowaty zapach siarki. Niespodziewany wybuch wulkanu Cotopaxi uratował Belalcázara z ciężkiej opresji, miejscowi bowiem Indianie wierzyli, że zgodnie ze starą przepowiednią oznaczać miał koniec królestwa Puitu, więc rozbiegli się. Wprawdzie Kamiennemu Oku udało się zebrać sporą gromadę podobnych jemu straceńców, z którymi jeszcze przez trzy miesiące stawiał zacięty opór pochodowi Hiszpanów, w końcu jednak, rozbity, poniechał otwartej walki. Zrozumiał, że nie zagrozi białym drogi do Quito, więc spalił doszczętnie równikową stolicę, olbrzymie skarby zakopał w sobie tylko znanych kryjówkach, wymordował swe żony i nieletnie dzieci, by nie dostały się w ręce zdobywców, i z oddziałem gotowych na wszystko i nie mających już nic



do stracenia desperatów poszedł w dzikie ostępy górskie. Stąd czas jakiś szarpał jeszcze nagłymi wypadami konkwistadorów, ale wkrótce napady ustały. W pół roku później na wysokiej przełęczy wśród topniejącego śniegu znaleziono jego zwłoki, na poly objedzone przez trupożerne zwierzęta. Odtąd nikt już w starym królestwie Quito poważniej nie zagroził hiszpańskiemu władztwu.

W historiografii ekwadorskiej jest dzisiaj Kamienne Oko postacią nader kontrowersyjną. Jedni widzą w nim płomiennego patriotę, którego służbę u Inków cechował swoisty wallenrodyzm, inni traktują go jako okrutnego tyрана, dbającego tylko o własne korzyści. Prawda zapewne leży pośrodku. Władcom tamtych krajów niepodobna odmówić gorących uczuć miłości ojczyzny, a nieodłącznym atrybutem władzy w ówczesnych stosunkach był despotyzm, który przy pewnych predyspozycjach psychicznych łatwo przeradzał się w nie liczącą się z niczym brutalną samowolę.

W poprzednim rozdziale mówiliśmy, że Manco znikł w pustkowiach Vilcapampy, to prawda, ale chociaż znikł, często dawał znać o sobie.

Miano Vilcapampy nosił dziki i trudno dostępny rejon Andów między rzekami Apurimac i Vilcamayu, położony stosunkowo niedaleko Cuzco. Droga do niego wiodła dzikimi ścieżkami, przez przełęcze na wysokości 5000 metrów, łatwo obronne przez małą nawet garstkę wojowników. Kraina poprzerynana siecią wąwozów i bystrych potoków miała wyborne pastwiska, na których pasły się stada lam, a w żyznych dolinach obficie rodziła kukurydza, quinoa i inne plody peruwiańskiej ziemi. Zamknięta z trzech stron częstokołem nieprzebytych gór, od północy graniczyła z tropikalnym pralaszem zamieszkanym przez zaprzyjaźnione z Inkami plemię Mañari. Tu bogaty plon dawały plantacje koki i kakao. W ostojach nie zbywało na zwierzynie łownej. Słowem, pod względem ekonomicznym była to niemal samowystarczalna kraina.

W położonym w najpiękniejszej kotlinie starym obozie warownym Vitcos, pamiętającym czasy dawnych Inków, Manco, któremu na wygnaniu towarzyszyło wielu „długouchych” z pierwszych rodów imperium, założył sobie nową stolicę. Budował ją

na wzór i podobieństwo Cuzco. Wzniósł świątynię Słońca, do której potajemnie przenoszono ocalałe pamiątki narodowe, założył acclahuasi, miasto podzielił na górne i dolne, wprowadził tradycyjne zwyczaje i ten sam jak ongi ceremonial dworski.

Vitcos stała się w ten sposób miniaturą Pępka Świata, ale państwo Manka, rządzone prastarym ładem inkaskim, było już tylko państwem cieni. Manco zdawał sobie sprawę z tego, nie tracił jednak nadziei, że ta obczyzna we własnej ojczyźnie musi się kiedyś skończyć. Przecież stare, znane tylko wtajemniczonym kroniki jego rodu opowiadały o długich okresach upadku, kiedy fale barbarzyńców zalewały kraj, a Inkowie chronić się musieli po górskich kryjówkach, skąd zawsze w końcu wracali na czasowo opuszczony tron.

Ale Manco rozumiał również, że walka z cudzoziemcami, dysponującymi znacznie wyższą techniką, możliwa jest jedynie poprzez przystosowanie się do ich cywilizacji materialnej. Organizował więc kawalerię, uczył krajowców obchodzenia się z bronią palną. I bez ustanku niepokoił Hiszpanów.

Korzystając z informacji, dostarczanych potajemnie przez Indian przebywających wśród białych, doskonale orientował się w ich ruchach i posunięciach. Raz po raz przeto napadał na kupieckie karawany, znosił drobniejsze oddziały, uprowadzał konie, rabował broń i sprzęt europejski, pustoszył pola uprawne białych. I brał jeńców. Dla tych nie było już ratunku, nie wracali nigdy, czasem tylko karne ekspedycje znajdowały ich storturowane ciała wbite na pal. Natomiast wziętych do niewoli wysługujących się Hiszpanom Indian Manco czasami odsyłał, ale wtedy nie mieli już rąk i nosów, wracali z uciętym językiem lub wylupionymi oczyma. Często kolonista hiszpański budził się rano bez tubylczej służby, bo krajowcy umykali w góry. Nierzadko znajdowano w miastach i osiedlach z oznakami gwałtownej śmierci trupy Indian — zdrajców padłych z rąk mścicieli. Albowiem państwo cieni pokochało noc i pod jej osłoną odważni wojownicy Inki nie wahali się składać wizyt w hiszpańskich osadach.

Nie wiadomo zresztą, czy wszystkie gwałty i napady można było zapisać na rachunek partyzanckiej działalności Manka. Krótkotrwałe bowiem panowanie Hiszpanów w Peru nie tylko obalilo

polityczno-organizacyjną strukturę państwa, lecz także poczyniło olbrzymie spustoszenie w sferze moralno-obyczajowej.

Wobec braku pieniądza w Tahuantinsuyu prosty Indianin nie rozumiał zupełnie pojęć takich, jak wartość czy cena. Hiszpańska gorączka złota, ich pogoń za błyskiem tego kruszcu, za zyskiem dziwiła go początkowo, może nawet przerażała, a może trochę bawiła. Dzięki białym Peruwiańczyk szybko jednak poznał siłę fatalną i potęgę pieniądza, a poznavszy ją, rychło wyciągnął wnioski.

I dziesiątki zbrojnych band krajowców zaczęło grasować po drogach, rabować resztki zapasów pozostałe w dawnych magazynach, napadać na odosobnionych kolonistów. Do tego doszedł inny jeszcze czynnik. W historii „Państwa Czterech Dzielnic” pospolitym, codziennym niemal zjawiskiem były prowincjonalne bunty, zamieszki wszczynane przez lokalnych kacyków. Mimo całej presji asymilacyjnej polityki nie udało się Inkom, zwłaszcza w później podbitych rejonach, stłumić w pełni tęsknot wyzwoleniczych. Upadek Tahuantinsuyu stał się więc sygnałem do prób restaurowania władzy miejscowych wodzów plemiennych, przywrócenia swoistego status quo ante\*. Hiszpanie spotykali się z oporem także w odległych krajach, które tylko pod przymusem uznały panowanie Cuzco. Ten stan anarchii na prowincji niewątpliwie w miarę możliwości podsycali emisariusze Inki, a pogłębił go jeszcze wybuch wojny domowej między konkwistadorami. Zmienne koleje tej wojny, prowadzenie jej na olbrzymich terenach, jako produkt uboczny przyniosło powstawanie drobnych grup maruderów, które odcięte od głównych sił swojej partii najpierw prawie z konieczności, dla własnego utrzymania się, a potem z zamiłowania łatwego zarobku poczęły uprawiać zbójcecki proceder.

Wybuch wojny domowej wzbudził ogromne nadzieje u Manka. Nienawidząc Pizarrów, wspierał almagrystów, zwłaszcza że u ich boku potykał się na czele oddziałów indiańskich brat Inki — Paullu. W każdym razie gdziekolwiek dochodziło do starcia między obu stronami, tam na pewno w pobliżu znajdowali się wo-

\* Status quo ante (łac.) — poprzedni stan rzeczy.

jownicy Inki, tworząc przedziwną widownię krwawego teatru. A kiedy po bitwie zwycięzcy, obojętne, która strona, rzucali się w pogoń za uciekinierami, wówczas ze swoich kryjówek żołnierze Manka spadali na pobojowisko. Cios maczugą uciszał jęki rannych — im mniej Hiszpanów, tym lepiej — tubylcy zgarniali oręż, zdzierali odzież z poległych i znikali, unosząc do Vilcapampy wojenne łupy. Wysyłane przez Pizarra ekspedycje karne przeciwko Mankowi gubiły się na bezdrożach i gdy Hiszpanom wydawało się, że już, już go sięgają, on tymczasem w zupełnie innej stronie napadał i kasał, niósł ogień i zniszczenie. Nawet brat wielkorządcy, Gonzalo Pizarro, nie potrafił wytropić Inki w labiryncie skał, chociaż doszedł doń na odległość strzału, o czym najlepiej świadczyło dwóch Hiszpanów padłych z przebitą pierśią od pocisków wystrzelonych nieznaną ręką.

Po zwycięstwie nad Almagrem markiz stał się panem Peru. Z każdym dniem więcej drażniło go istnienie Manka, który zuchwałymi napadami zdawał się dawać do rozumienia, że kwestionuje to jedynowładztwo. Ale silne oddziały wysyłane do Vilcapampy wciąż wracały z pustymi rękoma. Wreszcie Pizarro zdecydował się na pertraktacje. Inka znał osobiście Hiszpana i wiedział, co warte są jego słowa, ale być może miał już dość życia błędnego rycerza, bywającego w świecie tylko z okazji bandyckich wypadów, i zgodził się na spotkanie z gubernatorem w dolinie Yucay.

Niedaleko od miejsca schadzki Pizarro znalazł okrutnie zmasakrowane zwłoki swego ulubieńca — Murzyna, którego wysłał był wprzód z bogatymi darami dla Inki. Na widok ten wpadł w nieprzytomną wściekłość i zawrócił nie dojeżdżając do Yucay. Przypadek i nieszczęście chciało, że w drodze powrotnej oddział ujął wracającą z wizyty u krewnych jedną z ulubionych żon Manka. Szalejący wciąż z gniewu markiz skorzystał z okazji zemsty i do długiej litanii krwawych zbrodni dodał jeszcze jedną hańbę.

Nieszczęsną młodziutką dziewczynę kazał powiesić za ręce na drzewie i schłostać do krwi, a następnie ustrzelić z huku.

Nigdy nie ustalono, czy Murzyn został zamordowany na rozkaz Inki, czy też padł ofiarą bandyckiego napadu rabusiów, znęco-

nych bogatymi darami, jakie służący Pizarra miał przy sobie.

Na okrutny odwet Inki nie czekano długo. Manco spalił nocnym wypadem parę hacjend \*, z którymi dotąd utrzymywał dobre stosunki, a za ohydny czyn wielkorządcy kilka niewinnych Hiszpanek zapłaciło straszliwą śmiercią wśród wyrafinowanych katuszy.

Nie na tym skończyła się zemsta Inki. Dotąd rzucał przeciwko Hiszpanom tylko drobne oddziały, które po pomyślnym wypadzie zaraz się wycofywały z łupami. Teraz zebrał wielotysięczną armię, obsadził przełęcze górskie na trasie łączącej Limę z Cuzco, zerwał mosty, zaatakował posterunki strażnicze i na parę miesięcy sparaliżował komunikację między wybrzeżem a wnętrzem kraju. Systematycznie pustoszył pola uprawne kolonistów hiszpańskich, rabował europejskie bydło, niszczył urządzenia irygacyjne, powodując ogromne straty materialne. W końcu wycofał się w góry, ale ten wypad Inki, którego wyraźnie wspierali zatrudnieni u białych Indianie, przekonał Pizarra, że ma do czynienia z przeciwnikiem groźniejszym, niż można było sądzić po dotychczasowych jego akcjach.

Postanowił tedy osaczyć wroga kordonem silnych posterunków, rozłożonych na wysokich płaskowyżach, których ludność stanowiła główne oparcie dla ofensywnych operacji Manka. Ponieważ zaś najważniejszą sprawą wydawało się gubernatorowi zapewnienie pełnej kontroli nad linią Cuzco — Lima, pierwsza taka wojskowa kolonia powstała w 1539 roku na tej właśnie trasie w Huamanca (Ayacucho).

Krajowcom skonfiskowano ziemię, przydzielając ją rodzinom wojskowym i zaprzyjaźnionym Indianom, wrogo nastawionym do dynastii Inków. Osadnicy otrzymali zapas broni i amunicji oraz żywności wystarczający na rok. Założono miasto wznosząc kamienne domy, warownie. Otoczono je potężnym murem, dodatkowo strzeżonym przez wieże strażnicze. Mieszkańców obowiązywał reżim militarny, a bezpieczeństwa przez całą dobę strzegli co parę godzin zmieniający się wartownicy. Dla większej

\* Hacjenda (z hiszp.) — gospodarstwo wiejskie w Ameryce Łacińskiej

pewności część miejscowych Indian przeniesiono w inne okolice lub po prostu wypędzono. Owe pograniczne osady-forty przypominały system warownych stanic z naszych kresów wschodnich z okresu wojen kozackich.

Lokalizowano je w miejscach ważnych z punktu widzenia strategicznego, a jednocześnie odznaczających się żyzną ziemią i różnymi bogactwami naturalnymi, aby pobyt w nich uatrakcyjnił dla osadników. Na przykład Huamanca leżała w prowincji „Świętych Sokolów” — Vilcas Huaman, która słynęła w całym kraju z bogactwa zwierzyny łownej. W gęstych lasach roilo się od jeleni i tapirów — a n t a, o cenionym mięsie, a których kopyta miały posiadać magiczne właściwości lecznicze. Olbrzymie stada łownego ptactwa, głównie z gatunków kurowatych i gołębiowatych, dostarczały znakomitej dziczyzny. Plantacje koki trzy razy w roku rzucały obfity zbiór. Świetnie udawały się wszelakiego rodzaju jarzyny i owoce. Ludność słynęła z wysoko stojącej sztuki jubilerskiej i za Inków składała daniny w postaci wyrobu złotych dzbanów, celowała także w rzemiośle garncarskim i meblarskim. Na skalę przemysłową rozwinęła się na krzakach opuncji hodowla koszenili, dostarczającej wybornego barwnika, stosowanego do farbowania tkanin. W okolicy nie brakowało solankowych i innych źródeł leczniczych oraz eksploatowanych od niepamiętnych czasów złóż soli kamiennej. Bogate były też kopalnie złota, srebra, a zwłaszcza rtęci. Wreszcie prowincja ta jako jedyna w kraju dostarczała Inkom cynobru, minerału niezmiernie cenionego w kosmetyce peruwiańskiej i używanego do wyrobu szminek; co prawda tajemnicy położenia pokładów tego kruszczu rtęci krajowcy długi czas zazdrośnie strzegli i zdradzili ją Hiszpanom dopiero po 25 latach.

Łańcuch osad-warowni, jakim Pizarro otaczał Inkę, znacznie ograniczył jego swobodę ruchów i w końcu Manco prawie przestał opuszczać swe miniaturowe państwko. Dopiero wybuch rebelii Metysa — syna Almagra — wyrwał Inkę z jego samotni. Mimo jednak swej nienawiści do Pizarrów Manco nie wziął czynnego udziału w kampanii, ale wsparł buntowników bronią, zdobytą uprzednio na Hiszpanach. Natomiast jego brat Paullu, któremu stary Almagro przed laty samozwańczo nałożył na czoło szkar-

łatną opaskę Jedynego Inki, pośpieszył do boju po stronie syna swego starego przyjaciela. Ostatecznie wojna o władzę między konkwistadorami, która przyniosła gwałtowną śmierć obu zdobywców Peru — Pizarrowi i Almagrowi — skończyła się zwycięstwem sił królewskich. Paullu z niedobitkami swoich indiańskich oddziałów szukał schronienia w górach, Manco natomiast przyjął w gościnę kilku uciekinierów almagrystów, którym za udział w buncie groziła utrata głowy.

Inka traktował zbiegów bardzo uprzejmie. Przez dwa lata żywił ich na własny koszt, często zapraszał do królewskiego stołu, zabierał na łowy, kazał wybudować dla nich wygodny budynek, przydzielił im nawet osobistą służbę płci obojga, starał się spełniać każde ich życzenie, słowem, chciał możliwie umilić im pobyt na wygnaniu. Chętnie też sam przebywał w ich towarzystwie i wkrótce nieźle posiadał język hiszpański.

Ulubioną rozrywką Hiszpanów były kręgle, do których sprzęt pod ich kierunkiem sporządzili miejscowi rzemieślnicy. Inka, jak każdy Indianin, zapalony hazardzista, także lubił wszelkiego rodzaju gry i nieraz długie godziny spędzał z Kastylijczykami w kręglarni.

Almagryści początkowo zachowywali się nienagannie, byli nawet nieco bojaźliwi i odnosili się do Inki z pełnym szacunkiem. Z biegiem czasu jakby oswoili się z egzotycznym otoczeniem, nabrali śmiałości i większej pewności siebie. Zaczęli wykazywać nieco nadmierne zamilowanie do mocnych trunków i czasem zbyt obcesowo zaczepiali dziewczęta z dworu władcy. Manco jednak z wyrozumiałością przyjmował nietakty gości.

W ten sposób nadszedł rok 1544, jego ostatni kwartał. Do VilcAMPAMPY doszły wiadomości o ogłoszeniu, z okazji przybycia królewskiego namiestnika, powszechnej amnestii dla uczestników wojny domowej. Od tej chwili sposób bycia hiszpańskich zbiegów uległ radykalnej zmianie. Stali się arogancy, pewni siebie, zuchwali. Kapryślili przy posiłkach, nie szczędzili szturchańców służbie. Mnożyły się na nich skargi składane przez kapłanów i kobiety z bliskiego otoczenia monarchy. Inka kładł to na karb ich podenerwowania w związku z niepewną sytuacją w kraju, o wiecekrólu krążyły bowiem dziwne pogłoski, a na temat domniema-

nej amnestii także sprzeczne były doniesienia. Zaczęli mu jednak już trochę ciążyć i nawet radził, by któryś z nich osobiście zasięgnął języka o faktycznej sytuacji wśród Hiszpanów i by zależnie od tego podjęli decyzję co do dalszych swych losów. Spotkał się z niezbyt grzeczną odpowiedzią, że sami wiedzą, co należy zrobić.

W parę dni po tej rozmowie w gorące popołudnie Manco, jak to już u niego weszło w zwyczaj, rozgrywał z Hiszpanami partię kregli. Jeden z nich, Gomez Perez (według innych wersji Diego Mendez), wyraźnie podchmielony zachowywał się wyjątkowo nonszalancko i głośno, ale udał mu się świetny rzut, którym obalił wszystkie słupki wraz z królem. Zadowolony z siebie, śmiejąc się arogancko, żołdak zwrócił się do Inki:

— Patrz, Manco, tak my Hiszpanie rozkładamy wszystkich królów.

— No, ze mną wam się to nie udało — powiedział cierpko Indianin.

Pijany Hiszpan podszedł bliżej.

— Ty? — zarechotał grubiańsko. — A cóż z ciebie za król, pan nad bandą bab i stadem baranów! — zawołał wymachując pod nosem Inki pięścią.

Inka pobladł z gniewu, odepchnął silnym uderzeniem prostaka i powiedział chłodno:

— Precz, pacholku, i pamiętaj, z kim mówisz! — Po czym odwrócił się oburzony.

Perez zatoczył się, ale zaraz odzyskał równowagę, i trzymaną w ręku ciężką kulą, zanim ktoś się spostrzegł, z całej mocy ugodził w głowę Inki.

Manco padł bez ducha na ziemię.

Ryk grozy i wściekłości wyrwał się z piersi obserwujących grę Indian. Hiszpanie skoczyli do pasących się opodal koni. Drogę zagroziły im oszczepy wojowników. Biali mieli tylko broń boczna, zawrócili i pognali do pobliskiego mieszkania. Zdążyli dopaść drzwi i zaryglować się, nim doszła ich pogoń.

Ostrzeliwali się z okien domu z kilku muszkietów, ale niedługo mogli wytrzymać oblężenie, Indianie bowiem podpalili dach, a że od dawna deszcz nie padał, suche belki drewnianej budowli łatwo



objął ogień. Więc z gołymi szpadami w dłoni wyskoczyli z płonącego budynku.

Daremnie próbowali torować sobie drogę przez tłum rozjuszonych Inków. W parę chwil potem całą ósemkę obalili dzidy i oszczepy, a wojownicy, rzucając ciała na żertwę płomieni, nie dbali, czy któryś z nich jeszcze w tym momencie żyje.

Taki był koniec ostatniego z Inków, koronowanych według tradycyjnego rytuału przez arcykapłana Słońca w stołecznym mieście imperium. Padł z ręki tych, którym w najcięższym okresie ich życia użył bezpiecznego azylu i bezinteresownej gościny. Odpłacili mu za nią zdradzieckim mordem, którym zapewne liczyli wkraść się w łaski wicekróla.

Rodzony brat Manka, Paullu, przeżył go o pięć lat.

Wmieszany w wojnę domową po przegranej stronie almagrystów przez pewien czas ukrywał się, potem przyjął chrzest, otrzymał od hiszpańskich władz pensję, szlachecki przydomek don i prawo rezydowania w Cuzco w pałacu Colcampata, zbudowanym jeszcze przez Inkę Pachacuteka u stóp fortecy Sacsahuaman.

Chociaż kiedyś, jak wiemy, Almagro ogłosił go Jedynym Inką, ludność tubylcza nie przyznawała mu tytułu monarszego. Mimo trochę dwuznacznej sytuacji rencisty, pensjonowanego przez najęźdźców, cieszył się jednak ogromnym autorytetem u krajowców i zdaje się nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Był pono strażnikiem wielkiej narodowej tajemnicy Inków — dozorcą olbrzymiego podziemnego skarbu, w którym między innymi znajdował się odlany w złocie w naturalnej wielkości posąg Huayny Capaka, a być może także znany nam już jego gigantyczny szczerozłoty łańcuch. Skarbiec ten miał być przechowywany do czasów restauracji dynastii, a czerpać zeń można było tylko na potrzeby z tym związane. Klucz do sezamu posiadał każdorazowo tylko jeden wtajemniczony i przed śmiercią pod niezwykle przysięgami przekazywał go następcy. Wśród Indian krążą opowieści, że mityczny ten skarb po raz ostatni widział w 1814 roku kacyk Chinchero, podówczas siedemdziesięciosześcioletni Mateo García Pumacagua. Wódz ten przygotowywał powstanie Indian, ale brakowało mu funduszy na wyekwipowanie oddziałów. Pewnej dżdżystej i mrocznej nocy zjawił się u niego jakiś nie znany mu

Indianin, nie mniej stary jak on. Odebrał od niego uroczystą przysięgę, zawiązał mu oczy przepaską, prowadził długi czas niby wyschłym korytem górskiego potoku, potem labiryntem podziemnych korytarzy, aż wreszcie kiedy Pumacagui odsłonięto oczy, stwierdził, że znajduje się u progu olbrzymiej sali od podłogi po sufit zawalonej złotem i drogimi kamieniami. Odprowadzony w ten sam sposób kacyk miał w kieszeni bryłki złota, dzięki czemu mógł zakupić broń. Nie na wiele mu się to zdało, bo powstanie już w następnym roku upadło. Sceptycy twierdzą, że stary curaca wymyślił tę historyjkę ratując się od szubienicy, której jednak nie uniknął, albowiem, oczywiście, nie umiał wskazać drogi do legendarnych skarbów. Wielu jednak Indian wierzy w istnienie podziemnego banku rodu Inków oraz w przetrwanie do naszych czasów bajecznych złotych ogrodów, o jakich prawily stare kroniki, a które nie padły łupem konkwistadorów hiszpańskich. Prawowierny, to znaczy wierzący w odrodzenie Inków, Indianin nie poszukuje narodowego skarbu, wie bowiem, że przedwczesne targnięcie się nań przyniesie zuchwalcy nieuniknioną śmierć, a na jego rodzinę ściągnie wszelkie klęski. Kiedy zaś spełni się czas, wówczas aktualny strażnik tajemnicy wskaże drogę do bogactw i potęgi...

Dramatyczne dzieje Synów Słońca nie skończyły się z tragiczną śmiercią Manka. Inka pozostawił trzech nieletnich synów, rządy więc na razie sprawowała rada regencyjna w imieniu dziesięcioletniego Sayri Tupaka, który po dojściu do pełnoletności został oficjalnie koronowany władcą.

Tymczasem w Peru po wieloletnich burzach wojen domowych między zdobywcami wreszcie zapanował spokój. Do kraju przybył nowy wicekról don Andres Hurtado de Mendoza, markiz Cañete. Ów grand hiszpański, człowiek prawy i rycerskiego ducha, z szacunkiem odnosił się do arystokracji inkaskiej i popierał małżeństwa kastylijskich szlachciców z Indiankami krwi królewskiej. Stosunki z tubylcami za jego czasów zaczęły układać się pomyślnie i Mendoza postanowił spróbować, czy w drodze pokojowych pertraktacji nie uda mu się nakłonić młodego Inki do dobrowolnego opuszczenia górskiej samotni. W całym Peru bowiem on tylko jeden jawnie odrzucał uznanie króla Hiszpanii, czego na

dłuższą metę nie można było tolerować, Mendoza, nie chciał zaś uciekać się do wojennej ekspedycji, co na szwank naraziłoby jego przyjaźnie z Inkami.

Liczni krewni Sayri Tupaka przebywali w Cuzco i podjęli się pośrednictwa w tej delikatnej sprawie. Po wielu korowodach, wbrew opinii doradców i kapłanów, Inka zdecydował się w końcu na podróż do Limy. Otoczony eskortą 300 strojnych w pióra wojowników opuścił Vilcapampę. Po raz pierwszy od wielu lat tubylcy ujrzeli znów na królewskiej drodze swego Inkę wraz z córą, niesionych w paradnej, choć skromniejszej, bo tylko pozłacanej lektyce. Tłumy krajowców zbiegały ze wszystkich stron, oddając bałwochwalczy hołd władcy. Z inicjatywy Indian przywrócono znów starą pocztę i chasqui wyprzedzali pochód, na muszlach i rogach podając wieść radosną: „Syn Słońca powrócił. Boski Inka znów wśród nas”. Nie pomagały zakazy i kary, służba, robotnicy, chłopci porzucali wiejskie folwarki i miejskie domy białych, byle tylko bodaj z daleka ujrzeć Jedyne go Inkę, złożyć mu swą cześć i uwielbienie. Starcy płakali rzewnie, przypominając sobie czasy dawnych tryumfów panów z Cuzco, a Hiszpanie potrząsali z niedowierzaniem i nie bez obawy głowami. Po tylu latach panowania kastylijskiego w kraju, jego rdzenna ludność ciągle za prawdziwego władcę Peru uważa swego Inkę, no, no. Jest nad czym się zastanowić.

Wicekról wspaniale przyjął Inkę, oddając mu do dyspozycji apartamenty w swoim pałacu, urządził w Limie na jego cześć walki byków i turniej rycerski. Szczodroblliwość Sayri Tupaka, z jaką na dworze Mendozy rozdawał cenne prezenty, zjednała mu sympatię wysokich urzędników wicekrólestwa. Ambitny arcybiskup Limy chciał podbić serce niezwykle gościa odwołaniem się do tradycji inkaskich. Przy bankiecie usługiwały piękne dziewczęta w stroju dawnych *ñusta* z lilią Inków w czarnych włosach. Potrawy i napoje podawano w srebrnych naczyniach krajowego pochodzenia, a stoły nakryte były śnieżnymi obrusami z najdelikatniejszej wełny wikuni, utkanymi ongi przez delikatne dłonie „Wybranek Słońca”. Podczas uczty dostojnik kościoła wygłosił podniosłe przemówienie i wręczył Ince dekret, przyznający mu roczną rentę w wysokości 17 000 pesos oraz nominację na ade-

lantado Yucay z włóściami w tejże dolinie. Jeżeli arcybiskup liczył, że za to Inka odwdzięczy mu się jakimś królewskim darem, wielce się zawiódł. Sayri Tupac bowiem wyrwał jedno włókno z frędzli zdobiącej obrus i wręczając je purpuratowi, ku jego niemaliej konsternacji w te odezwał się słowa:

— Ha, cóż, dziękuję, ale chcę zauważyć, że niedawno cały ten obrus należał do mnie, a dziś ofiarowujecie mi z niego tylko jedną nitkę.

A było w tych słowach tyle smutku i jednocześnie dostojeństwa, że wielu zrobiło się przykro i wstyd.

Przez cały czas wizyty Inkę oblegało duchowieństwo i wreszcie dopięło swego. W Cuzco Sayri Tupac dał się ochrzcić wraz z coyą, po czym przeniósł się do swej rezydencji w pięknej dolinie Yucay. Przyjmował tu często odwiedziny dawnych naczelników z całego kraju, a jego popularność sępiła czoła urzędników hiszpańskiej magistratury w Cuzco. Mimo nalegań Inka odmawiał wydania rozkazu opuszczenia przez Indian Vilcapampy i likwidacji górskiego państewka. Być może to właśnie było przyczyną jego nagłej śmierci, w wieku ledwie dwudziestu sześciu lat, w roku 1560, z wyraźnymi ponoć objawami otrucia. Jedyna jego córka Clara Beatriz poślubiła później hiszpańskiego kapitana don Martin Garcíá Loyola, bratanek założyciela zakonu jezuitów.

Podczas pobytu Inki u białych Indianie z Vilcapampy zachowywali spokój, ustały napady na okoliczne osady; usunięto nawet barykady tarasujące górskie szlaki i coraz częściej notowano pokojowe kontakty andyjskiego gniazda ze światem. Z nagłą śmiercią Inki znów wszystko powróciło do dawnego stanu rzeczy. Brat zmarłego, nowy władca Titu Cusi, kazał pozrywać mosty i uczynić z powrotem niedostępnymi drogi wiodące do jego miniaturowego królestwa. Odziedziczył on wiele cech charakteru po swym ojcu Manco, jak wojowniczość i śmiałość, ale równocześnie był bardzo niekonsekwentny i kapryśny. Przekonany, że jego brata otruli Hiszpanie, odrzucał propozycję porozumienia się z wicekrólem. Znów nagle wypadły wojowników z Vitcos niosły zniszczenie białym, ale wyprawy te nosiły tym razem wyraźnie rabunkowe znamię. Nie jakieś konkretne sukcesy militarne, lecz łup był ich celem. Titu Cusi nie chciał oficjalnych pertraktacji, ale

jednocześnie wpuszczał do swego państewka, wbrew radom, różnych Hiszpanów. Jakiemuś awanturnikowi pozwolił na poszukiwania złota, a gdy uwieńczone zostały nadspodziewanym powodzeniem, kazał go zabić w obawie, że wiadomości o złotodajnych rzekach w jego kraju spowodują najazd białych.

Pewnego razu w Vitcos Inka przyjął dwóch mnichów z zakonu augustianów, podjął ich wystawną ucztą i pozwolił na szerzenie ewangelii wśród poddanych oraz wystawienie szkoły dla dzieci nawróconych. Oczywiście działalność misjonarzy musiała wywołać ostre sprzeciwy kapłanów Słońca, ale nad ich protestami Titu Cusi z reguły przechodził do porządku. Księża nie odznaczeni, zdaje się, ani umiejętnością współzycia z tubylcami, ani też pedagogicznym talentem. Kiedy argumenty słowne nie odnosiły skutku, wpajali prawdy nauki chrystusowej przy pomocy rękoczynów. Na każdym kroku starali się ośmieszać i dyskredytować miejscowych kapłanów, którzy, wobec niezwykłej tolerancji Inki, czuli się coraz bardziej zagrożeni w swej pozycji. Wobec tego tarpuntayowie zaczęli głosić, że dalsza obecność księży przyniesie narodowi klęskę, a odstępcy od wiary przodków poniosą rychłą karę.

Przypadek zdarzył, że niedługo potem dwaj świeżo nawróceni Indianie utonęli. Inni przerażeni tym jawnym gniewem boga Słońca neofici złożyli przebłagalne ofiary Wielkiemu Inti. Fanatyczni księża niewiele myśląc podpalili świątynię, dopuszczając się według praw Inki zbrodni, za którą jedyną karą była śmierć wśród mąk.

Titu Cusi na to świętokradztwo zareagował w ten sposób, że... braciszkom zabronił jadać u swego stołu. Tego było już za wiele. Sędziwy huillac-umu, wuj Inki, który do tej pory trzymał się na uboczu, zażądał posłuchania u władcy. Titu Cusi od lat znajdował się z nim w złych stosunkach, a animozja ta sięgała czasów, kiedy jeszcze jako chłopiec wychowywał się pod jego kierunkiem, mimo to przyjął go bezzwłocznie.

Stary Inka doskonale pamiętał ostatnie lata panowania Huayny i wychowywany w młodości w szkole amautów dobrze znał, obce laikom, tajemnice historii, zaczął tedy od następującej opowieści:

— Jedenasty Inka, wielki Huayna Capac, przebywał wówczas w Quito. Pewnego dnia, kiedy sam znajdował się w swej komnacie, nagle stanął przed nim nie znany nikomu posłaniec. Był wysoki, szczupły, miał zapadłe policzki, haczykowany długi nos i błękitne oczy. Aż do kostek spadała mu lśniąca, czarna szata, na nogach nosił czarne trzewiki, na głowie małą takiegoż koloru myckę, a w rękach trzymał czarną skrzynkę. Zdziwiony Huayna, że nikt go nie uprzedził o gońcu, spytał: „Kim jesteś i kto cię przysyła?” — „Jestem posłańcem Stwórcy — padła odpowiedź — i oto, co ci przekazuję”. — I rzekłszy to podał Ince ową czarną skrzynkę. Huayna Capac odsłonił wieko i w pokoju pociemniało od much i wielkich czarnych ciem. Posłaniec znikł. Nikt go ze straży nie przepuszczał, nikt go nie widział. A w parę dni później straszna zaraza padła na kraj i zabrała ostatniego pana całego Tahuantinsuyu.

Arcykapłan skończył i zapanowało długie milczenie. Opowiadanie zrobiło na Titu Cusi duże wrażenie. Rysopis i odzież tajemniczego posłańca pasowały jak ulał do osoby księdza Marcosa. Nie rozstawał się on także z czarną szkatułką, w której przechowywał hostię. Obaj duchowni zawsze przedstawiali się jako wysłannicy Stwórcy. Ince zrobiło się gorąco, a jednocześnie poczuł, że zimne mrówki chodzą mu po grzbiecie.

— Więc, Synu Słońca... — podjął zgrzybiały arcykapłan.

Titu Cusi powstał.

— Syn Słońca wie, co mu czynić przystoi — powiedział chłodno.

Huillac-umu skłonił się głęboko.

Titu Cusi rozkazał Marcosa wyrzucić natychmiast z terenu państwewka, ale drugiego księdza, Ortiza, pozostawił. No, bo ten chodził w jaśniejszej sutannie.

Na drugi zaś dzień, po nie przespanej nocy, Inka dokonał czynu, który, nie wiadomo, czy bardziej zdumiał, czy też oburzył jego poddanych. Ochrzcil się.

Nazajutrz Titu Cusi parę godzin spędził, ucząc się władania hiszpańską bronią, na fechtunku szpada. Upał panował srogi i rozgrzany Inka łapczywie wypił przy tym duże ilości lodowatej chichy. Wieczorem dostał dreszczy i bólu głowy, nocą spadła

nań silna gorączka, a rankiem stracił przytomność. Lekarze krajowcy nie znali środków na zapalenie płuc. Ortiz nieraz popisował się znajomością medycyny, niech teraz pomoże — nie bez złościwości doradzili coyi kapłani. Posłano po księdza. Nieopatrznie przystał na leczenie. Ale zaaplikowane przezeń mikstury nie pomogły, ba, po wypiciu ich stan chorego wyraźnie się pogorszył. Ortiz u jego łoża, na klęczkach modlił się żarliwie, czując na sobie złe spojrzenia Indian. Titu Cusi począł rzezić i w godzinę potem nie żył. Do coyi podszedł stary arcykapłan i coś długo z nią szeptał. Żona zmarłego wskazała palcem klęczącego wciąż księdza i z drobnych, mocno ukarminowanych ust dziewczyny padło krótkie:

— Zabić!

Rozkaz został bezzwłocznie wykonany.

Titu Cusi był ostatnim Inką pochowanym według starego ceremoniału. Jego następcą został najmłodszy z synów Manka „Lśniący Wąż” — Tupac Amaru, który w czasie panowania starszych braci żył w odosobnieniu w klasztorze „Dziewic Słońca”. Tymczasem na arenę polityczną w Peru wystąpił mąż, który odegrał zgubną rolę w tym kraju. Don Francisco de Toledo\* stanowił całkowitą antytezę Mendozy. Ciasnych horyzontów umysłowych, uparty i niemiłosierny, okrutny do granic sadyzmu, z pogardą traktował Indian. Syna Paullu, don Carlosa, choć żonaty był ze szlachcianką hiszpańską, bez żadnego powodu pozbawił rządowej pensji i usunął z Cuzco. Z fanatyzmem inkwizytorskim ściagał potomków królewskiej dynastii Inków. Jak pies gończy tropił za nimi, a ujętych zsyłał na malaryczne bagniska Darienu lub lodowate pustynie południowego Chile, gdzie niewiele tylko udało się przeżyć dłużej niż rok lub dwa. W swej zjadłości tak samo tępił Metysów, mających w swych żyłach po kądzieli krew dawnych władców, choć w nich właśnie administracja hiszpańska miałaby doskonałych pomocników. Wydawał nie kończącą się serię ustaw, dekretów i rozporządzeń, których celem było zabranie Indianom przeszłości i uczynienie im terazniejszości możliwie najbardziej nieznośną.

\* Piąty wicekról Peru, 1569—1581.

W końcu radykalnie postanowił załatwić sprawę Inki z Vilcapampa. Wicekról nie bawił się w żadne pertraktacje, po prostu wysłał silny oddział, wsparty paru tysiącami bitnych Indian Cañari, z rozkazem przywiezienia Tupac Amaru żywego lub martwego.

Ostatni władca iluzorycznego państewka od dziecka wychowywał się w ciszy klasztornej i zupełnie obcy był sprawom wojennym. Za jego rządów rozluźniła się wielce dyscyplina obozu wojskowego, jaka dawniej panowała w Vitcos. Strażnicy zaniedbywali służbę, wywiad prawie nie działał, kiedy więc wróg nadszedł, zaskoczone warty nie zdążyły nawet zniszczyć mostów. W tej sytuacji nie było co myśleć o organizowaniu oporu. Inka zdecydował się więc ewakuować Vilcapampę i skryć się w dżungli u przyjacielskiego plemienia Mañari.

Decyzję powzięto za późno. Pościg doszedł uciekinierów na wschodnich stokach kordyliery i po krótkiej potyczce Inka dostał się do niewoli. Ironią zaś losu było, że ujął go kapitan Loyola, mąż córki jego brata i poprzednika na tronie Inków.

Okrutny Toledo oddał Tupac Amaru pod sąd, oskarżając go o zdradę stanu, zamordowanie paru Hiszpanów i dokonanie licznych napadów rabunkowych. Wszyscy wiedzieli, że Inka jest niewinny, że o czyny mu zarzucane ostatecznie można by obwiniać jego brata, ale nigdy jego, jednak farsa procesowa skończyła się wyrokami śmierci: Tupac Amaru ma być ścięty, a jego wodzowie powieszani.

Na próżno Inka odwoływał się do króla Hiszpanii, daremnie wybitni obywatele Cuzco błagali o łaskę, nielitościowy Toledo był nieczuły na wszystkie prośby. Nieszczęsnego skazańca odwiedzieli w więzieniu biskup i wyżsi duchowni, nakłaniali go do przyjęcia chrztu, poszli nawet tak daleko, iż mówili, że jest to tylko formalność, która jednak umożliwi im interwencję u wicekróla. Inka ochrzcił się, ale i wstawiennictwo biskupa nic nie pomogło.

Na Placu Skargi, naprzeciwko katedry zbudowanej na miejscu świątyni Słońca, ustawiono wysoki szafot, a po jego obu stronach kilka szubienic. Z Colcampata, gdzie więziono Inkę, tłum Indian towarzyszył „Lśniącemu Wężowi” w jego ostatniej drodze. Wśród płaczu i szlochu powoli posuwał się orszak wiodący skazańca. Katorzowscy pachołkowie wlekli po ziemi sześciu wodzów, storturowa-



nych tak nieludzko, że nie mogli utrzymać się na nogach. Żaden z nich jednak nie zdradził ukrytych skarbów, o które dopytywali się rakarze. Wszyscy też zmarli, zanim oprawcy zdążyli powiesić ich ciała. Na placu falował olbrzymi tłum, piętnaście, dwadzieścia tysięcy Indian. Na widok Inki występującego po stopniach szafotu wierni poddani padli na kolana. Podniósł się krzyk rozpaczliwy, rozdzierający: „Zabijcie nas zamiast Syna Słońca, zabijcie!” Ale znający język quechua Hiszpanie rozróżniali także groźniejsze okrzyki: „Ratować Inkę!” Biskup i kilku znamienitych duchownych i cywilnych obywateli pobiegło raz jeszcze, wstrzymując egzekucję, do wicekróla. Drzwi pałacu były zawarte, a dowódca straży oświadczył, że ma rozkaz zabić każdego, kto spróbuje sforsować wejście. Na Placu Skargi krzyk i płacz przemieniły się w huragan wycia, pełnego determinacji, w którym dźwięczały akcenty groźby. Sytuacja zaczynała być niebezpieczna, doprowadzeni do desperacji Indianie zdolni byli do niepoczytalnych czynów. Biali spoglądali na siebie z rosnącym niepokojem. Kapłani towarzyszący Ince błagali go, by uspokoił tłum. Tupac Amaru skinął głową. Wystąpił na sam przód szafotu. Powolnym ruchem podniósł prawą rękę w górę. Ryk urwał się nagle, chociaż usta wielu Indian pozostały szeroko otwarte. Hiszpanie znów spojrzeli po sobie, tym razem z podziwem.

Inka zawahał się. Patrzył na mrowie wiernych u swoich stóp. Może myślał, że w nich właśnie tkwi jeszcze dla niego jakaś szansa? Może zastanawiał się, czy nie wezwać ich do obrony? Ale zapewne pomyślał także, że powstanie, choć odwlecze jego los, przyniesie śmierć i nieszczęście tysiącom. Więc tak samo powolnym ruchem opuścił ramię. Z ust Inki padły głośne słowa:

— Zachowajcie spokój!

I wielotysięczny tłum przypadł w milczeniu do ziemi. Śmiertelną ciszę skaził dźwięk podków, bijących w galopie o bruk ulic Cuzco. Osobisty adiutant wicekróla przyhył z rozkazem natychmiastowego wykonania wyroku.

Tupac Amaru spojrział w niebo. Już cichszym głosem powiedział:

— O Pachacamac, spójrz, jak wróg rozlewa krew Syna Słońca

— i spokojnie oddał szyję pod topór kata z plemienia Cañari.

Rozdzwoniły się kościelne dzwony.

Zbrojni pachołkowie rozpędzili tłum. Ciało Inki usunięto, a głowę wbitą na pikę umieszczono przy szafocie.

Tej samej nocy źle spał pewien stary konkwistador. Nad ranem wyrzął przez okno, wychodzące na Huacaypata. Przetarł oczy, ale nie przywidziało mu się. Plac do ostatniego miejsca zatłoczony był Indianami, którzy siedząc w kucki lub na klęczkach oddawali milczący hołd zmarłemu władcy.

Powiadomiony o tym wicekról dla uniknięcia manifestacji kazał głowę straconego usunąć, a sam z tym większą energią wziął się do tępienia indiańskiego bałwochwalstwa.

Taki w 1572 roku był koniec ostatniego Syna Słońca.

Taki był koniec Inków.



### ... CZY KONIEC?

Filip II na pożegnalnej audiencji chłodno przyjął wicekróla Toledo i kiedy ten chwalił się wytopieniem rodu Inków, miał cierpko zauważyć:

— Wysłałem cię, panie, byś służył królowi, a nie po to, byś królów mordował.

Opuszczając zamek, uparty i krwiożerczy staruch mruknął z satysfakcją:

— A jednak już ich nie ma.

Nie podzielali tej opinii peruwiańscy Indianie. Wierzyli oni nie tylko w istnienie podziemnych skarbów i złotych ogrodów, lecz także i w dalsze trwanie państwa „długouchych”. Ich zdaniem część Inków uniknęła pogromu i ze srebrnowelnymi stadami lam przeniosła się w niedostępne rejony Andów lub w zielone piekło wschodniej puszczy, gdzie założyła nowe królestwo. Odkrycie Machu Picchu i innych ruin w Chachapoyas i na pograniczu Peru

i Amazonii daje wiele do myślenia. Jeżeli badania archeologiczne doprowadzą do odkrycia tam przedmiotów żelaznych, pochodzących z XVI wieku, a o takich znaleziskach z niektórych punktów rzekomo już sygnalizowano, świadczyłoby to prawie z całą pewnością, że miasta te powstały już po podboju Peru, metal ten bowiem nie był znany w Ameryce przed przybyciem Hiszpanów.

Wiarę tubylców podzielało także wielu białych. Mit o „Poziłacnym Królu” — El Dorado, którego bajecznego kraju poszukiwało tylu awanturników aż po wiek XX, wiązano także z Inkami. Sir Walter Raleigh, słynny korsarz i faworyt angielskiej Elżbiety, wierzył święcie w istnienie państwa Inków w Gujanie. Twierdził on, że za pomoc w restauracji utraconej władzy w Peru Inkowie gotowi by byli związać się trwałym sojuszem z Anglią, i w memoriale przedstawionym królowej u schyłku XVI stulecia tak wywodził: „Jestem przekonany, że gdyby nawet mała armia mogła w Gujanie dostać się do Manoa, stołecznego miasta Inki, to on skłonny byłby co roku udzielać w charakterze trybutu wielu setek tysięcy funtów, co pozwoliłoby Jej Wysokości pokrywać koszty prowadzenia wojen za granicą oraz wewnętrzne wydatki, ponadto zaś opłacałby po królewsku garnizon trzech lub czterech tysięcy naszych żołnierzy dla obrony go przed innymi narodami.”

Ba, już za naszych czasów angielski pułkownik Percy Harrison Fawcett szukał uparcie „zagubionych miast Inków” w brazylijskich puszczech i w 1925 roku podczas ostatniej wyprawy zaginął wraz ze swym synem.

Jakże więc tu dziwić się wierze Indian? Ale prosty Indianin milczał przez lat sto pięćdziesiąt. W sferze stosunków społecznych dla niego właściwie niewiele się zmieniło. Innego tylko miał pana, dawniej służył Ince, a dzisiaj Hiszpanowi. Ale radykalne zmiany nastąpiły w płaszczyźnie ekonomicznej. Tubylec znalazł się nagle w społeczności rządzonej zupełnie odmiennymi prawami gospodarczymi, w której zysk był głównym celem, a pieniądź podniesiony do rangi nie tylko laickiego bóstwa. I to od razu zepchnęło go o kilka szczebli. Dawny ucisk Inki moderowany był mądrym ustawodawstwem socjalnym, jeśli użyjemy współczesnej terminologii, a wszechogarniającą ingerencję państwa w życie prywatne obywatela cechował patriarchalny stosunek Inki

do poddanych, wynikający z przekonania, że są oni dziećmi nie umiejącymi kierować własnymi krokami. Dzisiejszy wyzysk nie był ograniczony żadnymi przepisami, bo chociaż one formalnie istniały, nikt ich w praktyce nie przestrzegał, nikt też nie troszczył się o potrzebę biologicznej reprodukcji sił roboczych, nikt wreszcie nie miał ochoty traktować Indianina jak dziecko, a przeciwnie, dziecko indiańskie skłonny był traktować jak dorosłego. Dlatego dawna, umiarkowana rozsądkiem Inków pańszczyzna przemieniła się w faktyczne, acz prawnie nie uznawane niewolnictwo. Dlatego chłop i robotnik za czasów Inków nie wiedział, co to głód, a za Hiszpana znał tylko nędzę.

Milczała także arystokracja inkaska; wbrew przechwałkom Toledowi nie udało się wytrzebić całej kasty. Na przełomie XVI i XVII wieku prawie zasymilowała się ona ze zdobywcami, stanowiła część klasy wielkich posiadaczy ziemskich i brała czynny udział we współrządzeniu krajem. Konkwistadorzy od samego początku chętnie poślubiali księżniczki Inków, Hiszpanki nie gardziły młodzieżą, w której żyłach płynęła krew dawnych władców kraju, a stare rody kastylijskie zaczęły się chlubić pokrewieństwem z dynastią cuzkańską.

Milczenie przerwane zostało w początkach XVIII wieku. Różne się na to złożyły przyczyny, a więc powstanie energicznej, zdolnej i inteligentnej rasy Metysów, kontrowersje między Hiszpanami z Europy a urodzonymi już na amerykańskiej ziemi Kreolami, romantyczne zainteresowanie historią i tradycją tubylczą, wreszcie ostry kryzys gospodarczy i związany z tym wzrost wyzysku pracujących oraz nadużycie i korupcji typu biurokratycznego. Raz po raz dochodzi do zamachów na prowincjonalnych dygnitarzy, buntują się chłopci, Indianie zatrudnieni w nieludzkich warunkach w kopalniach. Ruchawki te miały charakter lokalny, były aktem buntu, a nie zorganizowanej dywersji politycznej. Ale w połowie tego wieku powstanie Campów i Amueshas, wzniecone przez Juana Santosa, władze hiszpańskie zmuszone były potraktować poważniej. Chociaż plemiona te właściwie nigdy nie zostały podbite przez władców Cuzco, nie przeszkodziło to przywódcy ruchu ogłosić się Apu Inką i przybrać imię Atahualpy, co spotkało się z gorącym poparciem i odzewem na

terenach nawet bardzo odległych od objętych puczem. Snadź sentymentalne tęsknoty za państwem Inków nie ograniczały się tylko do rozwijającej się wówczas literatury w języku quechua, lecz mogły być także atrakcyjnym hasłem dla indiańskiego ruchu wyzwolenczego. Że tak naprawdę było, mogli się Hiszpanie upewnić już za lat trzydzieści.

Jedna z córek ostatniego Inki Tupac Amaru o imieniu Juana w wiele lat po tragicznej śmierci ojca poślubiła Condorcanqui — kacyka z Surimani. Potomek tej rodziny w prostej linii José Gabriel Condorcanqui w połowie XVIII wieku dorobił się znacznego majątku i jako curaca, w którego żyłach płynęła krew Inków, cieszył się ogromną popularnością wśród tubylców. Wszechstronnie wykształcony zaczytywał się w dawnych kronikach, idealista i romantyk z usposobienia marzył o przywróceniu państwa Inków, ale oczywiście nie tego o organizacji sprzed 250 lat, lecz nowoczesnego, korzystającego w pełni z europejskiej cywilizacji, a opartego o kanony społecznej moralności i polityki społecznej dawnych czasów. Wykorzystując dobre stosunki z władzami kolonialnymi interweniował w obronie ciemżonych Indian, występował przeciwko brutalnemu ich traktowaniu, piętnował samowolę urzędników. Ale dla tych spraw uszy wpływowych jego przyjaciół były zamknięte. Condorcanqui rozumiał, że próśby i petycje nic tu nie pomogą. Uznał, że dopiero masowy ruch ludowy może zmusić sfery rządzące do reform.

Zaczęły się tedy spotkania z indiańskimi naczelnikami, nocne konwentykłe patriotów. Znaczny majątek osobisty Condorcanqui poświęcił na cele rewolucji. Spiskowcy gromadzili broń, zapasy amunicji, tym razem bowiem bronią europejską powstańcy zamierzali europejskich ciemżców zmusić do kapitulacji. Ustalono, że sygnałem wybuchu powstania będzie zamach na szczególnie znieawidzonego corregidora\* Arriaga. W listopadzie 1780 roku ludzie Condorcanquiego powiesili okrutnego funkcjonariusza rządu na rynku pięknego górskiego miasteczka Sicuani na południe od Cuzco. Na ten sygnał ruszyła się cała okolica. Condorcanqui

\* *Corregidor* (hiszp.) — urzędnik prowincjonalny z władzą administracyjno-sądowniczą na podległym mu terytorium.

ogłosił świętą wojnę o przywrócenie państwa Inków i sam na pamiątkę straconego przodka przybrał imię Tupac Amaru II, 60 000 chłopów peruwiańskich chwyciło za broń. I wtedy rozszalało się pandemium\*. Wiekami tłumiona nienawiść do zaborców rozlała się szeroką rzeką krwi. Za krzywdę całych pokoleń, za poniżenie, ucisk i głód, za odebraną przeszłość, za zniszczony świat dawnych wierzeń straszną zemstę brali Indianie. Każdy biały, który dostał się w ich ręce, ginął bezapelacyjnie, nierzadko wśród okrutnych tortur. W niektórych miejscowościach nie oszczędzono także mieszkańców. W niszczycielskiej furii powstańcy palili miasta i osady, pustoszyli uprawy, zrywali mosty i akwedukty. W płomieniach stanęły kościoły.

Rozwój wypadków przeraził Condorcanquiego. Tupac Amaru II nie miał niezłomnej natury dawnych Inków, nie ożywiał go wojowniczy duch wielkiego zdobywcy. Sam wierzący katolik i odbiorca europejskiej kultury, nie myślał ani o wojnie rasowej, ani religijnej. Jego wąski program sprowadzał się do zniesienia władzy corregidorów i systemu dzierżawy podatków, do likwidacji instytucji mita i yanacona, które, choć zapożyczone od Inków, za sprawą Hiszpanów przemieniły życie Indian w piekło. Rozpętana przez siebie burzę obserwował z lękiem i smutkiem. Ale nie był już w stanie wstrzymać cugli starganych przez rozjuszone demony odwetu. Nie miał talentów ani wodza, ani organizatora. Nie umiał wykorzystać pierwszych zwycięstw. Długo wyczekiwał, zanim wreszcie pod wpływem nalegań własnej żony ruszył na Cuzco. Ale było już za późno.

Kościół pośpieszył w sukurs strwożonemu reżimowi. Na uczestników powstania rzucił klątwę i groził im wiecznymi mękami piekła, jeśli się nie opamiętają i natychmiast nie rzucają broni. Większość rebeliantów tworzyli wierzący katolicy i ten krok biskupów zdeorganizował ich szeregi.

Rozpoczęły się masowe dezercje. Okazało się także, że armatom Condorcanquiego brak kanonierskiej obsługi, amunicja jest zleżała, broń niewiele warta, a ludzie nie mają pojęcia o wojskowej dyscyplinie. Po kilku więc starciach z regularnymi wojskami

\* Pandemonium (z gr.) — siedzisko złych duchów; tu piekło.

oddziały Condorcanquiego zostały rozbite, a on sam dostał się do niewoli.

Na Huacaypata, wielkim Placu Skargi w Cuzco, gdzie przed dwustu z górą laty z szafotu spadła głowa ostatniego Inki, stur-turowanego wodza najgroźniejszego od czasów Manka powstania Indian rozszarpały żywce cztery konie.

Mylili się Hiszpanie sądząc, że publiczna egzekucja podziela od-starszającą. Zbyt wiele przez wieki udręk i poniżeń zgromadzi-ło się nienawiści. Męczeńska śmierć Tupac Amaru II wyzwoliła najgłębsze pokłady fanatyzmu i wygasające już powstanie buch-nęło znowu pełnym płomieniem.

Wiadomości o wystąpieniu nowego Inki w Peru błyskawicą roz-miosły się po hiszpańskich koloniach. Na północy w Nowej Grana-dzie \* niejaki Ambrosio Pisco, mniający się spadkobiercą królów chibchijskich w Cundinamarca ogłosił się zipą i z dwudziestotysięczną armią pomaszerował na Bogotę. Ruszyli się Ajmarowie z okolic jeziora Titicaca. Ich wodzowie Julian Apasa i potem Andres, który także przybrał imię Tupac Amaru, przez 109 dni oblegali La Paz, aż wreszcie w ostatniej chwili na ratunek od-ciętego od świata miasta nadeszła odsiecz z Argentyny.

Indianie peruwiańscy opowiadali sobie, że umęczone szczątki straconego przywódcy zebrali i złożyli starzy bogowie i że obec-nie Tupac Amaru II w położonym w amazońskiej dżungli kraju El Dorado czeka na zwycięstwo swego ludu. Wkrótce na czter-dzieści tysięcy ludzi liczone, operującą w mniejszych grupach, armię powstańczą. U stóp najwyższego szczytu Boliwii Illampu rozegrał się najkrwawszy dramat tej wojny. Rebelianci przerwali kanały i skierowali wody na dziesięcioletnie obleżone przez nich miasteczko Sorata. Większość mieszkańców utonęła, reszta poszła pod nóż pijanych krwią Indian.

Dopiero w kilka lat później, po ogłoszeniu powszechnej amnestii, powstanie zaczęło dogorywać. Ale długo jeszcze w górskich ostę-pach działały drobne oddziały partyzantów, a szajki zwykłych bandytów i rabusiów terroryzowały mniejsze osady i grasowały po komunikacyjnych szlakach. Insurekcja Tupac Amaru II do-

\* Za czasów hiszpańskich nazwa Kolumbii i Ekwadoru.



prowadziła wicekrólestwo Peru omal na sam skraj ruiny gospodarczej i spowodowała nowe prześladowania potomków Inków. Władze kolonialne przypomniały sobie metody osławionego Toledo. Wiele osób, w których żyłach płynęła krew dawnych władców, stracono na miejscu, blisko setkę wysłano do Hiszpanii, a z tych większość już nigdy nie opuściła więzienia. Dokonywano rewizji domowych w poszukiwaniu portretów Inków i różnych przedmiotów związanych z dawnym kultem. Aresztowano za noszenie ciemnego ubioru, dopatrując się w tym manifestowania żałoby narodowej. Mimo amnestii, licznych uczestników powstania, nawet szeregowych, zesłano na ciężkie roboty w kopalniach rtęci lub na plantacjach w tropikach.

I tak nadszedł nowy wiek, XIX, a z nim ferment ruchów wolnościowych. Wtedy znów głośniejsze zaczęło być o Inkach. Wenezuelski rewolucjonista Francisco de Miranda myślał o państwie Słońca, rządzonej przez dwóch Inków, z których jeden stale rezydowałby w starej stolicy Cuzco, a drugi miałby pieczę nad resztą kraju. Simón Bolívar marząc o stworzeniu z kolonii hiszpańskiej w Ameryce Południowej monarchii zastanawiał się, czy skompromitowanego tytułu „król” nie zastąpić tytułem „Inka” o żywych wciąż tradycjach wśród ludności indiańskiej. Wspomniany już na kartkach tej książki Pumacagua, zresztą sam w armii hiszpańskiej generał brygady, ogłosił się w 1814 roku „namiestnikiem inkaskim” (capitan general inca). W cztery lata później na kongresie w Tucuman „Akt Niepodległości Argentyny” odczytano w językach hiszpańskim i quechua. Jeden z delegatów na kongres książę Acevedo, poparty m.in. przez generała Manuela Belgrano, wystąpił z propozycją stworzenia monarchii z siedzibą w Cuzco i powołania na tron prawowitego potomka Inki. Projekt ten nie był tylko czczym gestem w stosunku do Indian, lecz traktowany jak najpoważniej upadł dopiero po pięciu sesjach kongresu. Oryginalna niezmiernie sytuacja powstała w Peru w roku 1821 w czasie pertraktacji wicekróla La Serna z „Amerykanami”, tj. rzecznikami niepodległości kolonii, na temat przyszłości kraju. Podczas gdy liberałowie domagali się całkowitej niezawisłości z infantem hiszpańskim jako królem, to „królewscy” wysuwali koncepcję restauracji państwa Synów Słońca

z pułkownikiem armii kolonialnej Jeronimo Valdesem, potomkiem dawnych Inków, na czele. Układy zostały wprowadzić zerwane, ale Hiszpanie jako protagoniści Inki — to wolta zaiste niebywała.

\* \* \*

Dziś jeszcze kilka milionów Indian używa „mowy mężów” — runa-simi, czyli języka quechua, prawie milion przyznaje się do ajmarskiej przynależności narodowościowej. Indianin peruwiański poważny, zamknięty w sobie i milczący pracowicie obrabia małe poletka, jak jego przodek na połoninach górskich wypasa stada, przemyka się cicho uliczkami starożytnych miasteczek, w ruchach bruku ongi kroczyły tryumfalne pochody. Chętnie uczestniczy w uroczystościach kościelnych, klęka przed ołtarzami świętych katolickich i rzuca na niebezpiecznej ścieżce kamyk dla zyskania życzliwości duchów, klęka przed pradawnym huaca, zapomnianym przez misjonarzy, wzdycha do Huiracochy i Słońca — Inki. Dzięki upowszechnieniu szkolnictwa wie więcej o dumnej przeszłości swej ojczyzny niż jego przaszczur. Czasem wspina się na wierzchołek jakiegoś wzgórza i godzinami ogląda gdzieś w dal niewidzącymi oczyma, a potem żuje koka.

Żyje z białymi, często mówi ich językiem, stąpa po tej samej ziemi, oddycha tym samym powietrzem, a przecież przebywa w innym świecie, do którego obcy nie ma wstępu. Nocami lub kiedy jest sam, przenosi się w krainę dawnych wierzeń, porzucenego obyczaju, zagubionej tradycji, osacza go wspomnienie baśniowej przeszłości i wtedy marzy o wskrzeszeniu starego państwa Synów Słońca.

## ZAKOŃCZENIE

Jak zapewne Czytelnik zauważył, ta „historyczna” książka mało zawiera dat. Ale to już jest z historią Inków. Nie wiemy nawet na pewno, kiedy urodził Huayna Capac, chociaż za jego panowania pierwsi Hiszpanie wyłazli na wybrzeżach Tahuantinsuyu. Prawda i legenda, zmyślenie, poetycka bajka i fakt przewijają się nieustannie przez dzieje tego kraju. Powtarzają się imiona, te same czyny przypisywane są różnym postaciom oddalonym czasem od siebie i setką lat. Największe autorytety od tych spraw wyrażają opinie niekiedy zupełnie odmienne, a chronologia w dziełach ich skacze swobodnie po całych stuleciach. „Dzieci Słońca” nie należy więc traktować jako „prawdziwej” historii Inków. Sam autor nie wie, czy na pewno tak było, jak podaje, ale przypuszcza, że tak być mogło. A książkę tę pisał, żeby ukazać Czytelnikowi jedną z najoryginalniejszych cywilizacji, jakie kiedykolwiek istniały, a która należy dzisiaj w tym samym prawie stopniu do historii co do baśni. Kultura, której dziełem była organizacja państwowa Inków, jest zjawiskiem wyjątkowym w dziejach świata i niepowtarzalnym, bo, jak pisał wspomniany już w tej pracy Cieza de León: „Głęboki żal w nas budzi, że Inka, półdziki i bałwochwalca, umiał zaprowadzić tak doskonały porządek w swoim państwie i potrafił nim tak mądrze rządzić, podczas gdy my chrześcijanie tyle państw spustoszyliśmy. Albowiem tam, gdziekolwiek Hiszpanie wkraczali jako odkrywcy i zdobywcy, wszystko zamieniali w pustynię, a kraj po ich przejściu wyglądał, jakby go ogień strawił.”

## SŁOWNICZEK

terminów własnych i wyrazów indiańskich

- a c a c a u!** — okrzyk, wyrażający dotkliwy ból lub dokuczliwe gorąco
- a c l l a** — „wybranka”, nazwa dziewięć poświęconych kultowi Słońca i służbie Inki, przypominających rzymskie westalki, zwane także „Narzęconymi Słońca”
- a c l l a h u a s i** — „Dom Wybranek”, rodzaj klasztoru „Dziewięć Słońca” w Cuzco, na którego miejscu dziś stoi kościół św. Katarzyny
- a c h i o t e** — orlean, drzewo *Bixa orellana* z tropikalnej Ameryki, dostarczające żółtego i czerwonego barwnika używanego w kosmetyce i do farbowania tkanin; plemię znad Marañonu zwane tak od zwyczajów malowania się pastą achiote
- a g u t i** — gryzoń z lasów Ameryki Południowej i Indii Zachodnich o jadalnym mięsie, zwany także złotym zającem
- A l c a h u i z a** — pierwotni mieszkańcy Cuzco; legendarny naczelnik Cuzco, ustanowiony przez Huiracoche; także nazwa wrózek pełniących pomocnicze funkcje kapłańskie
- alca mar, alcamari** — niewielki drapieżny orlik z Peru
- Almagro Diego de (1475—1538)** — konkwistador hiszpański, towarzysz Pizarra w podboju Peru, stracony z jego rozkazu; jego syn tegoż imienia, zwany *el Mozo* — chłopak, junior — po zamordowaniu Pizarra przez almagrystów ogłosił się namiestnikiem Peru; stracony z rozkazu wicekróla Vaca de Castro (1542)
- al p a c a** — udomowiona odmiana lamy, zamieszkująca góry Ameryki Południowej od Ekwadoru po Ziemię Ognistą
- A m a r o, A m a r u** — święty wąż z mitologią peruwiańskiej; częste imię
- a m a u t a** — uczoney, kronikarz, specjalista od historii, kalendarza i quipu, znawca medycyny i chirurgii; nazwa prehistorycznej dynastii 46 królów Peru
- A m a z o n i a** — rejon dorzecza Amazonki
- A m a z o n k a** — największa w świecie pod względem dorzecza i zasobów wody rzeka w Ameryce Płd., długości 5500 km

- Ambato** — słynne z ogrodów miasto w Ekwadorze, 75 km na płd. od Quito, w pobliżu wulkanu Cotopaxi
- Anahuaraca** — stara świątynia inkaska na górze koło Huanacauri
- anca** — gatunek orła
- Andahuayllas** — Antahuaylla, prowincja na płd. wschód od Limy z licznymi zabytkami z czasów Inków (słynna świątynia Corumba); prawoboczny dopływ rzeki Pampas
- Andy** — łańcuch gór w zachodniej części Ameryki Płd. ciągnący się na przestrzeni 7500 km od Morza Karaibskiego do przylądka Horn
- anta** — tapir amerykański
- Anta** — mała osada niedaleko Cuzco na zboczach wzgórza graniczącego od południa z równiną Suriti; także nazwa szczepu Indian
- Antisuyu** — wschodnia część imperium Inków obejmująca puszcze Amazonii
- apu** — apo, pan, wódz, tytuł honorowy w jęz. quechua; także przydomek dawany konkwistadorom; imię dowódcy gwardii przybocznej Inki Pachacuteka
- Apu Mayta** — słynny wódz Inków z czasów Yahuar Huacaka i Huiracochy
- Apurimac** — „Belkotliwa Rzeka”, „Pan Gadających Wód”, „Rozgadana Woda”, 700 km długi dopływ Ucayali, płynący głębokim kanionem, tworzył zachodnią granicę doliny Inków z plemionami Chanca; także słynna wycieczna położona nad tą rzeką
- Araukania** — kraina w Chile, ojczyzna Araukanów, położona między rzeką Bio-bio na północy, Andami na wschodzie, rzeką Calle-calle na południu i Oceanem Spokojnym na zachodzie, ok. 41 500 km<sup>2</sup>
- Arayraca** — sprzymierzony z Ayarami szczep zamieszkujący Górne Cuzco
- Arequipa** — pierwotnie należąca do ludu Colla dolina w Collasuyu, bardzo żyzna, choć wulkaniczna; miasto założone w 1540 roku przez Fr. Pizarra. Wg jednej z etymologii nazwa oznacza: „dźwięczna trąbka” (quipa — trąbka, are — dźwięczna)
- Atacama** — wygasły język z południowych wybrzeży Peru; bogata w kopaliny słońca pustynia w północnym Chile
- Atahualpa** — syn Huayny Capaka i księżniczki Quito — Pacchy, ostatni władca Tahuantinsuyu, w 1533 roku uduszony z rozkazu Pizarra
- Atoc** — główny wódz armii Huascara, zabity w walkach z Atahualpą
- Auca** — „wojownik”, czwarty z braci Ayarów, przy zakładaniu Cuzco zamieniony w kamień
- Aullagas** — utworzone przez rzekę Desaguadero jezioro (2530 km<sup>2</sup>) w zachodniej Boliwii, zwane inaczej Poopó; także nazwa plemienia zamieszkującego jego brzegi
- auqui** — duch; w dynastii Amautów częsty tytuł — „książę”, „ojciec”

- Atahualpa** — wódz peruwiański z końca XII w., brat piątego Inki Capac Yupanqueiego, podbił krainy nad Oceanem Spokojnym
- Ayacucho** — „Zakątek Zmarłych”, jedna z najbardziej malowniczych dolin andyjskich; założone w 1539 r. przez Pizarra miasto na miejscu dawnej osady indiańskiej Huamanga; w 1824 r. pole słynnej bitwy, która przyniosła niepodległość Peru
- Ayahuari** — duża wieś indiańska na górze Cunurani na wysokości prawie 4000 m
- Ayamarca** — silny szczep z okolic Cuzco; także nazwa szóstego miesiąca w kalendarzu peruwiańskim (22. 11. — 22. 12.)
- Ayar** — Ajarowie, czterej bracia, mityczni założyciele imperium Inków
- ayllu** — jednostka plemienna-terytorialna w państwie Inków; wspólnota wiejska, mająca własne rodowe bóstwo; ród królewski Inków wywodzący się od jednego z panujących władców; synonim jednostki administracyjnej pachaca, obejmującej 100 rodzin
- Aymara** — Ajmarowie, duża grupa plemion indiańskich z Peru i Boliwii, twórcy wysokiej przedinkaskiej kultury; tytuł wodzów Chanków; mała prowincja w górze rzeki Pachachaca w departamencie Cuzco; błędna nazwa języka Colla
- Aztekowie** — w okresie konkwisty lud indiański panujący nad większością Meksyku
- azua** — chicha, napój alkoholowy z mąki kukurydzy, soku palmowego i mleczka kokosowego
- balsa** — tratwa z drzewa balsowego o drewnie lżejszym od korka
- Belalcázar Sebastian de** — Benalcázar; konkwistador hiszpański, uczestnik wyprawy Pizarra do Peru, zdobywca Quito, gubernator prowincji Popayan, zm. ok. 1550 r.
- Belgrano Manuel** — 1770—1820, patriota argentyński, prawnik i generał, bohater walk wywoleńczych, twórca narodowego sztandaru Argentyny
- Bogotá** — od 1819 roku stolica Kolumbii w Andach, założona w 1538 r. przez Quesadę na miejscu Tensaquillo — starej rezydencji szefa Muisków
- Bolívar Simón** — 1783—1830, polityk i wojskowy weznezuelski, bohater południowoamerykańskich walk wywoleńczych spod panowania Hiszpanii; od jego imienia nazwa republiki Boliwii
- Cacha** — ostatni król Quito z dynastii Scyri w drugiej połowie XV w. zabity w walce z Huayną Capakiem
- Cachi** — „Sól”, trzeci z braci Ayarów, zdradziecko zamknięty w jaskini
- Cajamarca** — „Zimne Miasto”, jedna z najstarszych miejscowości w Peru, miejsce uwięzienia i stracenia Atahualpy
- Calca** — starożytna miejscowość w departamencie Cuzco
- Calixpuquio** — „Świątynia Źródeł” w dolinie Huatanay pod Cuzco;

źródło, w którym młodzież Inków brała kąpiel oczyszczającą podczas obchodów dojrzałości

- Campa** — Kampowie, półdicy Indianie z lasów wschodniego Peru
- Cana** — podbity przez Inków lud z rodziny Aymara, zamieszkujący kraje między Titicaca a Vilcamayu
- cañcu** — chleb z czystej kukurydzy, wypiekany przez „Dziewice Słońca” dla celów rytualnych
- cantut** — cantuta, floks o jaskrawym kwiecie, używany na wieńce i zwany także „kwiatem Inków”
- Cañar** — Cañari, Kanarowie, jeden z najliczniejszych i bardzo wojowniczych szczepów z mesety ekwadorskiej nad rzeką Cañar i doliny tejże nazwy
- capac** — w języku quechua: wielki, potężny
- capacocha** — ofiary składane bóstwom, zwłaszcza ofiary z ludzi
- Capac Raymi** — inkaski grudzień (22. 12. — 22. 1.), rodowe święto Inków oraz inicjacji w okresie przesilenia dnia z nocą
- Capac Yupanqui** — piąty Inka, syn i następca Maity Capaka; 1156—1197
- Cara** — plemię indiańskie pochodzenia karaibskiego, pierwotni mieszkańcy Ekwadoru ze stolicą w Quito i wpływami w dzisiejszej Kolumbii
- Chaco** — „Kraj Łowów”, wielka równina w Ameryce Płd. między Andami a rzeką Paragwaj
- Chachani** — wulkan w Peru na pin. zachód od wulkanu Misti
- Chachapoya** — „Silni Mężowie”, plemię Indian z Amazonii
- Chachapoyas** — kraina w basenie rzeki Marañon
- Challcuchima** — jeden z głównych wodzów wojsk Atahualpy
- Chanca** — zamieszkujący rejony Apurimac i Ayacucho wielki lud indiański, rywalizujący z Inkami, Chankowie
- Chanchan** — stara przedinkaska stolica królestwa Chimu, ruiny 4 km na północ od dzisiejszego miasta Trujillo
- charqui** — solone mięso suszone na słońcu
- chasqui** — posłaniec sztafety pocztowej w państwie Inków
- Chavín** — sprzymierzone z Ayarami plemię z Górnego Cuzco
- Chavín de Huantar** — sławne ruiny starożytnego miasta — państwa Indian w dolinie Marañon
- checollo** — przypominający słowika ptak śpiewający z Peru
- Chibcha** — Czibczowie, plemiona indiańskie zamieszkujące dawniej Kolumbię
- chicha** — czicza, ogólna nazwa alkoholowych trunków z kukurydzy i manioku
- Chimborazo** — wygasły wulkan w Andach
- Chimu** — przedkolumbijski lud o własnej kulturze na wybrzeżach Ekwadoru i północno-zachodniego Peru
- Chimu Capac** — „Wielki Chimu”, tytuł władcy państwa Chimu

- Chinchasuyu** — północna dzielnica państwa Inków, obejmująca prowincje Huamánca, Jauja, Huanuco, Cajamarca aż po Quito oraz doliny nadbrzeżne
- Chinchay-cocha** — wysokogórskie jezioro w Peru, obfitujące w ryby i ptactwo
- chiqui** — gatunek niedużej pospolitej w Peru papugi
- chirimoya** — gruszkowaty owoc drzewa *Annona cherimolia* z Ameryki Środkowej i Południowej
- Chontisuyu** — Cuntisuyu, zachodnia część imperium Inków między rzeką Apurimac i oceanem
- chullpa** — budowla pochówkowa w kształcie wieży u ludu Colla w Peru i Boliwii
- chumbi** — chumpi, szal, szeroki pas z tkaniny weinianej
- chuspa** — torba, worek
- Cieza de León** — kronikarz hiszpański 1518—1560, 17 lat bawił w Peru, autor cennej „Kroniki Peru”, wydanej w 1553 r.
- Coati** — „Wyspa Księżycowa” na jeziorze Titicaca z ruinami inkaskich świątyń i domu „Dziewic Słońca”
- Col(l)acampata** — „Rola Słońca”, pole, na którym Inka rozpoczynał w sierpniu prace rolne; także domniemany pałac Manco Capaka w Cuzco
- Collao** — prowincja i silne państwo szczepu tej samej nazwy z rejonu jeziora Titicaca
- Collahuaya** — szczep należący do grupy Aymara, z którego rekrutowali się tragarze królewskiej lektyki
- Collasuyu** — południowa część imperium Inków obejmująca basen jeziora Titicaca
- Con** — przedinkaskie bóstwo znad Pacyfiku, bóg stwórca, Syn Słońca, później identyfikowany z Huiracocha
- Copacabana** — „Kamień Szlachetny Dający Życie”, południowy półwysep jeziora Titicaca, święte miejsce za czasów Inków
- Coricancha** — „Ogród Słońca”, to samo co Inticancha
- Cotopaxi** — najwyższy z czynnych wulkanów w Ekwadorze, 80 km na wschód od Quito
- coya** — „szlachetna pani”, tytuł prawowitej żony Inki
- Cuitlahuac** — młodszy brat i następca Moteczumy na tronie Azteków, zm. 1520 r.
- Cundinamarca** — bogata w kopaliny kraina w Kolumbii ze stolicą Bogotą
- curaca** — dziedziczny naczelnik plemienia; urzędnik z warstwy szlacheckiej w państwie Inków
- Cuycusa** — sprzymierzone z Ayarami plemię z Dolnego Cuzco
- Desaguadero** — wypływająca z jeziora Titicaca rzeka graniczna między Boliwią a Peru



- Duchicela** — król Quito 1300—1370, syn naczelnika plemienia Puruhua i córki władcy Carów — Toa, podbił szczyb Cañar
- El Dorado** — bajeczny kraj złota w Południowej Ameryce na północ od równika, cel licznych wypraw w wiekach XVI—XVIII
- Galápagos** — „Wyspy Żółwie”, archipelag na Oceanie Spokojnym, na zachód od Ekwadoru, do którego należy
- guacamaya** — duża papuga o krwistym upierzeniu grzbietu, błękitnym i zielonym piersi i bardzo długim czerwonym ogonie
- guayaba** — gwajawa, gruszkowaty owoc jadalny niewielkiego drzewa z rodziny mirtowatych guayabo — gojawa
- Guaviare** — największy, długości 1370 km, dopływ Orinoco ze źródłami w kolumbijskich Andach
- Guyana** — Gujana, rozległa tropikalna, gęsto zalesiona kraina w półn.-wsch. części Ameryki Półd. między Atlantykiem i rzekami Orinoco, Casiquiare, Negro i Amazonką
- Guayaquil** — największa w Ameryce Półd. zatoka Pacyfiku u wybrzeży Ekwadoru
- haravek** — haravico, u Inków poeta, pieśniarz opiewający bogów, czyny wojenne i miłość, być może także twórca dramatów historycznych
- Hatuncolla** — warowna stolica ludu Colla na półn. zachód od jeziora Titicaca, zdobyta przez Pachacuteka
- hatun runa** — najniższa warstwa ludności w Tahuantinsuyu, rekrutująca się głównie z podbitych ludów
- Hatun Tupac** — syn Yahuar Huacaka, jako Inka panował pod imieniem Huiracocha
- huaca** — miejsce i przedmiot kultu, ogólna nazwa wszelkich obiektów otaczanych czcią
- Huacari** — wódz, bohater peruwiańskich legend z XII wieku z czasów walk z Maitą Capakiem
- Huacaypata** — „Plac Skargi”, główny plac w Cuzco, na którym odbywały się najważniejsze uroczystości państwowe i religijne, za hiszpańskich czasów „Plac Broni” — Plaza de Armas
- Huacay Taqui** — plemię towarzyszące Ayarom w ich wędrówce, osiadłe w Górnym Cuzco, specjalizowało się w sztuce muzycznej
- huachache** — białawego koloru bardzo dokuczliwy moskit
- Hualcopo** — słynący z męstwa król Quito (1430—1463), prowadził niepomyślne walki z Inkami
- Hualla** — niewielki szczyb z okolic Cuzco, przepędzony przez Ayarów
- Huallaga** — dopływ Marañonu w Peru, długości 1120 km
- huallata** — duża dzika gęś
- Huamachuco** — andyjska prowincja i znaczne za czasów Inków miasto ze znaną świątynią
- Huamanea** — Huamanga, indiańska nazwa dzisiejszego Ayacucho.

- Huanacauri** — „Sucha Góra”, święte wzgórze pod Cuzco, gdzie czczono jednego z Ayarów; także imię dwóch starożytnych królów Peru z dynastii Amauta
- huanaco** — guanako, gatunek dzikiej lamy
- Huanaypata** — wzgórze, gdzie zapadł się w ziemię magiczny pręt Manco Capaka, szósty i ostatni postój Ayarów w ich wędrówce
- Huanca** — mieszkańcy ludnej prowincji tej samej nazwy, zwanej także Jauja, podbici przez Capac Yupanquego
- Huancapampa** — Huancabamba, prowincja i miasto w płn. Peru
- Huancavelica** — ważna prowincja andyjska z kopalniami cynobru
- Huancavilca** — dziki i wojowniczy szczep z okolic zatoki Guayaquil
- Huanuco** — stare górskie miasto Inków w prowincji tej samej nazwy na wysokości ok. 3650 m
- huaraca** — wojenna proca peruwiańska; łucznik
- huarachicoy** — święto dojrzałości młodzieży Inków
- Huascar** — Inti Cusi Hualpa, syn i następca Huayny Capaka, 1525—1532, zamordowany w wojnie domowej z Atahualpą
- Huatana** — dopływ Urubamby, przepływający przez Cuzco
- Huaucui** — „brat”, opiekuńczy duch rodowy panującego Inki; podobnie jego grzebano wraz ze zmarłym
- Huayllaca** — starożytne plemię z okolic Cuzco
- Huayna Capac** — zwany „Wielkim Zdobywcą”, ostatni przedhiszpański władca Tahuantinsuyu, ok. 1475 r. podbił królestwo Quito, gdzie założył swą rezydencję, w której zmarł ok. 1525 r.
- huillacumu** — „głowa, która radzi”, najwyższy kapłan Słońca i arbiter w sprawach kultu, zwykle brat panującego Inki
- Huiracocha** — Wirakocza, główny bóg w państwie Inków, stwórca świata; także imię Inki panującego w latach ok. 1289—1340
- huiscacha** — wiskacza, spokrewniony z szynszylą duży gryzoń, zwany zającem andyjskim
- Hurín** — jedna z dwóch dzielnic, na które dzielono miasta Inków, dolne miasto
- ichu** — gatunek pospolitej trawy górskiej w Andach Peru
- Illampu** — inaczej Sorata, najwyższa góra w Boliwii (6544 m) nad płn.-wschodnim wybrzeżem jeziora Titicaca
- Illimani** — „Trzy Szczyty”; pokryty wiecznym śniegiem, wygasły wulkan w Boliwii panujący nad wschodnim brzegiem jeziora Titicaca
- Inti** — bóg Słońca; w postaci złotego sokoła opiekuńczy duch Manco Capaka
- Inticancha** — „Dziedziniec Słońca”, świątynia Słońca zbudowana w Cuzco przez Manco Capaka; początkowo stanowiła warowny dwór Inków
- Inti Churin** — „Syn Słońca”, przydomek Inków, wywodzących swój ród od Słońca

- Intihuasi** — Świątynia Słońca
- intihuatana** — rzekome obserwatorium słoneczne, jakim posługiwali się mieli astronomowie w państwie Inków
- Inti Pampa** — „Plac Słońca”, nazwa rozległego dziedzińca przed świątynią Słońca w Cuzco
- Ipa Cura** — „Starsza Ciotka”, żona jednego z Ayarów
- Karaibowie** — Caribes, znany z dzikości ludożerczy lud indiański, zamieszkujący w czasach przedhiszpańskich Antyle i północne wybrzeża Ameryki Płd.
- Kon Tiki** — „Król Słońca”, stare bóstwo polinezyjskie; nazwa słynnej tratwy, na której Norweg Thor Heyerdahl przepłynął w 1947 roku Ocean Spokojny
- Iama** — karłowaty wielbłąd z gór Boliwii i Peru, jedyne znane Indianom zwierzę pociągowe
- Lar** — Lares, szczerp indiański zamieszkujący doliny na północy wschód od Cuzco
- Llaretta** — drzewo *Laretia acaulis*, dostarczające wonnej żywicy, stosowanej w lecznictwie
- llautu, llauto** królewska przepaska głowy Inków z wielokolorowego sznura, z którego zwisała szkarłatna frędzla
- Lloque Yupanqui** — „Czcigodny Mańkut” — syn Sinchi Roca i Chimpo Coya, trzeci panujący Inka, 1091—1126
- lucuma** — piękne drzewo *Lucuma nervosa* dostarczające jadalnych owoców w kształcie niewielkich jabłek
- Lupaca** — podbity przez Inkę Pachacuteka potężny szczerp Ajmarów ze stolicą w Chucuito
- Lurin** — rzeka i dolina tej samej nazwy nad Oceanem Spokojnym w pobliżu Limy, w okolicach ruin starych ośrodków kultowych Manchay i Pachacamac
- Macabi** — nazwa dwóch piaszczystych wysp u wybrzeży Peru z pokładami suchego guana
- Machu Picchu** — „Stary Szczyt”, ruiny starożytnego miasta Inków w pobliżu Cuzco, odkryte dopiero w 1911 roku przez prof. Hiram A. Bingham
- Maita Capac** — „Mocny Chłopiec”, czwarty Inka, 1126—1156, syn Lloque Yupanquego i Mamy Coca
- malqui** — mumie Inków i ich prawowitych żon
- mama** — „matka”, tytuł poprzedzający imię coy; także nazwa opiekunych duchów domowych
- Mama Cahua** — pierwsza żona Lloque Yupanquego
- Mama Coca** — żona Sinchi Roca
- mamacona** — matrona opiekująca się w klasztorach Słońca wybranymi dziewczętami

- Mama Huaco** — „Wojownicza Księżniczka”, żona Ayara Cachi, a później Manco Capaka
- Mama Micay** — żona Inki Roca
- Mama Ocillo** — „Czcigodna Matka”, siostra i żona Manco Capaka, pierwsza księżna rodu Inków; także imię żony Inki Tupac Yupanquiego
- Manco** — brat Huascara, ostatni z Inków koronowany w Cuzco, przywódca powstania, 1533—1544, zamordowany
- Manco Capac** — „Cnotliwy Książę”, mityczny założyciel imperium peruwiańskiego, pierwszy Inka (1021—1062)
- Manta** — nadmorska kraina w Ekwadorze, gdzie Huiracocha miał zniknąć w falach oceanu
- Marañon** — długości 1280 km, jedna z głównych rzek źródłowych Amazonki
- Maras** — Maras, pochodzący z Tampu-Tocco szczep, który towarzyszył Ayarom w ich wędrówce, a później osiadł w Dolnym Cuzco i we wsi Maras
- Marcapata** — prawy dopływ Madre de Dios, przepływający w okolicach Cuzco
- Masca** — jedno ze sprzymierzonych z Ayarami plemion, zamieszkałe w dolnym Cuzco
- mascapaicha** — królewski strój głowy Inki w postaci purpurowego chwastu, insygnium panującego Inki
- Matahualpa** — miejsce piątego postoju Ayarów w dolinie Cuzco u stóp wzgórza Huanacauri
- Maulu** — rzeka w Chile długości 280 km, południowa granica imperium Inków
- Misti** — stożkowy wulkan w peruwiańskiej kordylierze zachodniej, 5852 m
- mita** — system przymusowej pracy o charakterze świadczeń szarwarkowych
- mitima** — mitimac, kolonista, ludność przymusowo przez Inków przesiedlana na odległe tereny
- moscoco** — moskok, łumacz snów
- Mururata** — „Bez głowy”; góra z mitów peruwiańskich, położona gdzieś pośrodku Królewskiej Kordyliery
- napa** — biała lama, symbol władzy Inki, także święta figurka tego zwierzęcia
- Nazca** — starożytny krąg kulturowy na wybrzeżach Peru
- nuñuma** — gatunek dzikiej kaczki z Peru
- ñusta** — „księżniczka”, dziewczyna z arystokratycznego rodu, także synonim „Dziewic Słońca”
- oca** — peruwiańska roślina o jadalnych bulwach

- Ollantaytampu — Ollantaytambo, miasto w dolinie Cuzco ze słynną twierdzą
- oncilla — gatunek leśnego drapieżnego kota; zbliżony wyglądem do ocelota
- paca — paka, duży leśny gryzoń (dł. 60—70 cm) żywiący się owocami i prowadzący tryb życia nocny; mięso smaczne i chętnie jądane
- pacarina — otoczony czcią boską protoplasta rodu wyobrażany zazwyczaj w postaci kamiennej kolumny
- Paccari Tampu — „Gospoda Jutrzenki”, „Dom Narodzin” lub „Pieczara Bytu”, legendarne pierwsze miasto Inków nad rzeką Apurimac
- pachaca — w państwie Inków jednostka administracyjna, złożona ze stu rodzin
- Pachacamac — „Władca Ziemi”, prastary bóg z czasów przedinkaskich, utożsamiany później z Huiracocha; także świątynia i słynna wyrocznia na wybrzeżu peruwiańskim
- Pachacutec — „odnowiciel”, „wybawca”, „reformator”; przydomek Inki Yupanquego
- palla — zamężna kobieta z rodu Inków
- Pallata — miejsce drugiego postoju Ayarów
- Palta — plemię z północnego Peru
- pampa — równina, płac; nazwa równinnych trawiastych stepów w Płd. Ameryce
- papa — gatunek kartofli z Andów peruwiańskich
- Paracas — ośrodek przedinkaskiej kultury na południowym wybrzeżu Peru
- paramos — wysokogórskie formacje roślinne w północnych Andach
- Paruro — niewielka prowincja na południowy wschód od Cuzco, rzekoma kolebka Inków
- Paucartampu — rzeka płynąca na wschód od Cuzco, dopływ Vilcamayu
- Paullu — brat Manka, marionetkowy władca Indian, mianowany Inką przez Almagra
- Pisac — warowne miasto Inków w dolinie Vilcañota
- Poopó — jezioro na wyżynie boliwijskiej (2350 km<sup>2</sup>), połączone rzeką Desaguadero z jeziorem Titicaca
- Poque — pierwotne plemię zamieszkujące prowincję Paucartampu na wschód od Cuzco
- Promaukowie — Promaucae, „Dzicy Wojownicy”, ogólna nazwa nadawana przez Inków ludom chilijskim
- pucara — ufortyfikowana osada na szczycie gór, szczególnie często spotykana u ludów Colla
- Puito — Puito, tubylcza nazwa królestwa Quito
- puna — półpustynna równina występująca w środkowych Andach na wysokości powyżej 3000 m n.p.m.

- Puna** — spora lesista wyspa w zatoce Guayaquil u wybrzeży Ekwadoru
- Puruhua** — bitne plemię z Ekwadoru, które na południe od Quito utworzyło niezależne państewko
- Quechua** — Keczua, wielka grupa plemion indiańskich z Andów, których językiem mówi dziś jeszcze około 9 mln mieszkańców Pld. Ameryki
- quellua** — andyjska mewa
- quena** — instrument muzyczny w rodzaju fletu
- quetzal** — kecal, wspaniale ubarwiony rzadki ptak z lasów Ameryki Środkowej, świętość narodowa wielu plemion indiańskich
- Quilla** — Mama Quilla, małżonka Słońca, Księżyc
- quinoa** — gatunek górskiego prosa
- quipu** — kipu — niesłusznie zwany „pismem węzłkowym” system wielokolorowych sznurków, używany w państwie Inków do celów statystyczno-administracyjnych
- quipucamayoc** — znawca quipu, ogólnie: uczonec
- Quirirmanta** — miejsce czwartego postoju Ayarów
- quisuar** — leśna oliwka
- quito** — kito, święty ptak Inków, gołąb o złotej piersi
- Quito** — miasto w Ekwadorze, stolica państwa Pitu, podbitego przez Inków
- Quizquiz** — Quisquis, dowódca wojsk Atahualpy zabity w sporze z własnymi żołnierzami
- Rapel** — nieduża (72 km) rzeka w Chile
- Raua** — żona jednego z Ayarów
- Rimac** — wpadająca do Pacyfiku rzeka w Peru, od której zniekształconej nazwy wzięła się nazwa Lima
- Riobamba** — stare osiedle indiańskie w prow. Chimborazo w Ekwadorze
- Roca** — król z mitycznej dynastii przedinkaskiej Tampu-Tocco; szósty Inka, założyciel dynastii Górnego Cuzco
- Rumiñavi** — jeden z wodzów Atahualpy; po jego upadku ogłosił się niezależnym królem państwa Quito
- runa-simi** — „mowa mężów”, czysty język quechua
- runating** — runa-tinqui, kapłan specjalizujący się w czarach miłosnych
- Sacsahuaman** — „Sokołe Gniazdo”, starożytna forteca na wzgórzu panującym nad Cuzco
- Saño** — zaprzyjaźnione z Ayarami plemię z Górnego Cuzco
- Sayri Tupac** — syn i następca Inki Manco w marionetkowym państwie Inków w Vilcapampa
- Scyri** — dynastyczny tytuł władców państwa Quito (Poito)
- Sicasica** — duża wieś indiańska na wschodnim wybrzeżu jeziora Titicaca
- siella** — piękny kwiat ozdobny, częste imię Indianek

**Sicuaní** — górskie miasteczko na płd. wschód od Cuzco  
**sinchi** — wojenny wódz plemienia  
**Sinchi Roca** — syn Manco Capaka, drugi Inka  
**Situa** — święto oczyszczania u Inków  
**Siuyacu** — „Rosnący Pierścień”, matka Inki Roca  
**suntur-paucar** — rodzaj berła lub sztandaru panującego Inki  
**Suriti** — rozległa równina górska na północ od Cuzco  
**Susurpuquio** — święte źródło ze świątynią

**Taguapapac** — ocalały z potopu sługa Huiracochoy  
**Tahuantinsuyu** — „Kraj Czterech Dzielnic”, nazwa państwa Inków  
**tambo** — rodzaj schroniska z magazynem żywnościowym na drogach Inków  
**Tampu** — plemię z Tampu-Tocco, towarzyszące Ayarom w ich wędrówce, a później osiadłe w Ollantaytampu  
**Tampu-Tocco** — „Dom Okien”, mityczny ośrodek kultowy w okolicach Cuzco  
**Tarpuntay** — jedno ze sprzymierzonych z Ayarami plemion, także nazwa peruwiańskich kapłanów  
**Tiahuanaco** w pobliżu jeziora Titicaca prastary ośrodek kultowy i centrum religijne  
**titi** — dziki kot górski, także bóg — jaguar  
**Titicaca** — największe jezioro Ameryki Południowej na wyżynie boliwijskiej — 6900 km<sup>2</sup>  
**Titi Capac** — „Pan Świata”, przydomek Huiracochoy  
**Titu Cusi** — syn Inki Manco i jego następca w marionetkowym państewku w Vilcapampa  
**tlatoani** — „mówca” i tytuł władcy Azteków  
**tola** — gatunek karłowatego górskiego cyprysu  
**Tołtecy** — plemię panujące przed Aztekami w Meksyku, twórcy wysokiej cywilizacji  
**Tomayhuaraca** — wódz Chanków zabity w walkach z Inką Yupanqui  
**Tonapa** — cudotwórca z peruwiańskich mitów o Huiracochoy  
**Toparca** — brat Ataualpy, koronowany Inką przez Pizarra, wkrótce zmarł otruty  
**topo** — tupu, złota ozdobna spona; także miara powierzchni w przybliżeniu 60×50 kroków  
**totora** — gatunek trzciny rosnącej nad brzegami wód  
**Tucuman** — prowincja w północno-zachodniej dzisiejszej Argentynie  
**Tullumayo** — niewielki strumień przepływający przez Cuzco  
**Tumbes** — znaczne za czasów Inków miasto nad Pacyfikiem w płn. Peru  
**Tupac Amaru** — „Lśniący Wąż”, ostatni Inka z Vilcapampa, stracony z rozkazu wicekróla Toledo  
**tupac yauri** — berło, symbol władzy Inki

## SPIS TREŚCI

O czym nie wiedzieli Inkowie . . . . .	5
Dzieci Słońca . . . . .	15
Kim byli? . . . . .	30
W Świętej Dolinie . . . . .	32
Dynastia Dolnego Cuzco . . . . .	46
Rewolucja . . . . .	74
Organizacja armii . . . . .	85
Porwany królewicz . . . . .	91
Intrygi i spory wewnętrzne . . . . .	98
Odnowiciel i budowniczy . . . . .	109
Bajka o pasterzu i pięknej księżniczce . . . . .	128
Miłość i rokosz . . . . .	133
Wielki syn wielkiego ojca . . . . .	139
Ustrój społeczno-polityczny państwa Inków . . . . .	163
Król dwóch stolic . . . . .	188
Wojna bratobójcza i koniec imperium . . . . .	215
Państwo cieni . . . . .	228
... czy koniec? . . . . .	250
Zakończenie . . . . .	258
Słowniczek . . . . .	259



- Tupac Yupanqui** — dziesiąty Inka, jeden z największych w historii Peru
- tupu** — topo, miara gruntu
- Urco** — syn Inki Huiracochy wykreślony przez oficjalną historiografię inkaską z listy władców
- Uros** — Urowie, prymitywne plemię starożytnego pochodzenia znad jeziora Titicaca
- Urubamba** — dopływ Amazonki, dł. 720 km
- usuta** — sandały
- Vicaquirau** — słynny wódz z okresu panowania siódmego, ósmego i dziewiątego Inki, syn Inki Roca
- vicuña** — wigoń, bliski krewny lamy z Andów Południowej Ameryki
- Vilcapampa** — górskie prowincja na płn. wschód od Cuzco, ostatnie schronienie Inków
- yacolla** — płaszcz w postaci zarzutki
- yaguarundi** — niewielki leśny kot, chowany przez Indian chętnie jako zwierzę domowe
- Yahuar Cocha** — „Jezioro Krwi”, miejscowość pamiętna ze zwycięstwa Huayny Capaka nad plemieniem Cañar
- Yahuar Huacac** — „Płaczący Krwią”, siódmy panujący Inka
- yanacona** — „czarni słudzy”, półniewolna warstwa ludności, pełniąca przymusowe usługi na dworach Inki i arystokracji
- Yunga** — ogólna nazwa plemion zamieszkujących porośnię wilgotnym lasem równinowym doliny zwane Yungas na wschodnich stokach Środkowych Andów w Peru
- yupanqui** — wódz; czcigodny, szlachetny
- yutu** — andyjska kuropatwa
- zipa** — tytuł chibchijskich władców w Bogotą

Cena zł 250,—



ISBN 83-10-09015-3